

MARGINESY



MÀXIM HUERTA

OPUSZCZAJ
NIE MNIE

NE ME QUITTE PAS

MÀXIM HUERTA

OPUSZCZAJ
NIE MNIE

NE ME QUITTE PAS

PRZEŁOŻYŁA AGATA OSTROWSKA

MARGINESY

*Pamięci Any Marii Matute,
która przyniosła mi wiosnę.*

Trzeba samemu wymyślić sobie życie, a w końcu okaże się prawdą.

Ana María Matute

Wiatr wieje tak... Może będzie deszcz.

Coś wisi w powietrzu, ktoś poczuł to też.

Nie wiem, co będzie, co przygna ten wiatr.

Powiem, co wiem na pewno: zna tę opowieść świat.

Mary Poppins (przeł. Artur Warski)

Nad Paryżem leci ptak, który przed kilkoma minutami uciekł z klatki. Szuka sobie miejsca na dachach Saint-Germain-des-Prés. Z niektórych kominów wydobywa się dym, a wiatr bawi się nim i tworzy najróżniejsze kształty. Kobieta wygląda przez okno, żeby sprawdzić pogodę. Szaro – jak zwykle. Ptak przysiada na markizie nad wejściem do Café de Flore i obserwuje wchodzących i wychodzących. Gdzieś dalej zaczyna się życie. Otwiera się brama, młoda dziewczyna podnosi walizkę, dwóch mężczyzn zapala papierosy, policjant poprawia marynarkę, kobieta zamyka okno, a kiedy przewraca się krzesło przed Café de Flore, ptak, który uciekł z klatki, umyka spłoszony i szuka innego, bardziej gościnnego miejsca.

W kwaciarni zawsze ładnie pachnie.

L'Étoile Manquante to jedno z miejsc, przed którymi warto się zatrzymać i poczekać, aż otworzą się drzwi i ktoś wejdzie albo wyjdzie. Dziś wchodzimy.

Pierwsza klientka to emigrantka z Hiszpanii. Tuż po przyjeździe autobusem do Grenoble świeżo poślubiony mąż porzucił ją dla opartej o bar w kafejce Francuzki z rozpiętym górnym guzikiem bluzki. Mercedes uznała, że skoro już musi od niego uciec, to najlepiej do Paryża. I tam już została, bez znajomości języka i bez męża.

Od tamtej pory mieszka pod numerem 14 w starej kamienicy przy rue Visconti, o bramie w kolorze błękitu pruskiego prowadzącej na wewnętrzny dziedziniec, ze spękаныmi ścianami, posadzkami z piaskowca i dozorcą o nienaganych manierach, w towarzystwie pieska. Niemal tak stary jak jego pani, prawie nie szczeka i całe dnie przesypia pod oknem. Okno się nie domyka. Myślę, że pies jest już jedną łapą w grobie. Jego pani ma dwa pokoiki, marmurowy kominek, na posadzce częściowo terakotę – mocno zniszczoną tysiącami stóp, które deptały płytki na przestrzeni wieków – a częściowo parkiet, przez co powstał niebezpieczny występ. Nic dziwnego: pierwszy dokument dotyczący tego budynku sporządzono 7 marca 1580 roku, kiedy to Sédille Martin sprzedał go Louisowi Claude'owi Bertrandowi z małżonką. Po licznych perypetiach spadkowych dom trafia w ręce kuzynów i pod koniec 1691 roku zostaje ponownie sprzedany przez jednego z nich, Jeana-Baptiste'a Hallora de Serranville albo Ferranville (nie wiadomo na pewno). Kilka lat później kupuje go radca parlamentarny, właściciel numeru 16 przy tej samej ulicy. Z Louvencourtów. Budynek zostaje wówczas przekształcony w hotel dla pierwszej kompanii muszkietierów gwardii królewskiej, tak jak inne budynki w dzielnicy. Po śmierci właściciela, około roku 1772, zaczyna się walka o schedę pomiędzy jego dziećmi, aż 9 maja 1777 roku dom kupuje Pierre Elie Barraux Desgranges. I tak budowla przechodzi z rąk do rąk, od spadkobiercy do spadkobiercy, sprzedawana i kupowana, zamieszкана i niezamieszкана przez malarzy i marszandów. Ostatni właściciele zasłyną skąpstwem, mimo posiadania nieprzebranych bogactw. Do pana Frémonta, zarozumiałego snoba, należała kiedyś

niemal cała miejscowość Bormes-les-Mimosas, zaś pani Frémont dekoruje katedry, przyjaźni się z wielkimi malarzami i nigdy nie zapomina, że w tej okolicy mieszkał Delacroix. Wbrew temu, czego można by się po tej parze spodziewać, żalowali każdego grosza na budynek. Zdarzało im się na przykład wyjmować ze śmietnika zwędłe kwiaty i sadzić je w ogródku.

Tak mijały lata, aż do dziś.

Pod tym niedomykającym się oknem, przez które widać dachy i kominy Paryża, doña Mercedes ulokowała okrągły stolik i ustawiła na nim wazon na kwiaty. Dziś jest pusty. O tej porze bukiet suchych liści i płatków spoczywa już w worku w kuble na dziedzińcu, a dozorca wepchnął go na dno kijem od szczotki.

– *Bonjour madame.*

– *Bonjour Julien.* Piękny dziś dzień.

– Ostatnie promienie letniego słońca. Ale proszę uważać na wodę przy wejściu, przed chwilą podlewałem wężem. To nie deszcz, to ja.

– Tak, widzę... Miłego dnia.

Dwa ptaki pijące wodę z kałuży wzbiły się do lotu, kiedy doña Mercedes wyszła przez bramę na ulicę.

Pewna kobieta kupowała czasem kwiaty w kwiaciarni Dominique’a Brulégo i wychodziła z nosem zanurzonym w bukiecie. Z początku Brulé zastanawiał się, kim może być i czy kwiaty do kogoś trafiają. Teraz jej nieobecność stała się jedną z wielu niewiadomych, jakie wypełniają każdy dzień w kwiaciarni. Gdzie podziały się kwiaty? A kobieta? Skoro śmierć nierozzerwalnie wiązała się z tym zawodem, to uważał, że robi coś więcej niż tylko wiązańki. To wszystko, jak powie potem Violeta, to „tajemnicza rozgrywka między bólem a życiem”.

Dzwonek nad wejściem zabrzmiał dwukrotnie. Dominique klęczał na podłodze, jakby się modlił, do reszty pochłonięty nagietkami. Mercedes weszła do kwiaciarni obładowana torbami zakupów i utkwiała w nim wzrok, jakby mogła spojrzeniem wyrwać go z transu, odciągnąć od wymagającego niezwyklej precyzji zadania. Postanowiła jeszcze raz otworzyć i zamknąć drzwi, żeby znów zabrzęczały metalowe rurki. Nic. Spróbowała głośniejszą odezwać.

– Proszę... Proszę pana, może mnie pan obsłużyć? Dzień dobry!

– Ach, oczywiście, przepraszam! Właśnie pani weszła?

Klientka skinęła głową, ale na jej usta wypełził złośliwy uśmiešek.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam... – powtórzył i odłożył nożyce na ladę. – Długo pani czekała? Boże, ale ze mnie cham! I do tego głuchy! Zaczynam się zajmować podlewaniem, przycinaniem łodyg, i w końcu zapominam o najważniejszym: że po coś tu jestem.

– Mówiłam już przecież w zeszłym tygodniu, że powinien pan częściej wymieniać baterie w aparacie, bo w końcu ktoś wejdzie i coś ukradnie, kiedy pan będzie zajęty kwiatami. Nawet pan nie zauważy, kiedy otworzą kasę, zabrają

pieniądze i uciekną z całym utargiem... Zresztą, żeby tylko z utargiem! Po drodze zwiną jeszcze bukiet stokrotek... A pan się nie zorientuje.

– Że co?

– Że wejdą... Że pana okradną! O-krad-ną!

– Jeśli nie zauważę, że ktoś mnie okradł, to tak, jakby mnie nie okradł.

– Na miłość boską!

– Większość problemów pojawia się tylko wtedy, kiedy zdajemy sobie z nich sprawę. Gdyby więc ktoś wszedł i mnie okradł, a ja bym tego nie zauważył, to widocznie to, co skradziono, nie było dla mnie nic warte.

– Zobaczmy! Rozgłoszę wszystkim, że tutaj wolno kraść!

– Tylko to, za czym tęsknimy, sprawia nam ból. Zgadza się pani ze mną, pani Mercedes?

– Chodzi o to, że... – Poddała się. – Boję się o pana.

– Nie ma się czego bać. Nie jestem groźny.

– Nie boję się pana. W naszym wieku dla nikogo nie jesteśmy już groźni. Ale boję się, co z panem będzie. Wiecznie zajmuje się pan tymi swoimi kwiatami... Nieraz widziałam już, jak młodzi chłopcy wynosili stąd bukiety.

– Pewnie zakochani.

Sapnęła z frustracją i przewróciła oczami:

– Niepoprawny romantyk! – zawołała.

– Tak to jest z miłością... Nie sądzi pani? Nigdy nie zerwała pani polnych kwiatów dla ukochanej osoby?

– Owszem, z pola czy łąki, ale nie kradłam ich ze sklepu.

– Jako mały chłopak zawsze zrywałem kwiaty z doniczek dozorczyńni mojego budynku, hodowała piękne. Ale najczęściej kręciłem się po targu kwiatowym i tam, podczas gdy mama kupowała nasiona, ja kradłem, tak szybko i niezdarnie, że kwiatki nie nadawały się na bukiet. Rozpadały mi się w dłoni. – Poruszył palcami w geście sypania opadających płatków. – W końcu przekonałem dozorczynię, żeby posadziła róże. Cała ulica jej zazdrościła, ludzie przystawali je podziwiać, kiedy zostawiała uchyloną bramę, żeby pozamiatać czy przynieść wodę. No i stało się to, co musiało się stać: wszyscy zaczęliśmy podkraść jej kwiatki.

– Biedaczka. Złapała was?

– Skąd! Była dumna ze swoich kwiatów, które pięły się po ścianie aż do trzeciego piętra. A jeśli czasem nas przyłapywała, przymykała ogromne, wylupiaste oczy i udawała, że zagląda do skrzynek na listy.

– I widać, co z pana wyrosło...

– To nie takie proste, ukształtowały mnie różne okoliczności... Ale faktycznie, kwiaty pozostały częścią mojego życia, na dobre i na złe.

Brulé wiedział, że może brzmieć to nieco dziwnie. I tak rzeczywiście było, ale wiedział też, że Mercedes sama wiele przeszła w życiu i nic jej nie zdziwi.

– Czego to dzieci nie wyczyniają... – powiedziała, żeby przerwać ciszę.
– Musiałem blednąć jak ściana, kiedy dozorczyńni wbijała we mnie te swoje wielkie, wytrzeszczone niebieskie oczy. Nieco niespokojne, tak jak my. Tak się śpieszyłem, że zawsze kłułem się kolcami i musiałem dusić w sobie krzyk, żeby nie wyszła z bramy i dalej patrzyła na te skrzynki.

– Kobiety zawsze udają, że nie widzą.

– Ach tak?

– Jestem przekonana.

– Zazwyczaj zdawała sobie sprawę, że kradliśmy jej te róże, ale wiedziała, że to z miłości. A w miłości wszystko jest dozwolone. Ta dobra kobieta poucinała w końcu wszystkie kolce, żeby żaden chłopak się nie pokłuł... I proszę, gdyby ta biedaczka wiedziała, że dziś nie czuję żadnego ukłucia... Nigdy. – Westchnął, aż zadźwięczały dzwonki przy drzwiach. A może w ruch wprawił je trzepot skrzydeł anioła? – Co to ja mówiłem? – Pstryknął palcami. – Zgubiłem się.

– Na pewno chciał mi pan powiedzieć, że ból jest nieodłączną częścią życia. Ale nie mamy teraz czasu ani ochoty na bolera.

– No dobrze, słucham.

– Przyszłam po prostu po kwiaty.

– Domyślam się, że nie po to, by prosić mnie o rękę.

– Na miłość boską, zawsze się przez pana rumienię. Jak tak dalej pójdzie, znajdę sobie inną kwaciarnię. Gdyby nie to...

– Gdyby nie to, że czytam klientom w myślach i zawsze wiem, jakich kwiatów potrzebują i z jakiej okazji. Słucham.

Dominique Brulé lubi przychodzić do swojego sklepu jeszcze przed świtem. Otwiera drzwi kluczem zawieszonym na szyi i zawsze prawą stopą przekracza próg L'Étoile Manquante. Zanim zapali światło i podniesie żaluzje, zamyka na chwilę oczy. W milczeniu porozumiewa się z wszystkimi odmianami kwiatów i wyobraża sobie nadchodzący dzień. Zostawia im dość czasu, żeby wróciły na swoje miejsca, bo podejrzewa, że przez całą noc mieszały się ze sobą, a on oczekuje, że kiedy naciśnie włącznik, wszystkie będą tkwiły w swoich wazonach pełnych czystej wody. Nigdy jeszcze nie przyłapał ich w ruchu, ale nadejdzie taki dzień. Jego kwaciarnię, najpiękniejszą w Saint-Germain-des-Prés, wielokrotnie nagradzano – zawsze za piwonie. Ma siedemdziesiąt cztery lata i jest zodiakalnym Wodnikiem, a w dniu, w którym otworzył sklep, chciał zamknąć się w środku i umrzeć. Kiedy jednak zobaczył, jak nieśmiałe rojniki potrafią przetrwać wiele tygodni bez wody i opieki, porzucone i zapomniane w żalobnej ciemności, zrozumiał, że i on zdoła przeżyć bez swojej miłości. Julie umarła, niech żyje L'Étoile Manquante.

– Nagietki. Dziś wyjdzie stąd pani z bukietem nagietków. Zapraszam. Dobrze pani zrobią. Podobno potrafią zmienić nastrój.

Mercedes lubi jadać sama w kuchni. Czyta miesięczniki i sprawdza, czy

w skrzynce nie ma pocztówek z Hiszpanii – nigdy nie przychodzą. Każdego ranka kupuje gazety, karmę dla psów i kwiaty, a wcześniej, w kawiarni, popija filiżanką kawy dwa herbatniki przyniesione w torebce i przegląda nekrologi w dzienniku. Cieszy się, że nigdy nie trafia na swoje imię. W Paryżu nie ma żadnej innej Mercedes, więc w dniu, w którym je zobaczy, będzie wiedziała, że teraz już tylko jej duch pije bez płacenia kawę w Café de Flore i wędruje samotnie po mieście. Jeszcze bardziej samotnie. Drze paragony na maluteńkie skrawki i jak Blanche Dubois wierzy w uprzejmość nieznanym, bo dużo chodzi do kina, w każdy poniedziałek, i zapamiętuje dialogi. Akcja wszystkich jej ulubionych filmów toczy się w Paryżu. Lubi rozpoznawać na ekranie Montmartre, plac Pigalle, Moulin Rouge, plac des Vosges, Ogrody Luksemburskie, Operę, Luwr, łodzie na Sekwanie... A sprawia jej to przyjemność dlatego, że rzeczywistość zawsze ładniej wygląda na zdjęciach, tak jak we wspomnieniach. Wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do tego miasta. Choć przybycie do Paryża było przełomowym momentem w jej życiu, Mercedes pozostała taka sama. Oczywiście zwiedziła go już w całości, ale z każdym nowym krokiem, czy to w szerokich alejach, czy wąskich uliczkach, na nowo czuje się wolna, a także – w jakimś sensie – osierocona. Podoba jej się to. Kupuje pocztówki i ogląda francuskie filmy. W ten sposób przywołuje wszystko, czego sama nigdy nie przeżyła. Pozostaje żoną mężczyzny, który został w Grenoble, pal licho w jakich okolicznościach. A zdjęcie ślubne nadal wisi na ścianie w salonie, tyle że twarz tego przystojnego, postawnego i eleganckiego mężczyzny zasłania zegarek kieszonkowy przyczepiony do ramki.

Jedynym mężczyzną, z którym rozmawia, jest Dominique Brulé, kwiaciarz.

Czasem, kiedy pyta ją o przeszłość, odpowiada, że jest Hiszpanką pozbawioną pamięci, że tak jak wielu innych poczuła się w obowiązku ją stracić. Że pamięta tylko numer telefonu domowego z dzieciństwa i kod do domofonu w Paryżu. „Wystarczy!” Żartuje z tortilli francuskiej, że wcale nie jest francuska, lubi malować paznokcie w piątek po obiedzie i zawsze nastawia telewizor bardzo cichutko, żeby móc przespać sjęstę z psem zwiniętym w nogach. Chodzi na mszę. Ale nie słucha. Lubi to, bo msza przypomina jej o babci i wiosce, w której się urodziła – kiedy była mała, podawała dalej wiklinowy koszyk, żeby starszki wrzuciły monety na ofiarę. Mercedes pali nerwowo, odkąd uciekła od tamtej kobiety w niedopiętej bluzce i mężczyzny, który nie odrywał od niej wzroku, a teraz, kiedy coraz częściej widzi, że młodzi używają tytoniu do skręcania, kusi ją, żeby pójść w ich ślady, bo pamięta z dzieciństwa, jak ojciec sam robił papierosy smukłymi palcami, profesjonalnie niczym hawanka z wytwórni cygar, idealnie. Mercedes jest szczęśliwa, ale często denerwuje się, że nie przychodzą żadne listy, i dlatego potrzebowała dziś nagietków.

– Potrafią zmienić nastrój, pani Mercedes.

– Co pan wie, panie Dominique'u!

– Wiem dużo różnych rzeczy, na przykład że nie zjadła dziś pani ciastek do kawy i że niedługo przyjdą deszcze.

– Dopiero początek września... To jedyne, do czego chyba nigdy nie zdołam się tu przyzwyczaić. Wiele bym dała za słońce w kolorze owoców pigwy, takie jak w domu.

– Nostalgia?

– Czasem ogarnia mnie melancholia, ale od razu ją przeganiem. Smutek jest jak stary mebel, nie ma żadnej wartości. Chybcze się. Nocą trzeszczy i nie tylko nie przynosi pożytku, ale jeszcze ściąga pluskwy.

– To mi się podoba.

– Tak pięknie tu dziś pachnie! – zmieniła temat. – Jakieś nowe kwiaty?

Mercedes siada na swoim miejscu i kładzie torebkę na kolanach. Zawsze czeka na tym niebieskim krześle, aż Dominique przygotuje dla niej bukiet.

– A tak swoją drogą...

– Tak?

– Skąd pan wiedział, że nie byłam dziś jeszcze w kawiarni?

– Jestem detektywem.

– Proszę się ze mną nie droczyć... Wystarczy, że wezmę te stokrotki, co to pan mówi, że poprawiają nastrój...

– Nagietki.

– Słusznie. Nagietki. A tak naprawdę, mówiąc między nami, jeśli chcę poprawić sobie humor, wypijam po przyjściu do domu kieliszeczek białego wina i od razu mam humorek. Mówię, jak jest. Nie jestem z tych, co nie umieją się zabawić.

Mercedes skłamała. Choć rzeczywiście trzyma w spiżarce alkohol „do gotowania i duszenia”. I często, częściej, niż powinna, nalewa sobie kieliszek, żeby zdusić niechciane uczucia.

Czasem myślała, że Dominique to wariat, bawiący się nie tylko kwiatami, lecz także uczuciami swoich klientów. Nie bez powodu przepuszczała przed sobą stałych bywalców, żeby zobaczyć, jak ich traktuje i jak przekonuje, które kwiaty powinni wybrać, bardziej jak prestidigitator niż kwiaciarz. Z początku sądziła, że po prostu chce się pozbyć roślin sezonowych i tych zaczynających już więdnąć, ale nie miała racji. Dominique Brulé był świadkiem miłości uzyskanych i utraconych, podbojów i pożegnań, prezentów i niespodzianek. Czy kwiaty i serce rzeczywiście tak wiele łączy? Mówi się, że kwiaty towarzyszą nam od dnia narodzin. I zostają z nami przez całe życie, nieprzerwanie, aż do samego końca.

– Wezmę może te...

– Oczywiście. Proszę wziąć dalie. A jeśli pani pozwoli, sam napiszę liścik.

– Bo właśnie nie wiem, co napisać...

– Urodziny? Już drugie?

- Pamięta pan, jak mówiłam, że...
- Ależ oczywiście! Proszę mi zaufać. Ma pani ochotę na cukierka? Proszę się poczęstować, tam stoi miska, a ja tymczasem przygotowuję bukiet.
- Taki pan miły, wykształcony...
- I tu się pani myli, tu się pani myli... Jestem po prostu tłumaczem kwiatów.
- W takim razie niech pan przetłumaczy, co chcą mi powiedzieć...
- Spodobają mu się. Spodobają.
- Tak?
- Pani też mu się podoba... Proszę mi wierzyć.

Kiedy za klientką zamknęły się drzwi, doña Mercedes uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Flirciarz. Podręcznikowy przykład lizusa.
- Bzdura. To piękna dziewczyna i dziś ktoś powinien jej to powiedzieć. Dziś ktoś jej powie, że ją kocha.

W dniu ślubu młody Brigitte postanowił wypełnić kaplicę w Saint-Germain białymi goździkami. „Nie wykosztowuj się już bardziej” – powiedział. Młodzi pojechali w podróż poślubną, porobili zdjęcia i wykąпали się w wodach Morza Karaibskiego, bo zawsze marzyła o tym, żeby rysować serca na białym piasku, zbierać korale i nurkować wśród żółwi i rekinów. Goździki stanowiły jedyny prosty i niewyszukany element bizantyjskiego wesela państwa Bannaleców. Trafił w dziesiątkę. Dwa miesiące później małżeństwo się rozpadło, bo objęcia nie dosięgnęły serca. Albo – inaczej to ujmując – bo miłość to coś więcej niż objęcia. Słusznie więc postawił na umiar w kwestii kwiatów.

Od pierwszego dnia, gdy wszedł do tego starego warsztatu numizmatycznego przerobionego na kwiaciarnię, Dominique postawił sobie za cel uszczęśliwianie ludzi. Jeśli jemu szczęście nie było dane, niech będzie dane innym. A w swoim instynktownym zrozumieniu tego wszystkiego, co przydarza nam się w życiu, zachowywał niemal zegarmistrzowską precyzję.

- No dobrze, drogi detektywie, skąd pan wie, że nie wstąpiłam na śniadanie... Że po drodze nie wstąpiłam jak zwykle do bistra.
- Zauważyłem to od razu.
- ...?
- Kiedy tylko pani weszła i położyła torebkę...
- Nadal nie rozumiem.
- Cóż... Coś w środku zachrupało.
- Mój Boże! W ogóle nie pomyślałam. Teraz mam na pewno w środku pełno okruchów. Tak to jest, jak się myśli o niebieskich migdałach...

Opróżniła zawartość torebki na ladę, a tymczasem Dominique zabrał się do porządkowania dali zdobiących wystawę.

Mieszkanie doñi Mercedes to istne muzeum tanich antyków, które wynajduje

na targu ze starociami przy Saint-Paul. Ognisko domowe buduje się na przedmiotach i przedmiocikach. A ona wciąż się obawia, że każdy, kto odwiedza jej mieszkanie przy rue Visconti – a rzadko się to zdarza – od razu widzi, że lokatorka nie ma przeszłości. Kupuje więc portrety obcych ludzi na targu Marché des Enfants Rouges i wymyśla im biografie, żeby mieć jakieś towarzystwo. Zbiera zepsute, połamane lalki i szyje im nowe ubranka ze starych sukni. Ma niemiecki zegar z parą baletników tańczących o każdej pełnej godzinie. Twierdzi, że to po dziadku. „To wielkie, nadprzyrodzone szczęście, że udało mi się zachować tyle drobiazgow” – mawia, bo jak również twierdzi, podczas wojny jej rodzinę wygnano z pałacowej niemal rezydencji nieopodal Oviedo, otoczonej łąką pełną pasących się krów, i musieli zadowolić się gorszymi mieszkaniami w mieście. Całe szczęście, że nadal miała „te drobiazgi”. Ponieważ należy do rannych ptaszków, już od samego rana rusza na łowy, wypatrując na stoiskach prawdziwe skarby, dzięki którym za jedyne cztery euro może uchodzić za fantastycznie bogatą damę. Po południu przegląda jeszcze raz swoje zdobycze i z lubością odkrywa przeznaczenie każdego przedmiotu. Nie mówiąc już o tym, że wprost fascynują ją popielniczki zdobione pejzazami i kwiatami.

Dominique dobrze o tym wiedział. I zawsze obdarowywał ją kwiatami.

– Boże święty! Całą podszewkę mam pełną okruszków z ciastek, będę musiała opróżnić wszyściutkie kieszenie... A potem, co gorsza, zanieść torebkę do pralni, bo to maślane herbatniki, takie jak sprzedają w metalowych puszkach, i teraz wszystko mam w tłuszczu i cukrze. O ja głupia, bezmyślna... – powtarzała bez przerwy, jednocześnie tłumacząc stare plamy na torebce, przywodzące na myśl mapę ze szkolnego atlasu, z wyspami i półwyspami.

Dominique zaoferował swój składzik środków czystości na ratunek jedwabnej kartografii, w zamian prosząc Mercedes, by wypisała ładnym, kobiecym charakterem pisma (tak to ujął) kartkę, którą chciał powiesić w witrynie. Doña Mercedes przystała na to oczywiście bez wahania, licząc na więcej rozmów. On więc szorował i pocierał, a ona pisała:

ZATRUDNIĘ POMOC DO KWIACIARNI

SZCZEGÓŁY NA MIEJSCU

NAZYWAM SIĘ DOMINIQUE BRULÉ

PS MILE WIDZIANE IMIĘ POCHODZĄCE OD NAZWY KWIATU

1

Następnego dnia doña Mercedes siedziała u Tilde z kartami w dłoni, gotowa do partyjki *brisca*. Można powiedzieć, drogi czytelniku, że to jedyna tradycja, jaką kultywują hiszpańscy imigranci w Paryżu. Woń żadnych perfum nie utrzymuje się dłużej niż zapach kawy, a żadne wspomnienie nie przetrwa próby czasu. Wszystko przemija. Kwiaty tracą zapach, a fotografie – ostrość barw. Tymczasem najdrobniejsze zwyczaje zachowują siłę, jako ostatnie, czego można się chwycić. Emigranci nigdzie nie czują się dobrze: dostosowują się, szukają, zderzają ze sobą, wymyślają na nowo, ale pozostają im tylko wyblakłe wspomnienia. Jakże zawodna jest pamięć!

Dla każdej po trzy karty i po dużej filiżance kawy. Wiedziała, dlaczego tam poszła. Odkryto przed nią nowy powód, by żyć. Od niemal dwóch lat nic się im nie przydarzyło. Ostatnimi czasy ich życie wypełniała pustka. W końcu zaczęły tęsknić do niewidzialnych mężów, bo kiedy nie ma się nikogo, potrzeba choćby przeciwnika, jak w partii kart. Na zmianę ciągnęły z talii, aż wystygła im kawa.

Wygrała Tilde.

Mercedes się zamyśliła.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakby coś cię bolało.

– Nie... Nie, wszystko w porządku. Przynajmniej tak mi się wydaje. Bo jak pójdziesz do lekarza, to na pewno coś znajdzie. Dlatego nie chodzę. Wolę spacerować.

– A co ma lekarz do spacerów? – zapytała zaskoczona.

Tilde uważała, że dzięki Mercedes czuje się lepiej, bo ta była od niej jeszcze bardziej szalona i jeszcze bardziej samotna. A szalone i samotne (lub *vice versa*) dobrze się dogadują, traktują się delikatnie. One odgrywały szacowne starsze panie, przyjaciółki, a rywalki tylko w grze.

– Przyniosę ci ibuprofen.

– Aj, nie! Lepiej paracetamol. Tamto podobno strasznie szkodzi.

– Mnie tam wszystko jedno. Jak chcesz, to sobie wierz, że którejś z nas może zaszkodzić jakaś mała tabletką, skoro tyle ich już w sobie pakujemy... Żadna z nas nie jest hipiską, chemia nam niestraszna.

– To daj mi najpierw omeprazol.

– Już. Podlicz mnie. Co ci jest?

Czasem gdy chcemy coś powiedzieć, nie udaje nam się wyrazić tego, o co nam chodzi, a kiedy inni próbują pomóc nam wydobyć to, co leży nam na sercu, całą przygotowaną mowę, zacinamy się jeszcze bardziej i nie potrafimy zacząć od nowa. Żeby dotrzeć do sedna, do obranego celu, potrzebny jest nieraz długi objazd, zwłaszcza po sześćdziesiątce. I tak działo się czasami w przypadku dwóch przyjaciółek, Mercedes i Tilde.

Zapięcie guzika swetra sygnalizowało zainteresowanie tym, co miało zostać opowiedziane. Trochę jak w niektórych scenach *Domu Bernardy Alba*, ale bez całej dramaturgii, bez czerni i pozamykanych okien. Te dwie kobiety żyły zwrócone twarzą ku słońcu i ku ulicom, w całej dzielnicy komentowano ich przyjaźń i to, jak często stawały nagle obie na chodniku, niemal jak wryte, i jednocześnie wybuchały śmiechem. Wigoru dodawały im nowinki, niespodzianki, młodość innych. Tilde miała wyższą emeryturę niż Mercedes, ale ta radziła sobie świetnie, wręcz genialnie. Z resztek materiału szyła kołnierzyki, które przymocowywała agrafkami do swetra albo płaszcza, co sprawiało wrażenie, że ciągle ma na sobie coś nowego. Masz rację, jeśli myślisz, że nigdy nie mogła się rozebrać. Jej imponująca prezencja, drogi czytelniku, kazała wierzyć, że te kołnierzyki w groszki, paski, kwiatki czy rzucik ciągną się od szyi przez pierś aż po rękawy i pas. Otóż nie. Mercedes miała tylko „to, co widać”. Jak oka w głowie strzegła „tego, co widać”, i trzymała to w pierwszej szufladzie komody. W drugiej przechowywała pościel, a w trzeciej – ręczniki, haftowane i obrębione koronkami, którymi uzupełniła robótki pozostawione przez matkę.

Tak, Mercedes była uosobieniem delikatności. Elegancka, dystygowana i przytłaczająco czuła.

Tilde, bardziej żywa, zachowała subtelność wyniesioną ze szkół prowadzonych przez zakonnice, specyficzną mieszankę finezji i zołzowatości.

Obie zaś wybredne i godne powieści lub filmu, z tych najchętniej wybieranych przez Mercedes: francuskich i najlepiej z Catherine Deneuve w roli głównej.

Mercedes przyglądała się Tilde ze zmarszczonym czołem, jakby szukała odpowiednich słów, żeby zacząć. Poza tym, że w kuchni przerzuciła się z oliwy na masło, Hiszpanka niespecjalnie się zmieniła.

– Wydusisz to z siebie wreszcie?

– Wydaje mi się, że pan Dominique Brulé szuka żony – wyjąkała.

Tilde wybuchnęła śmiechem.

– No tak – stwierdziła Mercedes. – Wszyscy stwierdzą, że oszalał. Możesz w to uwierzyć?

– W co?

– W jego wieku...

– Raczej w naszym wieku.

*

Nie mogło być inaczej: pierwsza dziewczyna, która weszła do kwaciarni, oznajmiła, że ma na imię jak kwiat. Normalna, elegancka dziewczyna, ubrana tak samo jak inne w dzielnicy. Ostatnimi czasy można było odnieść wrażenie, że wszystkie zeszły na ulicę z jednej wystawy sklepowej i niełatwo przychodziło je odróżnić. Dyktat powszechnie dostępnej mody i kolorowych magazynów

przemienił chodniki w wybiegi pełne identycznych dziewczyn, które w niewyjaśniony sposób omijały latarnie i inne przeszkody, jednocześnie nie odrywając wzroku i palców od ekranów telefonów. „Starzeję się – pomyślał Dominique. – A wcale tego nie chcę”.

*

– Ale myślisz, że chodzi o miłość czy o towarzystwo?

– A co to za różnica, Tilde?

*

Mój plan na życie od śmierci Julie zakładał, że będę szczęśliwy za nas dwoje. Próbowałem. Ona nie opuściłaby gardy. Płacz wydawał mi się nie na miejscu, bo w niej nie było smutku. Tylko pęd, śmiech, zuchwałość, szaleństwo... Życie. Nigdy nie pozwoliłaby go zmarnować na żalobę, ból, czarną rozpacz. I to właśnie tak mi się spodobało w miejscu wybranym przez jej rodziców na ostatnie pożegnanie. Dom pogrzebowy, gdzie sześć rodzin jednocześnie żegnało się z bliskimi, tłum znajomych i nieznanym, mniej lub bardziej wystrojonych na tę ponurą okazję. Ja, pan młody Dominique, zniknąłem na krzesła, które postawili mi przed dzielącą ją ode mnie szybą. Czułem odrętwienie, nic nie mówiłem. I tam, wśród odgłosów pocałunków w policzki, poklepywania po ramieniu i trzasku drzwi, otwieranych i zamykanych przez kolejnych gości, powiedziałem sobie: nie. Przytłoczony ogromem tragedii nawet nie zapłakałem, nie mogłem jeść, nie mogłem się ruszać. Bezwładny jak ona, lustrzane odbicie jej odejścia do „lepszego świata”, jak powtarzała za księdzem moja matka. Do lepszego życia. Tak mówiła. Lepsze życie. Jakby to, co dzieliliśmy, było złe. Odrzucałem tak absurdalną, irracjonalną i nielogiczną pociechę. Choć przeżyłem wielki wstrząs. Młody chłopak, świeżo po ślubie, szczęśliwy, spragniony życia...

Życia z nią.

Jak mówiłaś? Gdziekolwiek, byle z tobą.

Musiałem schronić się w jej zamkniętych oczach, świadom, że już nigdy ich nie otworzy. I, co gorsza, odbijać się w szybie, w ponurej grze luster życia i śmierci wywołanej przez tę mieszankę wciąż wchodzących i wychodzących aktorów i widzów. Wspominałem cię w tamtym domku w górach, dokąd pojechaliśmy pierwszy raz jak do wyższej krainy, leśnej oazy spokoju w samym środku Pirenejów, pojechaliśmy po miłość. „Chcę, żeby to była nasza pierwsza podróż jako pary” – mówiłaś. Wszystko pokrył śnieg – to zupełnie inny chłód niż ten, który odczuwam teraz – i przez dwa dni nie wychodziliśmy z chaty, skończyły się drwa do kominka, więc tuliliśmy się z całej siły pod kocami przy dogasającym węglu... To był znak. Jakby ostrzegali mnie, że to nie z naszej winy zabraknie ciepła. Wyglądałaś tak pięknie, pogrążona w głębokim śnie, przypominałaś *Ofelię* Millaisa.

Ktoś wszedł do sali numer pięć domu pogrzebowego i oznajmił: „To

wszystko zły sen”.

Przyniósł kwiaty. „Piwonie, jej ulubione” – powiedział.

A ja nie wiedziałem, co to piwonie, bo do tej pory jedyny zapach, jaki mi się podobał, to zapach mojej ukochanej. Jej perfumy. Nie znałem się na kwiatach. „Jeszcze jeden bukiet piwonii”. „Połóż je tutaj” – mówiła jej matka kolejnym żałobnikom. „To jakiś koszmar” – powtarzali.

I tak pokój wypełniał się kwiatami. „Jeszcze więcej piwonii”.

Piwonie.

Piwonie.

Piwonie.

Wszyscy wiedzieli, że piwonie to jej ulubione kwiaty, oprócz mnie. Wszyscy przynieśli jej kwiaty, wszyscy.

Wszyscy wiedzieli – oprócz mnie.

Czego nie dowiadujemy się o tych, których kochamy? Co gubi się gdzieś po drodze? Czego nigdy sobie nie mówimy? Piwonie. Właśnie tego. Nasze szczęście było tak wielkie, że teraz zostały mi po nim tylko te wszystkie piwonie. Pospolite, proste i okrutnie piękne. To kwiat szczęśliwych małżeństw. Dwunastej rocznicy ślubu. Kwitnący dokładnie w miesiącu twojego odejścia. Pajeon, lekarz bogów z *Iliady*, zamienił się w kwiat piwonii, żeby uniknąć śmierci. Wszystkie te bajki opowiadał mi półgłosem twój brat i jak dobrze mi one wtedy robiły, razem z rozwodnioną kawą z automatu przy wejściu do zakładu pogrzebowego... I pomyślałem sobie – przerażająca wizja – że ty też zamieniałaś się w piwonie, żeby nie musieć odchodzić. To przeoczenie, które zaczynało mnie dusić, miało stać się moim jedynym zbawieniem: od tej pory zawsze będę się otaczał piwoniami. Dbać o nie tak, jak nie mogłem już zadbać o ciebie.

– No dobrze, to nie jest najlepszy weekend naszego życia – przyznała – ale pobiliśmy właśnie rekord w kategorii najdłuższego przytulania w historii. Ile godzin tak leżymy? Taka okazja już się raczej nie powtórzy... Trzeba szukać dobrych stron tej sytuacji.

– W porządku – odparłem. – Przyjmijmy za cel pobicie tego rekordu. Musisz zawsze wybierać domy bez ogrzewania, żebyśmy mogli nie wychodzić spod koca.

– Ucięłam sobie chyba niezłą drzemkę, nie boli cię ramię?

Bolało.

– Nic a nic.

– Wygląda, jakby zdrętwiało...

– Moje ramię? Też coś! Moje ramię nigdy nie drętwieje. Zapytaj je sama. No dalej, zapytaj i sama się przekonasz.

Julie uśmiechnęła się szelmowsko. Dobrze wiedziała, że próbuję rozruszać rękę po dobrych kilku godzinach podtrzymywania jej głowy na swojej piersi. Choćbym odrąbał sobie teraz ramię siekierą, nie uroniłoby nawet kropli krwi.

Miałem nawet zaproponować jej, żeby mnie ugryzła, ale zamiast tego wstałem z łóżka i upadłem przed nią na kolana z wyciągniętą ręką, a ona wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś pewny?

– Moje ramię należy do ciebie.

– O wielu rzeczach słyszałam, ale nie spodziewałam się, że ktoś ofiaruje mi ramię jako dowód miłości – stwierdziła i wystawiła język. – To bardzo hojna oferta, ale jak założysz mi obrączkę, jeśli oddasz mi swoją rękę? Wyobraź sobie tylko tę scenę! Kościół, rodzice, krewni, chór, goście... A tu ja z twoim ramieniem w ręku. Przepraszam, może pan potrzymać? I ksiądz zawoła ministranta, który podejdzie z obrzydzeniem i będzie musiał wziąć twoje ramię ze srebrną obrączką na palcu... Oczywiście odmówi, przyjdzie zakonnica i zakryje je serwetką... Brr!

– Rozumiem więc, że dama odmawia mojego ramienia?

– Owszem, odmawia. Zostaw je sobie.

– A ty co mi dasz? – zapytałem cię.

Zapadła ta cudowna cisza między zakochanymi, którzy dobrze znają pytanie i odpowiedź.

Raz...

Dwa...

Trzy...

– Swoje serce – odparłaś.

A ja wybrałem najgorszą odpowiedź, na jaką mógłby zdecydować się ktoś tak beznadziejnie zakochany jak ja:

– Jeśli oddasz mi serce, umrzesz.

Spojrzałem na ciebie i zmieniłaś zdanie.

– To może lepiej buziaka?

Dziś, gdy siedzę przed twoim ciałem, czuję, że trzymam w dłoniach serce rozpadające się na płatki piwonii.

– Co teraz zrobisz, Dominique'u?

Twojej matce zawsze świetnie wychodziło pytanie o oczywistości. Potrząsnąłem głową. Nie rozplakałem się. Wziąłem głęboki wdech, wyprostowałem plecy i odparłem: „Nie wiem”.

Potem już o nic nie pytała. Jak zwykle się nie liczyłem. Nie potrafiłem nic z tym zrobić. Poczułem dziwną ulgę. Przez jej twarz przemknął cień zaskoczenia, ale zaraz zaczęła rozmawiać z jakimś nieznanym, który przysunął sobie krzesło. Mimo to nadal słyszałem głośne bicie swojego serca, wymuszone uderzenia. Mechaniczne. Powolne. Wręcz irytujące. Nigdy nie spodziewałem się, że nadejdzie dzień, gdy będę słyszał bicie tylko jednego serca – swojego. Wiedziałem jednak, że nie powinienem cię opłakiwać, bo czułem, że figlarnie puszczasz do mnie oko zza szyby.

Narrator nie miał już nic do dodania, bo wyobraził sobie tę scenę dokładnie tak, jak opisał ją bohater. Poczul bliski dreszcz i zapragnął go przytulić.

*

Od dnia twojej śmierci zaczęli zachowywać się tak, jakbym nagle, w jednej chwili, stał się im zupełnie obcy. Zauważyłem, że przecięli wszelkie łączące nas więzy.

Znajomi namawiali twoich rodziców, żeby gdzieś wyjechali, „nie zostawiali zamknięci w czterech ścianach” – to miało sprawić, że ból stanie się „bardziej znośny”. Bardziej znośny ból? A co to takiego? Dokąd można wyjechać, żeby uciec przed bólem? Na którym dworcu sprzedają bilety? Krewni sypali truizmami jak z rękawa:

- Tak będzie najlepiej.
- Powinniście to zrobić.
- Choroba już i tak odcisnęła na was piętno.
- Nie powinniście dłużej pograżać się w żałobie.
- Wystarczy.
- Nic już nie możecie zrobić.
- Wasza córka chciałaby...

„Pomyślę o tym jutro” – powiedziałem, próbując uciec od bólu w spontaniczną prokrastynację, tak jakby odłożenie płaczu na następny dzień mogło mi w jakimkolwiek stopniu pomóc.

W tej chwili matka Julie zamilkła, a choć spodziewałem się błogosławieństwa czy chociaż dobrego słowa, czekał mnie tylko widok gruzłów na jej mocno zaciśniętych szczękach. Owinęła się szczelniej żakietem, wtuliła w jego poły i w końcu nieśmiało zaproponowała mi pomoc, gdybym jej potrzebował. Potem wstała, poklepała mnie po kolanie i podeszła do pozostałych członków rodziny, zajętych przywoływaniem półgłosem wspólnych wspomnień.

Ja byłem sam. Zostałem zupełnie sam. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Pokonałem kilka metrów do drzwi, idąc szpalerem z dziesiątków bukietów piwonii, i wyszedłem na zewnątrz. Już w progu puściłem do ciebie oko, tak by nikt nie zauważył. Znów poczułem, jakby twoje serce rozpadało się w moich dłoniach na płatki.

„Kocham cię” – powiedziałem wyraźnie.

*

„Wycalowałem już wszystkich krewnych” – pomyślał Dominique Brulé, rozpoznając niektóre spośród twarzy, których właściciele gestykulowali jak w niemym filmie. „Powinienem już stąd iść... Jestem piątym kołem u wozu, nie należę już do rodziny. Moja obecność to niepotrzebny element układanki”.

Próbował sobie wmówić, że to dlatego wyszedł z domu pogrzebowego, choć brzmiało to raczej jak wymówka niż rzetelny argument. Nikt nie potrafi poradzić

sobie z bólem po pierwszej stracie, a w jego przypadku debiut dotyczył najważniejszej osoby jego życia: jej.

I w takich właśnie okolicznościach znalazł się Dominique, dwudziestoparoletni chłopak z wielodniowym zarostem. Popatrzył na żałobników i pomyślał: „No dobra, wystarczy, do widzenia. Mnie zależało tylko na Julie, a dla was zawsze byłem obcy, teraz pewnie jeszcze bardziej niż przedtem”, a potem ruszył dalej krokiem linoskoczka, który polega tylko na własnych stopach, żeby dostać się na drugi koniec przepaści. Do bezpiecznego miejsca. Bezbronność na kilka sekund spętała mu nogi, ale w końcu siła samotności przywróciła go do życia. Zaczął iść. Dominique ekwilibrysta uciekał od bólu.

„Czy robię to, co należy?” – zastanawiał się, gdy mijał ostatni bukiet piwonii i zalała go fala szczęśliwych wspomnień.

„Muszę zawsze patrzeć przed siebie, jakby mogła pojawić się w najmniej oczekiwanym momencie – myślał. – Będę żył tak, jakby Julie wyjechała w daleką podróż, i chcę czekać na nią z jednym jasnym celem: znowu ją pocałować. Przemina dni, tygodnie i lata, zestarzeję się, ale zawsze – gdy będę bez niej spędzał święta czy samotnie spacerował po ulicach, kiedy usiądę przed ogniem trzaskającym w kominku – będę pamiętał, co robię. Czekam. A gdy ten dzień już nadejdzie, chcę powitać ją z uśmiechem. Nie dopuszczę do tego, żeby zaskoczył ją widok przygnębionego, wypalonego starca, który jakoś dociągnął do końca”.

Dominique szedł przed siebie, nieobecny, mijany przez taksówki, głodny, rozmarzony i z głową pełną aromatycznego, ale też osobliwego zapachu piwonii.

Każdej zimy piwonie znikają i każdej wiosny pojawiają się na nowo.

Picie pomaga. Dużo wtedy pił. Sądząc po tym, jak opierał się o bar, można by uznać, że na kogoś czeka. Na nią. Nigdy jednak nie upijał się aż tak, żeby wyobrazić sobie spotkanie z nią. Mimo wszystko czekał na to jak głupi. Szukał właśnie następnej knajpy, kiedy zdarzyło się coś niezwykłego: zobaczył chłopca, który pisał „Kocham cię” na starych drzwiach do opuszczonego warsztatu numizmatycznego w Saint-Germain. Na widok Dominique’a maluch wystraszył się, że ktoś go przyłapał, i z piłką pod pachą rzucił się do ucieczki, gubiąc po drodze kawałek gipsu, którym pisał. Nie zdążył nawet domknąć narysowanego serca.

„Julie” – pomyślał. Podszedł i podniósł kredę. W tej samej chwili jakaś staruszka wytknęła głowę przez kraty w oknie sutereny i zaczęła krzyczeć, jakby schwytała rzeźmieszkę:

- Wstydu nie ma? Tak mazać po ścianie?
- Przepraszam... Chciałem...
- Wynocha! – wrzasnęła kobieta.

W tej chwili stało się tylko to, co musiało się stać. W półmroku bólu nawet najlżejszy promień światła może zamienić pomieszczenie w kwiaciarnię. Staruszka

nosiła masę pierścionków, bo – jak mówiła – wolała wszystko mieć przy sobie: dzięki temu nie musiała zamykać drzwi na wszystkie spusty, kiedy wychodziła z domu. Gdy zaprosiła Dominique’a do środka, grała właśnie w chińczyka. Sama poruszała się pionkami wszystkich graczy, bo postanowiła pożreć siebie samą, za każdym razem wygrywać i przegrywać. Jakby miała więcej żyć.

– Nie rozumiesz, młody?

– Ale to chyba trochę nudne...

– Ha! Nie, nie, nie. Nuda to dopiero by była, jakbym musiała wytrzymać z trzema takimi starymi jak ja, co to myślę się przy liczeniu i co dwie minuty wstają od stołu, żeby iść się wysikać. A tak to jestem sobie we własnym domu, gram sama ze sobą, dobrze liczę oczka i wygrywam.

– Albo pani przegrywa...

– Z kim? Gram sama.

– Tak, ale – Dominique podjął absurdalną próbę wytłumaczenia, o co mu chodzi – skoro gra pani też innymi kolorami, to trzy z czterech zawsze przegrywają...

– Ale to ja wygrywam. Głupiś czy co? Nikt mi przecież nie każe wybierać przegranego koloru.

Potem przedstawiła się jako Paulina i oznajmiła, że ma dziewięćdziesiąt lat, a gdyby sąsiad nie zalewał jej mieszkania, pozostawałaby w wyśmienitym zdrowiu. Jakby jedno z drugim miało cokolwiek wspólnego.

– Skaranie boskie z tym z góry! Już tyle lat nie naprawił tego przecieku...
Widzisz?

Oboje spojrzeli na sufit.

– Tak. To kółko koło lampy?

– Tak jest bez przerwy, nie rośnie ani nie znika. Jakby ta przeklęta plama mnie pilnowała. Ostatnio kropla wpadła mi prosto do kawy. Pomyślałam sobie, że jeśli jeszcze jedna trafi do tego samego celu, to zmienię się we wróżkę z bajki.

– I co?

– Ech, kawalerze... Widzisz, żebym miała skrzydła?

Zaczęła śmiać się do rozpuku, a Dominique myślał sobie, jaki z niego żalony typ, że nawet dziewięćdziesięcioletnia wariatka w butach na obcasie i upierścieniona jak Cyganka jest od niego bystrzejsza.

– Wyglądałabym tak, jakbym była wróżką? Jestem taka jak zawsze, ani nie skapnęło już więcej wody z sufitu, ani nie wyrosły mi skrzydła na plecach. To zresztą jakiś obłęd: wyobraź sobie, jak niewygodnie siedziałoby się na krześle, a spać musiałabym zawsze na brzuchu, tak jak wtedy, kiedy operowali mi siatkówkę. Odwarstwiała mi się, wiesz? Kazali mi siedzieć po ciemku i tak już zostało. W końcu przyzwyczaiałam się, że mam tu mało światła, i już nawet nie zapalam lamp... Kiedy zapada zmrok, po prostu idę spać. Mam dobry sen.

A kawaler dobrze sypia? Nie wygląda najlepiej...

– Ja?

– Pewnie, że tak. A jest tu kto inny?

„Plama nad naszymi głowami zdaje się rosnać” – pomyślał Dominique, jakby symbolizowała tę czarną chmurę przeznaczenia, która prześladowała go od kilku dni. Z zamyślenia wyrwał go głośny gwizd kawiarki.

– Przypominasz mi mojego męża.

– To on jest na tym zdjęciu?

– Antoine. O, ten tu żołnierz. Dobry i na czas wojny, i pokoju. Porządny człowiek. Wpadł pod samochód. Potracił go w drodze z kiosku do domu. Od tamtej pory zawsze czuję się dziwnie, kiedy widzę, jak ktoś kupuje gazetę. Ogarnia mnie wtedy taki smutek... Nigdy nie interesowałam się wiadomościami, bo zawsze podają tylko te złe. On też tak mówił: „Piszą o tym, co najgorsze, wszyscy tylko giną i się zabijają”. Racja. A Antoine był moją ostatnią wiadomością.

Na te słowa wszyscy zamilkli, a cisza zdawała się nie mieć końca. Wszyscy, czyli Dominique i kawiarka, która przestała wreszcie syczeć.

– Napijesz się? Powiedz no mi... – Nadal milczał. – No dobrze – stwierdziła Paulina i nałapała sobie kawy do filiżanki, wyszczerbionej, ale z wciąż widocznymi złoceniami, pamiętającymi lepsze czasy. – Powinam zmyć ci głowę za bazgranie po drzwiach starego sklepu, ale wyglądasz mi jeszcze na dziecko, a skoro jestem wróżką, której nie wyrosły skrzydła, to powiem ci tak: możesz go sobie wziąć.

– Ale pani Paulino... – zaprotestował Dominique. – Pytałem tylko, czy jest na sprzedaż albo do wynajęcia.

– Mnie tam wszystko jedno. Jestem staruszką, co gra w chińczyka i zawsze wygrywa.

– To prawda.

– No więc jako stara kobieta, która zawsze wygrywa, chciałabym, żebyś znów go otworzył, omiół ściany z pajęczyn, odmalował i na nowo wprawił w bicie serce tego budynku. Dzięki tobie może nawet zniknie ta ciemna chmura, która wisi mi nad głową...

– Ale nie mogę przyjąć...

– Pewnie, że możesz. Umiesz przebiec przez pole na bosaka? A to jest jeszcze prostsze. Nieważne, czerwony, zielony, żółty czy niebieski, i tak wygram. Antoine wiązał wielkie nadzieje ze swoim sklepikiem, chociaż powtarzałam mu, że nie będzie miał klientów, że nikt nie kupuje starych znaczków i monet... Ale on uparł się, żeby żyć ze swojej pasji. A życie... Życie nigdy się nie kończy.

Dominique niemal bezgłośnie powtórzył ostatnie zdanie Pauliny.

– Tak, Dominique’u, życie nigdy się nie kończy. Toczy się dalej, nawet bez nas. To tak jak z kwiatami: kiedy jeden bukiet zwiędnie, możemy zastąpić go kolejnym. I tak zawsze, bez końca...

Wybuchnąłem płaczem tak rzewnym jak jeszcze nigdy w życiu, jakby kamień ciężący mi w piersi od chwili wyjścia z czuwania przy Julie właśnie teraz spadł mi z serca. W tym ciemnym, ale szczęśliwym domu poczułem się znów jak dziecko, które biegało z nią boszo po polu. Ze zduszonego bólu, uwięzionego w sali numer pięć zakładu pogrzebowego, wypłynął nieprzerwany potok łez.

– W końcu wyrosną mi skrzydła, Dominique’u... To wszystko leci do kawy. Po tylu latach...

Przytuliłem nieznajomą jak własną babcię – chciałbym, żeby nią była – zupełnie ignorując dzielący nas dystans. Szczupłe, kościste ramiona objęły mnie mocno niczym gałęzie migdałowca. Poczułem się jak w świąteczny poranek: doznałem nie zaskoczenia, nie radości, ale szczęścia rosnącego gdzieś za mostkiem, w miarę jak docierało do mnie, że to wyjątkowy dzień. Byłem znów jak małe dziecko, a ta obca kobieta ochroniła mnie przed wszystkimi problemami. Kazała mi wypuścić powietrze, które uwięzło mi w gardle, a ja tylko pokiwałem głową, bo nie mogłem wydusić słowa. „Słyszysz? Oddychaj. Oddychaj. Wyrzuć z siebie wszystkie lęki i niepokoje”. I nagle w pełni uświadomiłem sobie ból po stracie Julie, ale także szczęście, którym stara Paulina wypełniała mnie niczym przetaczaną krwią.

Zmarła kilka dni później, tuż po tym, jak podpisaliśmy umowę o przekazaniu lokalu.

– Zawsze gdy chcesz być szczęśliwy, musisz po prostu taki być. Nie czekaj. Bądź.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

*

Bratek, kwiat jesieni. Po francusku *pensée*, czyli „myśl”.

Wielcy poeci wiązali bratki ze wspomnieniami. Jak głosi legenda, jeśli położy się ten kwiat na piersi kogoś, kto śpi, po przebudzeniu zakocha się w pierwszej ujranej osobie.

Dominique Brulé wszedł do wychodzącego na rozświetlony dziedziniec magazynku, gdzie trzymał bukiety gotowe do wysyłki. Czuł się podenerwowany, co rzadko mu się zdarzało, i zdecydował się pociągnąć łyk z butelki ukrytej pomiędzy szklanymi wazonami. Jednak w całym tym zdenerwowaniu zrodziło się też inne uczucie. To samo, co tamtego dnia: ciekawość.

– Masz na imię Violeta? Fiołek? – zapytał Brulé.

– Tak naprawdę nazywam się Maria Violeta Gadea. To chyba spełnia wymóg z oferty pracy wywieszanej w oknie.

– Owszem. Kiedy pisałem ogłoszenie, uznałem to za żart. Ale teraz widzę, że wcale nie – wyjąkał Dominique w odpowiedzi. – Lubię fiołki, to piękne kwiaty.

– Jestem z Madrytu, właśnie przyjechałam do Paryża.

– To ciekawe. Jesteś zainteresowana?

– To raczej potrzeba niż zainteresowanie.

– Potrzebujesz Paryża czy tej pracy?

– I tego, i tego.

– Wkrótce zaczną się deszcze i zatęsknisz za Madrytem. Tu wcale nie jest jak w filmach.

– Nie będę tęsknić, proszę mi wierzyć...

Pannę Gadeę zachwycała perspektywa przyjemnej pracy w tak uroczym miejscu. Kwiaty Dominique'a wydawały się obdarzone życiem. Wazony ozdobione gałązkami, skrzynie pełne wstążek do wiązania pojedynczych kwiatów, źródółko nawadniające świeżo ścięte gałązki wrzosu, a do tego zapalone świece i girlandy zwisające z drzwi i luster, w których w nieskończoność odbijała się feeria barw płatków.

– Ma pan jeszcze jakieś wymagania? – zapytała dziewczyna.

– Miałem jeszcze przynajmniej dwa, ale teraz nie pamiętam. Daj mi chwilę, zastanowię się, a na razie włożę te kwiatki do wody... Wiesz, jak się nazywają? Poznajesz je?

Dziewczyna zaniemówiła. W odpowiedzi otworzyła tylko szeroko oczy, uniosła brwi i pokręciła głową z rozdziawionymi ustami, pewna, że bezpowrotnie straciła szansę na posadę sprzedawczyni czy też pomocy kwiaciarza. Co ona mogła wiedzieć? Brulé był najwyraźniej stuknięty i przypominał dziecko we mgle, zagubiony w pierwszym stadium demencji. Wyglądał dobrze, ale przemieszczał się, jakby w ogóle nie poruszał stopami, a unosił się w powietrzu nad deskami podłogi, pomalowanymi na biało i wydeptanymi przez klientów. Czy można sobie wymarzyć lepszego szefa? A może okaże się starym zboczeńcem? Albo ekscentrykiem z dodatkowo pogłębionym na stare lata hoplem na punkcie kwiatów?

Narrator zadawał sobie te same pytania. Co więcej, przerwał na chwilę pisanie i wspomniawszy słowa Miguela Delibes: „Zawisło nagle przede mną widmo przyszłości, ta niewiadoma: «Co wydarzy się jutro?», która zakłócała najszcześniejsze chwile mojego życia”.

Żeby uniezależnić się od rodziców, Violeta wynajęła pokój w małej dziupli, zamieszkaną już przez dwie studentki. Stare mieszkanie o długich korytarzach sprawiało wrażenie lodowatego zimą i gorącego latem. Cóż, taka jest cena wolności. Na widok ogłoszenia Violeta uznała, że może szybko i wygodnie załatwić sobie sposób na pokrycie swojej części czynszu. Żadnych CV i długich rozmów kwalifikacyjnych, kursów doszkalających czy pracy za barem albo przy kasie w supermarkecie. Kwaciarnia! Udało jej się wyfrunąć – czy wręcz uciec – z domu dzięki oszczędnościom z dorywczych prac wakacyjnych, ale nie pociągnie długo, jeśli nie znajdzie sposobu, by nieco zasilić konto w banku.

– Violeto...

– Tak?

– Które z tych kwiatów poleciałabyś młodemu chłopakowi szukającemu prezentu?

Dominique oczekiwał szybkiej odpowiedzi, błyskawicznego, instynktownego wyboru spośród kwiatów umieszczonych w blaszanych wiadrach rozstawionych na podłodze: hortensji, dzwonków, dali, słoneczników, gladiolusów, cynii, astrów, tuberoz... Violeta jednak tylko na nie patrzyła.

Powtórzył swoje słowa.

– Nie wiesz?

– Nie, nie wiem.

– Nie możesz tak tego zostawić. Musisz dać mi odpowiedź.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Dominique otworzył drzwi doñi Mercedes, która weszła do kwaciarni, pochłonięta lekturą nekrologów w gazecie. Nie udało jej się ukryć zdumienia na widok dziewczyny zapatrzonej na kubły pełne kwiatów – czy to z roztargnieniem, czy z przesadnym skupieniem – ale nic nie powiedziała.

– Chyba wolałabym już zimę... Nie znoszę tego upału końca lata. Wpędzi mnie do grobu.

– Przesadza pani. W tym mieście może pani zapomnieć o wysokich temperaturach aż do następnego lata...

– Oho! Zmienił pan baterie w aparacie.

– Kupiłem od razu tego samego dnia, kiedy zwróciła mi pani uwagę. Nigdy nie mogę ich znaleźć w domu. A potem nagle pojawiają się ni z tego, ni z owego, dawno po terminie ważności. Mam to samo z herbatkami ziołowymi, nie wiem, po co je kupuję. Zawsze mija data przydatności do spożycia.

– Takie rzeczy nie mogą się przeterminować!

– To napary, nie nieśmiertelniki, doña Mercedes. Oczywiście, że mogą się

przeterminować. Wietrzeją, tracą smak.

Violeta podniosła wzrok znad kwiatów i odpowiedziała:

– Te – oznajmiła po długiej ciszy.

Można by uznać to za niewinność czy wręcz naiwność, ale nie. Była w niej, nawet w jej wzroku, jakaś słodycz i dojrzałość zarazem, które sprawiały, że wyglądała tu jak w swoim naturalnym środowisku. Jakby zawsze żyła wśród kwiatów. Podeszedł do niej i ucałował.

– Wybrałaś różowe dalie.

– ...

– Świetny wybór, młoda.

– Trafiłam? – odważyła się spytać mimo konsternacji, w jaką wprawił ją Dominique, kiedy ujął ją za ramiona i pocałował w czoło. Po chwili Violeta zrozumiała przyczynę trafności swojego wyboru, może przypadkowego, ale dla Dominique'a idealnego.

– „Postaram się zawsze cię uszczęśliwić”. To właśnie znaczą.

Doña Mercedes opierała się o ladę i z przesadnym zaangażowaniem markowała lekturę nekrologów, ale nie uroniła przy tym ani słowa z rozmowy. Usiadła.

– Jutro możesz przyjść o tej samej godzinie.

– Naprawdę? – zapytała Violeta.

Wizja pracy w kwiaciarni dodała jej skrzydeł. Kiwała potakująco głową, kiedy Dominique oprowadzał ją po lokalu i podawał godziny otwarcia i zamknięcia sklepu. Podziękowała mu po hiszpańsku i francusku.

– *Merci*, dziękuję, *merci*.

– Alstremerie. Teraz mamy je we wszystkich kolorach. To je najczęściej kupują młodzi i kto wie, pewnie wytrzymują dłużej niż ich miłość... Weź bukiet. Wybierz sama i nie zapomnij jutro wrócić.

Kiedy dziewczyna próbowała wyjąć dwa bukietki alstremerii, jeden zaplątał się z drugim i w rezultacie cały wazon wylądował na podłodze. Woda zalała jej buty i dopłynęła aż do obcasów doña Mercedes, która odruchowo uniosła nogi, jakby to wylała rzeka Nalón.

Ale ekscentryczny – jej zdaniem – Dominique w najmniejszym stopniu nie wyglądał na poruszonego. Taki już był. Powściągliwy, zdecydowany i spokojny. Wydawał się prawdziwym pustelnikiem w samym centrum gwarne go Paryża. Poszedł więc za ladę, znalazł miotłę opartą o kolumnę i wymiótł wodę w stronę drzwi na ulicę, absolutnie opanowany. Całe życie czekał, żeby raz jeszcze zobaczyć twarz Julie, i oto ukazała mu się pod postacią tej młodej dziewczyny o imieniu Violeta.

Czasem życie przychodzi i natychmiast ucieka. Kiedy indziej wraca i wiesz, że nie ma po co biec. Już nie. W jego pamięci na pierwszy plan wybiło się

wspomnienie Pauliny. Nigdy nie zapomniał tamtej kobiety, zdawała się ciągle obecna u jego boku. Widział ją wśród kwiatów, trochę jak w tych filmach, w których nikt nie boi się duchów, bo czuć od nich pozytywną energię. Wyciągnął do niej dłoń, a ona pogładziła opuszki jego palców.

Siedząca przy ladzie doña Mercedes, wciąż z uniesionymi nogami, patrzyła, jak Dominique głaszcze nagietki.

*

W te noce, gdy tęsknił za Julie, tęsknił też za nadejściem wiosny.

*

Przez całą kolację Violeta opowiadała współlokatorkom o niezwyklej ofercie pracy. Nagle znalazła codzienne, regularne zajęcie. „Muszę przyznać, że facet jest trochę dziwny. Ekscentryk, traktuje kwiaty jak ludzi. Nie dał mi nawet nic powiedzieć, musiałam tylko wybrać kwiaty i... mieć kwiatowe imię” – tłumaczyła nieco zawile, ale starała się z całych sił, żeby anegdota brzmiała normalnie i nie sugerowała nawet w najmniejszym stopniu dziwactwa czy obłądu.

Nagle zaczęły się śmiać, jakby coś podejrzewały, ale nie pozwoliła im się nabijać ze swojego nowego szefa. Sama nie wiedziała, co czuje: znalazła rozwiązanie swojego najważniejszego problemu, a jednocześnie spotkała człowieka, który wydał jej się znajomy, prawie jak rodzina.

– Będzie ci dobrze płacił? W tym mieście jest strasznie drogo.

– Jeszcze nie wiem! Ale przynajmniej...

– Jak to nie wiesz? Powinnaś zapytać... Powinnaś była dowiedzieć się od tego dziadka, ile będziesz zarabiać, czy będziesz miała ubezpieczenie, urlop, prawo do zasiłku...

– Evo, ja po prostu dostałam pracę. Możliwość zarobienia na swoją część czynszu. Nie urządzałam mu przesłuchania, to mnie się poszczęściło.

– Głupia! Jesteś naiwna i tyle. Nie wystarczy ci...

– Dosyć. Ani słowa więcej. Jesteś moją koleżanką, nie matką. Jutro rano pójde do kwaciarni i wreszcie zacznę jakąś pracę, a do tego wśród ładnych zapachów. A poza tym pan Brulé jest...

– Sprawia wrażenie zdrowo rąbniętego.

– Tak? To nawet lepiej. Dobrze się dogaduję z czubkami. Lepiej niż z ludźmi, którzy się mnie czepiają.

Silvia złapała pilota i ściszyła telewizor, żeby się wtrącić.

– Jeśli mogę...

– Nie, nie chcę już więcej opinii – odrzekła Violeta.

– Zapomnij. Chcę tylko spokojnie zjeść kolację. Jesteśmy tu trzy, każda z nas ma swoją historię i nie zamierzam mieszać się do życia żadnej z was. A przynajmniej do spraw, które nie powinny mnie obchodzić albo o których nie chcecie mówić.

– To miłe. Dziękuję.
– Niech ci będzie.
– Czyli będziesz sprzedawczynią w kwiaciarni? Brzmi nieźle. To jeden z najładniejszych sklepów w okolicy.

– W kwiaciarni nigdy nie można dostać złych wieści, prawda? Wszystkie te radosne okazje: prezenty na urodziny, chrzty, śluby... Myślę, że ta praca mnie uszczęśliwi. To takie romantyczne, może zostanę lokalną swatką!

– Zapominasz o pogrzebach.

Silvia przerwała Evie mocnym walnięciem w stół. Użyła do tego butelki wina i spryskała wszystkie po równo: na trzech bluzkach pojawiły się czerwone plamy, co przynajmniej na kilka chwil uciszyło rozmówczynię. W końcu jednak Violeta postanowiła rozładować napięcie żartem:

– Zawsze mogę zostać specjalistką od wieńców. Nie mają tu monarchii, nie? No to ja im będę plotła korony z goździków. Oni ścinali głowy, ja będę ścinać kwiaty. Całkiem przyjemna perspektywa.

Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechnęły się do Violety. „Od kiedy kwiaciarnie zajmują się zmarłymi?” – myślała. Nigdy nie zносиła pożegnań, zwłaszcza ostatnich. Chociaż nie będzie przecież musiała osobiście chodzić na pogrzeby, a jedynie układać wiązanki i umieszczać na wstęgach zamówione napisy.

– Nie myśl o tym teraz, Viole. Eva nie ma za grosz taktu. Kwiaciarze najczęściej zajmują się urodzinami i zaręczynami.

– Pewnie masz rację.

– Wciąż zresztą możesz zmienić zdanie, nie masz przecież obowiązku niczego podpisywać.

– Prawda, ale to urocza kwiaciarenka, w samym centrum miasta, mogę chodzić tam na piechotę, a szef jest przesympatyczny i nawet... mnie pocałował.

– Jak to?

– No tak.

Nie od razu powiedziała, co ma na myśli.

– Pocałował mnie... jak ojciec.

– Uważaj, niech sobie nie pozwala – ostrzegła Eva. – Musisz o wszystkim nam opowiadać.

Violeta puściła do niej oko i zajęła się spieraniem plamy z bluzki zamoczoną w dzbanku serwetką. Z uśmiechem na twarzy zatopiła się w myślach. Zbyt wiele rzeczy działo się teraz w jej życiu, żeby ta jedyna pachnąca kwiatami miała się zepsuć. Była niezniszczalna. Teraz nawet w jeszcze większym stopniu.

*

Violeta uważała, że ma w życiu fart, a inni jej go zazdroszczą. Nie miała bynajmniej największego szczęścia na świecie, ale tak ją postrzegano, a kiedy

wszyscy tworzą jakiś wizerunek, nie ma innego wyjścia, jak tylko się do niego dostosować. Urodziła się w tak zwanej dobrej rodzinie, z wystarczająco dużą ilością czasu i pieniędzy, żeby robić to, co jej się żywnie podobało, o ile nie wywoływała skandali. Czasem kłóciła się z matką, ale nigdy na poważnie, bo pani Gadea, postać jakby wyjęta wprost z dziewiętnastowiecznej powieści, spędzała całe dni na wymyślaniu tysiąca sposobów na zabicie wolnego czasu, nie starczało jej go więc na kłótnie z córką. Violeta odziedziczyła po matce urodę, a po ojcu żywiołowy, acz nieco choleryczny temperament. Sam zwykł nazywać ją „dynamitem”. Nie spodziewał się, że kiedyś określenie to zacznie oprócz czułości zawierać przestrozę.

„Oby na zawsze została takim dynamitem!” – myślał.

Pierwsze przyjaźnie Violety zawiązywały się w kręgu znajomych rodziców – najpierw dzieliła z rówieśnikami piętro w bloku, potem ogródek, a w końcu apartament przy plaży. Jak to możliwe, że teraz śmiertelnie się z nimi nudziła, skoro jako dzieci tak świetnie się razem bawili? Aż tak zmęczyło ich wspólne dorastanie? Ale tak właśnie się stało. Pociągała ją też wizja porzucenia wszystkich znajomych schematów wraz z błyskawiczną zmianą przyjaciół. Od pierwszej chwili, gdy poznała w Berlinie Pabla, poczuła potrzebę całkowitego zanurzenia się w jego świat. I tak zaczęły się podróże z plecakiem, wypadki w góry, wyjazdy z namiotem na festiwale muzyczne (co jej matka robiła w czasach Woodstock), dni przeciekające przez palce na południowych plażach, pierwsze popijawy i seks. Oddaliła się od pierwszego kręgu przyjaciół, gdzie życie toczyło się gładko jak po szynach, a im więcej zdobywała nowych doświadczeń, tym lepiej się bawiła i tym mocniej zrywała z określeniem nadanym przez ojca. Uwielbiała spędzać całe wieczory na picciu kolejnych piw z paczką Pabla, kiedy zamieniała się w podchmieloną kokietkę wdzięczącą się do wszystkich wkoło, ale oddaną tylko jemu. „Są jak puzzle – żartowali znajomi. – Przez cały dzień wczepieni w siebie jak dwa fragmenty układanki”. I rzeczywiście. Kiedy siadali na podłodze, Violeta zawsze mościła się między jego nogami, jakby marzła, lgnęła do jego piersi jak tatuaż i bawiła się łańcuszkiem, na którym nosił pierwszy stracony ząb mleczny. To samo działo się na krzesłach i fotelach: jeśli brakowało miejsc, bez wahania odstępowała swoje i biegła do niego, siadała mu na kolanach i natychmiast pogrążali się w rozmowie przeznaczonej tylko dla nich. Czuli się jednością, po prostu.

Szczęśliwi w swojej rutynie i szczęśliwi, że mogą uczynić ją wyjątkową.

Często kłamała rodzicom – zbyt często – żeby móc wyjść wieczorem i spędzić z nim noc. „Mamy egzaminy” stało się naczelną wymówką. Sesje zdawały się nigdy nie kończyć i wciąż dostarczały pretekstów do nauki poza domem. „Nigdy nie zapraszasz koleżanek do siebie” – próbowała oponować matka. „To przez tatę. Wiesz, jaki jest. Tak jest lepiej”. Idealna odpowiedź, żeby uciszyć

matkę, a jednocześnie uczynić z niej współniczkę. Owszem, kilka razy na pokaz przyprowadziła po szkole koleżanki, ale nie robiła tego często.

Pablo ciągle rozważał przeprowadzkę do Berlina, gdzie się poznali. Marzył, że znajdzie tam pracę, wynajmie mieszkanie we wschodniej części miasta, a w zachodniej będzie korzystał z młodości. Tak jakby na zawsze miał pozostać młody! Jeśli czas waży niewiele w okolicach dwudziestki, to dla osiemnastolatków tyle co nic, a zakochanym w ogóle wszystko wydaje się lekkie i zwiewne.

Co takiego sprawiło, że „dynamit” przestał być pieszczotliwym zwrotem?

Nieraz Violeta musiała udawać dorosłą, żeby dostać się do hoteli, gdzie nie mieli najmniejszych szans wynająć pokoju. Podniecało ją takie życie. Podawała się za krewną jednego z gości, żeby potem zaspokoić potrzeby Pabla w jakimś korytarzu czy na wpół posprzątanym pokoju. Wszyscy wróżyli im wspólną przyszłość, nie wiedząc, że ona wcale o tym nie myśli. Bo przecież przyszłość nie istnieje. To właśnie dlatego popłakiwała, kiedy snuli plany i docierało do niej, że to ona musi dostosować się do jego zamiarów i marzeń. Ale płacz jej nie pasował. Dlatego musiała stać się tą silną, pewną siebie dziewczyną pijącą piwo w knajpie na placu, która tak przypadła mu do gustu. Być może to właśnie wychodziło jej najlepiej: ukrywanie własnych pragnień, żeby spełnić jego zachcianki. A z czasem – zadowolić wszystkich innych.

Często narzekała na brak miłości. To przypadłość wszystkich zakochanych par w historii ludzkości: chcieć więcej. Narzekać w niedzielę, że to niedziela, a w poniedziałek – że poniedziałek, choć i tak codziennie robili to samo. Kochali się. Spotykali. Umawiali. Dochodzili. I nie ulega wątpliwości, że to właśnie ich łączyło.

Pablo miał nowy plan: Rzym. „Wszyscy jeżdżą do Berlina” – tłumaczył zmianę kierunku. I mówił, że Violeta powinna poznać Rzym, że będzie się tam czuła jak ryba w wodzie. „Jedziemy? Tam jest dokładnie tak samo jak tutaj, tyle że po włosku – mówił. – Wszystko jest bardziej. No i lubimy pizzę. Rzym jest fajniejszy od Berlina. Mam tam znajomych, będziemy się dobrze bawić”. Violeta się zgodziła. Kochała go. A on kochał planować.

*

Fiołki są obdarzone subtelnym i delikatnym czarem. Malutkie i niezwykle wonne. Rosną samotnie lub grupkami, w zacienionych miejscach.

Samotnie.

Rosną samotnie.

Rosną samotnie w cieniu.

*

Kiedy dotarła do domu, kręciło jej się w głowie. Nie wiedziała, jak zacząć rozmowę i przy kolacji oznajmić rodzicom, że zamierza się wyprowadzić do innego kraju z jakimś chłopakiem. Z chłopakiem, którego nie widzieli na oczy, do

miasta, w którym jeszcze nigdy nie była. Długo siedziała w milczeniu. Wiedziała, że poza domem szalone pomysły zdają się całkiem rozsądne, ale po powrocie okazują się najeżone przeszkodami nie do pokonania. Co się wydarzyło na przestrzeni tych kilku minut, które zajęło jej wejście na czwarte piętro budynku przy rondzie Quevedo, że cudownie podniecająca wizja stanęła jej gulą w gardle, zmieniła się w nierozwiązywalny dylemat?

- Kolacja na stole!
- Nie jestem głodna.
- Trudno, musisz coś zjeść. Bez dyskusji.

W szkole nauczyli ją tworzyć schematy, stosować wzory i organizować wszystko tak, by sprowadzić każdy, nawet najbardziej skomplikowany problem do prostego równania. Violeta pomyślała: „Lepiej nie owijać w bawełnę. Nigdy mnie nie słuchają, dziś pewnie nie będzie inaczej”.

- Jak myślicie, dobrze jest studiować za granicą?
- Oczywiście.
- No to ja chcę wyjechać.
- Czeka, czekaj... Jesteś na dobrym kierunku, na porządnej uczelni, masz przyszłość. Możesz pomyśleć o tym później. Może jakieś praktyki za kilka lat... Żebyś mogła jak najwięcej skorzystać ze studiów. To chyba najrozsądniejsze wyjście. Nie teraz, później.

„Później” nie pasowało do jej planów.

- Viole, kochanie, myślałam, że ci dobrze.
- Oczywiście, że tak! – odparła i chciała dodać, że nawet nie wyobrażają sobie, jak bardzo.

- Nie ma nic złego w czekaniu. Możesz wyjechać za jakiś czas. Wydaje mi się, że nawet lepiej do pracy niż na studia. Niełatwo będzie teraz znaleźć odpowiednią uczelnię.

- Mogę się dowiedzieć.
- To nie ma sensu, Viole. Taka radykalna zmiana może ci teraz tylko zaszkodzić. Przecież dobrze nam się wiedzie.

- Dobrze? Mówcie za siebie.

Na moją odpowiedź zamilkli, jakby nagle na miejscu ich córki przy stole zasiadła obca osoba. Jedynie kot kręcący się pod stołem okazał mi trochę czułości – ocierał się grzbietem o moje kostki. Zauważyłam, że mama ugryzła się w język, żeby nie wybuchnąć. Napila się wody.

- Widzę, że panienska Violeta trzymała coś w zanadrzu. Ostatni raz się tak do nas odzywasz.

Tym razem to ja nie poznawałam ojca. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniliśmy się z rodziny w grupę nieznajomych zebranych wokół stołu. Nie wiem, jak do tego doszło. Zaczęłam źle się czuć.

- Mam dwadzieścia trzy lata. Nie jestem już dzieckiem.
- Bez wątplenia. Ale mieszkasz z nami i zachowujesz się jak małe dziecko...
- Błagam, nie zaczynajmy znowu.
- Raczej „nie zaczynajcie”. Ja nic nie powiedziałam.
- Wybij to sobie z głowy. Skoro mieszkasz pod naszym dachem...

Zaledwie kilka dni później okazało się, że na początku tego zdania powinien znaleźć się inny spójnik. Przywykłam do niewyrażania swojego zdania w domu i dopiero teraz dotarło do mnie, że to nie ich wina, tylko moja. Osiągnęłam wiek, w którym poczułam wreszcie przemożną potrzebę zmiany swojej sytuacji. „Kocham” – krzyczała moja dusza, jakbyśmy byli fiołkami dzielącymi tę samą łodygę. Miałam jednak emocjonalne zakwasy i potrafiłam tylko biec do Pabla, rozmawiać z Pablem, zwierzać się Pablowi... W tamtej chwili, gdy spojrzeliśmy na siebie z rodzicami niczym trzy obce sobie osoby, zrozumiałam, że faktycznie nimi jesteśmy: trojgiem nieznanym, którzy tęsknią za innymi czasami. Tyle podróży, wakacji, prezentów wypełniło przestrzeń między członkami rodziny, niczym zagradzające drogę pudła. Żadne nie wiedziało, co powiedzieć. Powietrze zepsuło się od naszych oddechów, ale nikt nie wstał, żeby otworzyć drzwi czy okno. A ja zastanawiałam się nad czymś, czego nie mogłam pojąć: co właściwie powiedziałam? Nagle ich znienawidziłam? Sądziłam, że tak. A mimo to ich kochałam. Jednak w tej chwili ciszy Violeta, która bawiła się lalkami i wypisywała kolorowymi flamastrami teksty piosenek, zniknęła. Kiedyś już czułam ten lęk. Kiedy wycinali mi migdałki i sama jechałam na wózku do sali operacyjnej, tym długim korytarzem pełnym drzwi i ogłoszeń nakazujących zachowanie ciszy. Ale wtedy mama mnie przytuliła. Tym razem cała nasza trójka pozostała na swoich miejscach, zachowując dystans właściwy zimnej wojnie. Każde pilnowało, żeby nie stracić nawet skrawka swojego terytorium. Staraliśmy się utrzymać absolutną ciszę, tak że nie było słyhać nic poza oddechem kota i dobiegającym moich uszu buczeniem lodówki.

Wstałam.

Wiszące w korytarzu zdjęcie mamy w dzwonach i obcisłym prążkowanym swetrze z dekoltem w serek, które zawsze tak lubiałam, teraz zdawało się wszystkim dziwić. Również nam.

– Violeto, uważaj na siebie – zdawało mi się, że fotografia ostrzega mnie niczym wieszczka.

Wyprostowałam się i, nie wiedząc czemu, dotknęłam jej, tak jak kiedy zapalałam świeczkę podczas mszy, w poszukiwaniu spokoju. Zamknęłam oczy jak dziecko próbujące schować się za własnymi powiekami. Ale głos taty w kuchni brzmiał sucho i ostrzej niż kiedykolwiek. Kiedy mama odpowiedziała niemal namacalną ciszą, wymknęłam się do swojego pokoju popłakać.

*

W planach Pabla nie było miejsca dla Violety.

Tego dnia, gdy ona biegła na plac powiedzieć mu: „Postanowione, wyprowadzam się”, w jego sercu gościła już inna. Blondynka o prostych włosach bawiła się mlecznym zębem zawieszonym na szyi Pabla. A jakaś niewidzialna dłoń obrywała z Violety kolejne płatki, aż została naga na pierwszym schodku prowadzącym na plac. Kocha, nie kocha, kocha, nie kocha, kocha, NIE KOCHA. Czuła ból w piersi i w żołądku, było jej niedobrze. To niemożliwe, to niemożliwe, to niemożliwe. Nie miało sensu podchodzić do niego i dowiadywać się o przyczynę. Po co? Co za różnica? Widziała go. Nie potrzebowała tłumaczeń.

Wydawało jej się, że lada chwila zemdleje. Nawet na to nie starczyło jej jednak siły, bo on zapatrzył się na nią z dołu, stamtąd, gdzie to ona powinna teraz siedzieć, i znieruchomiła jak zwierzę na celowniku myśliwego.

„Wiedziałam” – powtarzała sobie jak mantrę. Uczucia zbombardowały zamek jej duszy, wybijając dziury w jego fasadzie. Czy to nie oczywiste? „Ty i ja nie jesteśmy tacy sami”. Z czego więc się śmiesz?

Rzuciła się do ucieczki, jakby ulica była drogą oddechową, na końcu której czekało upragnione powietrze. Nie odpowiadała na pozdrowienia. Kilku napotkanych znajomych próbowało ją uspokoić, kiedy wreszcie, już z dala od Pabla, wybuchnęła płaczem. Ale mogła tylko usiąść nad filiżanką kawy, pozostawiona sama na pastwę niespodzianki.

*

Noc bardzo mi się dłużyła. Chciałam znów znaleźć się w kuchni i powiedzieć rodzicom, że nie, że wszystko cofam, że chcę nadal z nimi mieszkać, żyć zgodnie z planem i ograniczać się do prozaicznych rozmów sprowadzających się do pytań: „Co słychać?” i „Potrzebujesz czegoś?”. Zastanawiałam się, jak w tak krótkim czasie mogłam wywrócić wszystko do góry nogami i jak to możliwe, że nie domyśliłam się intencji Pabla. „Uważaj na niego” – to najgorsza rada, jakiej ktoś mógłby mi udzielić. Bo wtedy jest jeszcze gorzej. „Lepiej się nie zadawać z takimi ludźmi jak ja – powiedział mi z góry. – Ostrzegalem cię”. Czasem nie ma żadnej dobrej opcji i pozostaje tylko wybrać najmniejsze zło. Tyle że trudno odróżnić dobre wyjście od złego. Najbardziej boli: „A nie mówiłam?”, wypowiedziane przez nasz wewnętrzny głos. „To wszystko było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe”.

Ciche tykanie lęku, kiedy czujemy szczęście.

Lęku uspiętego, gdy wszystko dobrze się układa.

Rzuciłam się na łóżko w moim pokoju nastolatki. Ale kobieta, która marzyła o ucieczce, była w tej chwili tylko dzieckiem.

*

Ulica budziła się do życia, kiedy Violeta dotarła o świcie do kwaciarni Dominique’a Brulégo. „To moja pierwsza praca i będę spędzać całe dnie

w otoczeniu kwiatów” – pomyślała, kiedy otworzyła drzwi i zabrzęczały dzwonki zawieszane na belce pod sufitem. Poczowała przemożną chęć, by usiąść na podłodze i wachać po kolei każdą dalię, gladiolusa, tuberozę... Nowe nazwy same wchodziły jej do głowy. To nie będzie normalna praca, bo i miejsce nie było normalne. Od pierwszej chwili, gdy weszła zapytać o ogłoszenie, miała przecucie, że w jej życiu pojawi się coś nowego, co pomaluje je na inną barwę. „Choć teraz uważam, że życie potraktowało mnie całkiem dobrze, to dni tuż po stracie Pabla przypominały otchłań rozpacz. Dziwne wydawało się żyć, jak pisała Martín Gaité. Ale tak naprawdę dziwne byłoby nie zarazić się atmosferą radości, jaką roztaczają świeżo ścięte kwiaty. Tak jak zdarzyło się mnie”.

– Witaj, Violeto. To twoje nowe miejsce. Czuj się jak u siebie. Jeśli chcesz o cokolwiek zapytać, nie krępuj się. Korzystaj, baw się dobrze. I...

– Tak, proszę pana?

– Rozchmurz się trochę. Sprzedajemy marzenia.

„W tej chwili przypominały mi się słowa współlokatorki i wyobraziłam sobie wieniec z goździków na ostatnie pożegnanie któregoś z okolicznych mieszkańców. Tak naprawdę (kto by pomyślał) w moim obecnym stanie ducha wydawało mi się całkiem na miejscu zająć się przygotowaniem pogrzebu. Mieszanka niesmaku i strachu (tak, strachu wypełniającego każdy zakamarek mojego ciała) wywołana przez niedawne wydarzenia zupełnie mnie znieczuliła”.

– Założę się, że dziś czekają nas wyłącznie dobre wieści. Zobaczysz. Wyobrażam sobie – przybrał pozę jasnowidza, z zamkniętymi oczami i złączonymi dłońmi – że pierwszą osobą, która wejdzie dziś przez te drzwi, będzie kobieta, która...

– Dzień dobry, panie Dominique’u! – przywitała się Mercedes, pod ramię z Tilde, obie ubrane w żywe, wesołe barwy.

– Oho, jest już ta nowa dziewczyna.

„Chciałam odpowiedzieć: «Mam na imię Violeta. Witam panie», jakby kwiaciarnia należała do mnie”.

– Uznałem – wypalił Dominique – że lepiej zatrudnić pomoc, niż bez przerwy wymieniać baterie w aparacie słuchowym. Ostrzegła pani, że nawet nie zauważę, jak mnie okradną... I co pani sądzi o takim rozwiązaniu, pani Matilde?

– Sądzę, że to młoda i bardzo ładna dziewczyna. Widzę, że dzięki niej dokonaliśmy ostatecznego podboju kwiaciarni.

Mercedes podniosła palec, żeby przerwać, ale pozostała w tej pozycji, bo Tilde ciągnęła wesoło:

– Teraz jest nas już trójka Hiszpanek. Co nie, Violeto? – Dziewczyna przytaknęła. – Jak trzy muszkietierki z południa w samym środku Paryża... Podobają mi się to.

Mercedes uśmiechnęła się i ucałowała Violetę. Matilde poszła w jej ślady,

a potem przemówił Dominique:

– To najcudowniejsze miejsce na ziemi, zapraszamy tu kwiaty i klientów, żegnamy dzwonki i przyjmujemy chryzantemy. Rośliny wyznaczają cykl naszego życia. Dziś czekam na dostawę liści dębu, nagietków, rojników i całej masy kwiatów polnych. A mówią, że jesień to smutna pora roku! Jesień przybyła wraz z Violetą! – Po czym dodał, wyraźnie wzruszony: – Pokładam w niej całą nadzieję.

„Czułam, że to zbyt wiele. Za dużo jak na pierwszy dzień w kwiaciarni. Nie znaleźliśmy się, zamieniliśmy dotychczas ledwie kilka słów. Ale te kobiety, Mercedes i Tilde, zaraziły mnie swoim uśmiechem, nieco przesadzonym, sugerującym wielką bliskość i przyjaźń. Wyczułam, że słowa Dominique’a im również wydały się mocno na wyrost i że przyszły tego poranka do kwiaciarni, żeby mnie skontrolować”.

– Jest bardzo młoda.

– Jest w wieku, do którego i ja, i panie bardzo chcielibyśmy wrócić, doń Mercedes. Mam rację?

– Też mi coś! Ja już się w jej wieku wyszalałam – odparła natychmiast.

– Ale już tego nie pamiętamy, kochana – zauważyła celnie Tilde. – I dobrze by nam zrobiło nadrobić zaległości. Dorastanie zajmuje mało czasu, ale zapominanie dużo więcej...

Dominique skinął głową.

– Żałuję tylko jednego – ciągnęła – że byłam zbyt ostrożna. Mieli rację, kiedy nazywali mnie wtedy tchórzem. Zmarnowałam całą młodość przez strach. Byłam taką nudziarą! Jak głupia chciałam tylko jak najszybciej dorosnąć, i po co? Czas i tak upływa, nie trzeba go przyspieszać. Lepiej by mi zrobiło, gdybym odważyła się na to, na co naprawdę miałam ochotę.

Mercedes spoważniała i patrzyła na Tilde, która wydłubywała sobie kolec z opuszki palca, nie przerywając perory o utraconej młodości.

– Jesteś taka rozsądna – powiedziała. – Trudno mi sobie wyobrazić, że chciałabyś być bardziej śmiała.

– Teraz tak, bo z wiekiem traci się zahamowania. Im więcej zmarszczek, tym mniej wstydu. Proste.

– No dobrze, dobrze...

Nagle wymieniły takie spojrzenia, jakby chciały zachować jakiś sekret z przeszłości. Ich twarze przybrały wyraz z gatunku „o tym lepiej nie mówmy”.

– W Afryce wydarzyło się coś, o czym nie wiemy? – zapytał Dominique.

– Nieważne. Afryka leży daleko stąd.

Zarówno Mercedes, jak i Tilde były za młodu pięknymi kobietami. Ich sylwetki i kształty zachowały kobiecość, choć nikt nie oglądał się już za nimi na ulicy. Blask w ich oczach musiał być kiedyś niezwykle silny, a rany zadane przez lata – czas nieubłaganie wymierza kolejne ciosy – stłumiły ich westchnienia. Ale

niewątpliwie obie były niegdyś atrakcyjnymi kobietami. Ich przyjaźń sięgała jeszcze czasów w Sidi Ifni, gdzie tak wielu chłopaków odbywało służbę w wojsku, a tak wiele dziewczyn – w domach nielicznych generałów.

– Na razie sobie pójdziemy, panie Dominique'u, ale wrócimy później. Kiszki grają nam marsza, więc musimy zajrzeć do Café de Flore.

– E tam, do Flore. Lepiej do Bonaparte, tam nam stawiają.

– No dobrze. Smacznego! Niech panie pojedzą porządnie, bo widzę, żeście schudły.

– Ależ skąd! – zaprotestowała Tilde.

– Jeśli to miał być flirt, to niedobrze – stwierdziła doña Mercedes. – A jeśli w ten sposób wyprasza nas pan ze sklepu, to zrozumiałam aluzję. Proszę sobie za dużo nie pozwalać, większość odwiedzających kwiaciarnię to stałe klientki, takie jak my. I nie życzymy sobie.

– Widzę, że znają się panie na życiu.

– A jakże, stary druha.

Podał mi nożyce do przycinania kwiatów, ale kiedy tylko zamknęły się drzwi, zaczęłam się tak śmiać, że wypadły mi z rąk. Razem z Dominikiem skręcaliśmy się ze śmiechu. Patrzyłam, jak znikają za rogiem: ciągnęły się wzajemnie za rękawy swetrów, wychwalały swoją urodę i narzekały na typowo francuską – ich zdaniem – gburowatość staruszka. Wspólny śmiech dobrze nam zrobił, bo pomógł rozładować napięcie i przekonał mnie, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

– Przygotujemy teraz bukiet dla madame Corbière.

– To ktoś szczególny? – zapytałam.

– Bardzo szczególny. Nie żyje. Mireille Corbière zmarła dwanaście lat temu.

Dominique podsunął mi pęk margerytek. „To dla niej” – powiedział. Moją uwagę odwróciły dzwoneczki nad drzwiami, nadal lekko brzęczące od ruchu powietrza, i zapatrzyłam się na nie, ale on nawet ich nie usłyszał. Wyglądał, jakby zobaczył w sklepie ducha. Trochę się go bałam.

– To była wspaniała kobieta. Przesłodka. Zakochana.

Potem schylił się i wybrał trochę mniejszych kwiatków do bukietu – również margerytek, ale drobnutkich, mikroskopijnych.

Odwrócił się w moją stronę i powiedział:

– Zmarła samotnie, bez rodziny ani przyjaciół. Zostawiła jednak otwarty rachunek, żeby nadal przysyłano jej do domu kwiaty. Dokładnie takie same, jakie jej ukochany wręczał jej na każde urodziny... Wypadają jutro, nie może zostać bez bukietu.

Zabrakło mi słów. Z początku uznałam, że to pewnie jego dawna kochanka i trochę przeinaczył fakty. Chciałam tak to rozumieć. Ale odczytał moje myśli.

– Nie myśl sobie, że coś nas łączyło. Mireille była bardzo porządną, bardzo

uczciwą, a przede wszystkim bardzo zakochaną kobietą.

– Jak długo jeszcze będzie dostawała kwiaty?

– Prawdę mówiąc, pieniądze skończyły się już ładnych parę lat temu.

Opowiedział mi tę historię w taki sposób, żeby nie podkreślać ogromu swojego oddania, za nic sobie mającego śmierć. A może to ja tak ją odczytałam, przyjąłam takie zaangażowanie jako coś naturalnego. Jakby wszyscy ludzie powinni być tacy jak on i jakby to inni byli dziwni. Kiedy zobaczyłam, jak przygotowuje bukiet dla nieżyjącej klientki, która nie mogła nie tylko za niego zapłacić, ale nawet go zobaczyć, poczułam, że trafiłam w naprawdę wyjątkowe miejsce.

Przełknął ślinę i dodał, znów patrząc na drzwi:

– To była wielka miłość, a ja nie mogę być tym, który ją zabije. Nie zgadzam się przerwać tej historii w połowie.

– Ale... – stwierdziłam oczywistość – ta historia już się skończyła.

– Ech, kwiaciareczko! Ile miłości tak po prostu się rozpląnęło... Madame chciała dostawać ten bukiet nawet po śmierci, a choć śmierci nie dało się uniknąć, to jedno mogę: zapewnić jej regularną dostawę kwiatów.

Nie odważyłam się powiedzieć tego, co chodziło mi po głowie, ale chyba sam się domyślił.

– Masz mnie za wariata?

– Nie, panie Dominique'u.

– Ani trochę?

– Nie, skąd. Uważam tylko, że marnuje pan pieniądze.

– Ależ nie mógłbym odmówić tej kobiecie, mojej wieloletniej klientce, prawa do takiego kaprysu. Czyste sumienie i spokojny sen są dla mnie warte więcej niż zarobek.

„Lepiej będzie, jak po prostu przywyknę do jego stylu bycia” – uznałam. I poczułam, że w tym sklepie to ja byłam inna. Jak rzadki kwiat. I że toczyła się tam tajemnicza rozgrywka między bólem a życiem.

Zapadła długa cisza.

– Powiedz mi, o czym tak rozmyślasz, Violeto. Zapytaj, o co chcesz, a ja ci odpowiem.

– Nie potrafię wytłumaczyć tego, co czuję. Rozumiem, że sympatia do tej klientki to jedyny powód, dla którego ciągle wysyłamy jej kwiaty – powiedziałam „wysyłamy”, nie „wysyła pan”, bo czułam się już częścią tego miejsca – w imieniu kogoś, kto również już nie istnieje.

– To skomplikowane, Violeto.

– Jeśli tylko o to chodzi...

– Tak, tylko i wyłącznie o to.

– W takim razie... Ta kobieta musi być zadowolona.

– Nie wiem, jak się czuje ani co myśli. Jak sama powiedziałaś, nie żyje. Ale wiem, jak ja się czuję, a kiedy to robię, czuję się szczęśliwy. – Zamilkł na kilka chwil, po czym wyszeptał, niczym ostateczną odpowiedź: – Bardzo szczęśliwy.

„Zamknij dziób, Viole” – pomyślałam. Dużo czasu zajęło mi pełne zrozumienie, jakim człowiekiem był mężczyzna, dla którego zaczęłam pracować.

*

Kiedy usuwasz z telefonu numer osoby, której imię nadal sprawia ci ból? Tamtego dnia Violeta wybrała numer Pabla, żeby dowiedzieć się, co u niego słychać, i opowiedzieć coś o sobie. Rozłączyła się jednak, zanim usłyszała w słuchawce sygnał.

*

– Kim była Anne? – zapytała Mercedes.

– Wciąż przesiadywała w kawiarni przy Saint-Sulpice.

– Piękna okolica.

– Mówią, że wracała do domu dopiero wtedy, kiedy naliczyła więcej niż dziesięć czarnych płaszczy. Każdego ranka przychodziła z gazetą pod pachą, zamawiała kawę z mlekiem, rozkładała pismo na stole i odcinała się od otoczenia. Zwykle liczyła przechodniów, przyglądała się ptakom siadającym na przewodach elektrycznych albo ukradkiem zdejmowała buty i zakładała je na odwrót.

– Jak to na odwrót?

– No tak, lewy na prawą nogę, a prawy...

– Na lewą, rozumiem. Była szalona?

– Nie, skąd! Po prostu roztargniona. Potrafiła z byle powodu zupełnie się rozmarzyć. Świetnie pamiętam te jej gigantyczne okulary przeciwsłoneczne, których nie zdejmowała nawet wtedy, kiedy nad Paryżem zapadała już noc.

– Wyobrażam ją sobie jako piękność.

– Dlaczego?

– Tak pan o niej mówi...

– Ja też tak ją zapamiętałem. A z biegiem lat wydaje mi się coraz piękniejsza. Mam tak ze wszystkimi wspomnieniami. Czas to najlepszy makijażysta, nie sądzi pani?

– Oby miał pan rację, panie Dominique'u.

Musiałoby być już koło południa. Od chwili otwarcia kwaciarni o dziewiątej Violeta wciąż chodziła w górę i w dół po schodkach, odrywała suche liście, przycinała łodygi i zmieniała wodę we wszystkich wazonach. Brulé i Mercedes ciągnęli swoją codzienną niemal rozmowę o dawnym, nieistniejącym już Paryżu, a wspomnienia jak zwykle mieszały się z fantazją.

– Kochał się pan w tej Anne?

Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

– A wie pani, że nie potrafię pani powiedzieć. Ta część wspomnienia jakos

mi umknęła. Mężczyźni zawsze zakochują się w każdej kobiecie, która na nich spojrzy. Ale to chyba nie była miłość.

– Dlaczego?

– Bo nie czuję dziś bólu.

– Uważa pan, że miłość, która nie krzywdzi, to nie miłość?

– Obawiam się, że wręcz przeciwnie. Miłość to musi być miłość. Po prostu.

Miłość powodująca ból to nie miłość, tylko piosenka.

– Rozumiem...

– Słucham?

– Już rozumiem! Pan kochał tylko raz. Nigdy pan o niej nie mówi. Była z Paryża?

Zamknął oczy, żeby znów ją zobaczyć.

Siwowłosa kobieta zaglądała przez szybę, a na jej twarzy malowała się wyraźna chęć wejścia do środka. Violeta, która przysłuchiwała się rozmowie, pośpieszyła jej na pomoc, ale na widok zamkniętych oczu właściciela kwiaciarni starszuszka skrzywiła się i szybkim krokiem ruszyła w dalszą drogę.

Violeta uniosła brwi w lekkim zdumieniu.

Mercedes wyjęła z kieszeni złożoną na pół kartkę papieru i pokazała ją Brulému.

– Tu w okolicy mieszka wróżka. Chyba się do niej wybiorę. Znalazłam to ogłoszenie na latarni, jest tu jej numer telefonu. Co pan o tym sądzi?

– Ma pani jakąś dziwną obsesję.

– Owszem, na punkcie przyszłości. Chciałabym, żeby wyczytała mi ją z kart.

– Po co?

– Żebym mogła poznać swoją przyszłość.

– Ech, na miłość boską! – powiedział z dobrotliwą przyganą w głosie. – Doń Mercedes, sam mogę powiedzieć pani to samo, w tej chwili, i to za darmo. Przecież to oszustki.

Mercedes schowała ulotkę do torebki i zmarszczyła nos.

– A może coś w tym jest? Skąd pan może wiedzieć? To może być zabawne doświadczenie, nieważne, czy powie prawdę – broniła się.

– Że chciałaby pani znów mieć dwadzieścia lat, wrócić do Oviedo, zakochać się w rozczochranym chłopaku, biegać po łące, kupować lody, nocować w chatce w górach, czytać do rana... Pójść do kina, zostać tak długo, aż nie wyrzuci pani obsługę, zaręczyć się i obudzić w hotelu... Prawda? Ale to się nie wydarzy.

– To wszystko już się wydarzyło.

– Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. Jeśli trzeba, zjem te nagietki.

– Nie trzeba.

– Nigdy nie opowiada pani o swojej przeszłości...

Brulé zająknął się i próbował umniejszyć wagę swoich wcześniejszych słów.

– Mogę pani osobiście przepowiedzieć przyszłość. Otóż jutro przyjdzie tu pani po kawie i herbatnikach. Wcześniej przepchnie się pani przez tłum w kiosku, żeby przeczytać pierwsze strony gazet, zajrzy do apteki się przywitać i po lekarstwa, kupi karmę dla pieska, a potem, okreśną drogą, dotrze aż tutaj. Do swojej kwiaciarni. Powie pani: „Dzień dobry, panie Dominique’u!”, i poprosi, żebym znów opowiedział jakąś historię.

Mercedes przytaknęła i na twarzach obojga starych przyjaciół zagościł uśmiech. Zapięła sweter, przycisnęła torebkę do piersi i odsunęła krzesło, zbierając się do wyjścia.

– Wie pan co? W ogóle pana nie posłucham. Pójdę do wróżki, a ona przepowie mi przyszłość.

– Chce pani, żebym przewidział coś, co się pani przydarzy?

Zawahała się, ale odparła:

– W porządku.

– Ktoś podaruje pani kwiaty.

Spojrzała na niego podekscytowana:

– Skąd pan wie?

Dominique podszedł do kasy, wziął jeden z nagietków układanych przez Violetę, ucałował kwiat i wręczył dońi Mercedes.

– ...

– Do widzenia, panie Brulé – powiedziała. – Na dziś już wystarczy. Jestem chyba starą naiwniaczką, która daje się nabrać na magiczne sztuczki drugiego starca.

– Czyli pani też ma mnie za magika – uśmiechnął się Dominique. – Miłego dnia, doñu Mercedes, i proszę cieszyć się kwiatem. Jesteśmy dwójką dwudziestolatków.

– Trójką! – poprawiła ich ze schodków Violeta, która oglądała całe zdarzenie jak spektakl teatralny.

Dominique uśmiechnął się, wzruszony jej stwierdzeniem. Spojrzał na Violetę z czułością – prawdę mówiąc, po cichu liczył na to, że poczuje się przy niej młodszy, że dzięki niej wróci do tamtych czasów. Usiadł obok dziewczyny, żeby z nią porozmawiać.

– Widzę, że bardzo zgrabnie poruszasz się po sklepie, mała. Zdawałoby się, że już całe lata minęły od czasu, kiedy co chwilę pytałaś, gdzie co jest albo co jak się robi, a to przecież zaledwie parę dni. Kto by się spodziewał, nie uwierzyłbym...

– Violeta kiwnięciem głowy zachęciła go, by dokończył. – Nie uwierzyłbym, gdyby ktoś mi powiedział, że w tej kwiaciarni znajdzie się kiedyś miejsce dla dwojga. Dla nas.

Nie miała wiele do powiedzenia.

– A tu proszę. Kwiaty i my. A, no tak... I jeszcze te dwie panie, które

przychodzą tu codziennie. Są takie zabawne! Jak duet komiczek.

– Te dwie stanowią ważną część mojego życia. Przez długi czas przekazywały mi wieści ze świata, bo rzadko wychodziłem, zżerany przez swoje sprawy.

– Chyba też będę musiała pójść do tej wróżki, żeby dowiedzieć się czegoś o tych pańskich „sprawach”.

Dominique przybrał zrezygowany wyraz twarzy.

*

„Myślenie jest ważniejsze niż wiedza, ale nie ważniejsze niż obserwacja”.
Johann Wolfgang von Goethe.

*

Tamten piątek zaczął się jak każdy inny. Miałam ochotę odreagować i wyjść gdzieś wieczorem ze współlokatorkami. Już od dawna moja skóra nie była dla mnie dobrowolnym schronieniem i jak tlenu potrzebowałam powietrza. Codziennie pracowałam w kwiaciarni i wiedziałam już, kiedy zmienić wodę i przyciąć łodygi, zaczęłam też odróżniać stokrotki od margerytek. Brulé chwalił moje bukiety i prosił, żebym to ja wypisywała liściki dołączane do zamówień. „Masz piękny charakter pisma” – cytuję. Nie skomentowałam tych słów, ale uśmiechnęłam się pod nosem, bo matka zawsze mówiła, że z takimi bazgrołami nadaję się na lekarkę. Silvia oznajmiła, że mimo średniego samopoczucia Evy „musimy się dziś porządnie nawalić”. To też dosłowny cytat. Nie protestowałyśmy, kiedy dodała, że ona weźmie na siebie zakup napojów i zrobienie zapasu lodu, a my mamy zorganizować jakieś towarzystwo i makijaż. Dominique pozwolił mi zabrać do domu bukiet i dołączył do niego liścik: „Nie obracaj każdej myśli w głowie, obracaj się tylko w tańcu”. Miło było przeczytać te słowa w drodze do domu, na granicy między czternastą a piętnastą dzielnicą. Choć rzadko rozmawialiśmy o sprawach osobistych, czułam wyjątkową więź z tym tajemniczym samotnikiem. Tak naprawdę niewiele nas różniło.

Rzeńskie – no dobrze, zimne – paryskie powietrze zaczęło już dawać się we znaki, więc przyśpieszyłam kroku i bez patrzenia na światła weszłam na pasy, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu. Sama nie wiem, czy z zimna, czy z pośpiechu.

Zreflektowałam się dopiero, kiedy gwałtownie hamujący samochód zaalarmował pieszych czekających po obu stronach ulicy.

– Co pani odbiło? Nie można tak wchodzić na ulicę. Wpadnie pani pod auto.

Miał rację. Nie potrafiłam wydusić z siebie odpowiedzi.

– Słabo ci? – zapytała jakaś kobieta, na której ramieniu oparłam się, żeby nie upaść. – Chyba tak. Usiądź sobie tutaj.

– Co się stało?

– Nic. Dziewczynie zakręciło się w głowie, weszła na pasy bez patrzenia i się przewróciła.

– Mogę jakoś pomóc? Czegoś wam trzeba?

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam krew płynącą z kolana (upadłam na krawężnik), a kierowca autobusu zaproponował, że zadzwoni po karetkę. Odmówiłam. Nie rozumiałam, co się wokół mnie działo. Nie nadałam za Francuzami, kiedy łączą wszystkie wypowiedziane słowa w jedną niekończącą się *liaison*. W kółko powtarzałam więc tylko, że nic mi nie jest, żeby na pewno to do nich dotarło.

– Odprowadzić cię do domu? – zapytała kobieta, która siedziała przy mnie na ławce i trzymała za ręce.

– Nie chcę robić pani kłopotu, dziękuję... Poczekam tu, aż mi przejdzie. To nic takiego.

Kierowca autobusu wrócił na swój fotel, zakręcił kierownicą, odblokował ulicę i pomachał mi dłonią. Dosłyszałam słowa: „Uważaj na siebie, Violetto”. Pewnie przeczytali moje imię na dokumentach, bo cała zawartość torebki wysypała mi się na jezdnię. Kiedy chciałam wstać, znów poczułam mdłości i zawroty głowy.

– Nie przejmuj się, wszystko pozbieram – powiedział jakiś chłopak, jeden z tłumu przechodniów przerażonych nagłym chórem klaksonów i piskiem hamujących opon, który właściwie rozszyfrował wyraz mojej twarzy. – Nie bój się, nikt nic nie zabrał, od początku tu jesteśmy...

– Dziękuję – powiedziałam przepraszającym tonem, jakbym niechcący oskarżyła ich wszystkich o kradzież. – Przepraszam.

– Co ty mówisz, dziewczyno? – zaprotestowała kobieta. Trzymała mnie za nadgarstki, jakby mierzyła mi puls. – Dość dziś przeszłaś. Powinnaś pójść do lekarza.

– Tak, tak. Na pewno pójdę.

– Nie żartuję. Jestem od ciebie starsza i widzę, że to nie pośpiech był przyczyną wypadku.

Zanim wstała, ucałowała mnie w oba policzki, jak matka, a ja odpowiedziałam jej uściskiem, jak córka. Potem odprowadziłam ją wzrokiem, aż podniosła z ziemi porzuconą torbę i zniknęła w głębi ulicy.

Czasem w spojrzeniach nieznajomych jest zbyt wiele czułości. Więcej niż u znajomych. Może rację miał ojciec Nicka Carrawaya, kiedy powiedział mu: „Ile razy masz ochotę kogoś krytykować, przypomnij sobie, że nie wszyscy ludzie na tym świecie mieli takie możliwości jak ty”^[1]. Wtedy zapaliło się inne zielone światło, ale tylko na sygnalizatorze. Zaraz też zmieniło się na czerwone, uświadamiając mi dobitnie, że ani żadna ze mnie flapperka, ani nie mieszkam z wielkim Gatsbyem.

Kiedy ludzie powoli zaczęli się rozchodzić, a dzięki uprzejmości tamtego chłopaka odzyskałam wreszcie torebkę, zdałam sobie sprawę, że coś jeszcze nie daje mi spokoju. I wtedy wewnętrzny głos podpowiedział mi, że jestem jedną

z najgłupszych dziewczuch na świecie. Wybuchnęłam płaczem. „Zmarnowałaś sobie życie” – pomyślałam.

– Napij się, dziewczyno – zarządziła Eva niczym kapłanka naszej imprezy.

Znajomi poprzynosili różne flaszki i nikt nawet nie spróbował przygotowanej przez nią sangrii. Wszyscy pochłaniali hektolitry ginu, bez lodu i z symbolicznym dodatkiem toniku. I znów zaczęłam myśleć o zielonym światełku widocznym z Long Island. Silvia flirtowała z nowym znajomym z uczelni i zasugerowała, że jeśli wszyscy pójdą do jakiegoś klubu, ona zostanie tam, w mieszkaniu. „Wiecie, o co chodzi” – powiedziała z pijackim uśmiechem.

Tymczasem Eva tłumaczyła dwóm koleżankom z praktyk, że powinny na stałe przeprowadzić się do Francji – „Tutaj biorą fizjoterapeutów jak leci, nawet bez znajomości języka” – że na pewno znajdą jakiś pokój, a przynajmniej trochę zmienią bieg swojego życia. Ja zaś nie miałam najmniejszej ochoty chodzić po klubach, a jeszcze mniej odpowiadała mi spocona dłoń znajomego Ewy na moim kolanie. Piłam wodę gazowaną z plasterkiem cytryny, żeby nikt się nie zorientował, że wcale nie dotrzymuję kroku reszcie mocno podchmielonego towarzystwa. Chłopak stwierdził, że jestem coś zbyt wrażliwa jak na Hiszpankę, kiedy próbował przesunąć rękę wyżej, a ja powstrzymałam go, łącząc kolana tak gwałtownie, że aż trzasnęło. Na wszelki wypadek udałam jeszcze, że ktoś mnie popchnął z tyłu, i wylałam mu na spodnie jego własnego drinka.

– Cholera! – wrzasnął z irytacją, zrywając się z sofy.

– Przepraszam, tyle tu ludzi. Zrób sobie nowego drinka. Nie ma problemu – powiedziałam i wskazałam mu stół pełen butelek i kubelków z lodem.

– Napij się, stary. Ciuchy możesz wysuszyć w łazience.

Eva zerkała na mnie kątem oka z niewypowiedzianą prośbą, żebym była dla niego miłsza – to jeden z jej gości i najwyraźniej interesowała się nim bardziej niż ja.

Przygotowane przez nas kanapki pozostawały nietknięte. Jako jedyna żarłocznie pochłaniałam ziemniaki i bakalie – pozostali tylko przesuwali półmiski, żeby zrobić miejsce na pusty kieliszek czy popielniczkę. Ja zaś, choć zwykle bardziej wybredna, jadłam co popadnie – może, jak sobie tłumaczyłam, żeby z nikim nie rozmawiać. Tego wieczoru mieszkanie przypominało jednak podłą, tandetną salę balową – zresztą zgodnie z planem: „Ma to wyglądać jak zorganizowany przed czasem sylwester”. Wszyscy ubrali się na galowo: faceci w marynarki, dziewczyny w dopasowane sukienki. Silvia powiedziała, że w mojej szmizjerce wyglądam na typową kwiaciarkę, zahukaną i pruderyjną – zwłaszcza to drugie.

– Uważaj, jak się ubierasz – poradziła mi przed przybyciem gości. – Tym strojem odstraszysz facetów.

– Trudno. Nie zależy mi.

- Każda tak mówi... Jeszcze parę tygodni temu nie miałaś nic przeciwko.
- No właśnie, to było jakiś czas temu.
- Dobrze wiesz, że co było, to było.
- Co za truizm.
- Jak cię widzą, tak cię piszą. Wyglądasz teraz na straszną cnotkę. Nie warto, ani dla tego z Madrytu, ani dla siebie.

Silvia odpukała w niemalowane. Pokładała wielkie nadzieje w tej imprezie i chciała wyjść z niej zwycięsko. W końcu to ona najbardziej podniecała się przygotowaniami i zaszalała z makijażem i perfumami. Według niej to najlepszy sposób na poprawę humoru oraz ochrzczenie mieszkania w stylu godnym finału turnieju Rolanda Garrosa: „Szczypta *glamour* i francuskiej frywolności”. Wszyscy zaproszeni wiedzieli, że na imprezie będą dziewczyny (i to Hiszpanki, z wszystkimi tego konotacjami), a muzyka i darmowe drinki to świetny wstęp do niezobowiązującego seksu. Dlatego ściągnęły tłumy.

- Oglądałaś *Wielkiego Gatsby’ego*? – zapytała Eva.
- Czytałam – odparłam.
- To będzie coś w tym stylu.

Tej nocy, a raczej nad ranem, obudziłam się wcześniej. Długo wsłuchiwałam się w hałasy i zduszone jęki współlokatorki. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem i z kim mieszkam. Blask ulicznych latarni wlewał się do pokoju przez niedokładnie zaciągniętą zasłonę. Żółtawe światło, które z początku wzięłam za księżyc, a potem za neon, raziło mnie w oczy.

Nie miałam pojęcia, która może być godzina. Uznałam, że pewnie bardzo późno – albo bardzo wcześnie – i że już świta. Ubrałam się i wyszłam z sypialni. Woń tytoniu w korytarzu przyprawiała mnie o mdłości. Po podłodze walały się niedopałki, butelki i puste szklanki. Wtedy przypomniało mi się zakończenie książki Fitzgeralda i z tym dziwnym uczuciem zasłoniłam okno, gasząc światło lub księżyc. Nie jestem pewna.

*

- Przyszła tu dziś jakaś kobieta. Była zdenerwowana.
- I co?
- Pytała o pana.

Dominique Brulé czekał na jakieś wyjaśnienie, ale Violeta nic już nie dodała.

Ja też próbowałem odnaleźć swoją drogę. Moja Julie opuściła mnie bez ostrzeżenia, więc nie pozostało mi nic innego, jak pójść w jej ślady: uciec od samego siebie. Ja również odszedłem, przez długi czas udawałem, że ciągle jestem w swoim ciele, ale to nie byłem ja. Stałem się tym, co widzieli inni, zależnie od dnia, zależnie od pogody, zależnie od wspomnień, od nieobecności, od drugiej strony łóżka... Pustej. Kiedy po raz pierwszy położyłem się niechcący na jej połówce, poczułem, że już zupełnie jej nie pamiętam. I wybuchnąłem płaczem, bo ból, którego tak kurczowo się trzymałem, zelżał, a to jeszcze mocniej mnie raniło – myśl, że jej nieobecność już nie sprawia mi bólu. Tak bardzo za nią tęskniłem, że krążyłem wciąż po ulicach w poszukiwaniu jej twarzy, próbowałem wypatrzeć jakąś dziewczynę o podobnej sylwetce, która by mi ją przypominała, a złudzenia wywołane przez stratę sprawiały, że słyszałem jej głos wśród czekających na przejściu dla pieszych czy przy barze w knajpie. Serce zamierało mi wtedy w piersi. Moja pamięć działała siłą przyzwyczajenia kogoś, kto w każdej chwili spodziewa się znów ją zobaczyć. Całymi dniami przemierzałem ulice Paryża, wyglądając jej twarzy, zaglądałem do muzeów, na stacje metra i we wszystkie najbardziej uczęszczane miejsca, próbowałem ją schwytać. To też minęło. Nauczyłem się żyć jak wdowiec, podczas gdy moi rówieśnicy byli beztroskimi kawalerami. Z początku nie mogłem wyjść z podziwu nad przebiegłością życia, które zostawia nas na pastwę kalendarza. Mijają dni, tygodnie, miesiące... Lata. Ona.

Miałem dwie nogi, dwie ręce, dwie dłonie i ani jednego serca. Zamiast tego ciążył mi kilogram winy, niczym duch siedzący na piersi. A jednak, mimo przebrzmiałego już bólu, przywykłem do zapomnienia.

Przywykłem...

Myliłem jej imię, bo w nowym środowisku nikt jej nie znał i musiałem traktować ją jak anegdotę, jak tekst powtarzanej w kółko piosenki, po której zostaje w końcu tylko głupi refren.

Wtedy pogodziłem się już z myślą, że straciłem ją na zawsze, ale wciąż jeszcze wierzyłem, że ból pozostanie moim towarzyszem podróży. Lecz nie – przyszła chwila, gdy nie mogłem uciec się do bólu, bo i on zniknął. Coraz bardziej ją zapominałem. Do tego stopnia, że – o zgrozo! – musiałem sprawdzać na zdjęciach, jakie miała oczy, jakie usta, jak wyglądał pieprzyk na samym środku szyi, noszony przez nią niczym miniaturowy różowawy medalik. Tak jak zapominałem rysy jej twarzy, tak samo ulatywał z mojej pamięci jej zapach. Ten, do którego lgnąłem nocami, jak do niewidzialnego ciała, przez długi czas po jej odejściu.

Zatopiłem się w piwoniach jak w balsamie. W kwiaciarni czułem się, jakbym

żył w jej sercu. Od tamtej pory, gdy ból stał się zaledwie nostalgią, szukałem jej wspomnienia w aromacie tych kwiatów.

Nic nie rzuca się w oczy bardziej niż nieobecność. Violeta sprawiała wrażenie przygaszonej. W jej wzroku wyraźnie widać było nadmiar miłości.

– Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku, Violeto?

Skinęła głową i zakryła usta. Zrozumiałem, że w jej gardle tkwi taka sama gula, jaką ja miałem po stracie Julie.

– Pomyślałem, że możemy zjeść w tej knajpie naprzeciwno. Mają stoliki na zewnątrz i podają wyśmienitą polędwicę. Ja zapraszam, a ty tylko zdecyduj: średnio wysmażony, *saignant*^[2] czy *bien cuit*^[3].

– Nie, panie Brulé, nie mogę przyjąć zaproszenia.

– Możesz. Pewnie, że możesz.

Zmusiłem się do uśmiechu, żeby ją zachęcić.

– No dobrze... Cóż, co mam powiedzieć? Asertywność nie jest moją mocną stroną.

– No widzisz.

Powtórzyłem swoje wcześniejsze pytanie: średnio wysmażony, *saignant* czy *bien cuit*?

– Szczerze mówiąc, umieram z głodu – powiedziała. – Od kilku dni porządnie nie jadłam, jestem jakaś nieswoja... To znaczy oczywiście jestem bardzo zadowolona z pracy, to cudowne miejsce... Chodzi mi o samopoczucie fizyczne, jestem osłabiona. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie mam siły pracować...

Nie otworzyłem jeszcze nawet ust, ale ująłem ją pod ramię, wziąłem jej płaszcz, otworzyłem drzwi i razem wyszliśmy na ulicę.

– Poczekaj, zamknę.

– Nie jest jeszcze za wcześnie, proszę pana?

– Wcześnie na piwonie. Na nas – nie.

*

„Słowa znaczą. Słowa wskazują. Są jak strzałki. Jak strzałki wbite w szorstką skórę rzeczywistości”. Susan Sontag.

*

W kawiarni przysiadła też stara śpiewaczka, której co piątek wysyłałiśmy pięć czerwonych róż. Już od ponad dwóch dekad nikt nie pamiętał ani jej nazwiska, ani głosu, ani że kiedyś, jako gwiazda Lido, po brzegi wypełniała widownię i podbijała serca królów. Ella, z nieodłącznym zielonym szalem na ramionach, uśmiechała się do wszystkich wkoło, jakby lada chwila miała unieść się kurtyna, a ona, przy akompaniamencie gromkiego aplauzu, wyjść na scenę. Pozostała Ella, artystką, tyle że bez widowni. Zawijałem w celofan ostatnie pięć róż, z tych, co zapowiadają już rychły zmierzch świeżości, i adresowałem do niej liścik: „Dla cudownej Elionory, z wyrazami miłości”.

Innym razem pisałem: „Z wyrazami podziwu, szacunku, czułości, słodocy”... Z poważaniem, wielbiciel.

Musiała czuć, że wciąż żyje. A na jej widok – umalowanej jak zawsze, w tym niespotykanym już dziś dekadentckim stylu diwy – wiedziałem, że w dniu, gdy przestanę wysyłać jej róże, nawet lekko przywidłe (tak jak ona), przestanie istnieć. Od tego bukietu zależała jej obecność na świecie, trzymała się go kurczowo, jak chory trzyma się życia.

– Mademoiselle Elionoro, jak się pani miewa?

– Jak widać.

– Jak zawsze przepiękna.

– Och, dziękuję! Bardzo dziękuję, chłopcze.

Nazwała mnie chłopcem. Wzrok chyba też już zaczął jej szwankować.

– Cieszę się bardzo, że tu panią spotkałem, zwłaszcza że zaczyna się robić chłodno.

– Kieliszek czerwonego wina pomaga na wszystko. Muszę pilnować, by głos, którym mnie obdarowano, pozostawał silny, dźwięczny... Występy, gale, wszystko to mnie wykańcza.

– Podziwiam panią.

– Ach, dziękuję, dziękuję.

– Taka kobieta jak pani na pewno codziennie otrzymuje takie komplementy...

– I tyle kwiatów! – pochwaliła się, z dumą wyciągając szyję. – Wciąż dostaję kwiaty, zawsze róże... Ach, ci moi wielbiciele! Nigdy o mnie nie zapominają. To cudowne.

– A co piszą?

– Och, same pochlebstwa. Nie mogę powtórzyć, wyszłabym na nieskromną.

– Cieszę się, że wciąż o pani pamiętają. Bardzo się cieszę.

Zajęliśmy z Violetą miejsca o kilka stolików od artystki – bez przerwy zakładała pukle włosów za uszy i poprawiała duże, ciężkie pierścienie, w których przeglądała się raz po raz, z zadowoleniem lekko zabarwionym próżnością. Kelner zauważył moje przyjście i nalał kieliszek cointreau, a potem spojrzął pytająco na moją towarzyszkę, czekając na potwierdzenie, że ma jej podać to samo. Ona jednak nie wydusiła z siebie ani słowa, a w odpowiedzi spuściła jedynie wzrok. Wszystkie lęki ukryła pod płaszczem ciszy. Potem miała mi wyznać, że w nerwach z trudem przychodziło jej władanie językiem i że miała tak zawsze, nawet z hiszpańskim. Opowiadała, że w dzieciństwie chciano ją nawet zabrać do lekarza, bo kiedyś przez kilka tygodni nie wymówiła ani słowa. Kusiło mnie, żeby wyznać jej, że mnie również zdarzyło się coś takiego, gdy byłem mały. Powiedziałem, że przeżyłem „coś podobnego”. I to sprawiło, że Violeta się odprężyła. Knebel w ustach, powiększone serce i myśli tłukące się między gardłem a piersią. Zawsze tak się

czujemy, kiedy coś w nas pęka, a nawet kiedy spodziewamy się, że dopiero pęknie. My sami.

Nagle Violeta zwróciła się w moją stronę.

– Boże, zostawiliśmy zapalone światło na wystawie.

– Rzeczywiście – odparłem bez większych emocji. – Potem je zgaszę. Proste rozwiązanie.

Spojrzałem na nią. Ta rozsądna uwaga uświadomiła mi, że wybrałem odpowiednią osobę.

– Wiedziałem o tym – skłamałem – ale wygląda na to, że jeszcze wrócimy.

Zapytałem, czy też myślała o powrocie do Hiszpanii, ale odparła kategorycznie:

– Nie, nie. Nie.

Pociągnąłem łyk z kieliszka w nadziei, że uda nam się wreszcie przeprowadzić naturalną rozmowę.

– Kocham Paryż.

– Za to uczucie powinni karać.

– Dlaczego?

– Bo tak, jak nie istnieją jednorożce, tak nie istnieje też tamten Paryż. To ten jest tym prawdziwym.

– Ale tutaj ludzie się zakochują.

– Nie wierz w to, co mówią.

– Ja też tak czuję.

– Cóż, miłość istnieje tutaj tak samo jak w każdym innym mieście. Dobrze, niech będzie. Zgadzam się. Tutaj inaczej się oddycha. To pewnie przez piosenki.

Nie muszę chyba nawet wspominać, że w tej chwili usta Violety rozciągnęły się w uśmiechu.

– A, do diabła z tobą – stwierdziłem. – Przekonałaś mnie.

– Ludzie pomyślą, że my też jesteśmy zakochaną parą?

Zaśmiała się, a moją twarz oblał rumieniec. Zacząłem się zastanawiać, czy tak właśnie postrzegala mnie Violeta, jako starszego pana usiłującego poderwać niewinną dziewczynę. Ona jednak wołała rozwiać moje wątpliwości – musiała dojrzeć je w moich oczach – i od razu się wycofała, żeby mnie uspokoić.

– To żart – powiedziała. – Tylko żartowałam.

– Za nic nie chciałbym udaremnić przybyszce z Hiszpanii potencjalnych paryskich *affaires*^[4] – tłumaczyłem się. – Nie w głowie mi romanse.

– Mnie też, proszę mi wierzyć.

Pocałowałem ją w dłoń z kurtuazją godną królewskiego dworu.

– Tak mówisz teraz – stwierdziłem. – Zaufaj mi. Kiedy zostawisz już za sobą te pierwsze niepewne tygodnie, spojrzysz na świat z większym optymizmem.

– Zobaczymy.

– Uwierz mi.

Właściciel bistra – potajemny palacz ze sporym brzuchem – od razu zwrócił na nas uwagę. Przyjrzał się z podziwem dziewczynie u mojego boku, po czym szepnął coś do kelnera i szturchnął go łokciem. Wymieniali jakieś uwagi, wciąż się podśmiewając. Natychmiast cofnąłem dłoń, którą trzymałem na jej nagim przedramieniu opartym na stole. Pomyślałem, że nie mam prawa jej dotykać.

– Naprawdę wysyła pan kwiaty tej kobiecie, żeby myślała, że wciąż ma rzesze wielbicieli?

– Tak.

– Dlaczego? Przecież to nieprawda.

– Bo uszczęśliwiam tym zarówno ją, jak i siebie samego. A znasz tańszy sposób, żeby kogoś uszczęśliwić?

– Można wyznać miłość.

Violeta odpowiedziała bez namysłu, jak rana, kiedy puści szew i zaczyna krwawić.

– To nieskończenie droższa opcja. „Kocham cię”, jeśli jest szczere, wymaga wszystkich narządów i organów. „Kocham cię” tkwi we flakach, nie w ustach. „Kocham cię” jest tutaj – powiedziałem i poklepałem się po brzuchu.

Na te słowa Violeta zbladła jak ściana. Moja ostatnia wypowiedź mocno ją dotknęła i gwałtownym ruchem ściągnęła narzutę z łóżka, na którym do tej pory smacznie spał jej sekret.

Spojrzała na mnie poważnie. Chciałem wtedy, żeby cała ulica umilkła. I zdawało mi się, że rzeczywiście tak się stało. Świat na chwilę się zatrzymał, jakby ktoś wcisnął pauzę albo wyłączył dźwięk.

W końcu przerwała niezręczną ciszę:

– Jestem w ciąży, nie mam nikogo, a „kocham cię” nie istnieje.

Nagle jej słowa wybuchły mi w twarz, a świat ruszył na nowo: samochody, światła, klaksony, muzyka, głos kioskarza, pstryk palców kelnera, kasa fiskalna, zegar... Moje serce.

– Chodźmy się przejść. Muszę zmienić miejsce – oznajmiła stanowczo. – Duszę się.

*

Tamtego dnia dla Violety coś się skończyło.

W głębi kawiarni, za labiryntem stolików zajętych przez stałych bywalców, znajdowały się wąskie schody prowadzące w dół do toalet. Gwałtownie zwymiotowała przed lustrem.

Na zewnątrz Dominique Brulé czekał niespokojnie, dopijając nietknięty przez Violetę kieliszek cointreau i paląc papierosa. Często spędzał wieczory w tej knajpce, ale palił tylko wtedy, kiedy bardzo się czymś denerwował. Co mógł powiedzieć przerażonej dziewczynie? Swego czasu taka rozmowa miałaby sens, bo

więzała się z innym rodzajem bólu, teraz był mężczyzną o ogorzałej twarzy i białej czuprynie, ale już niemłodym. Szczęśliwym, ale zbyt wiekowym na niektóre tematy, jeśli nie dotyczyły kwiatów. W pewnym wieku milczenie warto jest więcej niż słowa, więc starcy potrafią godzinami się nie odzywać, bo nie ma takiej potrzeby. Po prostu. Zamierzał milczeć i pozwolić wiatrowi, wiejącemu na tym rogu rue de l'Abbaye z rue Bonaparte, uspokoić młodą kwiaciarkę. Takie jesienne powietrze wysusza skórę i uczucia. Jak długo można nic nie mówić? Za życia Julie mówili czasem, że mogliby milczeć wiecznie. Bywało, że nawet się zakładali, ale nigdy nie udało im się powstrzymać od pocałunków. Milkli, patrzyli na siebie, wytrzymywali chwilę i zaczynali się całować. I tak tysiąc i jeden raz. Wtedy był równie mocno opalony, ale nie miał siwych włosów. Chciałby siedzieć teraz na krześle obrotowym, żeby móc kręcić się w kółko. A wtedy wszystko dookoła – krzesła, klienci, ulica, samochody i serwetki – fruwałyby niczym w krainie Oz.

Lojalny kelner – ten, który zawsze stawiał śniadanie Mercedes i Matilde – zaniepokoił się długim pobytom Violety w toalecie i przytknął ucho do drzwi, nasłuchując jakichś odgłosów ze środka.

Wrócił do baru.

Wyjął z szafki pudełko tabletek i schował do kieszeni fartucha. Violeta wyszła w końcu z łazienki, wycierając sobie twarz ręcznikiem papierowym.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak.

– Gdyby jednak pani kłamała, to proszę to wziąć.

Podał jej pudełko niczym sekretny liścik. Nie odpowiedziała od razu.

– Zdaje się, że będę musiała zacząć o sobie dbać.

– Tak, proszę na siebie uważać.

Miała coś odpowiedzieć, kiedy uświadomiła sobie, że teraz nie mówi już tylko za siebie, ale jest rzecznikiem kogoś jeszcze. Poczwała nagłe zmęczenie i precyzyjnie się między krzesłami do stolika na rogu, gdzie czekał na nią Dominique.

– Chcesz tu zostać czy wolisz się przejść?

Wskazała ulicę, więc położył na stole banknot pod talerzykiem z rachunkiem.

– Proszę.

Dominique wręczył jej jedną z karteczek, na których w kwiaciarni wypisuje się liściki dołączane do bukietów.

– Przywykłem do zmieniania słów innych ludzi. Zwykle dodaję coś od siebie, bo same „najlepsze życzenia” brzmią tak sucho i zimno. Jedni wstydzą się napisać coś więcej, inni nie potrafią wyrazić swoich uczuć. Napisz to, na co masz ochotę, co sprawi, że poczujesz się lepiej. Jeśli to zapiszesz, spełni się.

Violetę wyraźnie zaskoczyła ta przemowa. Dominique wziął kopertę i dodał:

– Wiesz co, Violetto? Przybyłem do tego miasta – bo pochodzę z Vézelay w Burgundii – trochę przypadkiem, a trochę z miłości. Miałem wrócić do rodzinnego miasteczka, ale po studiach się zakochałem. Zrezygnowałem więc z wygodnego życia w domu i zostałem tu, w Paryżu. A Paryż to była ona. W tamtych czasach wszyscy się zakochiwali, szalała rewolucja seksualna, a każde drzwi prowadziły do szczęścia. Życie trwało tylko dzięki naszej woli i chęci, nie dzięki pieniądзом. I zdawało się każdego dnia zaczynać od nowa.

– Mogę otworzyć?

– Życzę ci powodzenia – powiedział Dominique.

– To właśnie pan tam wpisał?

– Nie. Mówiłem poważnie. Nic tam nie wpisałem.

– Nic...

– Jest pusta. Wolę, żebyś sama wpisała wiadomość. Chcę, żebyś zdecydowała, jaka chcesz być, co robić, gdzie żyć i kogo kochać. To czysta karta. Tak jak w życiu. *Tabula rasa*. Wiele bym dał, żeby ktoś wręczył mi dziś taką kartkę.

– Wydaje się to bardzo proste.

– Nie potrafię ci nic doradzić. Nie wiem zresztą, czy lubię rady, bo w twoim wieku lubiłem popełniać błędy.

– Żałuje pan?

– Nie, odczuwam ból, ale nie żałuję. Jestem szczęśliwy. I mam najszcześniejsze wspomnienia, jakie można sobie wyobrazić. L'Étoile Manquante to najlepsze, co mogło mi się przytrafić. Żyję i pracuję w kwiaciarni. Wiem, że sprzedają się tylko margerytki i róże, ale staram się, żeby ludzie wychodzili ode mnie gotowi na szczęście. Bo nie mogę zmarnować ani jednego dnia na brak szczęścia, to by było nie w porządku. Nie w porządku! Pamiętasz tamtą piosenkę? „Wiatr wieje tak... Może będzie deszcz. Coś wisi w powietrzu, ktoś poczuł to też”?

– Tak. „Nie wiem, co będzie, co przygna ten wiatr. Powiem, co wiem na pewno”...

– „Zna tę opowieść świat” – dokończył Dominique.

Violetta próbowała się uśmiechnąć.

– I właśnie tak jest. Świat już zna tę opowieść. Nie jesteśmy wyjątkowi.

Nagle zaczął się do niej zwracać per pani.

– Proszę spojrzeć, ilu ludzi mija nas na ulicy, ile twarzy, tak różnych... Tak podobnych. Wstają, pracują, jedzą i idą spać. Tak niewinni. Tak prości. Nasze problemy wydają nam się wyjątkowe, ale człowiek, który właśnie panią mija, też na pewno czeka na telefon. A tamta pani, proszę spojrzeć, ta z niebieską torebką, martwi się, że mąż o niej nie pamięta. A ten mężczyzna w kraciastym szaliku drży z obawy, że zostanie odkryty. Zmienił perfumy. I obiekt uczuć. Widzi pani? Tylu ludzi, a wszyscy tak podobni.

Violeta szła pod rękę z Dominikiem i wpatrywała się w mijające ich osoby.

– Ale choćbyśmy rzeczywiście byli tacy sami, raz za razem, choć wcale nie jesteśmy tak wyjątkowi, jak sądzimy, mamy obowiązek tacy być. Jak kwiaty. Wszystkie kiedyś więdną, ale przychodzą po nich kolejne, które znów olśniewają swoim pięknem, jakby miały nigdy nie zgubić płatków.

Violeta uśmiechnęła się, wyraźnie poruszona taką prostotą myślenia.

Spacerowali w stronę placu przed kościołem Saint-Julien-le-Pauvre, obok księgarni Shakespeare and Company, tą samą drogą, którą zawsze przemierzał z Julie.

– Mówią, że tutaj rośnie najstarsze drzewo w Paryżu – powiedział Dominique.

– To prawda?

– Nie wiem.

– Ma pan na coś ochotę?

– Nie... Nic mi nie trzeba – wyjąkał Brulé.

– Kawa dobrze by mi zrobiła. Wcześniej było mi niedobrze. Pan pewnie też chętnie by się napił...

– Oczywiście, ale gdzieś tu w pobliżu.

– Mieszka pan w okolicy?

– Tak. Od zawsze. Mieszkam nad sklepem. Zbyt dużo miejsca jak dla mnie samego. A w dużych domach bardziej odczuwa się samotność. Nadmiar przestrzeni to nic dobrego.

– Mogą się tam czaić jacyś kosmici.

– Nie rozumiem...

– Nieważne, żartowałam. Głupi żart.

– Ach! Boże, no tak! Ale jestem tępy! Przestrzeń kosmiczna... W takim razie jestem ufoludkiem w swoim domu. Dziwakiem pielęgnującym kwiaty i wspomnienia.

– Przepraszam, panie Dominique'u.

Usiedli w pierwszej kawiarni przy księgarni, Le Petit Châtelet.

– Nie musi pan odpowiadać.

– Obawiam się, że za tym zdaniem kryje się jakieś poważne pytanie.

– Codziennie widzę, jak z czułością dogląda pan kwiatów – powiedziała. – Przepisałam wszystkie liściki, które wysyłamy klientkom, zwłaszcza tej... Zmarłej pani...

– Mireille Corbière.

– Tak, właśnie. To piękny fach. Ale musi być chyba coś więcej. Jest pan przystojnym mężczyzną, nieźle się panu powodzi, uśmiecha się pan do wszystkich klientek i...

– Mogę przyjąć zamówienie? Na co mają państwo ochotę?

Przy stoliku stał kelner. O tej porze pasowałby kieliszek czegoś mocniejszego, ale oboje mieli ochotę na kawę.

– Poproszę kawę.

– Dwie – powiedziała Violeta.

– Wygląda na to, że to ja muszę przerwać milczenie.

– Tylko jeśli ma pan ochotę. Po prostu czuję dziś, że potrzebuję odpowiedzi na pytania, które zadaję sobie od kilku tygodni. Powiedział pan, że Paryż to była ona.

– Moja droga Hiszpanko... – Pochylił się w stronę Violety, ale uciekł wzrokiem. Zdawało się, że wkrótce wyzna jej wszystko o swoim życiu. Role się odwróciły i teraz to Dominique oddychał bólem.

– Jeśli panią to interesuje...

– Oczywiście, że tak.

Dominique poczuł się, jakby znów siedział razem z Julie jednego z tych wczesnych wieczorów, kiedy czekali, aż zobaczą cień garbatego dzwonnika zwieszonoego z gargulców na Notre Dame, dokładnie o tej porze co teraz, o zmierzchu. Snuli plany na przyszłość, a Julie złapała go za rękę, jakby chciała mu powrócić. Teraz to Dominique ujął dłoń Violety, żeby opowiedzieć jej o przeszłości.

– Otóż... Kiedy ją straciłem, zostały mi dwa czy trzy zdjęcia... A także, między innymi, poczucie braku doświadczeń, bo w bardzo krótkim czasie przeżyliśmy bardzo wiele marzeń. Chcieliśmy zrobić wszystko. Nasza miłość to była miłość przyszłości, mieliśmy tyle planów na wspólne życie, że umknęła nam terażniejszość. Nie starczyło nam czasu. Ktoś mi go ukradł. Ktoś mi ją ukradł. Nic tylko gadaliśmy i gadaliśmy: „Na starość będziemy siedzieć razem na kanapie, czytać sobie wzajemnie książki, opowiadać historie z podróży, przeglądać albumy...” – mówiliśmy. Zależało nam na szybkim upływie czasu, żebyśmy mogli już wreszcie spędzić razem życie. Karygodny błąd! Już wtedy mieliśmy życie w swoich rękach. Mieliśmy je! Robiliśmy plany na przyszłość, a tymczasem jedyne, co powinniśmy, to żyć. Po prostu żyć. I już.

– Czasem komplikujemy sobie życie, prawda?

– Snujemy zbyt wiele marzeń i nie pozwalamy im się spełnić. To właśnie najbardziej lubimy jako ludzie, obracać sprawy na wszystkie strony, żeby dopatrzeć się w nich sensu, podczas gdy tak łatwo jest po prostu się nimi cieszyć, nawet tymi zwyczajnymi, codziennymi, nieskomplikowanymi... Dość konia na karuzeli na Montmartre i zacząć się kręcić. Nic więcej nie trzeba. O to właśnie chodzi, że tak naprawdę nic więcej nie trzeba. A ona była właśnie nieskomplikowana... Jak jeden z tych koników. Radosna. Piękna. Promienna. Kolorowa. Z nią... Paryż wydawał się prosty.

– Cóż, panie Dominique'u... Nie wiem, co powiedzieć.

Minęło tyle lat, a ten sam mężczyzna, który wówczas czuł się szczęśliwy, wspominał tamten szybko upływający czas z nostalgią. Wyczekiwanie, ekstaza i melancholia. Trzy odwieczne fazy, powtarzające się niczym piosenka, której nie możemy wyrzucić z głowy. Nie trzeba nawet zamawiać ekipy od przeprowadzek, żeby pozbyć się wszystkich wspomnień, bo odchodzą same, a zostają tylko te, którymi życie obdarowuje nas niczym rękopisami z przeszłości. Spędzili wiele popołudni w pobliżu tej księgarni. Może dlatego wciąż podświadomie wybierał tę trasę, za nią, choć już jej nie było.

– To ona jest brakującym kwiatem – powiedział nagle Brulé.

„L'Étoile Manquante” – pomyślała odruchowo.

Oboje zamilkli. Violeta spuściła wzrok i Dominique zdał sobie sprawę, że płacze. I, tak jak dawniej, na fasadzie Notre Dame zaczęły się pojawiać cienie gargulców, jak z wizji Wiktora Hugo. To kwiaciarz ponownie się odezwał po długiej ciszy.

– Zapominamy o miłości – powiedział. – Zwłaszcza o zadawanych przez nią ranach.

„Jasne, zapominamy” – pomyślała Violeta.

W tym obrosłym legendami miejscu, przed wielokrotnie fotografowanym zielonym frontem słynnej księgarni wciąż przechodzili turyści, tak samo jak wielu innych przed nimi, którzy z kolei naśladowali poprzednich, i tak życie toczyło się kołem. Kolejne pokolenia goniące za mitem, za inspiracją czy fotografią. Tam, gdy już dyskretnie zapadła noc, a latarnie zaczynały złotym światłem dopominać się o uwagę, siedzieli oni: mężczyzna zanurzający się w przeszłość bez większego żalu czy bólu i kobieta próbująca wyobrazić sobie, jak od tej pory potoczy się jej życie.

Kolorowe żarówki rozciągnięte na sznurze między drzewami przed księgarnią Shakespeare and Company zapaliły się jak lampki na Boże Narodzenie, a wilgoć ciągnąca od Sekwany przenikała głęboko, aż do kości... A może to wspomnienia?

– Nie jesteśmy tacy różni – stwierdziła Violeta.

– Ani tacy wyjątkowi – odparł on.

– Jak kwiaty.

– Jak kwiaty – powtórzył Dominique.

*

Tamtego dnia dla Dominique'a coś się zaczęło.

W sypialni znajdującej się dokładnie nad kwiatami (podejrzewam, że łóżko stało dokładnie nad wazonami z różnokolorowymi liśćmi dębu, którymi przyozdabiał jesienne bukiety) wciąż miał cudowne pierwsze wydanie książki wielokrotnie czytanej mu w dzieciństwie przez babcię Brulé. Na stoliku nocnym, razem z zegarkiem ręcznym bez wskazówek, pojemnikiem na tabletki z kolczykami Julie, dwoma kamieniami znalezionymi na plaży, na których

umieścili swoje inicjały, i szklanką wody, leżała książka *Les fleurs animées* Grandville'a.

Pewnej nocy, być może nawet takiej jak ta, odszukał ją ukradkiem, bo babcia nikomu nie pozwalała jej dotykać. Absolutnie nikomu. Nie mógł jej wziąć do ręki nikt poza nią samą. Chodziło w końcu o pierwsze wydanie z 1847 roku.

Jako dziecko Dominique zakradł się do pokoju babci, w porze kiedy zwykła wychodzić na spacer pod rękę z dziadkiem. Czekał cierpliwie. Kiedy usłyszał odgłos zamykanych drzwi i stukot obcasów na schodach, ruszył do akcji.

Dziadkowie wrócą dopiero za półtorej godziny.

Nigdy wcześniej nie trzymał jej w ręku, a twarde beżowe okładki wydały mu się zbyt cenne, żeby tak po prostu dotykać ich nagimi palcami. Wyjął więc z szuflady komody koronkowe rękawiczki babci Brulé i – czując się trochę jak czubek, a trochę jak zniewieściały naukowiec – otworzył tajemniczą księgę spersonifikowanych kwiatów. Dlaczego czuł się jak złodziej? Nikt go nie widział. Poza tym miał jeszcze dużo czasu. Ułożył tom na środku łóżka i zanurzył się w treść, tak jak ptaki zapadają się w chmury, kiedy chcą odpocząć.

Mały Dominique czytał powoli i z namaszczeniem. Miał pewnie jakieś jedenaście–dwanaście lat. Ilustracje wyglądały jak żywe, kwiatki na rycinach zdawały się poruszać płatkami. Chłopiec zignorował to wrażenie i zagłębił się w książkę.

W oknach wisiały ciężkie zasłony w niebieskie i zielone kwiaty. Materiałem w taki sam wzór obito fotele. Dominique bywał w tym pokoju rzadko, tylko wtedy, gdy babcia chorowała i trzeba było odwiedzać ją w alkowie, jak mawiała służąca, która pracowała u nich od dziecka. Lampa wisząca pod sufitem na środku sypialni miała kształt półkuli z doczepionymi rurkami przypominającymi frędzle z mlecznego szkła, brzęczącymi przy najlżejszym ruchu powietrza. Śńczyło się z niej ciepłe światło, ale sprawiała wrażenie tak delikatnej, jakby mogła w każdej chwili rozpaść się na kawałki. Toaletka miała owalne lustro na środku i dwie lampki, a ich przewody ukryto za granatowym aksamitem. Szuflady pozostawały zamknięte, otwierał je być może jeden z kluczy, których pęk, niczym kwiaty lawendy, wisiał pod obrazem Matki Boskiej Pielgrzymującej. Nikt nie zakłócał spokoju panującego w sypialni. Nawet ja.

Nagle wśród ciszy rozległ się hałas.

– Dzień dobry – wyjąkał.

Kobieta wielkości lalki przysiadła na skraju stojącej w pokoju starej szafy. Machała przy tym nogami, jakby próbowała utrzymać równowagę na drewnianej krawędzi.

– Jest pani kwiatem?

– Zgadza się, chłopcze. Z następnej strony.

Ta odpowiedź nie uspokoiła Dominique'a. Postanowił powoli przewrócić

kartkę, jakby otwierał klatkę z rudzikiem.

– Och!

Strona okazała się pusta.

– Mówiłam ci. A ty mi nie wierzysz.

– Nie mogę ci wierzyć. Nie istnieją gadające kwiaty. Ani kwiaty z nogami.

– W takim razie co czytasz?

– Cz-czytam *Kwiaty ożywione*... – znów zaczął się jąkać mały Dominique. –

To książka babci.

Ubrana na zielono pani kwiat spojrzała na niego przeciągle.

– Jestem kaktusem – przedstawiła się, zdjęła z głowy kapelusz i położyła go sobie na kolanach.

– Miło mi.

– To intrygujące – stwierdziła, kiedy zaciekawiony chłopiec zaczął zbliżać się do nóg szafy. – Moje obecność zdaje się w ogóle cię nie dziwić.

– Bo nie wierzę, że naprawdę tu jesteś. Na pierwszy rzut oka tak się wydaje, ale to nie może być prawda. Próbuję sprawdzić, co tu się dzieje.

– Widzę, że pewność siebie to twoja mocna strona.

Dominique skinieniem głowy podziękował za pochwałę.

– Poproszę pozostałe, żeby też wyszły. Chyba czas na mały spacer.

– Tak... To dobry pomysł... – odparł chłopak.

– Która godzina?

– Nie martw się. Nieprędko wrócą. Mamy czas na fantazje.

Już nigdy więcej to się nie powtórzyło. Karty *Les fleurs animées* zaczęły się poruszać niczym skrzydła motyla, a potem wyskoczyły z nich dziesiątki kobietek, wyglądem i ubiorem przypominających kwiaty. Przyglądały płatki na głowach i rozpościerały ramiona łodyg nad narzutą na łóżku.

(Tutaj narrator powinien wstawić rozdział opisujący taniec całej konstelacji kwiatów wszystkich gatunków z magicznego ogrodu Grandville'a. Postarać się, aby czytelnik poczuł, że istnieją naprawdę, że gardenie wystroiły się w stroje balowe, że stokrotki obrywają sobie nawzajem płatki, że mirt frunie w objęciach anioła, że dalej popijają herbatkę i zwierzają się sobie z sekretów, że tulipany ruszyły w tany, ale ostrożnie, żeby nie pogubić płatków, i że jaśmin spaceruje smutno, oddalając się od tuberoz. Kwiaty ożywione, w biegu, uciekające, roztańczone. Narrator, jeśli to możliwe, powinien sprawić, by czytelnik zrozumiał, że kwiaty tak jak ludzie czują, błyszczą, zaskakują, obdarowują, kochają i umykają. Bo tak odczuwał to tamten chłopiec).

*

– Czego pan chce, panie Dominique'u?

– Na tym etapie chcę już tylko być chciany.

Wkrótce do Paryża na dobre zawitała jesień. Jak w piosence Jacques'a Préverta, świt zastał kwiaciarza na zmiataniu martwych liści opadłych na podłogę sklepiku.

– Jak się miewasz?

– Chce mi się spać, w nocy prawie nie zmrużyłam oka.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Wszystko w porządku, po prostu bardziej się teraz męczę.

Wiedział, że Violeta nie należy do szczególnie wylewnych, więc wrócił do zmiatania. Zrobił sobie kawę z mlekiem i skubnął croissanta z nadzieniem czekoladowym.

– Masz ochotę? Jadłaś coś w domu?

– Chętnie – odparła Violeta. – Jestem głodna. – Nagle nabrała ochoty na rozmowę. – Dziewczyny pokłóciły się wczoraj wieczorem i potem siedziały jeszcze długo w salonie. Ja się wcześniej położyłam, nie miałam ochoty rozmawiać. Czuję się jakoś...

– Jak?

– Mam wrażenie, że robię się aspołeczna. Sama nie wiem.

– Też tak miałem.

– Niedługo sama nie będę mogła ze sobą wytrzymać.

– Dorastamy, Violeto, dorastamy.

– Może faktycznie... To tam w środku też rośnie – powiedziała, wskazując na brzuch. – Ale nie to mnie martwi. W końcu odkryję, co mi się dzieje. Może ma pan rację, może to po prostu dorastanie.

– Możesz być tego pewna.

Violeta westchnęła. Trudno powiedzieć, czy przejmowała się swoim stanem, czy martwiła czymś więcej niż samotnością.

– Jest mi smutno. Jakbym oszukiwała wszystkich dookoła... – Westchnęła jeszcze ciężiej. Niemal bezgłośnie dodała: – I... Nie jestem tym, kim myślałam.

– Jesteśmy! To wystarczy...

– Dla siebie tak, ale męczy mnie bycie dla innych.

Umilkła, przytłoczona własnymi słowami.

– Violeto, czuj się swobodnie. Jesteś w domu. Nie chcę cię przesłuchiwać, teraz zajmę się kwiatami, a potem napijemy się kawy, jeśli będziesz miała ochotę. Pójdziemy dokupić croissantów. Po połowce to stanowczo za mało, chyba się ze mną zgodzisz.

– Och, bardzo pana przepraszam! Chciałam tylko trochę spróbować, naprawdę...

– Na szczęście tak się składa, że pełno tu piekarni. To największa zaleta tej

ulicy. Nie przejmuj się i pamiętaj, że to twój dom. Kwiaty już cię znają. A my też powoli się poznajemy. Dwa światy. Jesteśmy jak dwa różne bukiety.

– Jakie to piękne.

– Nie chcę cię już dłużej męczyć. Dokończę z tymi liśćmi.

– Nie męczy mnie pan, panie Dominique'u. To najlepsze, co przydarzyło mi się od wielu lat. Jedyne, co jest prawdziwe.

– Dziękuję.

Wtuliła się w jego spojrzenie, z oka popłynęła mu łza. Ogarnęły ich te same uczucia. I oboje uznali, że trzeba coś zrobić, żeby rozbić kulę, która często rośnie w gardle. Jedyne, czego pragnęła Violeta, to poczuć się dobrze. Jej niepokój rzucał się w oczy, aż ciarki przechodziły na widok stanu, w jakim się znajdowała. Ale to Dominique wypalił:

– Samotność mnie zabija, Violeto.

Dominique powiedział prawdę. Piwonie wypełniały jego wspomnienia, ale przecież kwitną tylko na wiosnę. Obiecał być szczęśliwym „za nią”, ale co z nim? Co działo się z nim przez cały ten czas?

– W takim razie zostanę, żeby dotrzymać panu towarzystwa.

– Jesteś młoda... To kwaciarnia dla ludzi, którzy wciąż mają niewyrównane rachunki z przeszłością. Nie zauważyłaś jeszcze, że przychodzą tu tylko ci, którzy przed kimś lub przed czymś uciekają?

– Ja też należę do tej grupy, panie Dominique'u.

– Ty nie uciekasz, ty szukasz azylu. To coś innego.

– A co mogę zrobić dla pana?

Żadne z nich nie znało odpowiedzi i nie umiało powstrzymać pytania, które zadała Violeta.

– Dlaczego teraz akurat czuje się pan samotny? Upłynęło sporo czasu.

Brulé spojrział na nią z uśmiechem. „Ignorowanie upływu czasu go nie powstrzymuje” – pomyślał. Pokręcił głową, jakby tym jednym gestem wyrzucał z niej wszystkie wspomnienia. Violeta pogładziła liście bukietu chryzantem, a potem mówiła dalej.

– Jest pan wielkim człowiekiem, panie Dominique'u. Wspaniałym kwaciarzem. Na pewno najlepszym kwaciarzem w Paryżu. Wszyscy przystają przed witryną pańskiego sklepu. Codziennie dostaje pan zlecenia. Wpadają Mercedes, Tilde... A do tego troszczy się pan nawet o klientów, których już dawno nie ma. Co by to było, gdyby nie wysyłał pan kwiatów Mireille Corbière, gdyby Elionora straciła swoich wielbicieli... – Brulé wzruszył ramionami jak dziecko. Wtedy dodała: – Niech pan się nie czuje samotny. Ja tu jestem.

Nagle nie wiedział, co odpowiedzieć. Naprawdę poczuł się jak mały chłopiec. Jeden z tych, co na podwórku przysiadali na brzegu fontanny i myśleli o niebieskich migdałach. Przyglądali się ptakom. Obserwowali, jak latają

i zatrzymują się na moment w gałęziach drzew. Dominique zastygł tak na dłuższą chwilę.

– Nie chodzi tylko o samotność, choć rzeczywiście jestem sam... Ale o to, że teraz nagle stało się to takie oczywiste. Sam nie potrafię tego wytłumaczyć.

Trzęsły mu się ręce, więc oparł miotłę o ścianę i nawet nie zauważył w szybie przeszklonych drzwi obserwujących go oczu siwowłosej kobiety.

Niebo zaszło chmurami. „Oho, idą deszcze – pomyślał. – Paryż znów spowije szarość”.

– W takie dni jak teraz... – powiedział Dominique i wskazał ręką na ulicę – sprzedajemy najwięcej kwiatów. Tacy już są paryżanie. Wiem, że potrzebują wypełnić dom kwiatami. Dzieje się to co roku. Są drobiazgowi, powściągliwi i monotonni.

Violeta zebrała dłonią okruszki croissanta z lady i dorzuciła papierową serwetkę do kupki zeschniętych liści. Potem powiedziała:

– To dobrze... W takim razie zmienimy wystrój witryny. Skoro na zewnątrz panuje szarość, tu musi aż kipieć od kolorów. Kto powiedział, że mamy dostosowywać się do kalendarza? Nikt.

To ostatnie zdanie powtarzała często jej babcia. Nagle poczuła się jej odbiciem, mimo dzielącego je dystansu tysięcy kilometrów i lat.

– Dziś nie przyjdą?

– Kto?

– Dziewczyny. „Dwudziestolatki”.

Dominique’a zaskoczyła zmiana nastroju dziewczyny. Violeta Gadea okazała się – jak by to ująć? – zadziwiająco silna. I tylko utwierdził się w przekonaniu, że za pojawieniem się jego towarzyszkii musiała stać jakaś tajemnicza decyzja niebios.

– Gdzie teraz są?

– Mercedes je śniadanie w kawiarni. Tuż obok. A Tilde...

Zadzwęczały dzwonki nad wejściem.

– Oto i ona!

Matilde wzięła się pod boki, rzuciła uprzejme, choć zdawkowe „Witam, dzień dobry” i westchnęła teatralnie, co stanowiło nieomylną zapowiedź dłuższej rozmowy.

– Wpadła tu może Mercedes? – zaczęła bez ogródek.

– Właśnie w tej chwili o niej rozmawialiśmy. Wie coś pani? A może to my powinniśmy coś wiedzieć?

– O to właśnie chodzi. Nic a nic nie wiadomo.

– Martwię się.

– Ja też... Chciałam, żebyście wiedzieli.

– Mogę coś zrobić, jakoś pomóc? – zapytała Violeta.

Tilde zdawała się jej jednak nie słyszeć. Była naprawdę zmartwiona i interesowało ją tylko zdanie kwiaciarza.

– Nie możemy nawet do niej zadzwonić. Nie ma sposobu, żeby się z nią skontaktować.

– Nie ma – powtórzył Dominique.

– Powiedzcie mi, gdzie mieszka, zajrzę do niej do domu! – wyrwała się Viole i już zakładała płaszcz, a tymczasem Brulé zapisywał jej adres i kod do domofonu na karneciku do kwiatów. – Zostańcie tutaj. Zайдę tam i zapytam. Dziękuję – powiedziała, biorąc kartkę od kwiaciarza.

– Panie Dominique’u, tak bardzo się martwię... – mówiła Tilde, rzeczywiście zrozpaczona.

– Nie miała pani od niej wieści tylko przez jeden poranek – próbował ją uspokoić. – To jeszcze nic nie znaczy. Wie pani, że to kobieta bardzo...

– Ale w tym wieku... Sam pan dobrze wie, co tu dużo gadać – ucięła.

Dominique cudem tylko usłyszał wyjście Viole na ulicę, bo Tilde oplótła go uściskiem silnym jak lasso. Sama myśl o śmierci wprawiała ją w przerażenie.

– To moja jedyna przyjaciółka, odkąd przyjechałam do tego szarego miasta – tłumaczyła przygnębiona.

Dzwonki wciąż pobrzmiwały w cichej kwiaciarni, niczym echo złęgo omenu.

– Boję się.

– Wiem.

– Ale jak ona może tak nie dawać znaku życia? Wie, że codziennie rano jesteśmy umówione.

– Wiem. Mają panie stałe zwyczaje.

– Gdybym to ja się nie zjawiała, ona też by się przejęła.

Również twarz Dominique’a powoli zmieniała wyraz. Nie został na niej już nawet ślad humoru, a jedynie smutek i bezsilność.

W rytm uderzających o siebie dzwonek przyśpieszała swoje historie. Opowiadała o zmianach w domu, wspominała przybycie do Paryża i dzień, kiedy się poznały, same, w zakładzie poprawek krawieckich. Już wtedy niewiele im brakowało do prawdziwej przyjaźni. Ich życie uległo zmianie, kiedy pozostawiona ojczyzna zaczęła sprowadzać się do rozmowy, w której nostalgia mieszała się z obojętnością. Jak dobrze widać pewne rzeczy z daleka! Jak dobrze widać je w towarzystwie – wspierały się nawzajem. Wkrótce miały zrezygnować z chodzenia do *retoucherie*^[5], bo lepiej lub gorzej zaczęły same radzić sobie z drobnymi robótkami. Zwłaszcza Mercedes świetnie potrafiła udawać, że ma więcej ubrań niż w rzeczywistości – jak z tymi kołnierzykami odgrywającymi rolę bluzek.

Życie.

To, co widać, jest tym, co istnieje.

To, co boli, trzeba stłumić w piersi.

A jeśli czegoś nie widać, to nie ma dramatu. Nikt nic nie podejrzewa, nikt nie kibicuje, nikt nie współczuje.

Razem. Tak samo jak krytykowały tamtą Francuzkę, która w latach sześćdziesiątych rozpiniała czy też raz rozpięła górny guzik bluzki i oparła się o bar z nadzieją na upolowanie cudzego męża, tak samo narzekały, że w tamtych czasach to nie one odważyły się skrócić spódnicę o kilka centymetrów. Ale opuszczona Hiszpania znaczyła je tak samo mocno jak konfesjonały, choć ich noga w nich nie powstała po przeprowadzce do nowego miasta. „Paryż wart jest mszy”. No właśnie. Nie było sensu już na żadną chodzić, skoro miały Ewangelię u stóp, na fasadach domów, na ulicach, w kawiarniach i bramach.

Dwie Hiszpanki w Paryżu próbowały żyć bardziej rozpustnie od samych Francuzek. Nie udało im się jednak ani osiągnąć takiego stopnia rozpasania, o jakim marzyły, ani przerwać nitki łączącej je z przeszłością, z ojczystą ziemią. Ucieczka to nic więcej jak przeprowadzka problemów w inne miejsce.

– Sam pan widzi, panie Dominique’u, że pisane nam było wspólne życie. Z dała od tamtego miejsca – nigdy nie mogła wymówić słowa „Hiszpania” – miałyśmy ułożyć sobie życie tutaj, w Paryżu. Nigdy nie wróciłyśmy dzięki temu towarzystwu, codziennemu i przez długie lata... A teraz śmierć.

– Dlaczego tak mówisz, Tilde?

– Bo tak. Życie jest do dupy.

– Nigdy nie słyszałem, żebyś się tak wyrażała.

– Zawsze jest ten pierwszy raz. Mam powtórzyć?

– Jeśli ma to pani ulżyć...

– Nie, to żadna ulga. Proszę dać mi jakiś kwiat. Duszę się.

– Proszę – odparł, podając jej szklankę wody.

– Dziękuję panu. A kwiatek?

Dominique zamknął oczy, żeby powstrzymać śmiech, i zapytał:

– A po co pani kwiat?

– Do powąchania.

– W takim razie... – wybrał jeden i wręczył jej. – Nie zaprzętałbym już sobie głowy tą sprawą. Violeta do niej poszła, popyta dozorcę, dowie się co i jak, i wróci, najpewniej z Mercedes. Zresztą, kto wie! Może siedzi gdzieś w kawiarni i zajmuje się swoimi sprawami.

– Ale jej sprawy to ja.

– Proszę nie być egoistką. Wszyscy potrzebujemy czasem chwili odpoczynku.

– Mój Boże, nic pan nie zrozumiał. Czasem mam wrażenie, że mężczyźni jednak za bardzo różnią się od kobiet. Albo jedno z nas jest głupie... A to nie chcę

być ja. Po co miałyby siedzieć teraz w kawiarni? Pan też powiedział, że się o nią martwi, kiedy przyszedłam, mówił, że właśnie o niej rozmawialiście... Że jej wam brakowało... Że... zawsze wpada o tej porze.

– Tak, to prawda. Ale powinniśmy zachować spokój.

Był jeden z tych jesiennych dni, kiedy co jakiś czas przez chmury przebija się na chwilę promyk słońca. Jak prezent. W centrum roilo się od ludzi, zarówno turystów, jak i mieszkańców, którzy spacerowali nieśpiesznie i przystawali z ciekawości przed wystawą sklepiku z kwiatami. „Tylu ludzi w płaszczach” – pomyślała. Może rzeczywiście nadeszła pora, żeby przycupnąć przy jednym z grzejników wystawianych już do ogródków przez niektóre knajpki i zamówić kawę z mlekiem. Prawdę mówiąc, na to Violeta miała największą ochotę: spędzić tak cały poranek, wypełnić godziny. W miarę jak zbliżała się do mieszkania przy rue Visconti, gdzie mieszkała doña Mercedes, zwolniła kroku, aż posuwała się w tempie idącej przed nią pod ramię starszej pary. Mówiła sobie, że nie chce szukać w nich swojego odbicia ani wyobrazić sobie siebie pod rękę z Pabłem, że to wszystko już przeszłość. Może ona i on spacerowali w jej wyobraźni, nie w rzeczywistości. Dlatego postanowiła ich wyprzedzić. Nie mogła się jednak powstrzymać przed obejrzeniem się na ich twarze – zobaczyła je dokładnie. Dwoje szczęśliwych staruszków z torbą pełną owoców. Mężczyzna uśmiechnął się do niej czule w melancholijnym pozdrowieniu, jakim starsze osoby często obdarzają młodzież. Viole zmusiła się do uśmiechu, żeby powstrzymać łzy, i złapała się za brzuch. Była bliska odwrócenia się do nich i zapytania: „Jak? Jak można osiągnąć to, co macie?”. Ale szła dalej przed siebie i zatrzymała się dopiero przed witryną ze starymi obrazami – sklep sprzedawał też antyki. Spojrzała na złoconą ramę ozdobioną drewnianą kokardą, której wstęgi spływały falami po obu stronach: szczyt barokowej tandety. W środku zobaczyła siebie. Swoją zapłakaną twarz.

Płacz przychodził jej łatwo. Miała powody.

Ukryła łzy pod grzywką, spuściła wzrok.

Często śniła o wieży Eiffla, że wchodzi po schodach z zawiązanymi oczami, dociera na sam szczyt, gdzie wszystko jest fotografią, przyczają się cicho w kącie, przez nikogo niezauważona, zdejmując opaskę... Śniła o tym, że skacze. Potem jadła obiad na brzegu Sekwany. Jechała na motorze wśród grobów Montparnasse'u, nie zwracając na nic uwagi. Wybierała, gdzie będzie spać.

Otarła oczy.

– Pablo, naprawdę musiałeś mnie okłamać? I to w taki sposób?

– Taki już jestem.

– Co to za odpowiedź? Wszyscy jesteśmy tacy. Każdy jakiś jest.

– No dobrze, po prostu nie miałem ochoty na wymówki i tłumaczenia. Więc sama widzisz. Kolejny powód, dla którego lepiej ci będzie beze mnie.

– Cóż za określona droga, żeby powiedzieć, że tak naprawdę to tobie będzie

lepiej beze mnie.

– Niech będzie.

– Niech nie będzie. Żegnaj.

Pablo wybuchnął śmiechem.

– Co cię tak bawi?

– Twój sposób mówienia.

Kiedy staruszkowie weszli do jednej z bram, Violeta zanurzyła twarz w dłoniach. Czowała gwałtowne bicie serca, dokładnie tak jak tamtego dnia.

*

W odległości tysiąca dwustu pięćdziesięciu czterech kilometrów (drogą lądową) rodzice Violety czytali list od córki.

Kochani Mamo i Tato!

U mnie wszystko w porządku, mieszkam w Paryżu z dwiema koleżankami. Znalazłam pracę i mieszkanie w uroczej dzielnicy, bardzo mi się tu podoba. Wygląda dokładnie tak, jak w tych filmach, które Mama tak lubi oglądać. Jest tu wszystko: bar, apteka, targ, kawiarnia, no i do pracy mam blisko. Nie macie się więc czym martwić. Piszę do Was z ogródka przed restauracją – koleżanki zaprosiły mnie na obiad, a potem jedziemy na wycieczkę do domku na wsi innej znajomej. Podobno jest tam przepięknie. Mówią, że to typowa francuska wioska, z upstrzoną mostkami rzeką i domami po obu jej stronach. A my zatrzymamy się w jednym z nich. Bardzo się cieszę na tę wycieczkę. Będę robiła dużo zdjęć, żeby Wam pokazać, kiedy się spotkamy.

Naprawdę, nie przejmujcie się mną, mam się świetnie. Tata miał rację: trzeba dorosnąć i zacząć samodzielnie podejmować decyzje. Postanowiłam więc pomieszkać tu jakiś czas. Będę do Was pisać. Wydaje mi się to miłsze niż rozmowy przez telefon, w których będziemy tylko powtarzać to, co już powiedzieliśmy sobie we wzburzeniu po mojej decyzji.

Kocham Was. Będę się odzywać.

Wasza córka Viole

PS Życie stało się bardzo emocjonujące.

*

Julien, lat siedemdziesiąt osiem, od samego początku istnienia budynku doñi Mercedes pracuje tu jako dozorca. To przesympatyczny typ. Zbiera znaczki, ale nie odkleja ich od kopert, bo chce widzieć adresy, pod które miały trafić. Lubi analizować charakter pisma i wyobrażać sobie, co chcieli wyrazić w liście pan Boyne, Martin-Lugand czy mademoiselle Berti. W domu towarzystwa dotrzymują mu wypchane wiewiórki – kiedy ich dotyka, wydaje mu się, że żyją. Jest korpulentny i zawsze ma wypieki na twarzy. Raz wybrał się nad morze i do tej pory trzyma muszle z tamtej wyprawy. Gdy zbliża je do ucha, zdaje się słyszeć głos matki wołającej za nim: „Julien, Julien... Obiad!”. Zwykle wstaje o świcie,

siada z papierosem na wewnętrznym dziedzińcu i obserwuje okna. Kiedy w którymś zapala się światło, wyobraża sobie, że jeden z mieszkańców cierpi na bezsenność albo ból głowy. To o tej porze najbardziej lubi wymyślać opowiadania, spisywane po powrocie do domu. To bajki dla dzieci, ale nigdy ich nie wyda, bo uważa, że bajki powinni publikować tylko ci, którzy sami mają dzieci. Dobrze mu samemu. Chociaż zawsze przy powitaniu uśmiecha się uprzejmie do doñi Mercedes. Owszem, darzy ją szczególną estymą, którą przewyższa jedynie jego miłość do roślin porastających ścianę. Podlewa je wężem, ściskając go lekko, by zmniejszyć ciśnienie wody i jak najbardziej upodobnić strumień do deszczu. Nie śpi długo i budzi się jeszcze przed wschodem słońca, żeby p olać też wąski chodnik przy rue Visconti.

– Co się stało? Kogo pani szuka?

– Mam na imię Violeta, jestem kwiaciarką ze sklepu pana Dominique’a Brulégo. – Sama siebie zdziwiła, kiedy nazwała się kwiaciarką, ale mówiła dalej, w tonie protokołu policyjnego. – On jest tam teraz razem z Tilde, przyjaciółką doñi Mercedes. Prosił, żebym tu przyszła, szukamy jej. Od kilku godzin nie wiemy, co się z nią dzieje.

– Ale przecież... Rano wyszła na spacer. Jak zawsze.

– Bardzo się martwimy.

– Rozumiem. Nie wiem, co powiedzieć... Wiem tyle, że rano wyszła z domu, jak co dzień. Zaraz, niech pomyślę...

– Przypomina pan sobie coś szczególnego?

– To bardzo dobrze wychowana kobieta. Całe życie tu mieszka, niczym nie różni się od innych Francuzek z dzielnicy. To pani rodzina? Z Hiszpanii?

– Ach, nie! To znajoma z kwiaciarni. A raczej znajoma pana Dominique’a. Może go pan zna?

– Nie miałem przyjemności, ale wiem, o kim mowa.

– Przyszłam się czegoś dowiedzieć. To on podał mi adres, a tymczasem uspokaja Matilde, jej przyjaciółkę.

– No cóż, nie rozumiem... Nic nie zwróciło mojej uwagi, nie potrafię pani pomóc. Chociaż...

– Tak?

– Może wyda się to pani bzdurą, ale... Bardzo się dziś wyszykowała.

– Wszykowała?

– Jak w niedzielę. Pani Mercedes w niedzielę ubiera się zwykle na kolorowo, a dziś... nie jest niedziela. No i...

– Tak?

– Teraz sobie przypominam, że chyba nie miała żadnej torby ani siatki na zakupy. W rękę trzymała za to starą książkę.

– Książkę? Jaką książkę? Do kwiaciarni przychodzi zwykle z gazetą, nigdy

nie widziałam jej z książką. Chociaż, prawdę mówiąc, jestem w Paryżu od niedawna.

– Ma pani rację. Nigdy mi żadnej nie poleciła, nie przypominam też sobie, żebyśmy kiedykolwiek poruszyli ten temat, odkąd tu mieszkamy. To znaczy, odkąd ona tu mieszka, a ja jestem dozorcą. Między starszymi ludźmi tworzy się więź, ale nigdy nie rozmawialiśmy o literaturze. Gawędzimy sobie o pogodzie, roślinach, moich wiewiórkach... Chce je pani zobaczyć?

– Nie, nie trzeba.

– Rozmawiamy o cenach owoców, o tym, co trzeba zrobić w budynku, o...

– Dziękuję, bardzo panu dziękuję.

– Dziękuję pani? Teraz to ja się martwię. Nigdy jeszcze nie stało się tu nic złego, nie mieliśmy w budynku żadnych nieprzyjemnych sytuacji...

– Jeśli tylko się czegoś dowiem, dam panu znać – obiecała Violeta i uściśnęła dłonie Julienu.

– Ja też będę jej wyglądał, a jeśli się pojawi, natychmiast skontaktuję się z kwiaciarnią. Poszukam telefonu. Albo nawet lepiej, przyjdę. Jesteśmy sąsiadami.

– Rzeczywiście. To bardzo miłe z pana strony. A jeśli wróci, to proszę jej nie mówić, że się martwiliśmy.

– Nie ma sprawy, młoda damo.

Godzinę później nadal nic nie wiedzieli.

*

Poruszałam się niczym duch, nerwowo, bo nie wiedziałam dobrze, co robić ani jak się zachować.

Jak to możliwe, że ta jesień zdawała mi się wiosną?

Zostawiłam dom wysprzątany, bez kwiatów, ale tak było lepiej: gdybym zajrzała do kwiaciarni, nie udałoby mi się ukryć niepokoju. Tilde zapytałaby, co się dzieje. Dominique, jak to on, domyśliłby się mojego nastroju, a Violeta podczepiłaby się pod tych dwoje, udając niewiedzę. Przez całą noc przewracałam się z boku na bok. W nogach spał mój pies staruszek, nieświadomy mojego lęku. A tymczasem w moim sercu kipiało jak z rozgrzanego czajnika – kilka razy musiałam wstać, żeby uspokoić nerwy objawiające się atakami astmy.

Żeby zwalczyć zawroty głowy, zaczęłam palić. Nie zrobiło mi to najlepiej na astmę. Policzyłam kafelki na podłodze, posprzątałam w szufladach, kilka razy ubrałam się i rozebrałam.

Uczyliłam swoje życie spokojnym spacerem, ale tego dnia czekał mnie ostateczny bilans tysięcy dni.

*

– Zapomnijmy o śmierci – powiedział łagodnie Dominique do Matilde.

„Oczywiście, że zapomnę” – pomyślała. W tym Paryżu turystów, którzy codziennie otwierali drzwi sklepu, żeby z zachwytem podziwiać raj ożywionych

kwiatów stworzony przez Brulégo. Bała się, że straci zimną krew – o ile jeszcze została jej choć kropla – i wybuchnie płaczem w obliczu nieuchronnej samotności starej, opuszczonej emigrantki.

– Nie lubi pani psów? Dobrze by pani zrobił.

Matilde i Dominique spojrzeli na siebie jak dwoje nieznajomych. Jakby żadne nie zrozumiało intencji drugiego.

– Co chce pan przez to powiedzieć? Mam zastąpić przyjaciółkę psem?

– Proszę zapomnieć o psie – odparł Dominique tym samym tonem co wcześniej.

– Zapomnę.

Kwiaciarz dotknął czoła dłonią.

– Przecież Mercedes ma w domu psa, starego jak my obie. Boże! O czym ja w ogóle mówię. Nadal nie wiemy, co się z nią dzieje, a jak tak dalej pójdzie, prawdopodobnie trzeba będzie znaleźć nowy dom biednemu zwierzakowi, o ile wcześniej nie zdechnie. Biedaczek.

– Proszę się nie martwić. Może zamieszkać tutaj, jeśli jego pani się nie pojawi.

– Sam pan widzi. Pan też nie wierzy, że wróci. – Zaciśnęła dłonie w pięści.

– Nie, po prostu szukam ewentualnych rozwiązań. Jestem do dyspozycji pani, jej i psa. Jestem nawet do dyspozycji kwiatów. I Violety, jeśli o to poprosi.

– Violety? – powtórzyła i podniosła głowę. – To bardzo uczynna dziewczyna. Wyszła już jakiś czas temu i po niej też słuch zaginął. Może jest w szpitalu albo składa zawiadomienie na policji? Powinniśmy chyba do niej zadzwonić. Da się to zrobić? Młodzi teraz są na okrągło przyssani do telefonów. A do domu Mercedes nie jest znowu tak daleko, powinna już dawno wrócić. Nawet jeśli sama.

– Spokojnie, pani Tilde – powiedział Dominique i podszedł bliżej. – To dziwne, ale na pewno jest jakieś wytłumaczenie.

– Mamy swoje stałe zwyczaje.

– Zwyczaje też się czasem zmieniają.

– Ale nie aż tak.

– Myślę, że nie jest jedyna, która od czasu przybycia do Paryża postanowiła coś zmienić.

– Coś mi pan insynuuje? Czy to jakaś aluzja do Mercedes?

Dominique Brulé już sam nie wiedział, co odpowiedzieć. Jakiej rady może jej udzielić? Jemu też przemknęły przez głowę wszystkie możliwe scenariusze. Z ciężkim sercem wyobraził sobie, jak układa dla tej kobiety zupełnie inny bukiet niż ten przygotowywany co tydzień, który wstawiała do wazonika na stoliku pod oknem z widokiem na dachy miasta. Jeszcze trudniej przychodziło mu pogodzić się z myślą, że mogą skończyć się plotki o Paryżu Gainsbourga, śniadania

z herbatnikami, wspomnienia młodości, wspólne winy, równoległe samotności... Dokładnie to, co najlepsze w ich życiu. Jeśli mogli, ucinali sobie pogawędkę. Jeśli nie, tylko się pozdrawiali. Dominique Brulé obiecał sobie już nigdy nie stracić osoby, do której poczuje coś szczególnego. Kwaciarnia była obietnicą życia, a poczucie bezpieczeństwa, jakie dawało mu wspomnienie Julie, przynosiło też spokój. L'Étoile Manquante to ubezpieczenie na życie. Nie może zawieść.

Nic nie może zawieść.

Nic nie powinno zawieść.

Nie Mercedes.

W powietrzu wyraźnie wyczuwało się niepewność, a on nie chciał, żeby atmosfera szczęścia, stanowiąca fundament L'Étoile, uleciała niczym zwiędłe liście.

Dominique otworzył drzwi, żeby kwiaty mogły odetchnąć, tak jak w opowieści babci – „Kwiaty można kochać na wiele sposobów”, widniało na pierwszej stronie Grandville'a. „Ludzi można kochać na wiele sposobów” – pomyślał Dominique.

Kilka suchych liści zaplątało mu się pod nogi. Patrzył, jak na ulicy zapalają się pierwsze światła.

Jak szybko robi się ciemno w listopadzie.

– Jak szybko robi się ciemno w listopadzie! – A potem ciszej, niemal niesłyszalnie, dodał: – Mam wrażenie, że w to Boże Narodzenie wszystko się zmieni. Kwiaty zdają się do mnie mówić.

Nastała cisza. Matilde zapatrzyła się na róże, jakby i do niej miały przemówić.

– Czemu pan o tym mówi? To dopiero za kilka tygodni. Jeszcze nawet nie ma jemioly. Niech pan pozwoli życiu wolno się toczyć, nigdzie nam się nie śpieszy. Po co jeszcze bardziej się starzeć?

– Jeszcze bardziej?

Matilde – w tym stanie nie pasowało do niej „Tilde” – wzruszyła ramionami i uniosła brwi, upodabniając się do smutnego klauna. Nie odpowiedziała.

– Wiem, że to może się wydawać szaleństwem – przyznał Brulé, żeby uspokoić znajomą. – Ale pojawienie się Violety to dar od niebios. Kto by pomyślał, że taka młoda dziewczyna przejmie się losem naszej Mercedes. Tymczasem wzięła sprawy w swoje ręce, kiedy zobaczyła nas w takim stanie. Sama pani widziała, jak wybiegła...

– Taka młoda... – Matilde ściszyła głos. – Świetnie zdaję sobie z tego sprawę. Ma mniej lat, a za to więcej zapału. Też pognałabym na ratunek, gdyby nogi nie odmawiały mi posłuszeństwa, ale sam pan widzi, co z moimi kolanami. A nie dam się zoperować. Zwykle nie kończy się to dobrze. Operują raz, drugi, i nigdy w pełni skutecznie. Szkoda im pieniędzy i wysiłku na ludzi w naszym

wieku.

- Violeta to dobra dziewczyna.
- W ciąży. Samotna. To takie smutne.

Tym razem to Dominique zamilkł. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się odpowiedzieć.

– To nie jest smutna dziewczyna. Raczej przytłoczona przez życie. Trudno to wyrazić. Zaczęła wreszcie żyć.

– Zbyt prędko, po co to? Taka ładna i już po wszystkim.

– Owszem, i...? – Brulé usiadł obok Tilde i pogładził płatki róży, które w kontakcie z palcami stawały się przezroczyste.

– Przypomina mi Jane Birkin. Jest piękna, ale unosi się też wokół niej aura smutku. To się nie skończy dobrze, to nie może się dobrze skończyć... Ja byłabym szczęśliwa na jej miejscu, w jej stanie, ale sam pan wie. Życie nie dało mi zaznać macierzyństwa, pozostałam jałowa. Gdybym tylko miała szansę... Z perspektywy lat wyobrażam sobie siebie wtedy, gdy byłam taka jak ona, tak promienna, tak radosna, tak pełna, tak... płodna. A teraz – sam pan widzi. Przekwitła róża. Liczę już tylko na to, że dni, które mi pozostały, spędzę razem z przyjaciółką. Ona też pragnęła zostać matką, uwielbiałyśmy szyć śliniaczki i buciki dla niemowląt. Ale zdałyśmy sobie sprawę, że szyjemy je, jakby miały być dla nas, a im więcej ich robiłyśmy, tym bardziej czułyśmy się jałowe. Błędne koło. Mercedes zawsze tak o tym mówiła: błędne koło, spirala, paradoks, ale... Gadam tak, żeby gadać.

Urwała. Zorientowała się, że zbyt wiele mówi na głos. Spojrzała na swoje dłonie i zobaczyła mapę linii i zmarszczek. Nie odróżniłaby ich od siebie nawet chiromantka. A zresztą, po co poznawać przyszłość, kiedy tak wiele się już przeszło.

Brulé również zamilkł.

Tilde potrząsnęła głową i kwiaciarz dobrze wiedział, na co odpowiada tym gestem.

– Chce mi pani pomóc z bukietami? – zaproponował. – Co za dziwny dzień. Minęło już tyle godzin, a nie pojawił się prawie żaden klient. Chyba odstrasza ich ta cisza. Co pani na to, że ja zabiorę się do oczyszczania łodyg, a pani przygotuje celofan i wstążki? Może tak być?

– Oczywiście. Bardzo lubię kwiaty. Jak mogłabym ich nie lubić? Prawda?

Brulé zerknął na zegarek. Wybiła już szósta po południu. Przez kilka zaledwie godzin pojawiło się wiele pytań na temat sąsiadki i zbyt wiele odpowiedzi. Do jakich wspomnień mógł się uciec, żeby uczynić oczekiwanie lżejszym?

– Dzień dobry.

Dozorca Julien zostawił budynek bez opieki i zjawił się w kwiaciarni. Gdy tylko Violeta zniknęła za bramą, przyśpieszył pracę, żeby szybciej skończyć

i przyjść się czegoś dowiedzieć.

– Dzień dobry, panie Julienie.

Kiedy tylko Matilde go rozpoznała, podniosła się z krzesła.

– To pan Julien – powiedziała, wskazując mężczyznę – dozorca doña Mercedes spod numeru 14 przy Visconti. Ma pan jakieś wieści?

– Przykro mi, sam w tym celu tu przyszedłem. Chciałem z państwem porozmawiać i dowiedzieć się, czy coś wiadomo.

– Była tam wcześniej taka dziewczyna? – zapytała Tilde. – Wysłaliśmy ją na poszukiwania, ale... Z tego, co widzę, długo jej schodzi. Nie przyszła z panem?

– Jestem sam. Owszem, pojawiła się. Wypytywała o wszystko, ale uznałem, że powinienem powiedzieć jej jak najmniej. Nie znam jej.

– Co pan ma na myśli? – spytał Brulé. – Proszę bliżej. Powinniśmy coś wiedzieć...?

– Tak.

– Wiedziała!

Dominique podtrzymał Tilde, żeby się nie przewróciła, i zmusił ją, żeby z nim usiadła. Julien też usiadł.

– To było tak: przyszła ta dziewczyna, ja właśnie sprzątałem w bramie, i zapytała o nią. O Mercedes. Nie znam jej, ale ze względu na jej stan zaufałem jej...

– Tak, jest w ciąży – potwierdziła Matilde.

– Pracuje tutaj – dodał Dominique.

– Już mówię. Doña Mercedes od kilku dni była podenerwowana, dziwna.

– No cóż... Jeśli podejrzewa pan, że coś mogło jej się stać, to my też. Nie pojawiła się od rana, a zawsze się tu spotykamy.

– Właśnie.

– Proszę mówić dalej.

– Jest coś jeszcze.

– Jak to? – Wbrew sobie Matilde podniosła głos. – Coś jeszcze?

– Doña Mercedes często nie śpi nocą, ze stróżówki widzę, że się u niej świeci. Myślę, że czyta.

– Czyta?

– Właśnie.

– Ona jest raczej z tych, co myślą, niż co czytają... Co pan o tym sądzi, panie Dominique'u? – spytała Matilde.

– Przecież to nic dziwnego. Może cierpi na bezsenność i próbuje z nią walczyć za pomocą jakiejś książki. Nic szczególnego.

– W pewnym sensie tak.

– Nie, nie, nie. Doña Mercedes czyta listy – uściślił dozorca.

– Listy?

Tilde skamieniała. Dominique spojrzał Julienowi w oczy. Zamyślił się, a potem powiedział:

– Ale to też... normalne. Czym tu się niepokoić? Spokojnie, moi drodzy, to nic strasznego dostawać listy. Chyba że wie pan coś jeszcze?

– Na to wygląda. – Odchrząknął.

– To normalne listy?

– Przyszły wszystkie jednocześnie. Nie, wróć. Najpierw przyszedł jeden, wręczyłem go pani Mercedes. Poszła na górę, chyba wracała z zakupów i nie miała czasu dobrze mu się przyjrzeć. Wiem tylko, że się zdziwiła i wrzuciła go razem z kluczami do torebki.

– No dobrze, jeden list... Co dalej?

– Ma zwyczaj codziennie zaglądać do skrzynki, od lat czeka na pocztę, ale dostaje tylko to co wszyscy: rachunki i ulotki. Nic niezwykłego.

– Tak.

– Ale tym razem to był porządny list. Ze znaczkiem. Zwracam na to uwagę, bo zbieram znaczki. Zbieram też wypchane wiewiórki... Ale nieważne. Dlatego to zauważyłem. Poprosiłem nawet o kopertę, żebym mógł wyciąć znaczek.

– Czyli to był list z zagranicy, z obcym znaczkiem?

– Tak.

– Wspominał pan, że przyszło coś jeszcze.

– Po tym pierwszym liście dostała paczkę. Również ze znaczkami.

– Niechże się pan już odczepi od tej filatelistyki! – nie wytrzymała Tilde. – Proszę mówić dalej. Wie pan, co się z nią dzieje?

– I z Violetą? – dodał Dominique.

Violeta energicznie skręciła w bulwar Saint-Germain, po chwili wahania na rogu Saint-André des Arts. Lubiła to miejsce i uznała, że doña Mercedes może mieć podobny gust. Z jednej strony powinna jej się udzielać ta skłonność Hiszpanów do odwiedzania tych samych miejsc, ale z drugiej pomyślała, że to ona była tu nowa, a Mercedes przez te lata stała się już Francuzką, z własnymi upodobaniami wynikającymi też z wieku i charakteru. Na ulicach było pusto, jak zawsze w te popołudnia, kiedy wydaje się, że wszyscy marzną na dworze i wolą przycupnąć w restauracji nad filiżanką bulionu. Rozglądała się po ławkach i wystawach z tym samym niepokojem i zaciekawieniem, które towarzyszyły jej już od wielu godzin. Zatrzymała się przed kawiarnią, bo zdawało jej się, że dostrzegła znajomy płaszcz. Niestety. To nie ona. Ruszyła dalej. Przeglądając się w kolejnych szybach wystawowych, zdała sobie sprawę, że jej brzuch nie jest już małą wypukłością, którą dało się ukryć pod luźnym swetrem – robił się coraz bardziej konkretny i odbierał jej krokom sprężystość. Była zwykłą studentką. Emigrantką. I w dodatku we Francji. Dzieci biorą się z Paryża? Ona je tam przywozła. Dominique bardzo jej pomagał i czuła, że ma wobec niego dług

wdzięczności, za dobroduszne, życzliwe gesty, które czyniły jej życie bardziej znośnym. Wszystkie te drobiazgi przywracały jej wiarę w ludzi i w mężczyzn.

Mżyło.

„Mama cię kocha, wracaj do domu” – pomyślała, jakby usłyszała z Madrytu krzyki nawołujące ją do powrotu. „Nie”. To właśnie tego popołudnia dotarło do niej z całą mocą, że nie. Wątpliwości to najgorsze towarzyski podróży, a podczas tych poszukiwań w zasadzie nieznanym kobiecie, których podjęła się, by pomóc innym niemal nieznanym, zrozumiała, że i ona jest tu nieznaną. „Zostawiłaś sobie otwarte drzwi, Violeto”. „Nie, nie wrócę”. Jej uszu dobiegł głos mówiący coś po hiszpańsku, słyszała dźwięk zamykanych drzwi samochodu, ryk silników na ulicy, skrzypienie gałęzi drzew nad głową i stłumione pogawędki z jakiejś kawiarni. Kelner zaprosił ją do stolika. Przecząco pokręciła głową. Próbowwała skupić się na odnalezieniu Mercedes, ale zamiast tego poszukiwała samej siebie. Czego nie wiemy o innych? A o sobie samych?

Przez kilka sekund zapach perfum zaginionej Mercedes zdawał się unosić tuż obok. Przypomnił jej o pocałunku, którym powitała ją pierwszego dnia w kwaciarni. Woń stłumiła nawet aromat kwiatów. A potem odwróciła się w stronę sklepu.

„Myślisz, że wrócisz?”. „Nie, jeszcze nie wrócę”. Tak sobie mówiła.

Coś ją intrygowało. Mercedes sprawiała wrażenie zwyczajnej kobiety, Hiszpanki, która przejęła francuskie zwyczaje, nie zapominając przy tym o swoich korzeniach. Emigrantki z przymusu, ale z upływem czasu pogodzonej z losem, która nie powinna skrywać nic oprócz nieprzyjemnych wspomnień. Dlaczego zniknęła? Czy w Paryżu znikanie to coś normalnego? Kogo szukała?

Kiedy zbliżyła się do drzwi butik, odkryła, że to stamtąd wydobywa się zapach perfum. W środku nie było nikogo poza dziewczyną w jej wieku – ekspedientka spryskiwała pustą przestrzeń, jakby rysowała w powietrzu. Nic z tego.

Ruszyła dalej Saint-Germain. Może powinna raczej skręcić w Saint-André albo przemknąć Dauphine aż do Quai des Grands Augustins. Gdy wyobrażamy sobie miasto z lotu ptaka, wszystko wydaje się łatwiejsze, jak mapa, prostsze, bliższe, szybsze. Wątpliwości prześladowały ją wraz z deszczem, coraz bardziej dokuczliwym. Zanosilo się na burzę.

W Paryżu ciągle pada.

„Kiedy jedziesz w podróż, zastanów się dobrze, co musisz ze sobą zabrać”. „Wiem, mam”. „Powiedz ojcu, że jedziesz, poproś o zgodę”. „Dobrze”. Otuliła się płaszczem i poczuła pewność, że postępuje słusznie. Nie była sama. To właśnie to. Pierwszy raz w życiu poczuła, że nareszcie nie jest sama. „Mam misję”. „Mam ciebie, tam w środku”.

Dlaczego Mercedes miałaby wybrać ten bulwar? Jeśli chciała się ukryć,

lepiej krążyć po zaułkach.

Jacyś studenci z Hiszpanii albo Włoch biegli bez parasoli w przeciwnym kierunku. Zawołali do niej: „Wiesz, którędy do metra?”. Po raz pierwszy udała, że nie rozumie. Nie była już turystką, miała ochotę uciec im i nie odpowiadać. Co za różnica? Teraz mieszkała tutaj i chciała zacząć wieść zwykłe, codzienne życie. A raczej, gwoli ścisłości, nowe, inne życie. Przypomniała jej się powieść *Sklep w Paryżu*, ale ani nie była Teresą, ani nie miała zamiaru badać niczyjej przeszłości. Wystarczyło jej, że zmieni własną przyszłość.

*

Zanim zostawiłam Julię w niebieskiej bramie domu przy rue Visconti, zauważyłam, że zmarszczył czoło przy pożegnaniu. Pośpiesznie wyszedł ze stróżówki ze swoim pękiem kluczy, dokładnie w chwili, gdy skręcałam w rue Bonaparte. Ale było w tym coś jeszcze. To dlatego nie wróciłam prosto do kwaciarni. Mercedes bez wątpienia coś ukrywała, więcej, niż podejrzewał dozorca. Stara książka brzmiała prawdopodobnie. Uznałam, że w całej tej historii to jedyny prawdziwy szczegół, który mógł mi się do czegoś przydać. Postanowiłam więc zdać się na intuicję. Ruszyłam w górę bulwaru, chłodnego jak zima wielkimi krokami nadciągająca nad Paryż. Pewnie dlatego, że na domiar złego ubrałam się zbyt lekko, a miałam za daleko do domu, żeby zajrzeć po jakiś szalik. Jestem zresztą pewna, że i tak żadnego nie spakowałam do swojego bagażu uciekinierki z Madrytu. Latarnie już się paliły i jak zwykle, gdy pada i tworzą się kałuże, widok przypominał mi o Bożym Narodzeniu.

Dobrze wiedziałam, dokąd poszła.

Nie pytaj mnie, skąd, narratorze.

Nie wiedziałam tylko, kogo ukrywa. Tak czy inaczej, ktoś na nią czekał. Próbowałam zrozumieć, co łączy tę grupkę złożoną z Dominique'a, Mercedes i Tilde. Najwyraźniej byli przyjaciółmi i znajomymi z dzielnicy, związanymi przez wspólne miejsce zamieszkania. Relacja pomiędzy stałym klientem a właścicielem kwaciarni, ożywiona rozmowa o codziennych sprawach i wspólnych bolączkach podeszłego wieku. Dominique i Mercedes odnosili się do siebie z szacunkiem i czułością, zachowywali się trochę jak małżeństwo albo jak wieczni nastolatkwie, którzy nigdy nie uczynili następnego kroku i nie zostali parą. Ale nie byli narzeczonymi, nic też nie zapowiadało, żeby miało się to zmienić. No i zawsze obecna Tilde. Matilde. Ta, która porównała mnie do Jane Birkin. Łączyła ją dość bliska więź z dołą Mercedes, wszędzie chodziły razem albo umawiały się w L'Étoile Manquante jako punkcie wyjścia. A czasem miejscu docelowym. Dotrzymywały sobie wzajemnie towarzysztwa i znały się tak dobrze, że żadna nie musiała nawet słuchać opinii drugiej. Obie zdawały się dźwigać na barkach jakiś żal. Być emigrantem, pozbawionym ojczyzny i marzeń, to być rzeką. Woda upływa tak jak życie. Powoli.

I tak mnie również dogoniło przeznaczenie. Zmęczona i rozkojarzona, zaczęłam rozmyślać nad imieniem dla mojego dziecka. Mojego dziecka? Po raz pierwszy użyłam tych słów. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak szybko mija życie; miałam metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, a w tym stanie wszystko wydawało mi się wyjątkowo wielkie.

Moje dziecko.

Poczułam lekki zawrót głowy i przyływ szczęścia na myśl o małym, które we mnie rośnie, i o życiu, jakie na mnie czekało. Poprzednie tygodnie nie były łatwe, a moje myśli wymykały się spod kontroli niczym zepsuta wirówka. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że gdybym została w Madrycie, wszystko skończyłoby się gorzej. Pokładałam nadzieję w odległości, w nowych niewygodach, w jedzeniu za dwoje, nawet w paskudnej pogodzie. Wszystko to z nawiązką rekompensował mi bowiem fakt, że wreszcie naprawdę żyję, jestem.

Dotknęłam brzucha i dokładniej owinęłam się płaszczem, pod który wciskało się zimne, wilgotne powietrze, przywiane tu znad Sekwany przez rue Saint-Jacques. Jaki ruch się nagle zrobił!

To tak, jakby wszystkie te samochody pojawiły się, żeby mnie oświecić. „Tym lepiej dla mnie”, pomyślałam. Czuję się mniej widoczna wśród masy pojazdów, które włączyły już reflektory, oświetlały mnie i tworzyły nastrój niczym z filmu akcji (tak lubię kalejdoskop świateł samochodowych w deszczu!). Krople deszczu, pisk opon, światła, klakson... Czasem najzwyklejsze rzeczy zdają się egzotyczne. Tej nocy, gdy przybyłam do Paryża, miałam to samo odczucie. Jakbym grała w filmie. Napisy początkowe. Muzyka, która zdaje się za mną podążać. Inny sposób chodzenia. Inna Violeta. Ale myliłam się, byłam tą samą osobą, tylko w innym miejscu, dokonałam jedynie przeprowadzki problemów.

Zobaczyłam ich, kiedy zbliżałam się do świateł.

Wygrzebałam drobne z kieszeni płaszcza i wymieniłam je na parasolkę zaoferowaną mi przez jakiegoś chłopaka. Rozłożyłam ją, uciekając się do dużo bardziej skomplikowanych manewrów, niż było to konieczne, pod markizą jednego z kiosków przy bulwarze.

Ramiona miałam już przemoczone, a dłonie zgrabiące z zimna. Rozważałam zakup jednego z tych byle jakich szalików sprzedawanych z pocztówkami i pamiątkami. Jednak w tej chwili zapaliło się zielone światło i przeszłam przez ulicę.

Mercedes weszła do księgarni Shakespeare and Company. Nie pocałowała na powitanie brodatego mężczyzny, który czekał na nią pod drzewem przy fontannie. Ucisnęli sobie tylko dłonie i wzajemnie obrzucili spojrzeniem trzymane w ręku książki. Jakby nie chcieli ujawnić swoich uczuć. Potem ona dotknęła czoła wierzchem dłoni. Nie potrafię odpowiedzieć na całą masę pytań, które zadawałam sobie w tamtej chwili.

Rozmyślałam nad imionami dla dziecka: Paul, Gérard, Pierre, Tristan, Jérôme czy Vincent. Wymyślałam kolejne. Wszystkie francuskie. Jakby w jakimś zakątku mojego mózgu umieszczono spis mieszkańców Paryża, żebym mogła się do niego już na zawsze dopisać. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że myślę tylko o imionach dla chłopca. Może Mireille? Sara? Nie. Musiałam odrzucić tę opcję. „Bycie kobietą jest skomplikowane” – pomyślałam, wspominając strach, który rozbierał mnie przez te ostatnie tygodnie, a nawet miesiące.

Podeszłam bliżej. Mogłam otworzyć drzwi i wejść. Wewnątrz nie brakowało ludzi, miałabym się jak ukryć. Ale powstrzymała mnie ostrożność. Czyż nie byłam w końcu obcą osobą, nową w mieście, dziewczyną z widowni, znajomą z drugiego rzędu? Owszem, w ostatnich zdarzeniach próżno by szukać normalności, ale właśnie dlatego należało zachować dyskrecję.

Spojrzałam ponad ramieniem jakiejś dziewczyny i upewniłam się, że weszli do środka. Wycofałam się. To idealne miejsce dla dwóch osób, które mają sobie coś do powiedzenia.

Zastanawiałam się, co powiem później Mercedes. I Dominique’owi. Nie wiedziałam, co dokładnie ich łączy. Tak czy inaczej, doña Mercedes weszła z jakimś brodaczem na piętro słynnej księgarni.

Za księżycem odbitym w witrynie, pod lampkami oświetlającymi zieloną fasadę, stałam z głową pełną pytań i parasolem, który zaczął się przy otwieraniu.

– Przepraszam, uderzyłam pana?

Mężczyzna skinął głową.

– Przepraszam.

– Poświęci mi pani chwilę?

– Słucham?

– Chodzi o zdjęcie.

Wybuchnęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. Poczulałam wielką ulgę, że nie zdzierałam parasolem kolejnego nieznanego.

Jako jedyna nie robiłam sobie zdjęcia pod drzwiami, ale wszystkim przeszkadzałam. Miotalam się wte i wewte, jakbym uciekała przed rojem pszczół. Stałam w samym środku grupki studentów z Anglii i czułam, że łapię się na wszystkie fotografie, jak na tych popularnych okładkach książek z kobietą odwróconą plecami. Czy to nie oczywiste? To znaczy, że spoglądają na horyzont. Ja też w tej chwili uciekałam.

Podeszłam do wystawy, żeby przyjrzeć się książkom skąpanym w żółtawym świetle, i poczułam, że ktoś całuje mnie w szyję.

Tak. Poczulałam pocałunek (tylko ulotne wrażenie) i oparłam czoło o lodowatą szybę, żeby nie upaść. Pablo śmiał się ze mnie, kiedy się wzdrygałam i prosiłam, żeby nie łaskotał mnie trzydniowym zarostem, bo choć lubiłam jego pieszczoty i poczucie bezpieczeństwa, kiedy obejmował mnie ramionami, to nie

przepadałam za nagłymi pocałunkami. „Łaskoczesz mnie, Pablo”. „Przestań”. Dotknęłam dłonią szyi, sprawdzając, czy czuć jeszcze ciepło tamtych dni, ale nie. Nic. Ciepło ulatuje. Dawne ciepło nic nie daje. Nie chroni. Nie otula. Z braku chusteczki musiałam otrzeć łzy skrajem rękawa. Za mną nie było Pabla, tylko studenci pstrykający zdjęcia.

– Przepraszam.

– Tak? – zapytałam.

– Może nam pani zrobić zdjęcie?

To był znak.

Dokładnie w tej chwili Mercedes wyszła z księgarni z brodatym mężczyzną. Zrobiłam zdjęcie tamtej parze, ukryta za aparatem, i pośpiesznie weszłam do środka. W przejściach pomiędzy regałami tłoczyli się bibliofile, krążyli między zakamarkami sklepu niczym leukocyty w krwiobiegu. Poczułam lepki pot na ramionach i brzuchu. W drodze do wyjścia złapałam jakąś książkę, zapłaciłam i wyszłam, po czym głęboko odetchnęłam zapachem skąpanego w deszczu Paryża.

Na zewnątrz, pod zielonymi drzwiami Shakespeare’a, nie było już tłumu, w którym mogłabym się schronić. Ale nie musiałam, bo po nich też nie został nawet ślad.

Nagle usłyszałam muzykę z pobliskiego baru.

Wypatrzyłam wolny stolik w Le Petit Châtelet, gdzie kilka dni wcześniej rozmawialiśmy z Dominikiem.

Poszłam w tamtą stronę, ciągnąc za sobą zepsuty parasol.

– Poproszę kawę z gorącym mlekiem.

– Coś do jedzenia?

– Nie, chcę tylko przeczekać.

Zastanawiałam się, czy powiem jej następnego dnia: „Mercedes, widziałam cię wczoraj wieczorem z jakimś brodatym mężczyzną w księgarni Shakespeare and Company. Przypadkiem przechodziłam akurat obok, padało, więc schroniłam się przed deszczem. Nie podeszłam, bo... ludzie robili sobie zdjęcia, a ja szukałam parasola”. I drugi plan: co powiedzieć Dominique’owi i Tilde, którzy na pewno, mimo późnej pory, wciąż czekali na wieści. W sumie Mercedes mignęła mi tylko z jakimś brodaczem. Koniec. Nic więcej. Po zmartwieniu. Żadnego porwania czy uprowadzenia. Wiadomo tyle, że ma jakąś tajemnicę, i nic więcej, jak to z tajemnicami bywa.

– Proszę, kawa z mlekiem.

Kelner wyrósł jak spod ziemi i postawił gorącą filiżankę na stoliku. Nie ten co poprzednio. Dźwięk jego głosu przeniósł mnie do Madrytu. „Psiakrew, Pablo, psiakrew”. Kiedy chłopak wrócił do środka, wybuchnęłam płaczem.

Zobowiązałam się znaleźć tamtą kobietę, a zagubiłam się, szukając samej siebie.

Kiedy zmęczona Violeta Gadea dotarła w końcu do kwiaciarni, powiedziała, że nie może nic zdradzić, ale że Mercedes ma się dobrze, więc mogą być spokojni. Na jej twarzy nie było śladu zmartwienia.

– Widziałam ją, nie pytajcie o nic więcej. Myślę, że wieczór spędzi w domu. To jej sprawy – wyjaśniła.

To jednak nie wystarczyło Tilde, która wciąż żądała „dowodów”.

– Proszę mi wierzyć, wszystko z nią w porządku. Myślę, że po prostu nie miała dziś ochoty tu przychodzić i znalazła sobie lepsze zajęcie. Jest dorosła.

– Mnie tego nie musisz tłumaczyć. Pewnie, że jest dorosła, ale ja też, i nie mogę tego tak zostawić.

– Więcej jutro. Poszłam, zobaczyłam, wróciłam.

– Ale... Co ci powiedziała?

– Nic, bo ja też się do niej nie odezwałam.

– Była z kimś? – wyjąkała.

Odpowiedziała jej cisza i Tilde zrozumiała, że nie ma sensu o nic pytać. Wstała, wyrzała przez witrynę na deszcz, który już tylko lekko siąpił, i oznajmiła, że idzie do domu.

– Jestem zmęczona. Jeszcze porozmawiamy.

Dominique i Violeta zostali, żeby zamknąć kwiaciarnię. We dwoje, sami, bez zdradzania sekretów, jakby rozumieli się w półmroku i w pół słowa. Jakby on nie chciał wyciągać z niej tego, o czym nie chciała mówić. Dlaczego zdawało mu się, że zaczyna go przypominać? Do jakiego stopnia nie znamy innych ludzi? Dziewczyna poradziła sobie z problemem zaginięcia ze zręcznością i zdecydowaniem chirurga, udzielając dokładnie tylu informacji, ilu potrzebowali przyjaciele, bez wielkich scen, bez budzenia podejrzeń i nieufności.

Nieczęsto zdarzało mu się mieć do czynienia z ludźmi takimi jak on.

Pracowali w milczeniu.

Jakże pięknie wyglądała kwiaciarnia o zmroku, kiedy światła ulicy wciskały się między kwiaty, a widziany od tyłu napis rzucał osobliwy cień na podłogę: L'ÉTOILE MANQUANTE w kształcie półksiężyca.

Zaproponował, żeby weszła z nim na górę, ale Violeta się zawahała.

– Ma pani ochotę na gorącą herbatę, Violeto?

Zwrócił się do niej per pani, żeby nie pozostawiać miejsca na wątpliwości. Głosem tak serdecznym, że niemal dało się poczuć ciepło trzymanej w dłoniach filiżanki.

– Chętnie, panie Brulé.

– Oho, kupiłaś jakąś książkę. Co to?

– *Opowieść wigilijna* Dickensa. Zgubiłam się trochę i postanowiłam schronić

się przed deszczem w księgarni Shakespeare... No i naszedł mnie taki kaprys.

– Rozumiem.

Kwiaciarz i Violeta nie odrywali od siebie wzroku.

– Zawsze lubiłem tę księgarnię, ale obawiam się, że zrobiła się zbyt popularna – powiedział Brulé swoim łagodnym głosem, jakby nic się nie stało.

Violeta skinęła głową i odpowiedziała tylko:

– Tak... Rzeczywiście...

Sprawiła wrażenie, jakby nie miała nic do dodania, ani też czasu i ochoty na zagłębianie się w szczegóły. Dominique zrozumiał to i gestem zaprosił ją do siebie.

Violeta weszła za szefem po schodach do mieszkania, ale z mieszanymi uczuciami. Dlaczego czuła, że się narzuca, wchodzi z butami w cudze życie? Czy to w porządku? Cóż, w końcu chodziło tylko o herbatę z przesympatycznym panem. Poza tym, czy rzeczywiście się narzucała? Była zmęczona, bolały ją nogi, nie czuła pleców, a kostki jej spuchły. Wielkie wrażenie zrobił na niej zapach, który przesycił cały dom, jakby woń wszystkich kwiatów przeniknęła tu przez podłogę. Przy wejściu stało małe biurko pełniące rolę stolika na klucze i pocztę. Powiedział, że matka kupiła mu je, kiedy zaczął studia prawnicze, ale życie tak się potoczyło, że nigdy ich nie skończył. W salonie pełno było małych lampek, które zapaliły się wszystkie naraz, kiedy nacisnął włącznik – świeciły ciepłym blaskiem przywołującym na myśl Boże Narodzenie. Dlaczego? Bo był to jeden z tych zagraconych domów, pełnych stolików, lampek i książek, popielniczek i bibelocików, kryształowych miseczek i przycisków do papieru, wypalonych świeczek, ramek na zdjęcia i kwiatów w wazonikach. Obecność tej samej twarzy na wszystkich fotografiach nie budziła lęku, lecz dotrzymywała towarzystwa.

– To... ona?

– Julie.

– Wszędzie to samo zdjęcie.

– Nie mam innego, więc zrobiłem odbitki, żeby nie traciła mnie z oka.

Dzięki temu nie czuje się samotna. Ani ona, ani ja.

Wzruszenie odebrało Violecie mowę.

– Chciałaś herbatę, prawda?

– Z mlekiem. Dziękuję.

Stała i rozglądała się po mieszkaniu, z góry na dół, chłonąc każdy szczegół dywanów, poduszek, zasłon, obrazów... Było to jedno z tych pomieszczeń, które można naprawdę nazwać domem.

– Wygląda pięknie – powiedziała.

– Julie?

– Mieszkanie.

– Ach! Wspomnienia. Gromadzę dużo rzeczy. Sam nie wiem, czy to zbieractwo, czy kolekcjonerstwo. Na pewno składowanie.

– Julie też, panie Dominique’u. Prawdziwa piękność – dodała, żeby naprawić błąd i podtrzymać rozmowę.

– Żyłem miłością do niej, a ona do mnie. Ale odeszła. A ja zostałem, niewiele wiedząc o jej życiu. Zabrakło nam czasu. Zakochanym wydaje się, że mają przed sobą wieczność. Wiesz... Dowiedziałem się, jaki był jej ulubiony kwiat, dopiero w dniu pogrzebu, kiedy wszyscy żałobnicy przynosili bukiety piwonii... Pomyślałem: „Niemożliwe, piwonie!”. I zacząłem stawiać sobie pytania o wszystko, co zostało bez odpowiedzi. Urwane w pół rozdziału, jak niedokończona powieść... Hemingway pisał: „Jadaliśmy dobrze i tanio, piliśmy dobrze i tanio i sypialiliśmy razem dobrze i ciepło, i kochaliśmy się wzajemnie”^[6]. Ale... Odeszła. A ja zostałem pełen pytań. Jestem zbiorem nieobecności.

Przez głowę przemknął mu inny cytat: „Paryż już nigdy nie miał być ten sam, choć zawsze był Paryżem”. Chciałby odpowiedzieć czymś jak najbardziej zbliżonym do tego zdania, ale prawdziwszym, bliższym jego bólowi, który zmienił się we wspomnienia. No ale w tym, co powiedział, również pobrzmiwała nostalgia.

– To dlatego otworzył pan kwaciarnię.

– Już ci o tym mówiłem, prawda? Na starość zaczynamy strasznie się powtarzać.

Przytaknęła z uśmiechem.

– Przepraszam, Violeto, wybaczone. Jestem starszym, czasem coś mi się płacze, ale uprzedzam cię już teraz, że i ciebie to czeka, a wtedy mnie wspomnisz. Jeszcze zobaczysz – powiedział i mrugnął filuternie. – Więc udawaj, że nie zauważasz, kiedy się powtarzam...

– Nie, nie, nie. Jest pan moim jedynym przyjacielem w Paryżu. Co złego w powtarzaniu? Sama powtórzyłabym...

– Co?

– Kilka błędów.

– Wszystkie?

– Niektóre bym zmieniła. Jeśli dostałabym drugą szansę, postąpiłabym dokładnie na odwrót.

– Ale nie jesteś Bogiem. Ktoś inny zrobi to inaczej, nam pozostaje pogodzić się z własnymi błędami. Nie ma innego wyjścia.

– Nie?

– Absolutnie.

– Ale mnie się to wcale nie podoba.

– Nie możesz się tym przejmować, bo nie masz na to żadnego wpływu. Nie da się wrócić. Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki.

– Jak to?

– To zawsze jest już inna woda.

– Aha, rozumiem. Ale byłoby miło.

– Zawsze idź do przodu. Nalegam.

„Powiedział to nieco wyzywającym tonem, jakby żądał, żebym była szczęśliwa”.

– I co ci z tego przyjdzie, jeśli powiem ci, żebyś nie żałowała? Pomyślisz sobie: „Łatwo mówić temu dziadkowi, żebym niczego nie żałowała, kiedy ja tu z dala od domu i z maluchem w brzuchu”... Nie przeszkadza ci, że tak mówię? Nie? – Violeta pokręciła głową. – Dziękuję – powiedział. – Przykro mi, że tak to ująłem.

– Ależ nie ma sprawy. Taka jest prawda. Pan też myśli, że to będzie chłopak?

– Złapałaś mnie, powiedziałem to bez zastanowienia... Tak ogólnie powiedziałem „maluch”, miałem na myśli dziecko... A ty sądzisz, że to chłopiec? Chciałabyś?

– Tak czuję. Byłoby łatwiej. Chłopcom lepiej się żyje.

– Ech, Violeto... Myślisz, że ja miałem łatwe życie? To nie ma żadnego związku ani z imieniem, ani z płcią. Trzeba nabrać siły, nauczyć się czekać, pozwolić przeminąć jesieni, podziękować zimie za to, że zbliża nas do wiosny... I do lata. Na wszystko przyjdzie czas. Zawsze przychodzi.

Spojrzał na nią z uśmiechem – siedziała zwinięta w kłębek na kanapie i wyglądała na ulicę. Na jakiś czas pochłonął ją widok latarni, znowu odbijających się w kałużach. Często zdarzało jej się tak odpływać. Nie myśleć o niczym. Nie wiedziała nawet, czy inni to zauważali. Ale w tym przypadku Dominique Brulé zdawał sobie sprawę z wędrówek jej myśli.

O dziwo, ta „podróż z kanapy na ulicę” sprawiła jej przyjemność.

Było jej wygodnie. Czuła się jak u siebie.

W końcu zareagowała.

– Powinam już chyba wracać.

– Jeszcze nie. Ciągle mży. I nie wypijaś herbaty. Zostań jeszcze, zagrzej się... A potem zadzwonię po taksówkę.

– Jest pan wspaniały. Widziałam dziś, jak uspokajał pan doinę Matilde, był pan dla niej taki czuły. Podoba mi się wszystko, co pan robi. Wszystkie bukiety. Liściki, które pan podmienia i wsuwa do koperty, tak że klienci nic nie zauważają...

– Widziałaś? Świetnie się kryję, nie ma co!

– Sam mi pan opowiadał. I wręczył czystą kartkę, żebym odmieniła swoje życie. Wpisała własną treść. Jaka chcę być, gdzie mieszkać, co robić i kogo kochać.

– Sama widzisz, jak kiepsko z moją głową...

Uśmiechnęła się. Uśmiechnęli się.

– Klienci nie zdają sobie sprawy, że pan je zmienia, prawda?

– Kwiaty nie wystarczą, trzeba powiedzieć coś więcej. Co mnie to kosztuje?
Nic. Bawię się w dobrego duszka, który dopisuje słowa, rozbudowuje wyznania miłości albo dodaje buziaki do podziękowań.

– Widziałam to już. I wie pan co? Zaczęłam pana naśladować.

– Jak to?

– Tak, to świetna zabawa. Dzisiaj na przykład dobrze wiedziałam, dla kogo kupuje kwiaty ten chłopak w czapce, który przyszedł z samego rana, więc dopisałam linijkę z takiej piosenki...

– Violeto, to genialne!

– Nie zamierzałam panu tego mówić, ale siła kwiaciarni jest potężniejsza, niż myślałam.

– Wiedziałem, że trafiłem z tobą w dziesiątkę.

Uśmiechnął się. Uśmiechnęli się.

– Proszę, jeszcze trochę mleka do herbaty. Chyba jest trochę za gorąca...

Sprawdź.

– Mogę ten koc?

– Chłodno ci?

– Nie, po prostu chcę się zawiąć, czuję się tu jak w domu.

– Jeśli chcesz, możesz go sobie wziąć. Nigdy go nie używam. Zresztą tak samo jak wielu innych rzeczy. Mieszkanie jest dla mnie za duże, a choć może ci się wydawać, że masa tu gratów, to jednak moje jedyne towarzystwo. Dlatego spędzam tyle czasu w sklepie, kwiaty to moi przyjaciele. Nigdy mnie nie oszukały.

– Przecież otaczają pana kochający ludzie.

– Samotność powoli mnie zabija, Violeto. Nie widać jej, ale jest jak kornik. Byłem szczęśliwy, nie, jestem szczęśliwy, ale mam wrażenie, że zaczyna się nowy rozdział. Kto wie, może mole zaległy mi się w tych gratach i teraz któryś zjada mnie od środka. Z całych sił trzymam się zdjęć. Trzymam się jej – powiedział i przeniósł wzrok na jedną z ramek. – Przyrzekłem sobie, że będę szczęśliwy, bo nie wolno takim nie być, póki się żyje... To nieuczciwe w stosunku do siebie samego.

– Czasem jednak nie wystarcza obietnica. Trzeba rzeczywiście to czuć.

– Owszem.

– Widzi pan, ja też mam rację.

Dominique wymamrotał coś niezrozumiale, a potem powiedział:

– Dziś, kiedy zniknęła Mercedes, pomyślałem, że przyszedł już ten czas, kiedy tracimy bliskich nam ludzi... po raz kolejny. Czas pożegnań. Dusiło mnie to, musiałem otworzyć drzwi i wyjść na ulicę odetchnąć, kiedy poszłaś do jej domu. Tilde była jakaś nieobecna i jestem pewien, że myślała o tym samym. Wyobraziłem sobie, że przygotowuję jej ostatnią wiązanekę, i musiałem przełknąć łzy.

Violeta poczuła, że i jej zbiera się na płacz. Mimo to odparła tylko:

– W takim razie będę panu towarzyszyć.

– Już wystarczająco mi towarzyszysz.

W tej chwili Violeta poczuła się nagle bardzo daleko, a jednocześnie zaskakująco blisko.

– Wynajmie mi pan pokój? Jeśli to nie kłopot – powiedziała, jakby to jakiś bruchomówca artykułował jej myśli. – To dom pełen przedmiotów, jeden więcej nie zrobi różnicy.

– Ale... Mówisz poważnie?

– Niech mi pan wierzy, że to ja z nas dwojga bardziej potrzebuję towarzystwa. Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

*

Dominique mógł powiedzieć: „Jestem już za stary, żeby dzielić z kimś życie”. Albo: „Mam zbyt wiele dziwactw”. Czy też: „To nie jest dom dla takiej młodej dziewczyny”.

A jednak...

*

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko. To będzie twój dom. Wprowadź się.

Przeszli korytarzem w stronę pokoju po prawej. Ożywione kwiaty tańczyły między meblami – tak przynajmniej zdawało się Dominique’owi. Widział tamtego chłopca, którego po otwarciu książki babci czekała niespodzianka: kwiaty wyszły z ilustracji, żeby się z nim przywitać, skakały po meblach i wspinały mu się na kolana. „Ech, Grandville – pomyślał. – Oprócz pomocy w sklepie będę miał też towarzystwo w domu”. Otworzył drzwi takim gestem, jakby odsłaniał kurtynę w teatrze.

– Ty pierwsza... Powiedz, czy ci się podoba.

– Bardzo – odparła. – Zaliczam. Dziękuję.

Violeta nie widziała ani łóżka, ani fotela stojącego pod oknem, ani okrągłego stolika, ani regału, ani dwudrzwiowej szafy, ani dywanu, ani patchworkowego koca, ani poduszek haftowanych w obrazki psów siedzących na tylnych łapach, ani wiszącego koło drzwi plakatu z filmu Godarda *Do utraty tchu*, z Jean Seberg i Jeanem-Paulem Belmondem. Zorientowała się dopiero, gdy kładła się spać. Kiedy modliła się, żeby wszystko się dobrze ułożyło.

Znowu strach.

Drżenie, które opada ją bez żadnego powodu.

– Przecież nawet nie spojrzałaś. Wejdz.

– Bardzo mi się podoba ten plakat. Świetnie będzie mi się tu mieszkać.

Powiedziała to tak, jakby na kilka chwil przestała działać grawitacja. Unosiła się w powietrzu.

Dominique’owi – jako mężczyźnie nieco skonsternowanemu nagłym

zyskaniem współlokatorki w wieku, w którym niewątpliwie nie przystoi już towarzystwo młodych kobiet – przyszło do głowy, że mogliby wzniesić toast „za nową sytuację” (myślał o okolicznościach). Violeta w jakimś sensie jeszcze bardziej ulżyła jego osobistej tragedii, w dużym stopniu złagodzonej przez kwiaty. Nie obchodziło go więc, co pomyślą inni. Czuł tylko silną obecność starej Pauliny, właścicielki sklepiku numizmatycznego, niczym pieczęć aprobaty. To było coś dziwnego, a to, co niezwykle, zawsze jest przyjemne.

– Wejdz do środka, sprawdź, czy ci się podoba, a ja zaraz poszukam pościeli i koców, żebyś mogła się położyć.

Violeta posiadała umiejętność tworzenia wspomnień „zaocznie”, jeszcze zanim nastąpiło jakieś wydarzenie. Stała tam i – jak nigdy wcześniej w życiu – czuła, że trafiła idealnie. Nie chciała już nawet na chwilę wracać do tamtego studenckiego mieszkania, z imprezami i weekendowymi miłościami. Leżąc na łóżku, próbowała przeczytać wszystkie nazwiska aktorów i pozostałych członków ekipy filmu Godarda oraz tytuły na grzbietach książek stojących na półkach. Potem zgasła światło.

Kilka minut później, choć zdawało się dłużej, zapukał do drzwi, a Violeta, wciąż leżąc na narzucie, zapytała:

– Tak?

– Powinienem ci pewnie pożyczyć coś do ubrania, ale że w tym domu są tylko męskie koszule i swetry, zamiast tego mogę zaoferować ci wino.

Violeta uznała to za najdziwniejszą propozycję świata i uśmiechnęła się. Dobrze trafiła.

– Jest pan pewien? – zawołała, otwierając drzwi i wychodząc na korytarz.

– Nie przychodzi mi do głowy żaden inny wyraz wdzięczności – odparł.

– To ja powinnam je panu składać, od chwili gdy zobaczyłam ogłoszenie o pracę. A teraz to: spokojne życie. Zdaje pan sobie sprawę, ile to dla mnie znaczy?

– Zdaję.

– W takim razie wypijmy. Ale ja tylko łyeczka, rozumie pan...

– Prawda! Ależ ze mnie głupiec. Zostaw kieliszek, jeszcze będzie okazja.

Tamtej nocy, pod osłoną ciemności nowego domu, przyszłość zaczęła się układać inaczej.

– Widziałam plakat na ścianie. Podobał się panu ten film?

– Podobała mi się ona. Kinematograficznie. *Do utraty tchu, Witaj, smutku, Pomaluj swój wóz...* Przyjrzyj się, tu jest nawet jej podpis, Jean Seberg. Pamiętam ją, jak wszyscy moi rówieśnicy, jak szła Polami Elizejskimi z krótkimi włosami i w koszulce „New York Herald Tribune”, sprzedając gazety. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się w niej zakochać. Francuzi uważali ją za swoją Audrey. Dla mnie była moją Julie.

– To piękne.

- Poznaliśmy się na krótko przed jej śmiercią...
- I jak?
- Była cudowną osobą, ale też bardzo wrażliwą. Zbyt wrażliwą. Bardziej, niż mógłbym się spodziewać.
- Tak naprawdę nigdy nie poznajemy innych ludzi, prawda?
- Brulé z zamkniętymi oczami pokiwał głową.
- Jej ciało znaleziono w samochodzie. Zaparkowała przy Passy i popełniła samobójstwo.
- To okropne.
- Próbowала już wcześniej wiele razy, zbyt wiele. Nigdy nie doszła do siebie po stracie dziecka. Jej córeczka zmarła dwa dni po urodzeniu i... – urwał. – Nie powinienem ci opowiadać takich rzeczy. Wybacz, Violeto. Odzwyczaiłem się... – Odstawił kieliszek i ścisnął jej dłoń z otuchą.
- Proszę się nie przejmować.
- Chlapnąłem głupstwo.
- Nie, skąd. Wiem, co miał pan na myśli.
- Ale nie powinienem, to był błąd.
- Proszę? Nie chcę tego słuchać – stwierdziła Violeta. – Nie mówił pan wcześniej, że błędy zostają w przeszłości? Więc koniec. Było, minęło.
- Dziękuję, ale nie jestem pewny... Co powinienem powiedzieć?
- Powinien pan mówić dalej. I tyle.
- No dobrze... Mówiłem o niej, Jean Seberg, o jej życiu...
- Normalnie jest być szczęśliwym. Normalnie jest żyć.
- Tak, powinienem o tym pamiętać. Przypomnę to sobie, jeśli znowu chlapnę coś bez sensu. Ale sama widzisz. Czasem niebo zaciąga się ciemnymi, gradowymi chmurami i nie widać gwiazd.
- Rozumiem. Tak to się skończyło?
- Jej mąż również się zabił, rok później.
- *Do utraty tchu*. Co za ironia losu.

I tak przez całą noc przerzucali się pytaniami, żeby lepiej się poznać. Są takie chwile w życiu, kiedy czujemy się z kimś swobodnie i nie chce nam się spać, a tylko dzielić się słowami. Choć Violeta mogłaby być jego wnuczką, przypominali raczej parę znajomych ze szkoły, gawędzących przy stojącej na środku stołu butelce wina. Nietkniętej. A wokół nich figurki z porcelany, stopione świece, książki, pudełka, fotele, starocie, wycinki z magazynów filmowych, popielniczki i mnóstwo ramek ze zdjęciem nieznacznie uśmiechniętej Julie.

Violeta ułożyła się na łóżku z rękami pod głową. W pamięci miała nieszczęśliwe zakończenia, w sercu – niezwykle dobre uczucia. A przed oczami plakat tragicznych kochanków. Los zdawał się jej sprzyjać.

*

Podczas gdy wypisywała kredą na tabliczkach poszczególne ceny...

Róże ekwadorskie:

28 euro za 15 sztuk

21 euro za 11 sztuk

2,30 euro za sztukę.

Hiacyny: 10,50 euro

Jaskry: 12,50 euro

...pomyślała: Normalne jest być szczęśliwym. Normalne jest żyć.

6

Violeta zostawiła liścik:

Niedługo wrócę. Zobaczymy się w kwiaciarni. Muszę zabrać rzeczy – nie mam ich dużo, nie potrzebuję pomocy – i dogadać się w sprawie czynszu z Silvią i Evą (moimi dotychczasowymi współlokatorkami).

Dziękuję, panie Dominique'u,

Violeta

PS Bardzo dobrze spałam.

Skłamała. Prawie nie zmrużyła oka, co rusz budziło ją uczucie lęku, nie wiedziała, gdzie się znajduje. Czasem tak się zdarza po podjęciu ważnej decyzji – niepokój krąży wokół łóżka, bo nie wierzymy w jej słuszność.

Tak było w przypadku Violety. Tak właśnie spędziła noc.

Jeśli coś pójdzie nie tak, sprawa jest jasna: będzie musiała poszukać innego mieszkania i tyle. W razie czego poprosi o pomoc Silvję i Evę, ewentualnie przejrzy ogłoszenia na kampusie. Ale jeśli wszystko się dobrze ułoży... Będzie cudownie!

Koszmary mieszały się z dobrymi snami, przychodziły i odchodziły w tę bezsenłą noc niczym huśtawka niepewności. O świcie, kiedy z kompletem kluczy w dłoni i zawiązanym na podwójny węzeł szalikiem ukradzionym z wieszaka Dominique'a schodziła po schodach, żeby złapać metro i pożegnać się z dziewczynami, wątpliwości nagle się rozwiały. Wszystko będzie dobrze. Podjęła właściwą decyzję, Dominique to miły człowiek, a pokój nad kwiaciarnią – jak z bajki.

Nie pozostawało już nic do powiedzenia. Jedni nazwaliby to zdecydowaniem. Inni – brawurą.

Metro przyjechało na czas i Violeta wsiadła do pociągu w kierunku przeciwnym do celu. „Tak się czasem zdarza”. To ostatnie zdanie wprowadziło ją w stan zawieszenia, jakby usłyszała głos narratora, i dodała od siebie: „Czasem trzeba wrócić, żeby wrócić. Czasem trzeba się oddalić, żeby móc się odnaleźć”.

Narrator nie miał już nic do dodania.

Punktualnie o jedenastej do kwiaciarni przyszła doña Mercedes.

– Kogóż to moje oczy widzą, dzień dobry, dzień dobry! I tak wchodzi pani bez pukania...

– Szukam Tilde.

– Tylko niech mi pani nie mówi, że teraz ona zniknęła.

– Rozumiem aluzję, ale ja wcale nie zniknęłam.

– Pani Mercedes...

– Słucham?

– Martwiliśmy się. Tilde też.

– Może i tak. To moja wina, bo ciągle tu przychodzę. Gdybym była normalną klientką, taką co zagląda od czasu do czasu, nic byście nie zauważyli. Ludzie zwykle nie kupują kwiatów codziennie.

– Rozmawialiśmy już kiedyś o tym, co jest normalne... Pewnie rozmawiała pani z panem Dupontem.

– Z Julienem? Tak. Widzę, że musieliście zamienić parę słów, skoro mój dozorca stał się nagle panem Dupontem.

– Nie przeczę. Zwykle codziennie tu pani przychodzi. Czekaliśmy na panią. Nie wiedzieliśmy, co się stało. Martwiliśmy się. I owszem, wypytywaliśmy o panią.

– Nie zrobiłam tego specjalnie.

– Nikt tak nie twierdzi. Ależ skąd! I przyrzekam, że nic nas nie obchodzi, dlaczego zniknęła pani na cały dzień. Ale proszę zrozumieć nasze zaniepokojenie.

– No dobrze, teraz już mnie pan widzi. Oto jestem.

Rozmowa się urwała, kiedy doña Matilde vel Tilde oparła obie dłonie o szybę wystawy i szeroko otworzyła usta ze zdumienia.

„Nie mogę w to uwierzyć!” – można było wyczytać z ruchu jej warg.

– Proszę uważać z odpowiedzią – ostrzegł Dominique. – Wczoraj naprawdę bardzo się martwiliśmy. A sama pani wie, jaka nerwowa jest Tilde. Wczoraj jeszcze bardziej niż zwykle. Nie mogliśmy pani znaleźć...

– Nigdzie! Nie mogliśmy cię nigdzie znaleźć! Gdzie ty się podziewałaś? Oszalałaś?

Tilde wpadła do środka widocznie przejęta i wściekła, potykając się o mosiężne wiadra wypełnione przez Brulého gałązkami rojników, astrów i śnieguliczek.

– Właśnie tłumaczyłam się panu Dominique’owi. Uspokój się, Tilde.

– Uspokoję się, jeśli będę miała ochotę!

– Słucham?

– Jesteśmy już za stare, żeby tak znikać, kiedy nam się podoba.

– Tilde.

– Kiedy w tym wieku ktoś znika, to znaczy, że umarł albo jest ciężko chory.

A z tego, co widzę, masz się dobrze.

– A z tego, co ja słyszę, wolałabyś, żebym umarła, tak?

– Nie przekraczaj moich słów. Nie wykręcaj kota ogonem. W moim wieku, a jednocześnie w twoim, zabrać nas może tylko Bóg albo Najświętsza Panienska. Nie zwykły kaprys. Wiec proszę, tłumacz się.

– Uważasz, że to odpowiednie miejsce na takie sceny? Zawsze wszystko wyolbrzymiasz, Tilde.

– Drogie panie – wtrącił się Dominique, z kwiatami w dłoni. – Czujcie się tu jak u siebie. Możecie usiąść, zaparzę kawę i wszyscy się uspokojimy.

– Kawę? Chce mnie pan zabić?

– Może być też herbata, jeśli pani woli, pani Matilde.

– Niemożliwe, niemożliwe... Nie do uwierzenia! Przez całą noc oka nie zmrużyłam. Kiedy stąd wyszłam, ciśnienie miałam pod sufitem. Ze trzy albo cztery razy musiałam się zatrzymać w bramie po drodze, żeby nabrać powietrza i uspokoić oddech, oblewały mnie zimne poty, ciągle myślałam, jak to będzie już więcej cię nie zobaczyć, zawinięta w płaszcz i w tysiące wspomnień... A teraz co? Nawet nie zdaje pan sobie sprawy. Teraz najlepsza przyjaciółka traktuje mnie jak wariatkę.

– Przesadzasz...

– Taka jesteś? Od kiedy się taka zrobiłaś? Mam wrażenie, że rozmawiam z kimś obcym.

– W pewnym sensie.

Zapadła cisza, która zdawała się tylko potwierdzać, że coś się zmieniło.

– Panie Dominique'u – zaczęła od nowa Tilde, nie przestając łapać się za włosy, szyję i pierś – proszę mi powiedzieć, że robi to specjalnie i że już państwo rozmawiali. Że to tylko głupi żart.

– Moja droga, przysięgam, że nie. Jestem tylko zwykłym kwiaciarem.

– A ty? – zapytała, odwracając głowę, jak sędzia domagająca się odpowiedzi. – Mercedes, powiedz coś.

Kiedy nie doczekała się reakcji, Matilde wybuchnęła rzewnym szlochem, takim z czkawką. Z jej oczu płynęły prawdziwe łzy osłupienia zachowaniem przyjaciółki. Nie wiedziała dlaczego. A może wiedziała. Może dlatego, że czuła zbliżającą się śmierć? Może ze względu na wiek, w którym nasilały się słabości i poczucie bezsily? Może z powodu pewności, że nigdy nie pozna prawdziwej przyczyny tego zniknięcia? Świadomość, że Mercedes i Brulé jej się przyglądają, jeszcze potęgowała jej łzy, ze wstydu, jak w dzieciństwie, gdy jako mała dziewczynka padała matce w ramiona. Dominique ją objął, a jej puściły wszystkie tamy.

Mercedes pokręciła głowę i pomyślała: „Muszę zacząć kłamać, a na pierwszy ogień pójdzie moja przyjaciółka”. Przed wszystkim jednak myślała o tym, że znalazła się sama w obliczu nowej sytuacji. „Jakie to dziwne w momencie, kiedy człowiek nie oczekuje już od życia żadnych niespodzianek”. Wciąż zamyślona, powiedziała pojednawczo:

– Chyba muszę się uszczypnąć, bo nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Nie było mnie tylko przez jeden dzień. A okazuje się – rozpostarła ramiona niczym prestidigitator – że jestem dla was dużo ważniejsza, niż myślałam.

– Myślałam, że cię porwali, Mercedes.

– Tilde, na miłość boską! Kto by chciał porwać taką staruszkę?

– No to, że umarłaś.

– Jak to?

– No nie wiem, że się przewróciłaś, że zabrało cię pogotowie, że straciłaś przytomność... Skąd miałam wiedzieć?

Mercedes nie odpowiedziała od razu i spojrzała na Dominique'a, który – oparty o ladę – przyglądał się całej scenie, trawiony tymi samymi wątpliwościami co Tilde. Ale nie powiedział ani słowa.

– Proszę zaparzyć trzy kawy, panie Dominique'u – zarządziła Mercedes.

– Dobrze. Czego tylko sobie panie życzą. Podniesiemy sobie trochę ciśnienie.

– Bezkofeinowe.

– Już się robi.

Mercedes była w kropce. Odruchowo zwróciła głowę w stronę przyjaciółki, która wpatrywała się w nią pytającym wzrokiem. Obie dobrze widziały, że – ku ich niezadowoleniu – coś pozostanie niedopowiedziane. Tilde nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć na dowód, jak bardzo się martwi i martwiła. Owszem, przesadzała. Przecież Violeta widziała Mercedes. Ale Tilde była jak święty Tomasz. Musiała włożyć palce w ranę, żeby uwierzyć. Dlatego zrobiła taką awanturę od progu. Groteska pomagała jej wyrazić uczucia, bliskość. Wyolbrzymianie miłości do przyjaciółki, wściekły atak, dramatyzowanie – to wszystko tkwiło głęboko w jej kodzie genetycznym. Jakby czuła przemożną potrzebę wychwalania przyjaźni pod niebiosa. Albo postawienia wszystkich kropek nad i.

Teraz, gdy z zaplecza dobiegał aromat kawy, siedziały w milczeniu. Pojawiła się pusta przestrzeń, jak miejsce zostawiane w nawiasie przez autorów podręczników szkolnych, gdzie uczeń sam ma wpisać odpowiednie słowo.

– Martwiłam się, Mercedes.

– Wiem.

– Pamiętasz, jak przyjechałyśmy do Paryża?

– Takie samotne.

– Teraz jesteśmy takie same. Tylko starsze. Nie wiem, co robiłaś, co cię wczoraj zatrzymało, ale chcę, żebyś wiedziała, że jestem z tobą tak samo jak na początku.

– Wiem.

– Mówię ci to szczerze.

Kwiaciarnia Dominique'a Brulégo nie należała do największych. Dokładał jednak wszelkich starań, żeby pozostawała zawsze zadbana i dobrze utrzymana, jako hołd dla jego miłości. Taka instynktowna czułość, być może nieco makabryczna, jakby każdego dnia spodziewał się, że jego ukochana otworzy drzwi i zobaczy, jak tam pięknie. Dla niego jednak ponure oczekiwanie na zmarłą stanowiło niewyczerpane źródło radości i zapału do pracy. Wszyscy klienci, zarówno okoliczni mieszkańcy, jak i przypadkowi turyści będący akurat przelotem

w Saint-Germain, wychwalali estetykę L'Étoile. Nie tylko wystrój sklepu, lecz także dojrzałą elegancję właściciela, „kwiaciarza w kamizelce i pod krawatem” – jak mawiali o Brulém. Cała przestrzeń została zagospodarowana. Kwiaty wystawione w kubłach i szklanych wazonach na białych drewnianych schodkach zawsze się uśmiechały. Szczęśliwe, że znalazły się właśnie tam. Dominique spoglądał na nie i czasem puszczał do nich oko, z niemal dziecięcą czułością.

– Przepraszam za spóźnienie.

Violeta obserwowała całe zajście z chodnika po drugiej stronie ulicy. Postanowiła uszanować reguły gry tej trójcy dorosłych przyjaciół, do której została już jakoś dołączona. Przez chwilę obserwowała, jak nerwowo wymachują rękami, na przemian siadając i zrywając się z krzesel. Wolała jednak trzymać się z boku, bo jako jedyna знаła prawdziwą przyczynę wczorajszej nieobecności Mercedes. Oczekwała, aż Dominique wyjdzie z zaplecza z tacą pełną filiżanek, i dopiero wtedy przeszła przez ulicę.

– Gdzie się podziewałaś, Violeto? Ach tak, przepraszam! Zostawiłaś przecież kartkę.

– Już myślałam, że jej pan nie przeczytał.

Violeta podała mu paczuszkę, którą on położył na ladzie.

– Tak, tak. Tyle że dziś od samego rana dużo się dzieje.

– Dzień dobry wszystkim, przepraszam.

– Napijiesz się kawy? – zaproponowała Tilde. – Dziś jemy śniadanie tutaj, wszyscy razem, jak jedna wielka rodzina. Jak w Boże Narodzenie. Wszyscy razem. Cali i zdrowi.

– Ależ jesteś elokwentna! Nie przepuścisz żadnej okazji, żeby wbić szpilę. Już wystarczy.

– Wolisz, żebym wróciła do wcześniejszych scen jak z melodramatu?

– Nie rozumiem, o co chodzi – pozorowała niewiedzę Violeta.

– Nawet nie próbuj – poradził Dominique z przekąsem.

– Nie trzeba, kochana, to zbyt poważna sprawa, a ty dopiero co pojawiłaś się w tym świecie.

– Violeta stanowi już część naszego świata – zauważył kwiaciarz.

– Tak, tak, z pewnością. Ale świata młodszego od nas o czterdzieści lat. Jakby się zastanowić, jesteśmy dinozaurami.

– No dobrze... À propos – zabrał głos Brulé – chciałem wam coś powiedzieć...

– Co się stało, panie Dominique'u? – zapytała Matilde i wyprostowała się na krześle jak pilne dziecko w ławce szkolnej.

– Może wam się to wydać dziwne – powiedział, bawiąc się sznurkiem oplatającym leżący na ladzie pakunek od Violety.

– Niech pan to w końcu wydusi.

– Jeśli pan woli – wtrąciła się Violeta – ja wyjaśnię sprawę. Bo domyślałam się, że chce pan oznajmić nowiny z wczorajszego wieczoru.

– Ech, Boże.

– Co się dzieje? O co chodzi?

– Mam nową lokatorkę. Violeta będzie u mnie mieszkać.

Mercedes i Tilde zdołały powstrzymać okrzyk zaskoczenia, ale i tak odmalowało się ono na ich twarzach, w źrenicach rozszerzonych jak w gorączce. Wytrzeszczyły oczy i zaczęły gęsto mrugać, żeby nie otworzyć w zdumieniu ust.

– Dziś już tu spała.

– Zgadza się. Od teraz będę tu nie tylko pracować, ale też mieszkać na górze. Bardzo się cieszę.

Stłumiony okrzyk Tilde odbił się echem.

*

W tej chwili mogłaby rozbrzmieć jakaś piosenka. Może *Le temps des cerises*, walc, który poruszyłby wszystkie kwiaty w sklepie. Znów ożywione, niczym u Grandville'a.

*

Kiedy Dominique i Violeta zakomunikowali już dobrą nowinę, przyjaciółki zwlekały z odpowiedzią. Mówimy o dwóch kobietach zdolnych wypełnić swoją wyobraźnią całą kwaciarnię, co dopiero mówić o głowie. Nie było więc innego wyjścia – Matilde poczuła się w obowiązku wystąpić jako rzeczniczka dwójki.

– Uważamy, że to świetnie.

– My?

– Tak, my.

Potem poszło dość szybko. Złapały swoje torebki – z pozoru wszystko wróciło do normy – i pożegnały się pośpiesznie, choć wcześniej przyjęły jeszcze po róży, ofiarowanej przez Dominique'a jako kwiatowy akcent na zakończenie tego poranka. Zabręczały dzwonki nad drzwiami i wszyscy poczuli ulgę. Matilde odzyskała przyjaciółkę. Mercedes odwróciła od siebie uwagę. Violeta dobrze się czuła w Paryżu. A Dominique – ech, Dominique wybuchnął śmiechem w wyniku mieszanki sprzecznych uczuć, które kotłowały mu się w gardle niczym w jednym z wierszy Benedettiego.

Violeta z uśmiechem na ustach zakasała rękawy. Na ulicy mrowiły się tłumy ludzi – to w końcu Saint-Germain-des-Prés! – więc, kiedy już schowała walizkę i parasol za ladę, wystawiła na zewnątrz kilka wiader róż, żeby przyciągnąć uwagę przechodniów patrzących na fasady niczym na martwe ciała. Żadne miasto nie ma prawa tak kokietować, a to miasto dokładnie to robi: podlizuje się. Wydaje się niesprawiedliwe być nieszczęśliwym pośród takiego piękna. Ale zdarza się. Ten pocałunek, który ma lada chwila nastąpić, pojawiająca się łza. I setki ciał poruszających się w tej scenerii mokrego bruku, w którym odbija się odwrócony

obraz róż. Przypominało to scenę z jakiegoś filmu. Tytuł? *Kwiaciarnia pana Dominique'a*. Miejsce akcji: Paryż. Jak w tej piosence, *Le temps des cerises*. Bohaterka: młoda dziewczyna nazwiskiem Violeta Gadea.

Dominique, którego mózg idealnie przystosował się do bólu, czuł się dziwnie. Wszystkie kwiaty patrzyły na niego ze zdumieniem, jakby wiedziały, że w kwiaciarni stanie się coś nowego. Zachowały jednak ciszę, żeby się nie zdradzić. Violeta zwilżyła spryskiwaczem płatki, drugą ręką podpierając obolałe plecy. Pięć miesięcy ciąży dawało się we znaki jej delikatnemu ciału: spuchnięte stopy, ciągłe zmęczenie i głód. Spojrzała na swoje odbicie. Szkło witryny zdawało się Dominique'owi rozdzielającą ich skórą – dokładnie takie porównanie przyszło mu do głowy. Skóra. Kilkakrotnie próbował oderwać wzrok od dziewczyny, ale na próżno. Jak miał się jej nie przyglądać? Sądząc po jego spojrzeniu, można by przypuszczać, że ten siwowłosy mężczyzna o spracowanych dłoniach, na których piętno odcisnęły lata i ciernie – dosłownie, to nie metafora – to student, który wpadł do sklepu kupić kwiaty. Jak w filmie. Aktorka Violeta uśmiechała się z ulicy, a Dominique chował się za liśćmi dębu stojącymi w szklanym wazonie na ladzie. Wyobrażał sobie las, ucieczkę, wstyd. Ona była wystawą, on – tym stojącym przed nią na ulicy. Wszystko się zupełnie odwróciło, jak we współczesnych teatrach, gdzie scena obraca się, ujawniając wszystkie sztuczki. Niezdolny wyjść na chodnik, żeby pomóc jej przy różach – na to miał ochotę – poszukał kluczy w szufladzie, otworzył drzwi prowadzące do wnętrza budynku i wniósł walizkę Violety po schodach do domu, zupełnie nie czując ciężaru wypełniających ją ubrań i butów. Mógł od razu otworzyć drzwi, ale wołał spokojnie odetchnąć przed przekroczeniem progu.

W końcu teraz miał to być dom dla dwojga!

Wszedł do środka, schował klucze do kieszeni marynarki i oparł się o ścianę. Gdzieś w najgłębszym zakamarku umysłu przywołał dotyk nagiego ramienia Violety. Reakcja była natychmiastowa: w myślach znów cofnął dłoń.

Dominique lubił czytać, więc próbował przypomnieć sobie, czy o tym, co mu się przytrafiało, nie pisano w jednej z powieści leżących w salonie. Owszem, pisano. I wcale nie uśmiechało mu się być postacią z książki. Był tym starym mężczyzną wchodzącym do pokoju dziewczyny, gdzie wszystko pachniało młodością. Aż poruszył palcami w powietrzu, jakby czuł dotyk tej skóry, za którą wcześniej, na dole w kwiaciarni, wziął szybę wystawową. Poczul się przytłoczony wszystkimi swoimi lękami.

Usiadł na łóżku Violety i oparł ręce na kolanach. Wspominał powieści Marguerite Duras, Marguerite Yourcenar, Françoise Sagan, Nathalie Sarraute, Simone de Beauvoir, Evelyną Waugh... Poczul obecność wszystkich ich bohaterów na tej samej narzucie, którą Violeta zostawiła niedbale wygniecioną w miejscu, o które oparła się lewą ręką przy wstawaniu. Zapadł się, jakby

obejmował czyjeś ciało. Materiał zmienił się w skórę. Starał się oddychać powoli. Kim był? Gdzie podziały się wspomnienia, gdy tak ich potrzebował? Po upływie kilku minut zaczął odczuwać lekki niepokój. Duży niepokój. Może popełnił błąd, wpuszczając do swojego życia – napisałem „życia”? Lepiej „domu” – Violetę, piękną, zagubioną dziewczynę.

Co za absurd, pomyśleć o słowach Françoise Sagan: „Myślę, że piękno jest w środku i nigdy się nie starzeje”. To śmieszne, pomyślał Dominique. Jakże absurdalna jest praca kwiaciarza, wśród kwiatów, które ze świeżych stają się zwiędłe, i tak w kółko. Co za dziwaczne myśli rodzą się w jego starej głowie. Dlaczego de Beauvoir powiedziała, że „piękno jeszcze trudniej wytłumaczyć niż szczęście”? Co miał na myśli Evelyn Waugh, kiedy twierdził, że „cudownie rozpocząć dzień od uszczęśliwienia jakiejś żalostnej duszy”? Mówił o nim? O Dominique’u? Czy przepelniał go żal?

W tej samej chwili poczuł, że musi wyjść z sypialni.

Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokół. Był sam. Cały dom zdawał się przesiąkać zapachem Violety. Dominique miał wrażenie, że widzi, jak ten młodzięczy aromat spowija wszystko niczym chmura dymu, dusząc i osładzając pokój, ściany, ubrania, mieszkanie, życie. Jego. Oślepiiony zapachem kobiety, ciężarnej dziewczyny, powoli cofał się od łóżka pod ścianę. Uciekał od swoich myśli. Zaczął się gładzić po przedramieniu, po szyi, po sercu... Wyzwalał się od odczuwanych jednocześnie niepokojów i przyjemności – jak zdezorientowany ptak, który szukał schronienia i teraz lata w kółko pod dachem garażu, próbując znaleźć wyjście, jakąś dziurę, żeby uciec na ulicę – a tymczasem ciało pokrywała mu gęsia skórka, rezultat mieszanki rozkoszy i lęku. Co ty wyprawiasz, Dominique’u? Co ci chodzi po głowie?

Niedługo potem usiadł pod oknem w fotelu uszaku. Zamknął oczy. Zawsze tam siadał, kiedy chciał odświeżyć wspomnienia, i powoli odpływał, aż zapadał w głęboki sen. Boże Narodzenie 1965 roku spędzili z Julie w Annecy, nad jeziorem, dzięki wsparciu finansowemu jej rodziców. Julie się przeziębiła, więc pierwszy dzień przesiedzieli w czterech ścianach, choć dzięki przepięknym widokom na góry wcale nie czuli się zamknięci. Była tak piękna, że wystarczyło zwrócić się w jej stronę, by wiedzieć, że tej chwili niczego nie brakuje. Choć gdzieś na świecie toczyła się wojna, jej towarzystwo przynosiło pokój, którego pragnął cały kraj. Przez długie godziny leżeli objęci. „Zarazisz się, Dominique’u, nie trzymaj się tak blisko, bo w końcu oboje się rozłożymy”. Jakie paskudne przeczucie zdające się proroctwem tego, co ich czekało w przyszłości. On za nic miał jej ostrzeżenia i przyciskał się jak najściślej do jej skóry, próbował ją uchronić, błagał, żeby zarazki przeniosły się na jego ciało, zawierał pakt z diabłem. Stara gospodyni z pensjonatu przynosiła im rosół, a za garść monet zgodziła się też pójść do apteki po lekarstwa. Padał śnieg, poradziła sobie, ale

męczyła ją – psychicznie, moralnie – konieczność wyjścia ze schronienia. Pakt zawarty przez Dominique’a z szatanem szybko przyniósł pożądane rezultaty. Następnego dnia oboje czuli się świetnie, świeżo i rześko jak górskie powietrze w Annecy, silni niczym sosny obciążone śniegiem, które z każdą chwilą zdawały się łamać. Fascynował ich odgłos zbliżającego się niebezpieczeństwa, ucichli i patrzyli, jak niektóre gałęzie poddawały się i spuszczały malutkie bożonarodzeniowe lawinki.

Podczas jednego ze spacerów natknęli się na plakat zachęcający do wejścia. „Proszę wejść”. Jak łatwo nas czasem przekonać, a jak trudno w innych sytuacjach. Nie pierwszy raz zaszli do antykwariatu, choć nie do końca można tak było określić to miejsce – mały sklepik ekscentrycznego kolekcjonera starych gratów, mniej lub bardziej wyjątkowych. Gdy weszli do środka, właściciel jadł właśnie orzechy i powitał ich, obracając jeden w ustach jak cukierek. Nie tracił czasu na pogawędkę.

– Czym mogę służyć? – zapytał głosem wieloletniego palacza.

– Orzechem? – odparła Julie.

– Ha! Nie spodziewałem się, że szukają państwo bakalii. Ale skoro tak, proszę bardzo. Proszę się częstować, tu jest miska.

– Dziękuję.

– Proszę się rozejrzeć, nie przeszkadzam.

Dominique zawsze umierał ze wstydu, kiedy Julie postanawiała wykorzystać swój potencjał dziewczyny bystrej, pięknej i pewnej siebie. On oblewał się krwawym rumieńcem i wycofywał jak pies z podkulonym ogonem w obliczu jej tupetu. Ale nawet wtedy kochał ją, podziwiał ją, potrzebował jej. Wszystko z nią.

– Coś się państwu spodobało?

Dominique siedział w fotelu obitym pięknym materiałem w kwiatowy wzór.

– Ten fotel – odparła Julie.

– Ten, na którym siedzi chłopak?

– Tak, to mój chłopak. Dobrze tam wygląda, prawda? Nie wydaje się panu, że przyniósł go z domu na plecach, jak ślimak?

W tej chwili Dominique zapragnął stopić się w jedno z tapicerką i zniknąć.

– No to ile kosztuje? Chyba niedużo, prawda? Stary jest – mówiła tonem rozkapryszonej klientki.

Zdawało się, że mowa o nim, o Dominique’u, ale o teraźniejszym Dominique’u. Mężczyźnie zatopionym w kwiatkach, starym, nieśmiałym, szczęśliwym i pogodnym jak dziecko.

– Dam go pani w prezencie, jeśli zgadnie pani, ile orzechów jest w miseczce.

Drzwi się otworzyły i powiało górkim chłodem. Pachniało sosnami i dymem z kominków. Do graciarni wśliznął się szukający schronienia pies.

– Wchodź, mały.

– To pański?

– Czasami. Czasem tak, czasem nie. Nigdy nie założyłem mu obroży, jeśli to może być odpowiedź na pani pytanie. To wolny pies i to nas łączy. Obawiam się, że panią rozpoznał.

– Jak to?

– Potrafi wywąchać wolność. Wyczuwa wolnych ludzi. To Wodnik.

– Psy mają znaki zodiaku?

– No przecież nie będzie jak u Chińczyków: pies-tygrys. Pies-szczur. Pies-pies. Przecież to bez sensu, kupy się nie trzyma. Mój pies to pies spod znaku Wodnika. Wkrótce minie czternaście lat, odkąd żyje bez obroży. Proszę za mną – powiedział, odwracając się plecami do młodego Dominique’a.

„Ta zachcianka mogła się opłacić tylko wtedy, gdyby fotel pokryty kwiatową tapicerką trafił nam się za darmo, bo podróż powrotna do Paryża z meblem wciśniętym na tylne siedzenie to jakiś koszmar. Ale udało się”.

– Dwadzieścia trzy.

– Słucham?

– Obstawiam, że w miseczce są dwadzieścia trzy orzechy. Niech pan policzy, poczekam.

Dominique uzbroił się w cierpliwość. Nie pierwszy raz widział, jak Julie bawi się kosztem innych. Nigdy się nie dowiedział, czy miał do czynienia z żartem, zakładem czy poważną deklaracją. „Boki zrywać” – pomyślał. Antykwariusz, jakby usłyszał jego słowa, wymamrotał:

– Dziewczyna do orzechów. Kto by pomyślał.

„Przez kilka sekund ani drgnąłem. Ile bym dał za jej zdjęcie w tamtej chwili! Z rękami na biodrach, błyszczącymi oczami, które oświetlały postawiony przed chwilą zakład, tym samym blaskiem, jak wtedy gdy obiecałem jej podróż do Nowego Jorku, z całą intensywnością szczęścia. Była piękna nawet w porażce, ale jeszcze piękniejsza – w zwycięstwie”.

„Dziewczyna do orzechów – pomyślał Dominique – to bardzo silna i uparta kobieta”. Rozsiadł się w fotelu, jakby należał już do niego, i patrzył, jak jego narzeczona pomaga sprzedawcy liczyć orzechy, niczym na jakichś zawodach. Jeden, dwa, trzy, cztery... Dwanaście, trzynaście, czternaście... Dziewiętnaście, dwadzieścia... A raczej jak na pokazie magicznym, za którym kryją się jakieś sztuczki.

Dominique odchrząknął niecierpliwie

– I... dwadzieścia trzy.

– No to mamy fotel – stwierdziła i zwróciła się w jego stronę jak najszcześliwsza kobieta na świecie. Bo rzeczywiście nią była.

– No pięknie, straciłem taki piękny fotel w kwiaty! – biadolił sprzedawca, choć bez większego żalu. – Kiepski początek tygodnia. Cóż, żegnaj, kochany

fotelu!

– Dzięki temu ma pan więcej miejsca – odparła Julie. – Może pan tu postawić coś nowego. Prawda?

– Celną uwaga. Teraz już po problemie.

– Stare graty można łatwo zastąpić.

Młody Brulé myślał wówczas o wszystkich tych okazjach, kiedy będzie siedział w tym kwiecistym fotelu z Julie w objęciach. Patrzył na nią i powtarzał w myślach: „Masz najbardziej zakochanego narzeczonego na świecie”. A teraz – dziś – ten sam narzeczony płakał w fotelu, w którym nigdy nie było mu dane pocałować Julie.

Dominique pomyślał, że to idealne zdanie na tę chwilę w tym grudniowym Paryżu. „Stare graty można łatwo zastąpić”. Zaczęły prześladować go wspomnienia tamtego mroźnego poranka. Tak trudno zdobyć serce młodej osoby... Tak bardzo boli czuć się starym i udawać, że nic się nie dzieje. Tak żałośnie śmiesznie zgrywać Humberta przed Lolitą... Jesteś Nabokowem, narratorze? Brulé musiał pozbyć się tych myśli, tak jak wylewa się wodę z kwiatów. Najgorsze, że ciągle ją czuł. A może to Paulinę wyczuł, jak zjawę, opartą o kominek, jakby była jakąś wersją Charlotte?

– Wszystko w porządku, Dominique’u? Nie wyglądasz tak jak zwykle. Jesteś szczęśliwym człowiekiem. Chwalisz się, że po to właśnie tu przybyłeś.

– Tak, tak, wszystko dobrze. Po prostu pograżyłem się w rozmyślaniach. Lubię wracać myślami do tamtych dni.

– Nadal kochasz Julie?

– Tak.

– Gdzie więc tkwi źródło bólu?

– W jej nieobecności.

– Mówiłeś, że stworzysz tę kwiaciarnię w jej imieniu, dla jej piwonii, dla niej, żeby nigdy nie musiała być świadkiem twojego nieszczęścia.

– Nie mogę się jednak oszukiwać. Mogę oszukiwać innych, ale siebie już nie potrafię.

– I co teraz?

– Nie wiem. Wiosna przychodzi tylko raz do roku. A tu mamy grudzień. Cały Paryż szykuje się do świąt, a ja...

– Co?

– Nie, nic.

– Chciałeś powiedzieć, że te święta będą inne i że sprawia ci ból myśl, że ktoś mógłby zastąpić wspomnienia. Albo sprawić, że znikną. Myślałeś o tym? Myślałeś o Violecie?

Dominique nie zareagował.

Zapatrzył się na dom naprzeciwko, gdzie pewna kobieta, a konkretnie pani

Aumont, wieszala właśnie figurkę Świętego Mikołaja na balustradzie malutkiego balkonu za oknem. I uśmiechnęła się do niego.

– Paulino... Paulino?

*

W tej chwili do kwiaciarni przyniesiono następujące rośliny: czerwone kuleczki i liście ostrokrzewu, gałązki jodły, ogromne amarylisy i duże, powiązane sznurkiem pęki jemioly. Dostarczył je chłopak, który wyładował wszystko przy wejściu, a teraz stał i dyszał, wypuszczając z ust kłęby pary.

*

Czułam, że mnie przyciąga. I dobrze mi było z tą myślą. Mówił cicho, jakby zwierzał mi się z jakiejś tajemnicy. Nie przychodziło mi łatwo skupić się na jego słowach, bo zwracałam uwagę na to, jak wstawia gałązki jodły i ostrokrzewu do kubłów, które przyniosłam pośpiesznie z zaplecza.

Gdy nachyliłam się w jego stronę, perfumy wygrały z wonią kwiatów.

Niektórzy klienci pytali o jemiolę, ale tłumaczyłam, że muszę przygotować ją do sprzedaży, podzielić na mniejsze pęczki za pomocą sznurka, celofanu i tak dalej. Jego wizyta przybliżyła nas do świąt, jakby dzięki mojemu zbliżającemu się macierzyństwu wytworzyło się miejsce na entuzjizm, który, jak sądziłam, dawno już straciłam.

Kichnęłam.

– Wszyscy ostatnio chorują na grypę.

– Powinnam się cieplej ubierać.

– Ta paryska grudniowa wilgoć...

– I to też.

– Co?

Dotknęłam brzucha i chłopak pytająco uniósł brwi.

– Nic, nic. Zimno i tyle.

Wymówiłam słowo „zimno” i poczułam w brzuchu wspomnienie ostatniego lata w Hiszpanii, kiedy wszystko we mnie zamarzło. Być może dlatego nie odczuwałam ani wilgoci, ani temperatury wskazywanej przez wiszący na ścianie termometr. Istnieją bowiem bardziej dotkliwe rodzaje zimna, które mrożą uczucia, a teraz, w kwiaciarni pana Dominique’a, czułam się przed nimi zabezpieczona. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. To nie kalendarz, a serce wyznacza rytm pór roku. A chłód, ten wewnętrzny, nie ma związku z zimą. Nigdy.

– Proszę przekazać panu Dominique’owi Brulému, że jutro przywiozę więcej ostrokrzewu.

Chłopakowi wymsknęło się spojrzenie na moje piersi, jakby zapomniał o obecności właścicielki dekoltu. Muszę przyznać, że to mogło być najlepsze spojrzenie, jakim obdarzono mnie od wielu miesięcy. Poczułam się dobrze. Bardzo dobrze. W tej samej chwili pomyślałam o wszystkich wcześniejszych pomyłkach

i o dalszym rozwoju mojej sytuacji, ale tylko przez sekundę. W końcu wyszedł.

– Ubierz się ciepło.

– Przyda się.

Mówiłam, że poczułam się dobrze? Wydawało mi się wręcz, że sklep należy do mnie, kiedy podpisywałam kwitki i, nie wiedząc czemu, pominęłam przy podpisie nazwisko. Byłam po prostu Violetą.

Zapomniałam o przeszłości? A może stałam się nową osobą w nowym miejscu?

Pamiętam noc, kiedy nieopatrznie zabrałam klucze od kwiaciarni do domu, gdy mieszkałam jeszcze ze studentkami Silvia i Evą. Tamtego wieczoru powstawiałam wiaderka do środka, wylałam brudną wodę, pozbierałam kwiaty, zamiotłam suche liście i zwinęłam markizę. Wszystkie te czynności wykonywałam machinalnie, jakby moje życie było moim życiem. Ma to sens? Później czytałam sobie spokojnie w łóżku, kiedy zadzwonił Dominique. Zapytałam, czy coś się stało.

– Musisz jutro przyjść wcześniej.

– Coś nie tak? – zapytałam ze ściśniętym gardłem.

– Nie. Po prostu zabrałaś klucze, a nie mogę znaleźć drugiego kompletu. Jestem starym człowiekiem, a ty – królową kwiaciarni.

– Naprawdę? Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

Powtórzyłam przeprosiny wiele razy, jakby to był też mój język. *Désolée, désolée, désolée*. Nie dostałam bury. I pomyślałam, że pan Brulé jest dla mnie za dobry.

Teraz słuchałam klientki, która krążyła wśród kwiatów i próbowała na coś się zdecydować. Szef nadal siedział na górze, a ja czułam się nieco zagubiona w obliczu milczenia kobiety. Kojarzyłam jej twarz, ale przez kwiaciarnię przewijało się tyle osób, czasem tylko po to, by podziwiać piękny sklep. A skoro zrobienie zdjęcia miało sprawić im szczęście, to co nam szkodziło, że co chwilę wchodzili i wychodzili? Ta kobieta stała przy witrynie i wyglądała na ulicę. Po długiej ciszy nie pozostało mi nic innego, jak zaoferować jej pomoc. Pomyślałam o mamie – powinnam znów do niej napisać. Wysłać kolejną kartkę.

– To cudowne miejsce, prawda? – zapytała staruszka z uśmiechem.

Przemknęło mi przez głowę, że może chce kupić interes, sądząc po pytaniu i pewności, z jaką się poruszała.

– Bez dwóch zdań. To najpiękniejsza kwiaciarnia w Paryżu.

Moje słowa miały jasno dać jej do zrozumienia, że nasza L'Étoile Manquante nie jest na sprzedaż.

– Znam ją od wielu lat. Zawsze działa się tu coś ciekawego.

– Ja jestem tu od niedawna.

– Ja wręcz przeciwnie.

Znowu się uśmiechnęła.

– Pracuję jako sprzedawczyni dopiero od września. Jestem jeszcze nieco zagubiona. Może chce pani poczekać na właściciela?

– Nie trzeba.

Violeta odetchnęła głęboko.

– Mówiła pani, że wiele się tu działo. Co na przykład?

– My, starsi ludzie, już tak mamy. Wiemy różne rzeczy, bo widzieliśmy upływające życie.

W jej wzroku pojawiła się ta pogodna mądrość typowa dla wrózek, o ile istnieją. Jakaś mieszanka melancholii i słodyczy, przede wszystkim jednak – spokój. Przyszedł czas na zadanie pytania, choć wiedziałam, że mogę się mylić albo wtrącać w nie swoje sprawy:

– Zna pani pana Dominique’a Brulégo?

– Tak. To dobry człowiek.

Przypominała mi Virginie Woolf z fotografii Mana Raya z 1935 roku. Miałam ochotę zwierzyć jej się ze wszystkich tajemnic, opowiedzieć o tym, jak źle mnie potraktowano, i o tym, jak sama siebie źle traktowałam, upierając się przy bolesnych wspomnieniach. Czasami sami się krzywdzimy. Nie rozmawiałam z Pablem od około pięciu miesięcy i choć czułam się szczęśliwa, zebrały mi się już tysiące słów, którymi nie podzieliłam się prawie z nikim. Uraza przypominała bombę zegarową, a rozrastała się niczym bluszcz, pokrywając i dusząc wszystko inne.

– Podobają mi się te kwiaty – powiedziała. – Śliczne.

– Też tak uważam – odparłam.

– Życie wśród kwiatów musi być piękne, prawda?

Jak dziwna wydała mi się rozmowa na tak banalny temat.

– Tak. Jestem...

Chciałam powiedzieć: „Jestem szczęśliwa”.

– Jest mi tu bardzo wygodnie.

Zaśmiała się cicho.

– Świetnie to rozumiem.

Zabrzęczały dzwonki. Weszła jakaś para, a za nimi słyhać już było głos Mercedes, tym razem bez Matilde. W rękach trzymała długi parasol i książkę. Zwróciłam się do niej, żeby powiedzieć, że Dominique powinien niedługo zejść, że poszedł do domu i że pewnie coś tam załatwia. Dziwiła mnie tak długa jego nieobecność.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odparli jednym głosem.

Para była zakochana. Kiedy nie jesteśmy zakochani, wydaje nam się, że wszyscy inni są, rozwija się wręcz u nas coś w rodzaju alergii, przez kontrast. Spod beżowego płaszcza dziewczyny wystawała sukienka w kwiatowy wzór, moim

zdaniem – paskudna. To też wynikało z przekory. Chłopak był wysokim brunetem, o niesfornej grzywce, grubych, acz francuskich, rysach (nie potrafię tego lepiej opisać) i szerokich plecach. Kiedy zdjął szalik, odsłonił mocną szyję.

– Jesteśmy umówieni z Dominikiem – powiedział. – Jest w pracy? Trochę się spóźniliśmy.

– Jestem, jestem.

W końcu pojawił się Brulé. Zagryzał wargi i miał krzywo zapiętą koszulę. Próbowałam dać mu znać, wytrzeszczając oczy, ale udało mi się osiągnąć tyle, że sama wyglądałam jak wariatka. Matilde, która weszła w tej chwili do sklepu, poradziła sobie z tym lepiej.

– Proszę się porządnie zapiąć, panie Dominique'u. Wygląda pan jak dziecko. Niech pan na siebie spojrzy.

On jednak zamiast tego spojrział na mnie.

Violeta miała na sobie sweter z golfem, w którym wyglądała jak klon tych dziewczyn z kina Nowej Fali, z zapałem mknących przez życie na skuterach, z prostymi włosami i białymi dłońmi. Ta kobiecość od niechcienia, wyróżniająca ją na tle innych kobiet – stanowiąca może nawet pewien dysonans – czyniła ją niezwykle apetyczną. Niemiła dla oka, nieprzyjemna, kiedy spojrzało się jej w oczy lub oczekiwało swobodnego uśmiechu. Co za bzdury gadam. Zacząłem rozpinąć guziki niezdarnymi palcami zakochanego, który po raz pierwszy rozbiera się przed swoją dziewczyną i obawia się, że jej nie wystarczy, bo nigdy się nie wystarcza. Nigdy nie jest się nawet wystarczająco żalonym. W rezultacie wyszedłem właśnie na żalnego do bólu. Mężczyzna na pół ukryty między jodłowymi gałązkami, który zerkając na młodą dziewczynę, doprowadzał do porządku koszulę i jednocześnie czynił nieporządek w swoim życiu. Kim byłem?

Po kilku próbach w końcu mi się udało.

Jak w życiu.

– Co mi pani opowie, pani Mercedes? – zapytała Matilde, podczas gdy narzeczeni oglądali różne kwiaty na wystawie.

– Że muszę zaraz lecieć, mam tysiąc rzeczy do załatwienia.

– No proszę, jaka ważna persona!

Matilde była jak ostre nożyczki precyzyjnie tnące materiał. Pokiwała głową i zmarszczyła nos, jakby chciała dać do zrozumienia, że dobrze wie o wszystkim, albo o prawie wszystkim. Tak naprawdę jednak nic nie wiedziała. Podobnie jak pozostali.

– Mam swoje sprawy – powiedziała Mercedes. – Wpadłam tylko się przywitać, żeby potem nie zobaczyć na ulicy swoich zdjęć z podpisem POSZUKIWANA. Ty nie masz swoich spraw, Tilde? – A potem nagle się uśmiechnęła. – Mam swoje sprawy, najróżniejsze. Jak każdy.

– Moje sprawy już się przeterminowały. Kropka.

Kategorycznie. Do tego stopnia, że potem przez jakiś czas obie milczały. Jedna poprawiała sobie na palcu pierścioneł ze znakiem zodiaku, druga poruszała ramionami jak ptak sadowiący się na gałęzi. Pomyślałem, że mogłyby zamienić się gestami, tak bardzo były do siebie podobne. Choć w tamtej chwili – jeszcze o tym nie wiedziałem – pojawiło się już coś, co bardzo je od siebie różniło. Nawet nie przeszło mi to przez myśl. One jak to one.

Matilde podjęła rozmowę o niczym, nawigując po morzu słów, które nie prowadzą do żadnego celu, ale służą opłynięciu faktycznego pytania. Co miała do załatwienia Mercedes? Gdzie? Z kim?

Natychmiast zająłem się parą młodych krążącą wśród kubłów z kwiatami. Jak powiedzieli, chcieli udekorować salon kwiatami z okazji ślubu. To wtedy moja

Violeta weszła na zaplecze po płaszcz. Nie zdążyła jeszcze nawet go włożyć, kiedy Mercedes chwyciła torebkę i książkę, po czym pośpiesznie się pożegnała.

Zadzźwięczały dzwonki nad drzwiami. Widać było, jak energicznym krokiem mija witrynę.

– Ja też muszę załatwić parę rzeczy, panie Dominique’u. Mogę wyskoczyć na trochę? Proszę powiedzieć, jeśli czegoś pan potrzebuje. Kupię wszystko do domu.

– Wszyscy tu mają niezwykle ważne sprawy do załatwienia, poza nami – wymamrotała pod nosem Matilde.

– Nie, niczego nie trzeba. Zaniosę tylko później pęczek jemioli, tylko tego brakuje na górze.

Mówiąc „na górze”, wskazałem sufit, a chciałem pokazać na niebo. Choć dobrze wiedziałem, że ta jemiola nie przyniesie mi pocałunku ani nawet pożądania, ani westchnienia, ani apetytu na miłość.

Czasem zachowuję się absurdalnie.

Ale jednocześnie czuję się szczęśliwy w tym szaleństwie. Tak.

Matilde siedząca za ladą z głową opartą na dłoniach wyglądała trochę jak stara psycholożka, a trochę jak modelka, która wie, że będzie musiała godzinami pozować rzeźbiarzowi, i chce uniknąć zmęczenia. Podtrzymywała swoje myśli. Rzadkie włosy – zaczesane tak, by zakryć łysinę, z kokieteryą kobiety, która próbuje zatrzymać czas i ukryć słabości – poruszały się w rytm oddechu. Uważnie obserwowała moje gesty. „Jestem bezbronnym staruszką” – pomyślałem, poruszony jej wzrokiem. Zrozumiała mnie. „Ja też jestem tylko bezbronną staruszką” – zdawała się odpowiadać.

Żadne z nas jednak nic takiego nie powiedziało.

– Proszę się zająć klientami, panie Brulé...

Matilde to Tilde. A Tilde jest kobietą, która zawsze ma w torebce długopis, żeby zapisywać zasłyszane zdania. Trzyma tam też pastylki na kaszel, choć nigdy ich nie zażywa, wiecznie nieskazitelną haftowaną chusteczkę i lusterko, ale nie przegląda się w nim. Matilde nie znosi używać rzeczy, bo zaczynają wtedy się zużywać, starzeć. Dlatego uwielbia mieć nowe szklanki, z których nikt nie pije, filiżanki, do których nigdy nie nalano herbaty, i serwetki, które nie leżały na żadnym stole. Wie, że jeśli kiedyś w końcu je rozłoży, będą już zupełnie poprzecierane na zgięciach. Uważa więc, że tak jest lepiej. Jest bystra, nie ma złych intencji i nie znosi, kiedy kończy się krem do rąk, nie może znieść dotyku metalowego opakowania. Woli nie zużywać go do końca. Często zasypia wieczorem w fotelu przed telewizorem – jest malutka, więc może zwinąć się w kłębek gdziekolwiek. Zachowała jedyną płytę winylową, która przetrwała wszystkie przeprowadzki, zdjęcie rodziców przed ślepym kominkiem i malutką skrzynkę pancerną; kiedy nią potrząsnąć, dźwięczy jak grzechotka, ale pozostaje

zamknięta, bo Tilde nie pamięta szyfru – jej ojciec nigdy jej nie otwierał. Poza tym gdyby ją otworzyła – głęboko w to wierzy – skrzynka przestałaby być pancerna. Ma trzy kółka z literami i naprawdę nietrudno odgadnąć szyfr. Matilde sama pije aperitif. Czasem z Mercedes. W jednej z książek trzyma zdjęcie dawnego ukochanego. Ale nigdy do niej nie zagląda, tak jak do skrzynki. Wie, że gdyby zajrzała, przestałby być ukochanym.

– Oczywiście! Idealne! – odpowiedziałem z ożywieniem, oddychając głęboko. Ucieszyłem się, kiedy narzeczeni zatrzymali się przed moimi najlepszymi różami, bo ten kwiat nigdy nie zawodzi. A przynajmniej jest jakimś rozwiązaniem.

Ona jednak zmarszczyła nos, czytelnie jak znak drogowy.

– Najdroższa, chyba nie ma o czym dyskutować. To przecież róże.

Dominique pokiwał głową, przytakując chłopakowi.

– Taka już jest, ma bardzo konkretną wizję, jak mają wyglądać dekoracje. Jest bardzo skrupulatna. Wszystko ma być jak w filmie. Ale wydaje mi się, że róże pasują do tego obrazu.

– A co ty wiesz o dekoracjach i obrazach? – zapytała dziewczyna.

– To róże... – powtórzył pod nosem. – Chyba wszyscy lubią róże.

– Ale ja nie jestem „wszyscy”. Jestem twoją narzeczoną.

Skinął głową, a ja poczułem się w obowiązku stanąć w obronie kwiatów.

– Róża to królowa kwiatów. Symbol miłości, atrybut Maryi. Jedni mówią, że narodziła się z uśmiechu Erosa, inni twierdzą, że stworzyła ją Matka Ziemia, żeby zemścić się na Afrodycie. Z mitologii znamy też historię Bachusa, który chcąc schwytać pewną nimfę, powstrzymał ją za pomocą ciernistych krzewów. Potem jednak rozkazał im zakwitnąć różami. To miłość, to piękno, to cnota.

– Zobacz, jakie piękne – powiedział chłopak i szturchnął narzeczoną łokciem. – Jak myślisz?

– Auć, to boli.

Niedługo potem Tilde powiedziała to, co musiało zostać powiedziane:

– Szkoda z tymi różami.

A potem dodała, otwierając portmonetkę:

– Staramy się, ale nic z tego. Czasem się nie udaje. Nawet z różami.

*

Violeta położyła dłoń na brzuchu. Poczula kopnięcie.

*

Poczułam, że muszę się odwrócić, zerknąć za siebie, żeby sprawdzić, czy za mną idą. Usłyszałam wtedy gwizd wiatru w bramach budynków stojących przy ulicy, jakby wzywały nieznajomych. Zdawało się, że wszystkie zwiędłe liście lada chwila zerwą się do lotu, niczym otrzymane przeze mnie listy. Kierował mną nie tylko strach, ale też egoizm. Jak wtedy, gdy w dzieciństwie bałam się burzy.

Nazywam się Mercedes, mam siedemdziesiąt siedem lat i kroczę właśnie

w kierunku otchłani.

W tamtej chwili, kiedy chłopak z brodą powiedział, że chce się jeszcze ze mną spotkać, pogadać i powspominać przeszłość, poczułam się, jakby ktoś walnął mnie pięścią w żołądek. W naszych spotkaniach było coś nienaturalnego, niemal absurdalnego.

Przede wszystkim były niepotrzebne.

– Étienne. Mam na imię Étienne. Mam trzydzieści pięć lat, mieszkam w Grenoble. Pierwszy raz jestem w Paryżu, a przyjechałem tu dla pani.

– Ach tak. Słucham.

– Pracuję w piekarni należącej do ojca. Już od dawna nie ma siły w rękach, więc to ja zagniatam ciasto na chleb, noszę worki z mąką i prowadzę rachunki. Nie idzie nam za dobrze. Interesy pogarszały się równolegle z jego zdrowiem. Jest w kiepskim stanie.

– Wiem, kim jesteś. Wysłałeś mi wszystkie te listy. I książkę.

– Tak.

– Niepotrzebnie się tu zjawiałeś. Niektóre rzeczy lepiej zostawić samym sobie. A wszystko, co sobą reprezentujesz, lepiej się miało na odległość.

Wtedy wiatr ustał i poczułam, że przycichł również gwizd w bramach i koronach drzew.

– Zabierzemy go do domu. Teraz leży w szpitalu, ale chcemy, żeby to się stało na łonie rodziny. – Po krótkiej przerwie dodał: – To koniec.

– Umiera?

– Tak mówią lekarze. Jest na granicy śmierci.

– Wie, że tu jesteś?

– Nie. Dlatego powinniśmy się pośpieszyć.

– Słucham? Powinniśmy? Przez całe życie czekałam na jakiś znak, jakikolwiek. A teraz nagle wszystko musi być tak szybko... Nie wiem, czy chcę. Tak naprawdę nie wiem nawet, czy powinnam z tobą rozmawiać.

– Rozumiem panią, ale proszę i mnie zrozumieć.

– Wiele rzeczy próbowałam w życiu zrozumieć, a najtrudniejszą z nich wszystkich było zrozumieć siebie samą. Więc nie proś mnie teraz, chłopcze, o refleksję nad swoim życiem, ani nad twoim, a już tym bardziej nad jego. Już nie ten wiek ani nie te chęci. Jeżeli czegoś mi brakuje, to właśnie chęci.

Z początku nie rozumiałam, jak to się stało, że ten przystojny chłopiec przyjechał się ze mną spotkać, obarczony wspomnieniami. Wyglądał jak skóra zdjeta z ojca. Jednak szanownego ojczulka nie cechowała taka odwaga – był zwykłym tchórzem, który dobrze się maskował i postanowił przekreślić wszystko dla jednego rozpiętego guzika. Z trudem doszłam do siebie po tym wydarzeniu. Miłość w czasach powojennych nie przypominała bowiem tej obecnej, kiedy dziewczyny zmieniają chłopców jak rękawiczki. Ja szykowałam się na miłość do

końca życia – tak się mówi, jak gdyby miłość mogła trwać dłużej! – z mężczyzną, który po ślubie miał być ojcem moich dzieci i służyć mi ramieniem podczas innych ślubów, chrztów i urodzin.

A poza tym go kochałam.

Choć Oscar był przystojnym mężczyzną, dowcipnym rozmówcą, obiektem zainteresowania moich przyjaciółek i największym casanovą drużyny piłkarskiej, uczucia nie były jego mocną stroną. W najmniejszym stopniu. Często wołał mnie w nocy do salonu, a kiedy przychodziłam, okazywało się, że siedzi ze spuszczoneymi spodniami i prosi, żebym usiadła na jego sztywnym członku. Jeszcze nie zdążyłam przywyknąć do jego pocałunków, więc próbowałam wykorzystać te sytuacje, by je zdobyć. Taka wymiana seksu za miłość nigdy się nie opłaca. „Skoro nie posiadał nawet tego instynktu, to skąd miał go mieć do interesów?” – myślałam wtedy. A jednak. Teraz po latach uważam, że firmy buduje się często raczej na pierwiastku cielesnym niż emocjonalnym. I udaje im się przetrwać. Jak on mówił? „Ujeżdżaj mnie jak dziwka”. „Rusź się”. A ja płakałam do wewnątrz, co jest najgorszym sposobem zwilżania bólu.

Brodaty chłopak, Étienne, siedział na ławce pod drzwiami Shakespeare and Company. Wstał, kiedy zobaczył, jak zbliżam się z książką w ręku – tą, którą wysłał mi pocztą. Ta księgarnia. Mój świat. Las mojej wyobraźni, bo nie znam angielskiego, a sprzedaje się tu tylko książki w tym języku. Dlatego była moim miejscem. Dobrze się czuję, kiedy mogę robić zapiski w książkach, których nie czytam. Otwieram je, udaję, że czytam, i zostawiam karteczkę z kilkoma słowami.

Tam, gdzie zwykle zostawiałam wiadomości, siedziałam teraz z synem mojego męża. Tam, gdzie snułam fantazje, zderzyłam się z rzeczywistością. Unikałam zwracania się do niego po imieniu. I podeszłam, zdecydowana, choć rozedrgana w obliczu przeszłości.

– Jak myślisz, jak się teraz czuję?

– Nie wiem. Wiem tylko, jak on się czuje. Dlatego wysłałem pani te dwie książki i listy.

– Nie miałam czasu ich otworzyć.

Kłamałam. Nocami ponownie je czytałam.

– Ani jednej? Listów też nie?

– Tego Tołstoja czytałam już wiele lat temu, kiedy byłam jeszcze młoda i szczęśliwa, miałam niewiele lat, ale dużo zapału. Nie to co teraz. A jeśli chodzi o *Witaj, smutku*, to wystarczy mi pamiętać, jak się kończy. Nie jestem powieścią, jestem kobietą.

Po chwili ciszy, jakby narrator mnie usłyszał, pomyślałam: „Gdybym tylko mogła przeczytać to, co właśnie powiedziałam... Nie jestem powieścią, jestem kobietą”.

– Ale... Nie zrozumiała pani? – naciskał Étienne.

– Nie. Co miałam niby zrozumieć? Szczerze mówiąc, nadal nie rozumiem, jak zdołałaś mnie odnaleźć po tylu latach.

– Tę książkę dostała pani od niego, prawda?

– Tak, i osobiście odesłałam mu ją z pozostałymi rzeczami, kiedy dotarłam do Paryża. Pamiętam, że zrobiłam paczkę i wysłałam mu wszystko do domu. Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Pozbyłam się wszystkiego, co znajdowało się w tej walizce i miało jakikolwiek związek z... – prawie wymówiłam jego imię. – Nie masz pojęcia, jak bolesne są niektóre wspomnienia.

Zapadła cisza. Milczenie przerwał w końcu Étienne:

– Na paczce był twój adres. Nietrudno było dowiedzieć się, gdzie mieszkałaś przez wszystkie te lata, wystarczyło tylko cię odnaleźć. I przyjechać.

– Mówisz do mnie per ty, jak do matki, a nie jestem nią.

– Przepraszam.

Spojrzał mi wtedy w oczy jak rodzony syn.

– Nieważne – stwierdziłam i ujęłam go za rękę, żeby samej sobie wybaczyć ton, jakim się do niego zwróciłam. – Wybacz. Nie zrobiłaś przecież nic złego. Wybacz mi, proszę. Zachowuję się jak zgorzkniała baba.

– Ja też rozumiem, co pani czuje.

Czas się zatrzymał. Ale w tym stanie wrogości i zapomnienia okazało się prawie niemożliwe być dla niego miłą.

– Jesteś podobny do niego czy do matki?

Sama się zaśmiałam, kiedy usłyszałam, że powiedziałam to na głos.

– Chyba do obojga. Nie wiem. Gdybym bardziej przypominał jego, byłbym przystojniejszy.

– Nie ze mną te numery. Nie jestem jedną z tych, które można obłaskawić duserami.

– Czym?

– Pochlebstwem. Komplementami. Pochwałami.

– Tak, tak. Rozumiem.

– Jesteś dokładnie taki sam jak on w twoim wieku. Kiedy na ciebie patrzę, widzę jego. Ta sama twarz i...

Chłodnawy wiatr poruszał zasłonami w oknie nad maszyną do pisania, tam skąd widać Sekwanę. Za oknem – Notre Dame. Moje wspomnienie związane z innym oknem było smutniejsze. Tak naprawdę okna są przeceniane. Jakikolwiek by były, w końcu zawsze służą tylko jako wywietrzniki.

Zawsze gdy wyglądałam przez moje pierwsze okno w Paryżu, widziałam twarz innej Hiszpanki, która tak jak ja przychodziła sprzątać. Ciasny strych bez łazienki, po którym się poruszałyśmy, przypominał pułapkę, gdzie życie kurczy się wraz z marzeniami. Kto mógł się stąd wydostać? Komu udawało się uciec? Nie jestem pewna, ale zdaje mi się, że pomieszczenie miało jakieś dwanaście metrów

kwadratowych, piecyk i przedsiónek – tyle, ile potrzebowałam, żeby paść bez życia, wykończona pracą u państwa. Jestem niemal pewna, że nie mieli pojęcia, w jakich warunkach mieszka służba. Całe szczęście, że szybko nauczyłam się francuskiego i mogłam porzucić zmywanie podłóg Guillaume’a i Sandrine Harraultów na rzecz wypisywania kopert w sklepie przy rue du Pont-Louis-Philippe – szukali kogoś z ładnym charakterem pisma. „Umiesz kaligrafować?” – zapytali państwo Chastagnierowie. Odparłam, że tak. Jak zwykle.

– Nie podoba się państwu? – zapytałam.

– Madame... – Pani w zamyśleniu zapaliła papierosa. – Cóż... Nie powiedziałabym, że mi się nie podoba. Jest nieco pretensjonalne. Jeśli musiałabym użyć jakiegoś określenia, nazwałabym to pismo egzotycznym.

– A co pan uważa?

– Och, podoba mi się. Jest interesujące – zapewnił. – Nigdy nie widziałem takiego charakteru pisma. Zastanawiam się, dlaczego wcześniej się pani nie zgłosiła.

– Chciałam się nauczyć francuskiego.

Nic nie odpowiedzieli. Ta od kaligrafii spojrzała mi w oczy i zaproponowała papierosa. Kilka miesięcy później zmarła, a ja zostałam asystentką pana Chastagniera.

– Zachował tamtą skrzynię ze wszystkimi gratami?

– Wszystko przez cały ten czas leżało w tej samej paczce. Przez wszystkie te lata. Kiedy zaczął chorować, opowiedział mi waszą historię.

– Ale, ale... Co za dureń! Tam nie zdążyła rozwinąć się żadna historia.

– Dla niego – tak. Dla mojego ojca – tak.

– Zostawił mnie dla jakiejś... Zostawił mnie tam i musiałam uciekać. Świeżo po ślubie. Z tym, co miałam na grzbiecie. Z niczym! Nie mógł nic ci opowiedzieć, bo nic nie było. Ślub. Ślub, z którego nawet nie mam zdjęć.

Kłamałam. Miałam jedno.

– On ma.

– Zatrzymał je? – zapytałam.

– Mówił, że miesiąc po pani ucieczce z Grenoble z Hiszpanii przysłała koperta z wszystkimi fotografiami. W sumie dziesięć. Nie mógł ich obejrzeć. Włożył je razem ze wszystkimi pani rzeczami na pawlacz, na który nigdy nie zaglądał.

– Mam w to wszystko uwierzyć?

– Nie przyjechałem do Paryża po to, żeby kłamać.

– W Paryżu też się kłamie.

– Nie twierdzę, że jest inaczej. Ale nie w moim przypadku.

Jego słowa cofnęły mnie do dnia ślubu. Ale to jak powrót na pogrzeb. Wspomnienia nie są niczym dobrym, bo fasada spękała niczym wysuszona ziemia.

Jestem kobietą pokrytą zmarszczkami.

- Jest pani nadal tak piękna, jak na zdjęciach.
- Nie kłam. Zresztą podobno ich nie oglądał?
- Ale ja owszem.

Oboje umilkliśmy. Położył dłoń na mojej dłoni.

- Z tego, co mi o pani opowiadał, widzę, że prawie się pani nie zmieniła.
- Owszem, zmieniłam się. Nie jestem już tamtą kobietą. Nie widzisz?

Przyjrzyj się mojej twarzy. Połowa zmarszczek jest z winy czasu, druga połowa – twojego ojca.

- Mój ojciec nie był taki zły.
- Twój ojciec był sukinsynem.
- Nie zgadzam się, żeby pani tak o nim mówiła.
- A ja się nie zgadzałam, żebyś sprowadzał go z powrotem do mojego życia.

–

Cofnęłam rękę.

– Zawsze mówił o pani tylko dobrze. Wciąż opowiadał o swojej pierwszej miłości, o ślubie, o podróży pociągiem, o trudnej Hiszpanii, jaką za sobą zostawiliście, o cukierkach z kandyzowanymi owocami...

– Przestań. Proszę, przestań mówić.

Z okna na pierwszym piętrze Shakespeare and Company dobiegały dźwięki muzyki. Skrzypiały drewniane podłogi. A ja razem z nimi, jakby to moje kości trzeszczały.

I tak, przerażona wspomnieniami, w miejscu, gdzie zwykle zostawiałam notatki między stronami książek, dowiedziałam się o istnieniu nieznanego mi dotąd świata.

- Nie zwróciła pani szczególnej uwagi na książkę, prawda?
- Zostaw mi ją.

*

Zapiski autorstwa Mercedes, które być może nadal tkwią gdzieś między kartkami niektórych egzemplarzy w tamtej księgarni, mogłyby brzmieć następująco:

„Chciałabym, żebyś był osobą, na którą czekam w każdym milczeniu, żebyśmy wspólnie je przzerwali”.

„W kwaciarni czeka pewien kwiat – jest dla ciebie”.

„Kiedy po raz ostatni zamknęłaś oczy i zmieniłaś imię?”.

„A teraz wszystko się zmieni. Pomyśl, że jesteś szczęśliwy. Wyjdź na ulicę i kup sobie czekoladę. Znowu bądź tym, kim chciałeś być”.

Dominique Brulé znalazł raz taką karteczkę i uznał ją za żart jednego z tych nieszkodliwych wariatów, którzy składają ptaszki z papieru i zawsze chodzą w kapeluszu. Nigdy by nie pomyślał, że to liściki od Mercedes. Bo nigdy nie

poznajemy się w pełni i umieramy, zanim zdążymy urządzić przyjęcie, na którym wszyscy decydują się być tacy, jacy tylko chcą.

W Paryżu zaczął padać śnieg. Na ulicach panował dotkliwy chłód. Dominique uśmiechnął się melancholijnie i zamyślił nad innymi, dawno minionymi zimami. Nie musiał próbować ich odzyskać, bo pozostają obecne w pamięci. Powoli podszedł do okna wystawy i czuł nadciągającą śnieżycę, jedną z tych, które paraliżują całe miasto, a mimo to świetnie wychodzą na zdjęciach. Śnieżynki spadały z filmową prędkością i zwinnością, właściwą jeszcze tylko płatkom kwiatów. W dłoni miał filiżankę kawy.

– Mój Boże, ależ sypie.

Violeta Gadea szybkim krokiem wracała ze swojej tajemniczej wyprawy, w drobnych, pewnych podskokach, jakby przynosiła jakieś nowiny. Wiedziała już, że mężczyzna z brodą miał około czterdziestki, że na powitanie ucałowali się z Mercedes w policzki, a potem weszli pod ramię na piętro księgarni. Zobaczyła, że podeszli do okna, i to jej wystarczyło. Nie była Herkulesem Poirotem ani panną Marple. Jednak kiedy nie chcemy nic wiedzieć o własnym życiu, próbujemy znaleźć odpowiedzi w życiu innych ludzi. W tamtej chwili chęć ucieczki od siebie samej oznaczała dla Violety konieczność poznania tajemnicy Mercedes, która z jednej z wielu klientek stała się nagle posiadaczką najpilniej strzeżonego sekretu tegorocznych świąt.

– Gdzie byłaś, mała? – zapytała Tilde, jakby znała odpowiedź.

– Musiałam wysłać list do rodziców. Nie wybieram się na razie do Hiszpanii, wolałam ich uprzedzić.

– Dziewczyno, nie lepiej zadzwonić?

– List mogą przeczytać ponownie.

„Jak łatwe okazuje się kłamstwo” – powiedziała sobie.

„Jak łatwo przychodzi ci kłamać” – pomyślała doña Matilde.

– Pada śnieg, jeśli jeszcze nie zauważyłyście.

Dominique odezwał się, bo doskonale wiedział, co myśli każda z obecnych. Poprosił Violetę o pomoc i zajęli się chowaniem do środka wystawionych na ulicę roślin, które zaczynały już marznąć. Violeta stanęła na środku ulicy i wystawiła twarz na padające płatki. To było jak wyzwolenie, katharsis, odnowienie. Narratorowi przypominała w tamtej chwili pannę młodą, z bukietem w ramionach i welonem ze śniegu. Dominique’owi, zamieszkującemu światy bliższe rzeczywistości, scena przywodziła na myśl film z Jane Birkin, ale bez kamer, bez ścieżki dźwiękowej, bez dekoracji.

– Wracaj do środka. To nie żarty.

– Nigdy jeszcze nie widziałam śniegu w Paryżu – odparła Violeta.

– Nie ma się na co cieszyć, to koszmar – odparł staruszek. – Śnieg powinien padać tylko na zdjęciach.

Zignorowała jego słowa. Stała tak jeszcze kilka chwil, czuła ogarniający ją chłód i pozwoliła, by trzymane w ręku kwiaty pokryły się warstwą bieli.

– Jest pięknie, panie Brulé. Jak w Boże Narodzenie.

Dominique nic nie powiedział i zmierzył ją surowym wzrokiem.

– No dobrze, dobrze – odparła. – Już wracam do środka.

Nie rozumiała wymowy jego spojrzenia. Jaki jest sens patrzeć, jeśli znaczenie nie zostaje rozumiane? On widział w niej małą dziewczynkę bawiącą się na ulicy, która zamyka oczy i podnosi głowę wysoko, żeby poczuć na buzi mróz. Szczęśliwe dziecko. Ona zaś widziała w nim starszego pana, który martwił się o jej zdrowie i kazał wejść do ciepłego sklepu. Rozsądnego mężczyznę.

Dominique uśmiechnął się i wyciągnął ramiona, zapraszając ją do środka. Violeta ucieszyła się i zaczęła gadać jak najęta:

– Ach, Boże Narodzenie już za kilka dni, niech sypie jak najwięcej, wszystko pokryje biały puch i Paryż będzie wyglądał jak na pocztówce...

– Będziesz potrzebowała więcej niż tylko szalika.

– To tylko zimno, panie Dominique’u.

Brulé na chwilę zamilkł, po czym wybuchnął śmiechem.

– Tylko zimno?

– No cóż, mamy dwudziesty grudnia, czego się pan spodziewał?

– Muszę zadzwonić po zdrowy rozsądek, chyba gdzieś mi się zawieruszył, bo właśnie przegadała mnie świeżo upieczona paryżanka.

– Proszę pomyśleć, że jest nas dwoje.

– Jak to?

– Mam na myśli siebie – wyjaśniła. – Przypominam, że liczę się za dwie osoby.

– Potrzebuję gorącej czekolady. Nie, zaraz, lepiej od razu trzy porcje. Po jednej dla każdego, tak? Tak łatwiej nam będzie myśleć o mrozie i o przyjaciółach. To nie nasza wina, że jest zima, prawda?

– Absolutnie. Nie jesteśmy w najmniejszym stopniu odpowiedzialni za zimę – stwierdziła Violeta z uśmiechem. – Poza tym mamy się dobrze.

– Masz całkowitą rację, bez dwóch zdań. Ale jest ktoś, kto nie podziela naszych poglądów na tę kwestię...

– Kto?

– Kwiaty, które ciągle czekają na ratunek przed śniegiem.

– Jestem tego samego zdania – dodała Matilde.

Kwiaty ucieszyły się na widok ekipy ratunkowej.

Wystarczyło pięć minut, żeby zabezpieczyć je przed śnieżycą malującą Paryż na biało i przenieść do środka. Dominique zamyślił się na dłuższą chwilę nad siłą Violety, a Violeta – nad słabością mężczyzny, który zaciskał zęby, schylając się, i zamykał oczy, żeby powstrzymać się przed jakąkolwiek skargą.

– Przepraszam za kłopot, panie Dominique’u, ale chciałabym kupić jedną gwiazdę betlejemską. Widziałam z domu, że już przyjechały.

To ta sąsiadka, która wcześniej wieszala w oknie Świętego Mikołaja.

– Ależ oczywiście, pani Aumont. Proszę sobie wybrać.

– Jak się miewa Mercedes?

– Doña Mercedes?

– Tak, drogi panie.

– Wpadła dzisiaj, pogadaliśmy chwilę i powiedziała, że musi już iść. Widzę, że wieści szybko się roznoszą.

– Widziałam, jak rozmawialiście. To wszystko.

Kiedy tylko pani Aumont wyszła z wybraną gwiazdą betlejemską w objęciach, pozostała trójka wymieniła spojrzenia. Stara Matilde siedziała na ławce pokrytej ostrokrzewem niczym kolejna ozdoba świąteczna, malutka i o dźwięcznym głosie. Młoda Violeta usiadła przy niej w milczeniu, a Dominique wykorzystał właśnie tę chwilę, żeby wyjść z za lady i obrócić tabliczkę na drzwiach. „Zamknięte”.

– Zastanawialiście się pewnie, czemu tak nagle wybiegłam, prawda? – rzuciła Violeta.

– Wręcz przeciwnie – odparła Matilde z pewnością siebie. Splotła ręce na piersi. – Wszystko jest jasne jak słońce.

– Naprawdę?

– Jestem już stara. A starszki mają niezawodny radar. Nie zdajemy sobie z czegoś sprawy, aż nagle wszystko do nas dociera. Powinniśmy porozmawiać. Nie martwimy się jej zaginięciem, bo to już nieaktualne, pojawiła się i możemy być spokojni – mówiła, patrząc to na nią, to na niego, jak dzielnicowy. – Teraz więc, kiedy już przelknęliśmy tamto zniknięcie, powinno zmartwić nas jej zachowanie. Nigdy jeszcze nie widziałam jej w takim stanie i wiem, że coś musi być na rzeczy. Ale ona jest taka zamknięta w sobie... Nie rozumiem jednej rzeczy...

– Czego pani nie rozumie?

– Chciałabym pana o coś zapytać. Nie umawialiście się za moimi plecami?

– Słucham? – zapytał zaskoczony Dominique.

Violeta złapała pierwszy wazon z prawej i zagryzła wargi. Oto wypływała kolejna historia, której dotychczas nie znała. Ech, Matilde bardzo sobie wzięła do serca nieobecność Mercedes. Mimo że nieraz określała swój kalendarz słowami „trzęsawisko nudy”. Reguły obowiązujące w przyjaźni były dla niej bowiem bardzo ważne, tak samo w tym wieku, jak w dzieciństwie czy młodości.

Zaczynało się ściemniać, ulica pokryła się śniegiem. Violeta nabrała dużo powietrza przez nos i poczuła, jakby wchłaniała całą kwiaciarnię.

– Wy dwoje – powiedziała Matilde.

– Kto? Mercedes i ja?

Staruszka nabrała resztę powietrza i – podczas gdy Violeta zaczęła powoli obrywać płatki, wiedząc, że pozna inny aspekt całej sprawy – zaczęła mówić, jakby dusiła to w sobie od lat.

– Wasza dwójka.

*

Teraz nieprzyjemnie jest mi wspominać tamten moment. „Mercedes to moja przyjaciółka”, powtarzałam sobie. „Mercedes to moja przyjaciółka” – powiedziałam. Zdaję sobie jednak sprawę, ile tajemnic wszyscy skrywamy, jak obcy sobie jesteśmy, i jak często wypełniamy ciszę cczą paplaniną, zamiast pozwolić wybrzmieć muzyce. Na przykład Dominique lubi puszczać piosenki, kiedy otwiera kwiaciarnię. Dziś, kiedy przyszłam, leciała *Le Noël de la Rue*, a on nucił pod nosem, rozstawiając kwiaty z tak typową dla siebie uwagą. W jego wielkich dłoniach róże wydają się malutkie, wyjmuje je z wazonów ostrożnie jak niemowlęta. Wiem, że kiedy się ich pozbywa, rozmawia z nimi, mruczy coś półgłosem. „Zostawisz mnie?” – zdaje się pytać. Trudno mi stwierdzić, czy takie zachowanie świadczy o szaleństwie czy o cudownym darze. „On wie?”. Któż to może wiedzieć. Ludzie tacy jak on – mężczyźni tacy jak on – nie istnieją, występują tylko w snach, bo kiedy z nich wychodzą, zmieniają się w zwykłych śmiertelników.

Kwiaciarz żyjący w swojej kwiaciarni. Dominique.

– Dalej, proszę.

Dotrzymuje mi kroku?

Kiedyś przyszłam do sklepu z myślą, że chcę się do niego zbliżyć. Zbliżyć – możecie to rozumieć, jak chcecie. Zapytałam Mercedes, jak pachnie Dominique, a ona powiedziała: „A jak ma pachnieć? Na pewno kwiatami, głupia”. Ja jednak uważałam, że jest inaczej. Że to, co oczywiste, nie może pasować do gorączki uczuć. Zrezygnowałam jednak z zadawania jej pytań i postanowiłam zapytać samą siebie. Dzięki temu uniknęłam ostrych odpowiedzi przyjaciółki, które sprawiały, że czułam się jak idiotka – tak samo jak w rozmowach z matką. Żałowałam, że w tamtej chwili miałam w głowie pustkę, bo gdybym szybciej myślała, powiedziałabym jej, że Dominique pachniałby tak samo w warsztacie samochodowym, w piekarni czy nawet w sklepie rybnym. Sobą. Ale ponieważ riposty przychodzą do mnie zawsze dwie godziny po fackie, nie podzieliłam się z nią swoimi wątpliwościami.

Poruszałam palcami w takt nuconej przez niego piosenki.

Gdy o nim myślę, dochodzę do wniosku, że musi mieć na tym świecie jakąś nieznaną mi misję, bo jego delikatność zdaje się wyjątkowa. I nie, nie jest homoseksualistą. Jest szczególnym mężczyzną. Zadziwiająco różnym za każdym razem, kiedy się na niego patrzy, kiedy spaceruje i kiedy odwraca tabliczkę OTWARTE/ZAMKNIĘTE.

Dziś przypomina mi się wiele anegdot.

Pewnego razu – wszystko wydaje mi się wyjątkowe – spojrział na mnie, a ja nawet nie otworzyłam ust. Zepsuło mi się ogrzewanie w domu i kaloryfer przeciekał, jakby wykrwawiał się od ciosów nożem. Przyszłam wyraźnie zmartwiona. A on z tym swoim półuśmiechem podszedł do jednego z wazonów i ściał dla mnie kwiat. Sam włożył mi go do kieszeni płaszcza, jakby tym gestem uśmierzał cały ból. Powiecie, że to głupstwo, że kwiaciarz chciał po prostu zwiększyć obroty, zjednać sobie klientkę, nagrodzić wizytę różą, bo i tak zostałyby mu po zamknięciu. Nie. Ogarnęło mnie uczucie, które sparaliżowało mi nerwy, uspokoiło bardziej niż jakiegokolwiek lekarstwo, bardziej niż telefon do hydraulika, który wykonałam z ławki pełnej tulipanów, mimochodem załatwiając sprawę. Za podarowanym kwiatem kryło się coś więcej. Zawstydyłam się, bo kiedy właśnie miałam powiedzieć: „Dziękuję, panie Dominique’u, jest pan człowiekiem...”, zabręczał dzwonek nad drzwiami, Mercedes wkroczyła do środka stanowczym, zdecydowanym krokiem, i zamarłam. Słowa uwięzły mi w gardle, niczym wezbrane za tamą, która w każdej chwili może pęknąć i doprowadzić do powodzi.

Niemal nigdy nie widywali moich łez. Bo płacę po kryjomu. Nikogo to nie obchodzi. Nawet mnie.

Płakałam jak jeszcze nigdy wcześniej. Mówię to, kręcąc jednocześnie przecząco głową na takie sformułowanie narratora, bo płakałam tysiące razy z tego samego powodu. Dziś jest pełnia i będę znowu płakać. Ostrzega mnie kalendarz. Płacę. Dużo płacę.

Jeśli chcesz, opowiem ci, wyznam, że nikt nie znał przyczyny. Spędziłam całe życie ukryta za fasadą ironii: ironicznej dziewczyny, ironicznej kobiety, ironicznej staruszki. Wymusiła to na mnie chorowita, zgorzkniała matka, która przez lata wybierała się na tamten świat, ale śmierć przychodziła po wszystkich poza nią. (Myślę o tobie, tato). Pogarszało jej się zwykle wtedy, kiedy miałam ochotę iść na bal, na spacer, na randkę z jakimś chłopcem. I podczas gdy moje rodzeństwo bez skrpułów wychodziło z domu, ja zostawałam, przebierałam się, wyjmowałam z włosów wsuwki, związywałam kucyk tasiemką i rozpalalam pod kuchnią, żeby doprawić zupę czosnkową własnymi łzami. Ten szantaż emocjonalny (z czasem nauczyłam się nazywać sprawę po imieniu), którego byłam jedyną ofiarą – nie dotykał żadnego z moich braci ani siostr – stopniowo narastał, aż w końcu nie potrafiłam nic już zrobić sama z siebie. Nawet wypłakać się i poskarżyć pozostałym. Przelykałam łzy i zazdrość, gdy moje siostry Concha i Rosita wybierały się na festyn uliczny albo do kina, a ja kręciłam tylko głową i mówiłam: „Zostanę z mamą, nie martwcie się”. Ale kto o tym wiedział? Nikt. Tylko ja (i trzęsawisko kalendarza). Reszta uważała mnie za introwertyczną, acz uroczą, dziewczynę, która nie przepadała za ciemnymi salami kinowymi i nigdy się nie malowała.

Błagam, napisz tu, że to nieprawda.

Nieprawda.

To nieprawda, że nie pragnęłam szczęścia.

Dominique jako pierwsza osoba w moim życiu powiedział mi, że mam piękne oczy, podobne do wystawionych tego dnia hiacyntów.

– Wiedziała pani o tym, pani Matilde? Dokładnie taki odcień niebieskiego mają pani oczy. Niemal fiolet. Jak Liz Taylor.

– Co pan mówi? Przesadza pan.

W gardle mnie jednak ścisnęło, a do oczu napłynęły łzy wzruszenia. A co ja zrobiłam? Choć każdy cal mojej skóry pokrył się gęsią skórką, powiedziałam, że to bzdury.

– Bzdury – powtórzyłam dobitnie. – Nie dam się złapać na takie tanie sztuczki – dodałam.

A hiacynty w kolorze oczu Taylor wróciły do wazonu, gdzie czekały już odpowiedniki tęczyw innych gwiazd srebrnego ekranu.

Dominique Brulé ujmuje filiżankę swoimi dużymi dłońmi, jakby chciał ogrzać się ciepłem kawy. Patrzę, jak para przesłania mu twarz, i wyobrażam sobie, że zasnuwa go w całości, niczym na seansach magicznych. Czasem fantazjuję, że poobrywał płatki ze wszystkich kwiatów i pokrył nimi podłogę na moje przyjście, niczym wonnym dywanem. A para z jego kawy spowija moje ubranie, moje nogi i niesie mnie w powietrzu w stronę lady.

Nigdy tak się nie dzieje.

Bo jak ma się dzieć? W mojej wyobraźni mają miejsce tysiące różnych zdarzeń, ale tylko tam. A jeśli dzieją się tylko w twojej głowie, to tak, jakby nigdy nie zaszły. Mercedes uznałaby mnie za wariatkę. Ale mówię to sama do siebie, nie potrzebuję oceny przyjaciółki.

Na jego – Dominique’a – dłoniach wyraźnie odznacza się linia życia, widziałam ją. Zakrzywiona kreska w kształcie półksiężyca biegnąca od nadgarstka do kciuka. Wiem, bo mam w domu kupiony w antykwariacie porcelanowy model dłoni z zaznaczonymi wszystkimi liniami, jak dla chiromanty. Kupiłam go jako stojak na pierścionki, ale jako że ich nie mam – uświadomiłam to sobie dopiero później – od lat stoi na gzymsie kominka i wyobrażam sobie, że to dłoń Dominique’a. Czasem kładę ją sobie na kolanach, jakbyśmy byli w kinie, i gaszę wszystkie światła w domu albo pozwalam świecom wypalić się do końca, żeby wydało się to niezaplanowane. Możesz uwierzyć, że czasem zdaje mi się, jakby porcelana gładziła mnie po pończosze ciepłymi opuszkami palców? Naprawdę. Uwierz mi.

Nasze dłonie się splatają i mówię do niego, wodząc palcem po linii serca, linii losu, linii zdrowia... „Wiesz co, Dominique’u?”. A kiedy liczę linie podróży, myślę o wszystkich miastach, które bym z nim odwiedziła.

To tylko porcelanowa figurka.

Ojciec mawiał: „Masz bujną wyobraźnię, daleko zajdziesz. Dalej niż twoje siostry”. W porządku. Spełniły się jego słowa. Przybyłam do Paryża, kiedy kobiety w moim wieku mogły pracować jako służące w domach paniczów, tak jak moja przyjaciółka Mercedes. Chociaż ona, dzięki ładnemu charakterowi pisma, trafiła do sklepu z przyborami piśmienniczymi. Może już wam to sama opowiadała. Ani ja się w nikim nie zakochałam, ani nikt nie zakochał się we mnie. „Nie kłam, Tilde”. Owszem, zakochiwałam się w wielu chłopcach przejeżdżających w każdą niedzielę na rowerach przez Tuileries, kiedy ja wygrzewałam się na słońcu z innymi emigrantkami na jednym z tych żelaznych krzeseł, od których roi się w ogrodach niczym od olbrzymich insektów, patrzyłam albo wyszywałam coś haftem krzyżykowym – najbardziej absurdałne zajęcie świata. Nie tylko ja nie mogłam oderwać się od igły: wszystkie czekałyśmy na Odyseusza niczym biedne Penelopy.

Minęło już wiele czasu, ale wystarczy, że zamknę oczy, i przypominam sobie ich imiona: Vincent, Guillaume, Gaspard, Alain, Lambert, Gérard... Mogłabym wymieniać dalej. Ale każdy z nich skończył z jakąś inną, nie ze mną.

Moja miłość wciąż zmieniała imię, a ja nie.

Pozostawałam taka sama. Szantaż emocjonalny matki sprawił, że stałam się fizycznie niezdolna dać się porwać normalności, która tak uszczęśliwiała pozostałe dziewczyny. A do tego ta przekłeta Françoise Hardy śpiewała: „Wszyscy chłopcy i dziewczęta w moim wieku parami chodzą po ulicy”. Kłamstwo: wszystkie oprócz mnie.

Zapisz to.

Wierzę ci, Matilde.

W domu mam kota, wabi się Lizak. Ale pojawia się i znika. Nie zostaje na dłużej, więc nikt nie wie, czy tak naprawdę mam kota. Nawet zwierzęta się mnie nie trzymają. Na pewno jest jakaś piosenka, która i to zepsuje.

Pewnego popołudnia, gdy po mnie przysłała, Mercedes zobaczyła, jak kruszę chrupki dla kota, żeby zostawić je na podłodze pod oknem wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec, ale że parszywy zwierzak się nie pojawił, zapytała, czy sama jadam karmę dla zwierząt. Powiedziałam, że tak, żeby nie wzięła mnie za wariatkę. Było jednak jeszcze gorzej:

– Ekscentryczka z ciebie, Tilde.

– Smakuj mi, nic nie poradzę. Ale nie mów nikomu.

Mercedes przewróciła oczami, splotła dłonie i westchnęła głęboko. Nic jednak nie powiedziała, jak przystało na przyjaciółkę. Chociaż uśmiełyśmy się.

Nie powiedziała też nic, że czasem spotykali się wieczorem na kawę z Dominikiem Brulém. Tylko we dwoje.

Chodzili za ręce? Spacerowali razem, tak jak ja po swoim mieszkaniu z porcelanową dłonią?

Czy można być bardziej żalowaną?

To też zapisz.

Dłoń na moim kominku. Mój świat. Do tamtej chwili mój sekretny świat. Pomyślałam, że powinnam kupić pierścionek i na zawsze zostawić model do chiromancji na kominku, bardziej jako hołd złożony przeszłości niż na przyszłość. Teraz, kiedy ją widzę, nie jestem w stanie jej dotknąć. Bo wierzę, że chmura pary z gorącej kawy spowija nas oboje. Ale to tylko moja wyobraźnia. I zazdrość o przyjaciółkę. Zazdrość, na którą nie poradzi nic ani mój kot, który nie jest moim kotem, ani matka, która nie była matką.

Co mi po zmianach na tym etapie życia? Nie mam już czasu na zmianę ani przyjaciółki, ani kłamstw. Bo jedyną prawdą jest to, że nikt nigdy nas nie zna.

*

Tilde zgodziła się z Violetą i Brulém, że całkiem wiarygodną przyczyną dziwnych nieobecności jej przyjaciółki mógł być fakt, że ktoś oszukiwał Mercedes. Przystała na propozycję Dominique'a, że z nią porozmawia.

Violeta milczała na temat mężczyzny z brodą. Jeśli ktoś miał o nim wspomnieć, to tylko pani Mercedes.

Pan Julien był zachwycony.

Dozorca budynku przy rue Visconti, w którym mieszka Mercedes, lubi zbierać znaczki, zwłaszcza jeśli przy okazji może też poznać adresy nadawcy i odbiorcy. Ustaliliśmy już, że przechowuje stare listy, bo boi się uszkodzić znaczek przy odklejaniu go z koperty. Dobrze. Z powodu tego kaprysu składa się dziesiątki, setki egzemplarzy w starej kartotece, którą udało mu się ocalić ze zlikwidowanej kancelarii na sąsiedniej ulicy – upadła, bo adwokatowi brakowało ikry. Biedny mecenas Thibaud Maris był tak nieśmiały, że choć dużo się nauczył dzięki wielu godzinom samotnego studiowania ksiąg i kodeksów, to nie potrafił stawić czoła sądom i urzędom. Porzucił więc fach i został zegarmistrzem w malutkim zakładzie wśród straganów Saint-Paul. Zniszczył akta, a szafy, segregatory i biurka wystawił na ulicę. Łatwiej zapanować nad czasem niż nad nerwami.

Julien Dupont, o którym wam opowiadałem, niezwykle ostrożnie obchodzi się nie tylko z listami, lecz także z roślinami na dziedzińcu i kublami na śmieci, nigdy nie ciągnie krzesła po ziemi i zawsze ma nieskazitelnie czyste szyby. Ponadto uwielbia Boże Narodzenie. A w święta do śmieci trafia wiele przesyłek – co roku identycznych życzeń, różniących się od poprzednich tylko znaczkiem.

Gdy tego poranka usłyszał szybkie kroki jednej z sąsiadek pokonującej ostatnie schody prowadzące na dziedziniec z donicami, wstał z krzesła, żeby uważniej wsłuchać się w stuk-stuk-stuk obcasów. Zdobył się na wysiłek umysłowy, żeby odgadnąć ich właścicielkę, a w jego głowie natychmiast pojawiła się postać Mercedes i jej niedzielne brązowe trzewiki. „To ona” – mruknął i zaczął szukać miotły, żeby wpaść na nią niby przypadkiem w bramie i zamienić kilka słów.

Faktycznie. To była ona.

Wystrojona Mercedes zostawiła psa zwiniętego w kłębek na kocu przy drzwiach balkonowych, a sama wychodziła w szaliku i rękawiczkach.

– Jak zdrowie?

– Czyje? Moje? Dlaczego pan pyta? – zapytała Mercedes defensywnie.

– Pytam o pieska.

– Ach, przepraszam, panie Julienie – odparła już spokojniej. – Biedak jest już starutki, strasznie mi go żal. Prawie się nie rusza i obawiam się, że może nie przetrwać zimy. Przeklęte paryskie zimy.

– Jest straszna plucha po śniegu. W innym razie wziąłbym go na spacer, tak jak zwykle. Chce pani?

– Nie dałby rady. Leży sobie cichutko pod kaloryferem. Wstaje tylko, żeby napić się wody, a potem wraca na koc. Nawet nie wie, jak go żałuję. Muszę zacząć przygotowywać się na pożegnanie i...

– Proszę tak nie myśleć, pani Mercedes.

– Wszystkim nam przybywa lat, panie Julienie. Zbyt wielu. Na tym etapie już tylko wyliczamy kolejne pożegnania.

Dozorca dobrze wiedział, o co chciałby zapytać, ale ze względu na chorobę psiny wolał nie przedłużać rozmowy. Stała już w otwartej bramie, z jedną nogą na ulicy i plikiem kopert w dłoni, ale odwróciła się i powiedziała:

– Zapomniałam, panie Julienie. Miałam je panu dać do kolekcji.

– Stokrotnie pani dziękuję.

– Ostatnio dostałam ich bardzo dużo naraz. Nie są mi potrzebne. Brakuje mi jeszcze do szczęścia stosów makulatury w takim małym mieszkanku!

– Ale każda koperta opowiada historię...

– To prawda, ma pan rację. Ale te historie, które naprawdę chcę zapamiętać, przechowuję w pamięci. Zabiorę je ze sobą na tamten świat. – Po czym, bez pozwolenia narratora, dodała: – Moje życie nie ma najmniejszego zamiaru przejść do żadnej historii poza moją.

– Każde z nas jest dla kogoś ważne.

– Albo było – podsumowała.

Julien nie odpowiedział, ona zagryzła wargi. Wiedziała, że niepotrzebnie wyrzuciła z siebie wszystko, co leżało jej na wątrobie, ale znała go od zawsze, był jej codziennym spowiednikiem.

– Wie pan co? – podjęła przerwany wątek, zapalając jednocześnie wyciągniętą z paczki połówkę papierosa. – Powinniśmy wszyscy być jak mój biedny, stary pies: milczeć, a szczekać tylko wtedy, kiedy jesteśmy głodni albo mamy ochotę wyjść na spacer. Nic więcej. Ludzie mają jakąś dziwną potrzebę roztrząsania przeszłości, rozdrapywania starych ran, po co?

– Czasem po to, żeby się komuś przypochlebić.

Mercedes zaciągnęła się raz, po czym zgasiła papierosa.

– Mój ojciec nazywał to wyrównywaniem rachunków i w pełni się z nim zgadzam. Nie lubił pisać ani zbyt wiele mówić. Dorosłym wystarczy powiedzieć coś raz, nie trzeba powtarzać. A listy niosą ze sobą niebezpieczeństwo ponownej lektury...

Zapadła między nimi cisza. Z ulicy dobiegł dźwięk klaksonu ostrzegający dzieci, które przechodziły bez patrzenia. Oboje spojrzeli w tamtą stronę, żeby zobaczyć, czy coś się stało. Julien wiedział, że coś jest na rzeczy, nie tylko listy, więc z zainteresowaniem przyglądał się jej kątem oka. Zacisnął mocno dłonie na pustych kopertach, bo obawiał się, że w końcu poprosi go o wrzucenie ich do pierwszego lepszego kosza na śmieci.

– Listy zawsze opowiadają o przeszłości.

– W tym okresie to zazwyczaj życzenia.

– Tak czy inaczej, przeszłość. Czas jest pętlą.

– Ale skoro ciągle zaglądała pani do skrzynki...
– Wszyscy to robimy – rzuciła Mercedes na pożegnanie. – To chyba jakiś odruch. Wszyscy przez całe życie na coś czekamy. Czekamy... Nie wiem na co.
– A ja mówię pani – dodał dozorca, żeby zakończyć miłym akcentem – że tak naprawdę przychodzą do nas tylko reklamy i wyciągi z banku.

Kiedy matki połapały już swoje dzieci, a samochód oddalił się w swoją stronę, Mercedes stwierdziła tonem skargi:

– W moim przypadku to były... Zaległe rachunki.

Świąteczne dekoracje pokrywały ulice miasta. Setki paryżan krążyły w poszukiwaniu prezentów pomiędzy wystawami ozdobionymi wieńcami ostrokrzewu, świecami, gwiazdami betlejemskimi, pękami wrzosu i kolorowymi lampkami. W stróżówce stała choinka udekorowana przez dozorcę bombkami, które miał od lat. Do każdej przyczepiał karteczkę z nazwiskiem jednego z mieszkańców. Jedna bombka – jedno nazwisko. Nie trzeba nawet mówić, że w te święta Mercedes przypadła najpiękniejsza ozdoba, z wdzięczności za wcześniejszy prezent, którym go obdarowała.

Nawet nie zauważyła tego szczegółu tamtego ranka.

Julien schował puste koperty do kartoteki.

Kochana Mercedes!

Pisanie do Ciebie nie ma sensu, ale oto kolejny list. Jeszcze jeden. Ile musiałem ich już napisać? Kto wie. Łączące nas więzy są już tylko duszącym sznurem na mojej szyi. Zasłużyłem na to. Im więcej do Ciebie piszę, tym mocniej się zaciska. Robię to chyba po to, żeby umrzeć. Ale pewnie wydaje Ci się to tanim chwytem, skoro to ja zostawiłem Cię samą. Jeśli tak myślisz, masz rację.

Z początku spacerowałem po mieście, w którym zostałem, zadowolony ze swojej decyzji, jednak z upływem lat coraz intensywniej czułem Twoją obecność we wspomnieniach.

Kiedy przeprowadziliśmy się z Rose – wspominałem o niej w poprzednich listach, choć wiem, że nie powinienem – myślałem, że wygrałem bitwę z przeszłością spędzoną z Tobą. Jednak mimo całej tej skomplikowanej przeprowadzki wraz z pudłami i meblami zabrałem również Twój zapach. Mercedes... Czasem jesteśmy tacy głupi. W którymś momencie pozwoliłem sobie...

Zresztą teraz to już nieważne. Przede wszystkim dla Ciebie.

Zacząłem malować, zapisałem się też na warsztaty literackie. Z początku wydawało mi się, że to nie w moim stylu, ale proszę: rysuję i piszę. I bardzo mi to odpowiada. Powinnaś zobaczyć, jakie robię postępy i ile przyjemności sprawiają mi te zajęcia. Tobie? – zapytałabyś. Tak, Mercedes, właśnie mnie. Jestem jedynym mężczyzną na warsztatach, dziewczyny traktują mnie jak ojca, który chce się czegoś nauczyć na starość. Na początku czułem się śmieszny w grupie młodzieży dyskutującej o książkach, których nawet nie spodziewałbym się przeczytać, nie

pomyślałbym też, że będę analizował dzieła wielkich pisarzy. To, co między nami, też było powieścią. A na kursie nauczyłem się, że „w każdej opowieści ktoś przegrywa”. Mam nadzieję, że w naszym przypadku to byłem ja.

Wciąż Cię pamiętam.

O.

Mercedes zatrzymała tylko ten list. Wszystkie pozostałe podarła na kawałeczki. Wyrzucała je partiami do kosza, strzępki tak drobne, że przypominały konfetti. Ile pożegnań zamienia się w przyjęcia! Nie chciała ryzykować ponownej lektury. Jedyne, który schowała złożony na pół do kieszeni, pozostawiał nutkę wątpliwości: „ktoś zawsze przegrywa i mam nadzieję, że to byłem ja”.

„A jeśli to ja, a nie on?” – pomyślała.

Mercedes złapała się latarni. Trzęsły jej się ręce i kręciło w głowie. W pierwszym odruchu czuła triumf: oto zerwała wszelkie więzy z przeszłością, tyle lat po tamtym wydarzeniu w barze, a teraz, ze zmarszczkami i zabliznionymi ranami, odmówiła prośbie Étienne’a. Powróciło jednak uczucie melancholii, które uważała za już dawno wyleczone, przewyciężone z chwilą samotnego przybycia do Paryża. Ogarnął ją głęboki smutek. Zaczęła szlochać. Nagłówek nie mógł być bardziej jednoznaczny: „Kochana Mercedes”. Tak było we wszystkich, których szczątki spoczywały teraz w śmieciach. Ona zaś czuła się oczywiście tak samo.

Étienne prosił ją tylko, by odwiedziła w Grenoble jego ojca, bo on nigdy jej nie zapomniał. Być może dzięki temu zagoi się wreszcie rana – obie rany. Może też, pomyślała, uświadomi im to, co stracili i czym musieli się zadowolić. „Zawsze ktoś przegrywa”. Ale kto?

*

W tym samym czasie przyszedł dostawca. Otworzył drzwi, wetknął głowę do środka i wdychał zapach kwaciarni. Intensywny. Taki jak zawsze.

Przed pracą Violeta Gadea zaszła jeszcze na pocztę, żeby wysłać rodzicom telegram z – jak najbardziej przekonującymi – życzeniami wesołych świąt. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś przed nimi ukrywa, powiększający się dystans kilometrów i skóry stał się dla niej czymś normalnym, odkąd zamieszkała w Paryżu z Dominikiem Brulém, i tym niespodziewanym telegramem chciała ich uspokoić. A może uspokoić samą siebie. List nie wystarczy. Osoby pragnące niezależności rozumieją lepiej niż ktokolwiek inny dyskomfort, jaki wiąże się z podtrzymywaniem niektórych więzi, żeby nadal wydawały się więziami. Violeta niczego nie żałowała, ale czasem potrzebowała uciszyć wyrzuty, które dopadały ją w bezsenne noce.

Wyszła więc na opustoszałą rue Bonaparte i skierowała się w stronę bulwaru. „Pośpiesz się, proszę, im wcześniej zaczniesz, tym szybciej skończysz” – zaklinała w myślach nieśmiałe słońce z jego pierwszymi porannymi promykami. Najbliższy oddział La Poste znajdował się pod numerem 53 przy rue de Rennes. Postanowiła się przejść. Otwierali o ósmej.

Jednej nocy po przybyciu do Paryża krążyła godzinami po ulicach. Nie mogła wytrzymać zamknięta w tamtym studenckim pokoju, jeśli nie mogła spać. Spacerowała – teraz sobie to przypomniała – jakby nigdy nie miał nadejść świt. Z początku się nie bała. Potem, już w drodze, zaczęło do niej docierać, że może trochę przesadziła z brawurą.

Wspominała teraz, jak kilkakrotnie wpadła na tę samą siwowłosą staruszkę, uroczą babcie, która przechadzała się, nucąc cichutko piosenki i gaworząc, jakby towarzyszyło jej jakieś dziecko.

„Też tak skończę” – pomyślała Violeta. Jak ona. A ona zdawała się czytać w jej myślach z chodnika po drugiej stronie ulicy.

Od tamtej pory zawsze, gdy szła sama, wmawiała sobie, że ktoś z nią idzie albo że szuka konkretnego adresu, i dzięki temu te spacerki wydawały się mniej samotne. Powtarzała też sobie, że nikt na nikogo nie zwraca uwagi, a naprawdę zagubieni są ci, którzy mają złe towarzystwo.

Tamtego poranka chodniki miały barwę wielu odcieni brązu, śnieg utrudniał ruch samochodów, a to, co jeszcze niedawno wydawało się pocztówką, miała wkrótce spotkać katastrofa typowa raczej dla brzegów jakiejś wiejskiej rzeczki, choć pokrytych gęstym wzorem odcisków butów i opon samochodowych. Ale to wciąż Paryż, „miasto światła” i wszystkie te inne określenia wymyślane przez narratorów powieści, kiedy tworzą opisy samotnych spacerów, siedząc za biurkiem. Tak powiedział Dominique. Dobrze zapamiętała jego słowa.

Dotarła na rue de Rennes 53 kilka minut przed ósmą, postanowiła więc napić się kawy z mlekiem, żeby się trochę zagrzać. Oszczędne słońce schowało się już za

szarą masą, która codziennie pokrywała niebo nad miastem. Żeby nie zamarznąć, musiała jeszcze chwilę pokluczyć po okolicy, zanim znalazła coś otwartego. Coraz częściej i coraz szybciej się męczyła, zarówno z powodu ciąży, jak i nieustannego wyężdżania uwagi przy stawianiu każdego kroku, żeby nie pośliznąć się na chodniku. Wszędzie widziała tylko zamknięte sklepy z ubraniami. Przeszła przez rue Bernard Palissy i zobaczyła światło w Les Valseuses, jedynej czynnej kawiarni.

Drzwi otworzył jej młody, uśmiechnięty blondyn, który dopiero zawiązywał fartuch. Kilku nielicznych klientów opierało się o bar i w milczeniu jadło śniadanie. Dwóch innych czytało gazety w fotelach przy frontowej szybie. Jeden z nich ją zaintrygował.

– Proszę kawę z gorącym mlekiem. I szklanę wody.

– Coś słodkiego?

– Croissanta.

– Już się robi.

Skorzystała z okazji, żeby przejrzeć się w lustrze. Wciąż miała tę samą twarz zaskoczony, niepewnej dziewczyny co w Madrycie. „Zmiana miasta nie wystarczy, żeby zmienić twarz” – pomyślała. Ale czuła, że Paryż do niej pasuje. Narrator też tak uważał.

Mężczyzna na nią spojrzał.

Violeta udawała, że robi porządek w torebce: przekładała chusteczki, klucze, kalendarzyk... I od początku. Kiedy ponownie zerknęła w lustro, zobaczyła, że ma czerwoną twarz – czy to od mroźnego powietrza na zewnątrz, czy od ogrzewania w kawiarni.

– Znamy się, prawda?

To był ten brodac.

– Widziałem panią w księgarni Shakespeare – dodał.

Violeta czekała na pytanie: „To pani, prawda?”, żeby móc zaprzeczyć, powiedzieć, że nie, to nie ona, że z kimś ją pomylił, że musi chodzić o kogoś innego, że bla bla bla. On jednak ją rozpoznał i wcale nie pytał, tylko stwierdzał. „Widziałem panią w księgarni Shakespeare”. Miał na sobie ten sam brązowy płaszcz, w którym widziała go ostatnio, i torbę na ramię, jakby studiował na Sorbonie. Kiedy tak przed nią stał, wydał jej się nagle strasznie wysoki. I młodszy, zauważyła. Tak, młodszy, niż myślała.

– Mam na imię Violeta – przedstawiła się, próbując dobrymi manierami pokryć zażenowanie. – Dzień dobry.

– Étienne. Zauważyłem, że śledziła nas pani wtedy. Wszedłem do księgarni z żoną mojego ojca i pamiętam, że pani jako jedyna wbiegła schronić się przed deszczem. Była pani przemoknięta. Ktoś kazał pani uważać...

– Ale skoro byliście na górze...

Uśmiechnął się i nieco odsunął, żeby przepuścić kelnera z kawą

i croissantem.

– Sama pani widzi. To była pani. Widziałem, że kupiła pani książkę. Jaka?

– *Opowieść wigilijną* Dickensa.

– Bardzo na czasie. Na prezent?

– Nie, dla siebie. Piękne wydanie. Przykuło mój wzrok. Spodobała mi się, więc ją wzięłam. Tyle.

– No cóż, w takim wypadku nie będzie niespodzianki, ale... To dobry prezent. I na pewno nie rozczaruje. Mogę się przysiąc?

Violeta wzruszyła ramionami, w kokieterijno-nieśmiałym geście, stukrotnie powtórzonym przez lustra wiszące po obu stronach kawiarni Les Valseuses.

– Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość – powiedział Étienne. – Dziwnie tak przywołać teraz Dickensa.

– Dlaczego dziwnie?

– Bo tak właśnie wygląda ostatnio moje życie. Nieustannie mam do czynienia z tymi trzema duchami, jakby należały do mnie.

– A nie są pana?

– Nie, tym razem chodzi o mojego ojca. Umiera.

Violeta nie miała o tym pojęcia, więc aż się wzdrygnęła. Zadrżała jak od podmuchu mroźnego wiatru gwizdzącego na ulicy, a potem spojrzała w oczy Étienne'a, który wraz ze śliną przetykał emocje i zaciskał mocno zęby. Wydał jej się obcesowy, on jednak czuł, że przy obcej osobie łatwiej mu głośno wyrazić swoje uczucia. To jedyny sposób, żeby do nich przywyknąć.

– Umiera.

Poczuła ukłucie bólu na widok błyszczących w jego oczach łez i drżących warg. Przez kilka chwil była bliska złapania Étienne'a za rękę. Nie zrobiła tego jednak. Tylko pomyślała.

– Nie chcę współczucia. Ani on, ani ja za tym nie przepadamy.

– Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Dlaczego za nami szłaś? Bo... szłaś za nami.

– Mercedes jest moją znajomą, mieszkamy po sąsiedzku. Tamtego dnia zniknęła i martwiliśmy się o nią.

– Umówiła się wtedy ze mną.

– Ale... – Najbardziej naturalnym tonem, na jaki mogła się zdobyć, Violeta zapytała: – W takim razie wytłumacz mi, co się dzieje. Mówiłeś wcześniej, że jest żoną twojego ojca, nie przestyszałam się? Rozumiem, że jesteś jej synem? Przyjechałeś ją odnaleźć?

– Tak i nie.

Violeta zajęła się kawą z mlekiem, żeby oczyścić umysł. Zbyt wiele pytań kłębiło się w nim niczym pomieszane listy, a przed nią siedział teraz ktoś, kto mógł na nie wszystkie odpowiedzieć.

– Nie jestem synem Mercedes. Jest żoną mojego ojca, nadal są małżeństwem. Ja jestem synem jego drugiej partnerki, Rose, mojej matki. Nie ożenił się z nią, bo nigdy nie rozwiódł się z Mercedes. Ale rozumiesz chyba, że dla umierającego ojca można zrobić wszystko, nawet pokłócić się z matką i przyjechać z Grenoble do Paryża w poszukiwaniu jego pierwszej miłości. Trochę to skomplikowane.

– Nie tak bardzo. Po co mu teraz Mercedes?

– Bo chce jeszcze choć raz zobaczyć ją przed śmiercią.

W tej chwili nasza bohaterka delikatnie odchrząknęła.

– Powiedział ci to?

– Znalazłem jego listy. Całą górę listów, które pisał do niej niemal codziennie przez wszystkie te lata, ale żadnego nie wysłał. Zrobiło mi się go żal... A zarazem poczułem nienawiść... Ojciec nigdy nie kochał matki i moja obecność tutaj może wydać ci się dziwna. Szukam jakiejś nieznajomej staruszki, która nie jest już tą dziewczyną, w której się zakochał, z którą się ożenił, którą porzucił i... Kto wie co jeszcze! Ale mężczyźni, czy może raczej synowie, już tak mają.

– Przynajmniej ty.

– Tak, przynajmniej ja.

– Twoja matka o tym wie?

– Nie, nie. Wściekłyby się. Jak miałbym jej powiedzieć, że ojciec nigdy jej nie kochał i że chcę mu pomóc pożegnać się przed śmiercią z jego pierwszą miłością? Nie potrzebuje tego wiedzieć. Nikt nie musi wiedzieć wszystkiego, bo po co? Większość wspomnień powinna umierać wraz z nami.

„Nikt nie musi wiedzieć wszystkiego” – zapisał sobie narrator w notatniku.

– Tak uważasz? – zapytała Violeta.

– Przeczytałem to w jednym z listów ojca.

– I co z nimi zrobiłeś?

– Kilka tygodni temu wysłałem je wszystkie Mercedes.

– Teraz już wszystko rozumiem.

– Dlatego nas śledziłaś, prawda?

– Szłam za Mercedes, zaginioną przyjaciółką mojego szefa. Zachowywała się wtedy dość dziwnie. Martwiliśmy się o nią. Kobiety po siedemdziesiątce zwykle nie znikają nagle bez słowa.

– Nic wam nie powiedziała?

– Nic. Poznałem całą tę historię dzięki tobie.

Violeta ułamała kawałek croissanta, jakby obrywała płatki stokrotki, i poczęstowała Étienne’a.

– Kiedy ją poznałem, wydała mi się kobietą pewną siebie, dość poważną... Nieco wycofaną.

– No właśnie. – Skubnęła rogalika. – Zdziwiło nas, że nagle przestała

opowiadać o swoich sprawach i zniknęła, nie dając znaku życia. Od razu uznaliśmy, że musiało stać się coś złego. Takie zachowanie to nie w jej stylu.

– Każdy z nas robi czasem coś, co nie jest w jego stylu. Ty nie?

Przełamany na pół croissant jeszcze bardziej zaczął przypominać oskubywaną stokrotkę, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Owszem, czasem robimy coś bez namysłu. Albo nie zdajemy sobie sprawy, że o tym pomyśleliśmy. Tak jak z tak zwanym szóstym zmysłem czy kobiecą intuicją.

– Niewiele wiem na ten temat. Ale wszyscy czasem wyruszamy w podróż do miejsc, o których nawet byśmy nie pomyśleli. Spójrz chociażby na mnie. Syn poszukuje pierwszej miłości ojca?

– Robisz to z miłości do niego.

Przytaknął.

– Nie chcę, żeby odszedł z tego świata z uczuciem, że coś zepsuł. Więc... Gdybyś mogła mi pomóc przekonać Mercedes...

– Nie jesteśmy tak blisko.

– Dopiero co twierdziłaś inaczej. Szukałaś jej, kiedy zniknęła.

– Nie, nie. Ona jest przyjaciółką mojego szefa. Pracuję w kwiaciarni, a ona jest stałą klientką. Kiedy nie zjawiała się tamtego ranka, wszyscy zaczęliśmy jej szukać.

– W takim razie może powinienem porozmawiać z nim albo z jakąś przyjaciółką.

– Pewnie tak. To już problem twojego ojca, nie mój.

Étienne zamarł.

Violeta zaczęła nieco ostrożniej dobierać słowa.

– Chodzi mi o to, że biorąc pod uwagę ciężki stan twojego ojca, to ty masz największe szanse namówić Mercedes. Skoro nic nam nie powiedziała, to jak mamy ją przekonać? Ty możesz uświadomić jej jego ból i sprawić, żeby zrozumiała, że być może...

– Już z nią rozmawiałem. Nie zgadza się. Każdy z nas ma jakiś bagaż emocjonalny, a w ich przypadku kumulował się przez wiele lat.

– Ale to już staruszkowie.

– Myślisz, że nie próbowałem jej zmiękczyć? Jest uparta jak osioł.

– Może nadal czuje ból, czasem z miłości nie można się wyleczyć.

W tej chwili Violeta poczuła kopnięcie w brzuchu. I mocne uderzenie serca.

– Szkoda by było, gdyby umarł bez uzyskania wybaczenia. To mój ojciec, Violeto.

– Wiem... Rozumiem. Będiesz z nią jeszcze rozmawiał?

– Tak. Ale wciąż chowa urazę. Tata jest dobrym ojcem, ale wydaje mi się, że nie był dobrym mężem. Demony przeszłości rodzinnej.

- Wszyscy się z nimi zmagamy.
 - Ale my jesteśmy jeszcze młodzi – mruknął.
- Powiedział „jesteśmy”.

Violeta spojrzała w lustro i zobaczyła w nim odbicie pleców chłopaka. Ramiona, choć zgarbione ze smutku, były szerokie, a na gładko wygolonym karku błyszczał cienki złoty łańcuszek. Broda go postarzała, ale tak naprawdę wciąż był młody.

- Zastanawiasz się pewnie, dlaczego ojciec zostawił Mercedes.

– Nie, nic mnie to nie obchodzi. Sam przed chwilą wspomniałeś o rodzinnych demonach. Nikt nie musi wiedzieć wszystkiego. Masz sporo racji. Nie chciałabym wiedzieć wszystkiego o swoich rodzicach ani też nie chciałabym, żeby oni wszystko wiedzieli o mnie – Violeta pomyślała o telegramie, który miała wysłać. – To do niczego nie prowadzi. Tak się łatwiej żyje.

– Oczywiście, ale w mojej sytuacji, z ojcem na łożu... W sytuacji pożegnania chciałoby się o tej osobie dowiedzieć wszystkiego, zanim jej odejście to uniemożliwi.

- Może i tak. Nie wiem. Jeśli tak ci łatwiej...

Étienne odchrząknął.

– Przyjdzie kiedyś taki dzień, kiedy zdam sobie sprawę, że nie wiem nawet połowy rzeczy, które chciał opowiedzieć mi ojciec, nie będę też mógł wytłumaczyć mu źródeł swoich lęków ani marzeń. Znalazłem się w tej sytuacji, Violeto, wiem, że już przyszedł ten czas, i coś ściska mnie w sercu. Kiedy wszystko już dobiegło końca, ja chcę tego wszystkiego. Tyle lat spędziliśmy razem, a teraz czuję, że miałem tego czasu za mało, i nawet nie wiesz, jak żałuję, że byłem taki niewdzięczny. Że tylko czekałem, kiedy skończy się obiad, żeby móc wstać od stołu, że w pośpiechu i byle jak wybierałem mu prezenty urodzinowe, żeby móc zająć się innymi sprawami, że jeśli prosił o pomoc przy samochodzie, szukałem wymówek. „Mam masę spraw do załatwienia, tato”. Jakich spraw? – zastanawiam się teraz. Co mogło być ważniejsze?

- Teraz już za późno na takie żale.
- Ale mogę jeszcze odkupić winy.
- Ty?

– Poprosił mnie o jedną jedyną rzecz. I nie chodzi nawet o mnie. Chce wrócić do swojej wielkiej miłości.

- Mieszasz się do nie swoich spraw. To ich historia.
- To mój ojciec.

– Przyznaję, że on też położył ci na barkach ciężar, który nie należy do ciebie. To oni byli małżeństwem. Nie ty. Ty jesteś tylko synem.

- Wiem.

- Zresztą nie śpieszyło mu się. To nie jest tak, że teraz chce załatwić sprawę

sprzed kilku dni. To dotyczy kobiety, która też ma swoje życie, która już się wyleczyła... Albo nie.

– Nie uważasz, że spełnienie mojej prośby niewiele by ją kosztowało?

– Nie rozumiem własnego bólu, więc jak mam oceniać innych?

– Wybacz.

Étienne milczał przez kilka chwil.

Milczałem przez kilka chwil.

Pomyślałem, że brzuch, który ukrywała pod długim, obszernym niebieskim swetrem, musi wiązać się z jakimś rozczarowaniem, sądząc po sposobie, w jaki obejmowała się ramionami, kulila z mieszanką zawodu i nadziei. Jej żal był ewidentny, kiedy spuszczała wzrok, zaciskała wargi i milczeniem próbowała wytłumaczyć, że nie ma o czym mówić. Albo jest. Nie chciała rozmawiać ani o porażkach, ani o błędach, ani o frustracji. Skromność mieszała się w niej z cierpieniem. A także, na pewno, z odwagą. Jako mężczyzna nie potrafiłbym określić miesiąca ciąży, nie mogłem też zapytać jej, czy czuje się szczęśliwa w stanie, w którym tak pięknie wygląda. Zamilkłem więc tylko na kilka chwil, żeby po upływie krótkiego czasu podjąć na nowo rozmowę upstrzoną okruszkami croissanta. Violeta zdawała sobie sprawę z mojego skrępowania i w odpowiedzi przesunęła tylko ręką po brzuchu. Ten gest wystarczył mi za całą odpowiedź. Zrozumiałem, że jest sama, że wszystko dobrze jej się układa i że życie zjawia się czasem bez zaproszenia. Gdyby próbowała mi coś tłumaczyć, odpowiedziałbym jej życzliwie, ale nie dała mi okazji. Wróciłem do swojej kawy i skupiłem się na pozostałych klientach czytających gazety i na muzyce, na którą żadne z nas nie zwróciło wcześniej uwagi. Jeśli nie liczyć naszej dwójki, w barze panowała zupełnie zwyczajna, codzienna atmosfera. Kwestia porządku albo obojętności na innych. Nieznajomi przez kilka minut dzielą blat baru, w niewielkiej odległości od siebie, i nic nie wiedzą o bliźnich. To uprzejmość, prawda? Mężczyzna w garniturze, inny wciąż w beżowym płaszczu, chłopak wpatrujący się niewidzącym wzrokiem w okładkę „Libération”, kelner rozstawiający szklanki, kobieta krusząca kolejnego croissanta, jakby chciała go unicestwić, i my. Odkąd to porankami rządzą tak żelazne zasady? Ironia rutyny na równi drwi z najróżniejszych ludzi. Kiedy rozglądałem się wokół, pozwalając upływowi czasu zamienić w zupełnie normalne to, co niezwykle, zobaczyłem ją na nowo. W lustrze albo w odbiciu lustra. Na jej policzku pojawiła się łza, cały czas siedziała też z dłonią przyciśniętą do brzucha. Violeta pozwoliła kropli spłynąć aż do kącika ust. Tam poczuła jej słony smak. Dobrze go znam. Chciałem podać jej serwetkę, otrzeć łzę dłonią, coś powiedzieć... Chciałem otoczyć ją opieką i zmienić temat, na przykład na taki: kto potrafi wybrnąć z trudnej sytuacji. Ale nie wiedziałem, nie umiałem, nawet nie próbowałem. Zazdrościłem jej umiejętności stłumienia płaczu, bo ja płaczę bez opamiętania, żałośnie i groteskowo jak szaleniec. Violeta

powiedziała dokładnie te słowa: „Nie rozumiem własnego bólu, więc jak mam oceniać innych?”.

Lustro wiszące naprzeciwko innego lustra sprawiało, że łez zrobiły się setki.

„Nieskończony ból” – pomyślałem.

„Nieskończony ból, który wkrótce zamieni się w szczęście” – myślała ona.

Kiedy wyszli z kawiarni Les Valseuses, Étienne zaproponował wspólny spacer. Tak to powiedział swoim łagodnym głosem:

– Idziemy?

*

Jak napisał Pedro Salinas w *La voz a ti debida*: „To, kim jesteś, odwraca moją uwagę od tego, o czym mówisz”. Narrator więc zamilknie.

Ale historia toczy się dalej i musimy ją opowiedzieć.

Étienne i Violeta doszli rue de Rennes aż do poczty.

– Czyli twój szef jest właścicielem kwaciarni? – zapytał, kontynuując wcześniejszą rozmowę, kiedy już wyszła z budynku La Poste.

Stał pod plakatem reklamującym koncerty muzyki klasycznej w kościele Saint-Julien-le-Pauvre.

– Jest kimś więcej niż moim szefem – odparła, rzucając okiem na daty i godziny. – Teraz stał się właściwie kimś w rodzaju krewnego. Przypomina mi ojca, ale czuję się z nim nawet bardziej związana.

Étienne nie mógł powstrzymać melancholijnego uśmiechu, kiedy zobaczył, że zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. Znowu zapadła między nimi cisza, ale teraz zakłócał ją hałas pojazdów i przechodniów, coraz tłumniejszy wylegających na chodniki bulwaru.

– Jeśli nie byłaś nigdy na koncercie fortepianowym, powinnaś iść – powiedział Étienne, żeby pomóc Violecie wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Ten z utworami Chopina i Beethovena powinien być przyjemny.

– Sonata *Patetyczna*? Tylko tego mi jeszcze trzeba.

– Ale sonata *Księżycowa* powinna ci się spodobać.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech i skinęła głową, jakby mówiła: „Może się wybiorę”.

– Nie mam dużo czasu, dziś wracam do Grenoble. Ale chciałbym, żebyś pamiętała, o co cię poprosiłem.

– Żeby porozmawiała z Mercedes?

– Tak. Może spróbujesz ją przekonać przy okazji wspólnego wyjścia na koncert? – dodał, kiedy zauważył, że Violecie niezbyt się uśmiecha namawianie Mercedes do złożenia wizyty jego ojcu. – Pójdziecie coś zjeść, wytłumaczysz jej wszystko, opowiesz o mnie... Powiesz, że mnie poznałaś, że los igra sobie czasem z ludźmi, że pojawiłem się na twojej drodze i przypadłem ci do gustu. Zgadza się?

Wiedział, że trafił, bo Violeta się uśmiechnęła.

– Nie wiem, jaką decyzję podejmie Mercedes. Ja na jej miejscu nie chciałabym już nigdy go widzieć.

Zająknęła się przy ostatnich słowach – najwyraźniej mówiła o sobie. Wiedziała, że mówi o dwóch różnych mężczyznach, ale kim jesteście, żeby przekonywać innych, jeśli nie chcą wracać do przeszłości?

– Rozumiem cię. Nie będę ci wciskał frazesów, że czas leczy wszystkie rany, bo wcale tak nie jest. Nie wszystkie da się wyleczyć. Każdy z nas nosi swoje blizny. Niektóre przypominają nam, czego już nigdy nie powinniśmy robić, inne, że postąpiliśmy słusznie, raniąc się. Krwawiąc. Szczerze mówiąc, nie zaufałbym komuś zupełnie pozbawionemu blizn... Ale każdy z nas jest inny.

– Ja straciłam już wszelką wrażliwość – odpowiedziała Violeta, jakby jednym szybkim gestem zrywała kartkę z kalendarza.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał Étienne.

– Nie płaczę już nawet przy krojeniu cebuli. Może ci się to wydać absurdalne, ale wczoraj, kiedy gotowałam obiad dla siebie i pana Dominique’a, zdałam sobie sprawę, że nie uroniłam ani jednej łzy.

– Boże, Violeto! A co to ma wspólnego z wrażliwością? Coś pewnie było nie tak. Kwestia terminu przydatności.

– Mówisz o cebuli czy o mnie?

– Nie mów takich rzeczy.

– Nie chcę umierać przy krojeniu cebuli ani odstawiać scen w kuchni, ale... Nie płaczę. Nie płakałam. Nic, ani łezki. Jak mam płakać nad resztą?

Étienne wiedział, że kłamie.

– Nad jaką resztą? – Spojrzał Violecie w oczy i nagle mocno złapał ją za rękę.

– Mówię o cebuli, Étienne.

Lekki mroźny wietrzyk porwał z chodnika martwe liście. Podczas tej absurdalnej rozmowy o kulinariach, w której każde z nich zrzuciło po kilka warstw, przyglądała im się siwowłosa kobieta przechodząca tuż obok. Żadne nie zwróciło na nią uwagi, bo wiele osób mijało ich na rue de Rennes. Któreś z naszej dwójki z całą pewnością wiedziało już, co to ból, ale tego nie zauważa się w tłumie. Często nawet wypieramy się go, żeby nie musieć niepotrzebnie płakać. Wśród ludzi wszyscy jesteśmy tacy sami.

Étienne skrzywił się z niesmakiem.

– Ładna dziewczyna powinna płakać nad cebulą.

– To jakiś absurd.

– Tak. Ale nie wierzę też, że straciłaś wrażliwość. Nie jesteś księgową, która dodaje i odejmuje liczby, tylko dziewczyną ze sklepu.

– Muszę z czegoś żyć.

– W takim razie wszyscy powinniśmy pracować w tej kwiaciarni. Z moim ojcem włącznie.

– Z twoim ojcem...

– Tak, byłoby niesamowicie, gdyby spotkali się ponownie wśród kwiatów. Mercedes i mój ojciec...

Oczy zaszły mu łzami.

– Nie, Étienne, błagam. Nie mogę już dłużej ciągnąć tej rozmowy. Nie wiem, co powiedzieć, a ty niechący sam siebie krzywdzisz.

– Mylisz się. Robię to celowo. Przyjechałem z własnej woli. I z miłości do niego. Od tygodni tkwię przy jego łóżku i mówię mu rzeczy, z których nigdy wcześniej mu się nie zwierzałem, jakby miał umrzeć wraz z końcem każdego

wypowiedzianego przeze mnie zdania. Nawet nie wiesz, ile razy już się żegnaliśmy, nawet jako dziecko tyle z nim nie rozmawiałem. Dopiero teraz, gdy zobaczyłem go bezbronno, w pogoni za niedorzecznym marzeniem, otworzyłem swoje serce. Nie zniosę tego! Nie wiesz, jakie to okropne, kiedy półgłosem wymawia imię Mercedes, czeka, aż moja matka wyjdzie z pokoju, a wtedy łapie mnie za rękę i błaga: „Poproś, żeby przyjechała, powiedz jej, że popełniłem błąd, że zawsze ją kochałem...”. Violeto, tak się nie powinno odchodzić.

– Może po prostu majaczy? Przepraszam, że to sugeruję.
– Z początku też tak myślałem. Ale on sam powiedział: „Nie zwariowałem, synu, po prostu umieram”.
– Trochę wyolbrzymia.
– Może i tak. Ale na pewno jest w pełni świadomy.
– Co za szantaż – mruknęła Violeta.
– Ze wszystkim, co się z tym wiąże – dodał Étienne.
– Ale co powiesz matce, gdyby Mercedes rzeczywiście przyjechała?
– O to się nie martw, nie musi wiedzieć. Ja się nią zajmę. Ty pomóż mi tylko ją sprowadzić.

– Tyle lat i wciąż...
– Wciąż ją pamięta. Wiem. Straszne, prawda? Postaw się na jego miejscu.
– Mówiłam ci wcześniej, że już nie płaczę.
– A ja mówiłem, że ci nie wierzę.

Zdawało się, że nad ich głowami przeleciało w tej chwili stado ptaków.

– Sama widzisz, Violeto. W głębi serca jesteś po mojej stronie i mnie rozumiesz. Kiedy ludzie się kochają, zawsze znajdują sposób, żeby sobie wybaczyć.

Spędzili tam już dłuższą chwilę. Oparci o latarnię, na której ogłaszali się Chopin i Beethoven, jakby szukali mieszkania na wynajem. Było jeszcze wcześniej. Zjedli śniadanie, porozmawiali, wiedzieli, co mogli sobie powiedzieć, a czego nie. Ona bawiła się rączkami torebki, a on myślał o ojcu, jednocześnie nerwowo poprawiając pasek od zegarka.

Violeta powiedziała wcześniej, że nie potrafi już płakać. Kłamała. Étienne, który chciał spełnić ostatnie życzenie ojca, również kłamał. Bo narrator wie takie rzeczy. Prawdę mówiąc, ona już dość się napłakała po kryjomu, przeglądając zdjęcia przy blasku świec, a on chciał uspokoić sumienie, uśmierzyć ból, który poczuł w ostatniej chwili, kiedy było już za późno, żal, że nie był dobrym synem. Albo takim, jakiego oczekiwano. Zarówno łyż, jak i winy oczyszczają dawny ból.

Paryski bulwar budził się do życia. Odrobina słońca smagała już szyby, a grudniowe światło odbijało się we wszystkich oknach i balkonach.

Poszli dalej.

– Nie zapominaj, że Violeta, w ciąży, idzie wolniej, ostrożnie, czuje życie rosnące w środku.

– A co ja mogę na ten temat powiedzieć? Nie znam się na ciąży.
– Że dziewczyna trzyma się kurczowo nowego życia. Że kiedy przychodzi macierzyństwo, zmieniają się tony, lęki, nawet zapachy. Musisz uwzględnić to, że mówi już jak inna kobieta, która inaczej czuje, że w głębi jej duszy kiełkuje nadzieja i że wszystko budzi w niej lęk.

– Ale Violeta jest odważna.

– Ty tak uważasz. A ja ci mówię, że jest słaba.

– Tak myślisz?

– Zwróć uwagę na jej wzrok, kiedy przygotowuje bukiety dla zakochanych, a też to zobaczysz. Kiedy wchodzi jakaś para, pyta ich, czego sobie życzą, a potem sama musi wybierać. Myślę, że do tej pory nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

– To dlatego, że za bardzo się skupiłem na panu Dominique’u Brulém...

– Dominique jest już stary i mądry. Radziłabym ci o nim zapomnieć. On już przywykł do wybierania kwiatów na chrzty, śluby i pogrzeby. Wie, jak odróżnić tych, którzy tylko chcą kwiatów, tych, którzy ich potrzebują, i tych, którzy poszukują. Uzbierał już wiele historii, a one się powtarzają, choć każdy, kto wchodzi do kwiaciarni, czuje się nowy, wyjątkowy... Ale kiedyś ktoś już wszedł z takimi samymi intencjami. A on o tym wie. Dlatego pisze te swoje liściki, podmienia słowa, pomaga... Ale to już nie on, to czas. Zwróć uwagę na Violetę, przyglądaj jej się uważnie, narratorze.

– Dobrze.

Za namową Étienne’a Violeta zgodziła się, choć bez większego przekonania, razem pójść piechotą do kwiaciarni. Dotarli do alei Saint-Germain, gdzie on bez słowa podał jej ramię, żeby ochronić ją przed niebezpieczeństwami resztek śniegu i kałuż tworzących się między kostkami bruku. Étienne Martín przyglądał się budynkom zdobiącym jedną z najwspanialszych dzielnic Paryża. Można by pomyśleć, że to ona jest Francuzką, a on przyjezdnym z zagranicy. Zostawili za sobą szeroki bulwar i teraz znaleźli się już na rogu przy Les Deux Magots, naprzeciwko kościoła Saint-Germain-des-Prés. Kiedy zobaczyła Mercedes, odwróciła się, żeby starszka ich nie zauważyła. Nagle za plecami usłyszała kobiecy głos: „Violeta!”.

To Tilde.

Patrzyła na nich ze zdumieniem, bo wzięła go za ojca nienarodzonego dziecka, odpowiedzialnego za to, że dziewczyna siedziała teraz sama jak palec w Paryżu, i to jeszcze z brzuchem. Naprawdę tak pomyślała, to nie wymysł narratora. Matilde miała pytania wypisane na twarzy, ale przez wrodzoną dyskrecję postanowiła zostawić je na później. Teraz ograniczyła się tylko do słów:

– Do kwiaciarni?

Violeta przytaknęła, a Tilde oddaliła się coraz szybszym krokiem, żeby zostawić ich samych. Chciałaby o niego zapytać, o to, dlaczego szli pod rękę,

o możliwość pogodzenia, o imię chłopaka z brodą, o wszystko to, o co nie wypada pytać, a co tak bardzo chciałoby się wiedzieć. Nie odważyła się. Zanim odeszła, uśmiechnęła się do chłopaka, ale otaksowała go od stóp do głów spojrzeniem przenikliwym niczym bramka bezpieczeństwa na lotnisku. Uznała, że o szczegóły dopyta potem Violetę w cztery oczy.

– Kto to? – zapytał Étienne.

– To Matilde, Tilde. Przyjaciółka Mercedes.

– Tak? Może mogłaby nam pomóc? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Pozwól mi to załatwić po swojemu.

– A po czyjej stronie stoisz? – spytał.

– Wcześniej mówiłeś, że nie wszyscy jesteście tacy sami.

– Tak.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

Przez kilka chwil milczała, patrząc mu w oczy. Czasem, gdy wspominam takie spojrzenie jak to, myślę o miłości, którą do ciebie czułem. Ale mówię o nich, nie o sobie.

– Étienne... – zaczęła Violeta, nie przestając zaglądać wprost w jego myśli, a może jeszcze głębiej. – Porozmawiam z Mercedes. Tyle mogę ci obiecać.

– Dziękuję. Widać, że pracujesz w kwiaciarni.

– Co za nonsens.

– To nie ja wymyśliłem.

– A kto?

– Narrator. – Żeby jednak brzmiało to nieco mniej afektownie, Étienne dodał: – Sam też bym tak powiedział.

Violeta wydała mu się jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie, kiedy już na rogu, pod L'Étoile Manquante, pośród kubłów wypełnionych kwiatami i gałązkami ostrokrzewu, powiedziała:

– Nawet jeśli Mercedes przystanie na twoją propozycję, chcę, żebyś wiedział jedno. Mówię to jako kobieta, którą też ktoś kiedyś zranił. Kto odszedł, nigdy nie powraca, choćby nawet wrócił.

*

„Kto odszedł, nigdy nie powraca, choćby nawet wrócił”.

Słowa dziewczyny wywarły na nim wrażenie podobne do tego, jakie wywołują niedokończone puzzle: kiedy dociera do nas, że zawsze będzie brakowało jednego elementu układanki.

„Kto odszedł, nigdy nie powraca, choćby nawet wrócił”.

Każdy walczy tak, jak potrafi, a Étienne postawił na to, by jak najlepiej zamknąć przeszłość ojca, a także swoją. Mógł więc odpowiedzieć tylko:

– Wesołych świąt.

Wyswobodziła ramię, tak jak na statku odwiązuje się cumy, i sama poszła w stronę kwiaciarni.

*

– Dzień dobry, Violeto.

Znów ta kobieta o siwych włosach. Musiała mieć mocno po osiemdziesiątce, a mimo to uśmiechała się z ufnością małej dziewczynki. Widziałam, jak spaceruje, jakby wyprowadzała niewidzialnego pieska. Mój narrator twierdzi, że to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział, ale ja poczułam coś jeszcze. Wydawała mi się znajoma. Jedną z tych osób wywołujących uśmiech na twarzy, kiedy mijamy je na ulicy. W tamtej chwili Dominique był na górze, znów zmożony bólami brzucha, z którymi walczył za pomocą garści specjalnych soli, a ona – kobieta o siwych włosach – wchodziła do kwiaciarni.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, Violeto.

– Znamy się?

– Słyszałam, jak żegnała się pani z tamtym chłopakiem, z którym szła pani pod rękę. Dostłyszałam pani imię.

– No tak, przepraszam. Niemądra jestem.

– To nic złego, a może być nawet zabawne. Pozwala wyjść obronną ręką z wielu niezręcznych sytuacji.

– ...

Kobieta pokiwała głową.

– Jeszcze zobaczysz, życie już takie jest. Przychodzi, choć tego nie chcesz.

Narrator tej historii opowiada, że wojna domowa odarła ją z niewinności. Pierwszy mąż, z którym się rozwiodła, odebrał jej ukochanego syna. W tamtych czasach opiekę z zasady przyznawano ojcu, ale dzięki teściowej i szwagierce mogła po kryjomu spotykać się z dzieckiem.

– Życie jest cudowne, ale niektórzy ludzie nam je niszczą.

– Wiem.

– Jesteś jednak młoda, nie pozwalaj nikomu go zniszczyć. Poza tym przybyłaś do jednego z najwspanialszych miejsc: do kwiaciarni. To miejsce jak z bajki. Wystarczy tylko sobie wyobrazić, że to lalki – powiedziała, łapiąc jeden z kwiatów i obracając go do góry łodygą. – Widzisz? Nie przypomina ci czegoś?

Uśmiechnęłam się, bo w dzieciństwie też odwracałam kwiaty – udając, że płatki to spódniczki – i chodziłam nimi po stole.

– Twój synek też będzie się tak bawił.

– Myśli pani, że to chłopiec?

– Tak. Pięknie wyglądasz. Na pewno chłopak.

– Boję się. Nie wiem, czy to dla niego najlepszy świat. I bardzo się denerwuję.

– Kochaj go. To wystarczy. Reszta to dodatki.
– Ale dzieci w dzisiejszych czasach...
– Co, Violetto? Dzieci dzisiaj są dokładnie takie same jak wczoraj. Dzieci się nie zmieniają. Zmienia się otoczenie, środowisko, zwyczaje... Ale dzieci pozostają takie same.

Z trudem udało mi się wydusić:

– Nawet nie zapytałam, czego sobie pani życzy.
– Chciałam się tylko rozejrzeć – powiedziała, omiatając wzrokiem wszystkie kąty i każdy kwiatek. – Lubię odwiedzać miejsca, które wydają mi się znajome. Powraca wiele wspomnień.

W naszej rozmowie nie było niby nic dziwnego, a mimo to taka mi się wydała. Przez chwilę miałam nawet ją zapytać, czy jest jakąś krewną Dominique'a, ale tak miło się uśmiechała, a ja nie chciałam chlapanąć jakiegoś głupstwa. Poza tym on w każdej chwili mógł zejść.

– Pozwoli pani podarować sobie kwiaty?
– Nie, nie. Na pewno bardziej przydadzą się tamtemu chłopakowi. Temu z brodą. Pewnie niedługo wróci. I wkrótce będzie potrzebował więcej niż jednego kwiatka. Zatrzymaj je dla niego.

– Nazywa się Étienne Martín.

– Jest młody. Jeszcze wszystko przed nim – powiedziała starsza pani.

– A pani?...

Nie wiem, czemu zadałam to pytanie. Ale ona znów się uśmiechnęła.

– Wszystko! Jeszcze nawet nie zaczęłam...

Znów ogarnęło mnie nieodparte wrażenie, że ta kobieta towarzyszyła mi przez całe życie, kiedy już pod drzwiami odwróciła się i powiedziała:

– Nie bój się szczęścia. Wszystko dzieje się naprawdę. Zamień życie w bajkę.

– Przepraszam... Jak się pani nazywa?

Przez chwilę milczała, jakby wymyślała sobie imię, aż w końcu odpowiedziała:

– Paulina. Jestem Paulina.

Kiedy Dominique wszedł do kwaciarni, białowłosej damy już tam nie było.

- Czym tak pachnie? – zapytał.
- Kwiatami – odparła Violeta, wieszając płaszcz.
- Nie, nie. Pachnie tu czymś jeszcze.
- Właśnie wyszła jedna pani, to pewnie jej perfumy.

Dominique Brulé przyjrzał jej się uważnie. Oboje znieruchomieli, jak w bajkach, a dzwonki znów zabrzęczały, choć drzwi nie otworzyły się ani nie zamknęły. Zamilkł, pewny, że dzieje się coś niezwykłego, ale szósty zmysł podpowiadał mu, że wszystko dobrze się układa.

W drzwiach pojawiła się jednak Matilde.

– Myślałam, że może zastanę tu Mercedes, widziałam, jak wychodziła z kościoła i... – Violeta zdawała się mówić „cicho!”. – Wydawało mi się, że szła w tę stronę.

Poprawiła się, ale obrzuciła Violetę spojrzeniem mówiącym: „Potem mi to wszystko wyjaśnisz”.

Dominique próbował dyplomatycznie udawać, że nie zauważa porozumiewawczych spojrzeń i gestów wymienianych przez obie kobiety, młodszą i starszą, jakby opracowały właśnie mrugany alfabet Morse’a. W końcu nie pozostało mu nic innego, jak tylko przeprosić ze szczerością osoby rozpaczliwie potrzebującej wymówki:

- Skoczę na chwilę na górę, zajmijcie się sklepem.
- Przecież dopiero pan wrócił.
- Chyba zapomniałem zakręcić gaz.
- Gaz? O tej porze?

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Odpowiedział mi równie zdziwionym wzrokiem. Chciałam powtórzyć pytanie, ale odpowiedział:

– *Qu’est-ce que vous dites?* ^[7] – Nie tak, jakby mnie nie zrozumiał, bo zrozumiał mnie świetnie, ale jakby odmawiał odpowiedzi.

- Może wodę? – zapytała Tilde.
- Możliwe. *L’ancienne maison...* ^[8]

Ale co miałam powiedzieć właścicielowi domu i kwaciarni, w której staliśmy?

Że miałyśmy tajemnice. Zauważył to.

Zniknięcia Mercedes zmieniły dynamikę życia w kwaciarni. Nie potrafię stwierdzić na pewno, czy kwiaty to zauważają, czy w pucharze płatków, pomiędzy słupkami i pręcikami zaczyna się rodzić jakiś niepokój. Ale wydaje się to logiczne, jeśli pamiętamy, z jaką uwagą i czułością traktował je Brulé. Z delikatną troską.

Tamtego poranka rozmowie przysłuchiwały się gałązki jodły, agapanty,

frezje, mimozy, irysy, margerytki, dalie, rojniki... Wszystkie rośliny patrzyły na Matilde i Violetę. „Mój Boże, żeby tylko nie wszedł teraz żaden klient” – zdawała się myśleć gwiazda betlejemska.

Obie musiały udzielić wyjaśnień i znaleźć rozwiązanie najważniejszej kwestii. Na przestrzeni kilku minut poukładały sobie wszystko w głowach, a potem pojawiły się pytania:

– A może ty wiesz, co trzeba zrobić?

Co oznaczało: poszukajmy konsensu i załatwmy to wszystko, zanim zjawią się Dominique i Mercedes.

– Chłopak, z którym się ostatnio spotkała, to syn męża.

– Tamtego z Grenoble? I co mu powiedziałaś?

– Że porozmawiam z Mercedes i spróbuję przekonać ją, żeby pojechała się pożegnać.

– Po co?

– Umiera.

– Umiera? Mercedes się nie zgodzi, nie podda się szantażowi emocjonalnemu.

– Chłopak robi to z miłości do ojca, to jego ostatnie życzenie.

– A pomyślał, czego sobie życzy Mercedes? Egoista. Oni wszyscy są tacy sami.

– Nie Étienne.

– Jak to?

– Wydaje mi się, że on to robi z czystej miłości do ojca.

– Już ja was widziałam.

– Widziała pani tylko chłopaka, który wziął mnie pod ramię, żebym się nie poślizgnęła. Paryż jest niemożliwy.

– Wszystko jest niemożliwe. Paryż też. A jego ojca nie da się uratować.

– Nie można winić syna za dawne błędy ojca, prawda? Przyjechał tu, żeby zapewnić mu szczęśliwą śmierć. Tego pragnie. Co w tym złego? Czy mamy pokutować za grzechy rodziców, dziadków i pradziadków?

– Nie wyskakuj mi tu z genetyką. I nie zgrywaj starszej. Bardzo mi przykro, ale to ja tu jestem staruszką.

Viola skinęła głową i powiedziała:

– A ja jestem w ciąży. – Kwiaty obserwowały w milczeniu. Potem Violeta dodała powoli:

– Nie chciałabym, żeby dziecko musiało dźwigać brzemień moich uczynków. Zrozumiałabym, gdyby chciało kiedyś zrobić to, co teraz Étienne...

– Mylisz się. Nie jestem matką, ale widziałam ich wiele i wiem, że mimo najlepszych intencji uprzykrzają życie swoim dzieciom. Obciążają je swoimi problemami.

- Jak to?
- Każdy powinien dostać to, na co sam zasłużył. Dzielić trzeba się tylko radością. Dosyć już tych scen, spóźnionych wyrzutów sumienia.
- Uważa pani, że ta cała sytuacja z ojcem Étienne’a to scena?
- Oczywiście. A dla Mercedes przewidziano rolę chusteczki na otarcie łez. Nie wydaje mi się to zdrowe. Rozmawiałaś z chłopakiem i nic mu nie dolega, poza tym, że czuje ból ojca.
- Jest pani psycholożką, Tilde? – zapytała.
- Matilde miała właśnie odpowiedzieć, kiedy jedna z dalii precyzyjnie się między gałązkami choinki, żeby posłuchać. Przygotowywała się na najgorsze. Ku zdumieniu mimoz, ucichła. Zdawało jej się podobać to określenie: psycholożka. Tilde uznała je za komplement. Zawsze bowiem uważała, że potrafi „przejrzeć” innych ludzi (to jej słowa). Z wdzięcznością przyjęła więc taki epitet. Violeta zaś oczekiwała odpowiedzi. Jak to się mówi, zbita z pantałyku.
- Myślę, że chłopak cierpi na depresję.
- Tak brzmiała diagnoza Matilde: depresja.
- Violeta przeszła więc do czynów.
- Powinnam powiedzieć o tym Mercedes?...
- Matilde pokręciła przecząco głową.
- Nie.
- Chciałabym ją przekonać – dodała Violeta.
- Ze względu na Mercedes czy na chłopaka?
- Ze względu na ojca.
- Tilde uniosła głowę i spojrzała na nią.
- To ty będziesz niedługo matką. Też chciałabym nią być, mówię za siebie. Nie za Mercedes. Nie potrafię sobie wyobrazić jej miny na widok syna tamtego, który ją porzucił, a teraz błaga, żeby wróciła się pożegnać. Czy pisano o czymś takim w jakiegokolwiek powieści? Czyje serce zdołałoby pomieścić takie uczucie?
- Może serce dziecka.
- Nie obarczaj dziecka obowiązkami, za które nie jest odpowiedzialne, to tylko dziecko. To będzie tylko twoje dziecko. A ty będziesz tylko jego matką. Zapomnij o przekazywaniu mu czegokolwiek więcej niż cztery zdęcia na krzyż i to, co masz w domu.
- Co pani ma na myśli, Tilde?
- Że ojciec zachowuje się nie fair w stosunku do Étienne’a. Wymaga, żeby zaspokoił jego ostatni kaprys, jakby wystarczyło wybłagać przebaczenie Mercedes, żeby wymazać przeszłość. Jak spokojnie ją porzucił i jak spokojnie robi to teraz znowu. Drugi raz. Jakby jeden nie wystarczył.
- Tym razem chce chyba naprawić błąd. Moim zdaniem to dla niego dosyć poniżające.

– Nie. Nie dosyć. To on umrze. A z tą śmiercią zostanie Mercedes. Zostanie jej też coś gorszego.

– Co?

– Zostanie jej wina.

– Przecież to on zostanie teraz ukarany.

– Jak to?

– Ojciec Étienne’a chce tylko umrzeć w spokoju. Dość zrozumiałe pragnienie.

– To apetyt na śmierć.

– On nigdy nie zapomniał o Mercedes...

– Miłość przemija, pamięć także. – Violeta przecząco pokręciła głową. Tilde mówiła dalej:

– Mógł prosić o wybaczenie w swoim czasie. A teraz chce skasować całą przeszłość... Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, w jakim stanie musi być teraz moja przyjaciółka. Dobrze ją znam. Jest bardzo skryta w kwestii uczuć. Nie lubi rozrachunków z przeszłością ani snucia planów na przyszłość. Wiedz, że mam powody, by jej nienawidzić, ale równie wiele, by ją kochać. Znamy się od wielu lat, a niełatwo mieć taką przyjaciółkę.

– Teraz to pani zachowuje się jak egoistka.

– Owszem, maleńka. Nie zostało mi już wiele lat, nie mam czasu szukać innej przyjaciółki, z którą mogłabym je spędzać.

Żaden kwiatek nawet nie drgnął.

– Uważam, że Mercedes nie zasługuje na to, żeby ktoś grzebał w jej przeszłości. Zmuszał do podróży, do spotkania z nim, do stawienia czoła wspomnieniom.

– Co więc mamy zrobić, pani Tilde?

Wizja przyszłości wypełniła je obie ogniem.

– Zapytam ją wprost: „Chcesz do niego jechać?”.

– A... A co, jeśli odmówi?

– To już inna sprawa.

Dominique zaczął hałasować za drzwiami, żeby je ostrzec, że wraca, ale bez skutku.

Milczące kwiaty i sylwetka Brulégo, jakby lalki w teatrze cieni.

– Postawiłem obiad na małym ogniu – powiedział.

Żadna nie zwróciła uwagi na jego słowa, bo wciąż rozmyślały o wcześniejszej rozmowie. Jedna z ręką na szyi, druga – na brzuchu.

Serce lokuje się czasem w zaskakujących miejscach.

Zamilkli na dłuższą chwilę. Rośliny wystawione na chodnik poruszały się gwałtownie i uderzały w witrynę.

– Może pani z nami zjeść, pani Tilde – dodał Brulé już zza lady. – Spokojnie

wystarczy dla trojga.

Wszyscy znali już wzajemne powiązania, więc kwiaty narzuciły im swoją ciszę.

– Dziękuję. Mam w domu obiad.

Ogień zmalął, Matilde odetchnęła głęboko i zaczęła szukać w spiżarni duszy słów, które mogłyby sprawić, żeby Violeta nie czuła się nieswojo. Dużymi literami i zupełnie szczerze zapytała:

– A jak twoja ciąża?

– Dobrze. Wszystko pod kontrolą.

– Cieszę się.

– Proszę zostać na obiad, Dominique ma rację.

Skinął głową, bo tylko to mógł w tej sytuacji zrobić.

Tilde jednak zdawała się nie słyszeć już jej słów, w pełni skupiona na swojej decyzji.

*

Mercedes i Tilde. Okrągła kanapa w kawiarni przy rue Bonaparte. Dwie kawy z mlekiem.

– Chcesz się z nim spotkać?

– Nie.

– Ja to załatwię – powiedziała Tilde. Przypomniała sobie, jak ojciec naprawił jej zepsuty latawiec. Wygrzebał go ze składziku, udekorował kawałkami gazet, pomalował farbami wodnymi, porządnie przymocował listewki, przyczepił na czubkach wstążki – w rezultacie stała się posiadaczką najpiękniejszego latawca w dzielnicy. Rozwinęła sznurek, puściła się pędem, ile sił w nogach, a wszyscy patrzyli z podziwem i zazdrością, jak ten gigantyczny kolorowy romb, widoczny z daleka, latał nad dachami i kominami, mijał chmury i robił na wszystkich wielkie wrażenie, podczas gdy ona biegła i biegła, coraz większa.

– Pomóż mi – usłyszała.

Plan Paryża wiszący na ścianie Café Bonaparte przypominał w tej chwili mapę bólu Mercedes.

*

Przez lata nieraz zdarzało się, że coś nas z Mercedes poróżniło. Jednak w ostatnim czasie chłód i zmarszczki obniżyły temperaturę naszych sporów. Cóż, życie. Czas. Kiedy przekracza się wiek, którego dożyli nasi rodzice, wszystko się zmienia.

I tak, stopniowo, jakby na wolnym ogniu, wraz z upływem lat i przybywaniem zmarszczek, zaczęliśmy w pełni doceniać przyjaźń.

Gdybyśmy wiedziały o tym wcześniej, nie marnowałybyśmy czasu, ale czas się marnuje, traci, zabija... O czasie wiem wszystko. Nikt nas przed nim nie przestrzega, choć od małego przyzwyczajamy się do widoku staruszków na ulicy.

Wydaje nam się, że zawsze byli starzy, że tacy się urodzili. Są niewidzialni. Ale nie, ja też kiedyś byłam dziewczynką.

A jeśli narrator chciałby dodać w tym miejscu: „W głębi duszy nadal nią jesteś”, to byłabym wdzięczna. Ale jestem z tych, którzy proszą w milczeniu.

Było zimno. A zimno wypala.

Uznałam, że Mercedes będzie chciała przejść się sama, a zima, a zwłaszcza Boże Narodzenie, co roku spełnia swoją funkcję: codziennie przypomina nam jakąś historię z przeszłości. Jak drzazga, która wbija się w palec i nie daje o sobie zapomnieć, dopóki jej nie usuniemy. Raz za razem. Dlatego jest zimno, bo tak – boleśnie – najlepiej zachowują się wspomnienia.

Nikogo nie dziwi widok osoby płaczącej na ulicy zimą, za to latem...

Kto by płakał latem?

Kto by nie płakał zimą?

Bezwiednie zaczęłam myśleć o przyjaciółce, o powracającej przeszłości. Ucieszyłam się wtedy, że nie mam żadnego ukochanego, narzeczonego, męża, żywego czy zmarłego, do opłakiwania. A mówię to, zdradzając samą siebie, bo nieraz wzdychałam do mężczyzny.

Zbyt wiele kosztuje mnie wymówienie jego imienia. On, po prostu. Czegóż więcej trzeba?

To, czego nie było, nie istnieje. A jeśli istnieje, to dlatego, że trzeba mieć się czego chwycić, żeby móc uznać swoje życie, przeszłe i obecne, za pełne pasji. Nieszczęśliwe. Tak czy inaczej – pomyślałam, jakbym próbowała znaleźć wymówkę – Dominique to tylko dobrze wychowany mężczyzna. Też na pewno ma swoją drzazgę. Swoją ranę.

Wiem, że to niesprawiedliwe, ale mocniej czuję, że los się do mnie uśmiechnął, kiedy pomyślę, że i on zmaga się ze swoim bólem. Staram się już o tym nie myśleć.

Wpatrywałam się w opuszki swoich palców, kiedy zobaczyłam, że Mercedes idzie samotnie w stronę swojego ulubionego miejsca przy bulwarze Saint-Germain. Ona i ta jej słabość do księgarni Shakespeare.

Ruszyłam za nią.

W okolicy jak zwykle kłębiły się tłumy. Paryżanie przemykali chodnikami, a turyści przyklejali nosy do szyb, żeby poczuć nostalgię. Mercedes torowała sobie drogę wśród ludzi.

Ze swoją wrodzoną wiktoriańską elegancją idealnie pasowałaby do Dominique'a Brulégo. Tę myśl jednak szybko wyparła wizja mnie idącej z nim pod rękę.

Zamyśliłam się.

Stare marzenia pojawiają się, kiedy najmniej się ich spodziewamy. I wiemy, że – tak jak w filmie Franka Capry *To wspaniałe życie* – wszystko może się

zmienić w jeden dzień.

Weszła do środka i przywitała się z młodym kasjerem. Zrozumiałam, że to nie tylko jej kryjówka, że odwiedzała to miejsce częściej, niż myślałam. Uroczy chłopak powiedział Mercedes, że na górze jest tego dnia mniej ludzi niż zwykle:

– Wie pani, większość obawia się wąskich schodów i mało kto odkrywa drugie piętro.

Mercedes mruknęła z wdzięcznością:

– Moje ulubione miejsce w tym mieście. – I skierowała się w głąb sklepu, wymijając klientów.

„Jowisza wszystko jest pełne”^[9] – pomyślał sprzedawca.

Odczekałam chwilę, przeglądając pocztówki.

Eneas i Sybilla zstępowali w zaświaty, a tymczasem Mercedes wstępowała w swoje. Wśród książek czuła się bowiem jak w otoczeniu duchów melancholii. (Ta ostatnia myśl pochodzi od narratora, nie ode mnie).

Twarz na jednej z pocztówek skojarzyła mi się z Gregorym Peckiem, ale uświadomiłam sobie, że wszyscy tu musieli być przecież pisarzami. Nie odwróciłam zdjęcia, bo bez okularów do czytania nie miało sensu wypatrywać tych drobnych literek. Wolałam uznać, że to rzeczywiście aktor z *Zabić drozda*.

– Widziała pani, jak wyleciała stamtąd książka?

– Słucham?

Tak zapatrzyłam się na kartkę, że przstraszyła mnie uwaga wypowiedziana przez stojącego obok mężczyznę.

– Jeśli przyjdzie tu pani jeszcze kilka razy, na pewno zobaczy pani, jak książki fruują. Zwłaszcza przy półkach z poezją rosyjską. Tam w głębi.

– Żartuje pan – stwierdziłam i mocniej przycisnęłam do piersi torebkę.

– Ciągle się to dzieje w tej księgarni.

– Nie wierzę panu.

– Mówią, że to duch George’a Whitmana, właściciela, rzuca książkami.

– Co za nonsens.

– Pewnie tak. Ale ma swój urok.

– Żadnego.

– Wie pani co? Czekałam na wiosnę.

– Słucham? – odparłam sucho, myśląc, że to jakiś wariat.

– Nie mogę się doczekać wiosny. To zimno jest zabójcze. Nie sądzi pani? Całe szczęście, że w końcu przyjdzie poprawa pogody. Święta to paskudny okres dla starych kości. Już się nie mogę doczekać.

Wąsaty mężczyzna w kapeluszu stał w kolejce do kasy. Przytrafiło mu się to, co nam wszystkim z wiekiem: ztraca się gdzieś uczucie wstydu, wszelkie filtry czy zahamowania. Rozmawiamy z każdym, kto się trafi.

– Szczęśliwi ci, co mieszkają na południu – odparłam, sprowadzając

rozmowę na normalne tory i dając do zrozumienia, że też czekam na swoją kolej, żeby zapłacić za pocztówkę.

– Pani jest Hiszpanką, prawda?

– Owszem. A pan skąd pochodzi?

– Z Grenoble.

– Na miłość boską!

– O co chodzi? Była tam pani?

– Nie, ale mam wrażenie, że powinnam się wybrać.

– Zachęcam.

– Rozumiem, czemu wygląda pan wiosny, w Alpach o tej porze musi być wspaniale.

Dopiero po dłuższej chwili złapał ironię. Zmarszczył nos, lecz sekundę później jego twarz się wygładziła.

– Ale potem lato nam wszystko wynagradza: przychodzi nagle i robi się wspaniale.

– Zastanowię się.

Na szczęście przyszła jego kolej i skończyliśmy rozmowę. Po chwili stałam już przygnieciona do lady napierającym tłumem, z pocztówką z Gregorym Peckiem w dłoni jak z zaproszeniem do Waldorf Astorii. To chyba wiszący nad moją głową żyrandol ze złotopomarańczowych kryształków nasunął mi takie skojarzenie. Nas, biedaków, oślepia każdy blask. Mężczyzna z wąsikami wyglądał na autentycznie zaskoczonego, kiedy podałam kartkę do zapakowania i zaczęłam szukać pieniędzy.

– Bardzo ładna. Ma pani świetny gust – powiedział.

Skinęłam głową, nadal nie wiedząc, kogo przedstawia zdjęcie, za które właśnie płaciłam. „Niech to szlag” – pomyślałam. Teraz akurat musiałam tutaj utknąć, podczas gdy Mercedes weszła już na piętro. I w takiej chwili nie założyłam okularów!

Mężczyzna sprawiał wrażenie dandysa, a oprócz wąsika i kapelusza miał też jaskrawy fular pod szyją i parasol zawieszony na przedramieniu niczym damska torebka. Był ogólnie dość zniewieściały i uznałam, że raczej nie ma ochoty poderwać staruszki pozbawionej filtrów, pamięci, a nawet genów. Chociaż po namyśle stwierdziłam, że w pewnym wieku orientacja seksualna nie ma już znaczenia. I tak zbyt wiele się nie działo.

Sprzedawca też pochwalił mój wybór i pomyślałam sobie, jak łatwo byłoby żyć, ścinając osty dla kwiaciarni.

– Nie wiem, czy pani wie, ale on też swego czasu często zaglądał do tej księgarni.

– Tak, tak – odparłam, próbując zdusić w zarodku rozmowę, która mogła mnie tylko pograżyć.

– Z powodu wyglądu wszyscy brali go zawsze raczej za hollywoodzkiego

aktora czy jakiegoś VIP-a niż pisarza – dodał uprzejmie.

– To samo pomyślałam – odparłam i ugryzłam się w język.

– No dobrze. Jeśli będzie miała pani ochotę, zapraszam do Grenoble. Spodoba się pani. To miasto pionierów, już od czasów rewolucji francuskiej.

Na mojej twarzy odmalowało się niezrozumienie, mieszanka niedowierzania, łatwowierności i roztargnienia. Te emocje widać z daleka, bo jawią się jako dziwny grymas. W domu poszłam do kuchni, napiła się wody i wróciła do salonu wyłożyć karmę dla kota, który nie jest moim kotem. Ale tutaj, z pocztówką z moim Gregorym Peckiem i przed mężczyzną z wąsikami nie miałam innego wyjścia, jak zapytać:

– Słucham?

Tak postawione pytanie nie pozostawiało wielu możliwości.

– Dzień dachówek uznawany jest za początek rewolucji.

Na końcu języka miałam stwierdzenie: „To była niezła masakra”. Ale nie potrafiłam przełożyć tego określenia na francuski tak, by zachować przenośne znaczenie, a zarazem uniknąć skojarzeń z rzeźnią, krwawą jatką i zniszczeniem. Niezależnie od tego, ile minie lat i pór roku, zawsze pozostajemy emigrantami, z walizką słów, które nigdy nie znaczą dokładnie tego samego.

Uśmiechnęłam się i jak dziecko zapragnęłam zostawić tego pana i poszukać przyjaciółki. Jak zdemenciała staruszka.

Wtedy mężczyzna założył z powrotem kapelusz na głowę, poprawił fular i bardzo uprzejmie się pożegnał. Uścisnął mi dłoń, a kiedy mi ją oddał, była rozgrzana jak piec.

„Zimne serce” – pomyślałam. Jak dachówki.

Poczułam, że muszę się odwrócić, spojrzeć za siebie. W stronę drzwi. I rzeczywiście, stał tam. Z daleka wydawał się bardziej męski. Jego wysoka sylwetka wybijała się ponad tłum tłoczący się przy drzwiach. Ostatni raz uchylił kapelusza i wyszedł. Dla mnie był jak duch. W każdym tego słowa znaczeniu.

Nie powiedziałam tego, a tylko pomyślałam. Całe życie upływa mi na myśleniu.

Wtedy dopiero zrobiłam to, co powinnam zrobić na samym początku – weszłam w głąb sklepu i wspięłam się po schodach do części z fotelami. Tam, gdzie stoi maszyna do pisania.

– Co ty tu robisz?

– Kupuję pocztówki – odparłam i pomachałam papierową torebką.

– Śledziłaś mnie?

Zapadła długa, zbyt długa cisza.

– Tak.

– Tak?

– Jesteśmy przecież przyjaciółkami, prawda?

– Może dziś przestaniemy nimi być.

Kiedy jako dziewczynka bawiłam się w lesie, uważałam drzewa za swoich towarzyszy i przytulałam się do nich, nie zważając na szorstkie pnie i mech porastający korę. Powiem więcej: traktowałam je jak milczących powierników, a las – jak najlepszą paczkę przyjaciół. Czytelnicy powinni więc zrozumieć, że kiedy tak się dorastało, to słowa zapisane w poprzednim zdaniu, choć miały zranić, nie bolą tak bardzo.

Ten las książek Szekspira i spółki, oszusta jak wszyscy mężczyźni z wąsem, to naturalne środowisko Mercedes, nie moje. Ja weszłam tam jak kłusownik, który strzałami lada chwila zakłóci spokój. Brzmi to może przesadnie, ale zawsze przesadzam. W tym wieku już za późno na zmianę charakteru.

– Mercedes... – zawołałam głosem tak cichym, że tylko bohaterowie książek w tej puszczy powinni mnie usłyszeć. Zbliżyłam się do niej. Milczała. Jednak jej cisza nie była niema. Ta cisza krzyczała.

Podeszłam i usiadłam obok niej. W ręku trzymała długopis, którym zapisała już kilka karteluszków.

Złapałam ją za rękę.

Zimne dłonie. Gorące serce.

*

Drogi czytelniku!

Zanim przejdiesz dalej, chciałbym wspomnieć o czymś, co chyba zgubiło się gdzieś po drodze. O mnie. O Dominique’u Brulém. Nie mówiąc o życiu, które mija, podczas gdy toczy się ta historia nieznanymi osobami. Powiem ci, przywołując przy tej okazji słowa napisane przez Léona-Paula Fargue’a w 1939 roku: „(...) Nasze domowe życie, w tym szarym świecie o smaku słodkiej bułki z rodzynekami, życie pełne książek i donic, z kuchnią mocno przyciśniętą do piersi i z uchem – ach! – z uchem matki w zasięgu czułości, z prostym kotylionem, przygodami przyjaciół i starych druhów, spektaklem dozorczyń (...).” Pobudza wyobraźnię? Nie chodzi o to, co było, ale o to, co będzie.

Często widzę, jak do mojego pokoju wchodzi stara Paulina, i wydaje mi się, że oszalałam, bo przecież już jej nie ma. A z nią zdaje się przychodzić woń zapachu Julie. Dziwna sprawa. Uważam się bowiem za dziwaczego staruszka, zapomnianego Dominique’a, który sam już nie wie, kim był, poza tym, kim jest: kwiaciarzem z Saint-Germain-des-Prés, lepiej znającym się na lawendzie, liliach i różach chińskich niż na ludziach. Daleki od chęci ucieczki od jednych i drugich, chciałem obie te grupy zrozumieć. Wiem już, że lawenda to nieufność, lilia – biała niewinność, a róże chińskie – zmysłowa miłość. Wszystkie trzy odpowiadają zaś otaczającym mnie dziś kobietom: Mercedes, Tilde i Violecie. Nie każ mi uściślać, który kwiat określa którą z nich, narratorze, bo to nie zabawa – to moje życie.

Moim zdaniem w Paryżu zawiera się całe znaczenie kwiatów. Jest zupełnie

inny, choćby ze wszystkich sił próbowali go sprowadzić do pocztówki ze stoiska z *souvenirs*. Wszyscy pisarze i turyści uparcie do niego wzdychają, nie zdając sobie przy tym sprawy, że to on wzdycha, zrezygnowany, zmęczony ciągłym upraszczaniem. My – Paryż i ja – lubimy to nieporozumienie, bo pozwala nam się ukryć. Mnie – przed starym bólem, wśród kwiatów, a jemu – przed starymi tragediami, wśród kamieni bruku. Trzeba przemierzyć go w całości, żeby zrozumieć. Przemierzyć, nie przespacerować się po nim. Bo to nie ma nic wspólnego.

Dziś moje kwiaty były ożywione. Ja również. Ale czasem dzieje się wręcz przeciwnie i czuję się wtedy zmuszony je pomieszać, żeby nie układały się kolorami w radosną tęczę. Ale nawet w takim nieładzie nie stają się brzydkie. Podłe!

Często wyłączam aparat słuchowy. Ta cisza, niemal jak w próżni, jest tym, co najbardziej lubię w Paryżu.

Jesteś cichym miastem. Wycofanym.

Parę dni temu, kiedy patrzyłem na Violetę, też postanowiłem go wyłączyć. *Off*. I kwaciarnia zamieniła się w jeden z tych obrazów, które widziałem w Muzeum Orsay, ale ruchomy. Kwiaty i ona tworzyły razem scenę z niemego filmu, miejsce pozbawione wszelkiego dźwięku, gdzie, jak się zdawało, czas mógł się w każdej chwili zatrzymać. Często tak robię. I zauważyłem, że wtedy częściej się uśmiecham.

Człowiek bez dźwięku. Spokojne życie.

W muzeum to bardzo praktyczne, bo zdaje się wtedy nie istnieć, przemykam się między ludźmi, nic nie słysząc, a wszystko przypomina łąkę, w końcu wszyscy znikają, bo są tylko kształtami, krzakami na polu obrazów.

Te krzaki to ludzie. W ciszy tłum staje się mniej nieprzyjemny.

Przyjemność sprawia mi patrzenie na obraz i odkrywanie, że jest taki jak ja – niemy. Że nie wydaje żadnych dźwięków, a mimo to zawiera je wszystkie. Gorąco ci polecam, czytelniku, przyjrzeć się deszczowej paryskiej ulicy Caillebotte'a w absolutnej ciszy, bo dopiero wtedy można wszystko usłyszeć, nawet wodę płynącą rynsztokami do studzienek. Zamykanie i otwieranie parasolek, jedwab rozciągający się na drutach. I dorożkę przejeżdżającą pośpiesznie w takiej odległości, żeby nie zmoczyć przechodniów. Słyszeć stuk końskich kopyt na bruku, krystaliczny zgrzyt żelaza niczym cykanie świerszczy. Stąpanie butów na skórzanych podeszwach, tykanie zegarków, zamykane drzwi, otwierane okno... Kiedy wokół panuje cisza, słyszymy więcej, tak samo jak mocniej czujemy miłość, kiedy już przeminie.

Tak samo jak słyszę bicie serca Violety, kiedy przychodzi.

A nie widzę jej serca, tak samo jak nie widzę deszczu na obrazie Caillebotte'a.

Czasem, bez baterii, gram w karty z graczami Cézanne'a. Sięgam po butelkę, częstuję się tytoniem.

Kiedy indziej przysiadam się do pogrążonej w smutnej melancholii, samotnie pijącej kobiety Degasa. Biorę ją za rękę, żeby się uśmiechnęła, żeby wiedziała, że rozumiem jej ból tak dobrze, jakby należał do mnie. Jej samotność. Ona zaś wycofuje się nieco, żeby zrobić mi miejsce na ławie, i wie, mówi, że jej cierpienie boli jeszcze bardziej, bo rany duszy leczy tylko czas. A na tym obrazie czas się zatrzymał i nie pozwala jej wstać, wyjść z baru i ruszyć na spacer w poszukiwaniu kwiatów.

Cisza. Moja cisza. Dlatego milknę.

Dziś wystawiłem świeże kwiaty przy drzwiach kwiaciarni: róże odmian „Houdini” i „Cappuccino”.

– Proszę codziennie przycinać im łodygi po skosie i zmieniać wodę.

Wszyscy potrzebujemy świeżej wody.

Z precyzją szwajcarskiego zegarka.

– Dziękuję, panie kwiaciarzu – odparł chłopak, który przyszedł po „róże, które nie będą miały koloru róż”, a potem zniknął pod dzwoneczkami nad wejściem.

Pierwszy raz ktoś nazwał mnie kwiaciarzem.

Zapatrzyłem się na róże, które nie miały koloru róż. „Cappuccino”.

Nie wiem, jak długo tak zostałem.

Myślałem o Julie.

I o zdaniu, które znalazłem podkreślone w jednej z jej książek: „To w oczach widzimy życie”^[10].

*

Dwie kobiety nadal siedziały razem w Shakespeare and Company. Dziewczyna w ciąży szła do lekarza, czując kopanie w brzuchu. Siwowłosa staruszka przemierzała Paryż w poszukiwaniu nieba, pod którym mogłaby usiąść. A tysiące duchów krążyło w wyobraźni. Wszystko jest jak kwiaciarnia. Takie są ulice Paryża. I istnieją róże, które nie mają koloru róż.

*

Kiedy Mercedes wstała z fotela, podniosła się również Tilde, obie poruszone tym samym mechanizmem. Tik-... Tym wynikającym z przyjaźni. ...-tak.

– Chodźmy już, nic tu po nas, a mamy rzeczy do załatwienia – powiedziała pierwsza.

W tej chwili również w głowie Matilde zrodził się fascynujący pomysł, który nie pozwalał jej myśleć o niczym innym.

– Zostawiłam torebkę na górze.

– Na miłość boską, przecież masz ją na ramieniu.

Tilde nie dała się złapać.

– Chodzi mi o tę torebkę z pocztówką. Kupiłam sobie zdjęcie aktora.
– Przecież tu sprzedają tylko pisarzy.
– Wszystko jedno. Wygląda jak aktor. Widziałaś *Zabić drozda*? Pamiętasz ten moment, kiedy... Nieważne. Zaraz wracam.

Kłamstwo Tilde było szyte grubymi nićmi, widocznymi gołym okiem. Chciała wrócić, żeby odszukać notatkę ukrytą przez przyjaciółkę w jednej z książek.

– No dalej, Matilde, idź na górę – powiedziała Mercedes mechanicznie.

Tilde udąa zniecierpliwienie swoim roztargnieniem: zamknęła oczy i pokręciła głową na boki.

– Za chwilę wracam – rzuciła.

– Poczekam na ulicy.

Mercedes spojrzała w górę: niebo nadal miało kolor bardzo bladego błękitu, błękitu zmęczonego, wyczerpanego. Powoli jednak barwiło się na szaro w obliczu nadchodzącego zmierzchu.

Kiedy siedziały w milczeniu na pięterku, zrozumiała, że ma obowiązek pomóc przyjaciółce, a także tamtemu mężczyźnie z przeszłości. Czy to z powodu bezlitosnego wieku, czy dlatego że na tym etapie życia nie czekały jej już żadne niespodzianki, czy wreszcie przez słowa Violety zarażonej przez Étienne'a – czuła, że ten człowiek nie powinien umrzeć bez pożegnania.

Tilde przekrzywiła głowę na bok i przejrzała grzbiety książek na regale, przy którym siedziały. Dobrze wiedziała, że Mercedes wsunęła karteczkę do jednego z tych tomów. Jednak pośpiech i nerwy odebrały jej nieco pewności. Zbyt wiele wydarzyło się w ostatnich godzinach, czuła radość jak w czasach, kiedy mieszkała jeszcze w Hiszpanii, beztroskę życia na wsi, gdzie zawsze była niedziela. Praca krawcowej i sprzątaczkini nie zostawiła jej zbyt wiele czasu na miłość, jeśli w ogóle. Co to jest miłość? Poświęciła więc czas rodzicom. Parze wieśniaków, którzy lepiej znali się na burzach i pracy w polu niż na uczuciach.

Wbrew temu, co myślał jej ojciec, Tilde czuła się w tamtym domu jak więzień. Przywykła już do myśli o pozostaniu na wsi i opiece nad rodzicami, zapomniała o sobie samej. Ale potem pojawiła się możliwość ucieczki do Paryża. Paryż jako cel i przeznaczenie.

I tutaj została.

Już po kilku dniach w wielkiej stolicy miała w małym palcu ulice, przystanki autobusowe, służbę zdrowia, najlepsze stacje metra, godziny otwarcia najbliższych sklepów i kina, do których dało się wśliznąć za darmo, bo bileter też był emigrantem. Nauczyła się języka, obcięła długą grzywę, która po latach miała stać się kokiem, skróciła spódnice i wyrzuciła pończochy.

Wiedziała, że dla sąsiadów na zawsze pozostanie „tą Hiszpanką”, ale dla niej najważniejsze było nie to, jak widzieli ją inni, lecz to, jak sama o sobie myślała.

A Tilde postanowiła myśleć o sobie dobrze.

Otworzyła książkę z rysunkiem zielonych liści na okładce (*Cold Sassy Tree* Olive Ann Burns) i przetasowała jej strony niczym talię kart. Spomiędzy kartek jak jesienny liść sfrunęła notatka Mercedes.

– No proszę! – zawołała. – Trafiłam.

Nie pożegnawszy się z książkami, wsunęła karteczkę do kieszeni i pośpiesznie ruszyła do wyjścia.

Wszystko się zakończyło.

Pójdzie teraz na spacer z przyjaciółką.

Pod ramię.

Pogadają.

Pomilczą.

Podliczą wydatki.

Skomentują świąteczne ozdoby.

Ogarnie je nostalgia.

I każda skończy w swoim domu.

– Dlaczego mnie śledziłaś? Powiedz prawdę.

– Z powodu samotności. Pod żadnym pozorem nie zostawiłabym cię tam pomiędzy książkami.

– Myślałam, że chodzi ci o swoją samotność, nie moją.

– Przyjaciółkom myślą się samotności.

– Ale w otoczeniu książek nie jestem sama. Wręcz przeciwnie. W tym miejscu jest jakaś magia, która bardzo mi odpowiada.

– Jakiś facet przy wejściu powiedział mi, że duch właściciela przekłada książki i nimi rzuca. Kiedy się przyjrzeć, to faktycznie wszystko wydaje się niepoukładane.

– Błagam, nie wierzysz chyba w te bajki!

– Żebyś ty w nie nie uwierzyła! Ale mnie to nawet bawi. Ja osobiście chciałabym się ukazywać po śmierci. Nie będę miała nic innego do roboty...

– Wiem, co masz na myśli.

– Nic szczególnego.

– Ta księgarnia to świetne miejsce do nawiedzania. Pięknie tu. A spójrz tylko na klientelę! Na pewno byś się nie nudziła. Ale... Dajmy już spokój duchom.

– Oczywiście – powiedziała Tilde i zacisnęła kciuki.

– Tak, zostawmy cienie w spokoju.

Mercedes odeszła na bok i zapaliła papierosa, jak zwykle połówkę. Drżały jej ręce. Było w niej coś dystyngowanego, coś, czego nie zatarł czas. Długa szyja, jasne i szlachetne spojrzenie, proste ramiona, sposób, w jaki przystawała nagle, żeby zapalić, delikatne palce z papierosem... Jakaś świetność, której nie przysłał nawet dym ani nerwy.

Matilde zamknęła oczy i przypomniała sobie swój wcześniejszy pomysł na rozwiązanie tej sprawy. Dzięki odrobinie sprytu zdjęłaby z barków przyjaciółki ciężar i sprawiła, że zły mężczyzna odejdzie na tamten świat jak dobry człowiek.

– Wszystko w porządku, Mercedes?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Na pewno rozumiesz, że nie pytam tylko z grzeczności. Jesteśmy przyjaciółkami.

– I staruszkami.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Co do tej drugiej sprawy... Koniec. Już.

– Wystarczy, Matilde.

Zamrugnęła.

Do soków z niektórych owoców dobrze jest dolać nieco wody, żeby straciły kwaśność. To samo dotyczy niektórych osób. Wystarczy jeden krok. Ze złego w dobre. Z gorzkiego w słodkie. Z kwaśnego w delikatne.

Wszystkie msze, niekoniecznie te paryskie, odniosły skutek, i wciąż tkwił w niej silny strach przed piekłem, nieufność zakorzeniona w jej duszy od dzieciństwa. Jakby wciąż musiała zachować ostrożność. „Matilde, podaj dalej tacę w kościele. Matilde, śpiewaj w kościele. Matilde, pomóż nam w kościele. Matilde, rozstaw szopkę. Matilde, zajmij się obrusami, talerzami, szatami świętych... Matilde, Matilde, Matilde”.

Ona też wylądowała w Paryżu cała w łzach. Ale zapomina się o tych z poprzedniej epoki. Bo łzy obsychają, a ich przyczyny gdzieś giną. Pozostaje tylko mgliste wrażenie, że coś nas kiedyś zraniło.

*

Co Mercedes napisała na karteczce?

„Nie chcecie myśleć też liczy się jako szczęście”.

Właśnie to.

*

Matilde ostrożnie złożyła papierek na pół i schowała go do ceramicznej szkatułki stojącej na kominku. To tam trzymała też, zupełnie bez sensu, korek od szampana z jakąś datą, której sama już nie pamiętała, pojedynczy kolczyk, zdjęcia z dzieciństwa i świece na wypadek awarii prądu. W tamtym momencie świetnie zrozumiała milczenie przyjaciółki. Nie musiała ponownie czytać tych ośmiu słów, ich sens jawił się jej zupełnie jasno i czuła, że Mercedes dławił niemy płacz.

Potem poszła do łazienki, zwilżyła dłonie wodą kolońską i przemyła twarz. Powąchała palce. Pierwsze wspomnienia Matilde z dzieciństwa nierozzerwalnie wiązały się z tym gestem wykonywanym przez matkę przed pójściem spać. Zapach wody kolońskiej zdejmował maskę starości i odsłaniał jej szelmowską twarz, której nigdy nie straciła. Pod tym względem matka i córka niczym się nie różniły. Tilde odziedziczyła też po niej talent do wymyślania historii, a także pomysłowość przy

poszukiwaniu rozwiązań. Rodzina uznawała dziewczynkę za bystrą, zaradną, obrotną.

Matilde chętnie się niezależnością, sprytem i rozsądkiem. Jednak z tych trzech cech jedna nie była taka pewna: nikt tak jak ona nie potrafił cisnąć rozwagi w kąt i wyjść na ulicę w poszukiwaniu niespodzianek.

Teraz próbowała sama sobie wytłumaczyć, skąd wzięło jej się tyle zmarszczek. Dłoni mokrymi od wody kolońskiej naciągała skórę na policzkach w stronę uszu, próbując upodobnić się do zdjęć ze szkatułki. W tamtej chwili pomyślała jednak: „Niech to szlag, taka byłaś piękna, Tilde, taka piękna, a czas tak chętnie odbija piętno na naszych twarzach”. Potem opuściła ręce i odrzuciła te myśli. Czasu i tak nie da się cofnąć.

W tej samej chwili Mercedes przeglądała się w lustrze w innej łazience. Po śmierci ojca pojechała do Hiszpanii, żeby go pochować. Od tamtej pory nie ruszyła się z Paryża. Został jej po nim łańcuszek, który zawsze plątał się przy przebieraniu. Wisiały na nim medalion i obrączka. Każdej nocy ścisnęła je mocno w dłoni, jakby w przeciwnym razie miała zapomnieć o miłości ojca. Została taka samotna.

Zostałam taka samotna, narratorze.

Zostałaś taka samotna.

Mercedes nie była dobrze widziana w rodzinnej wiosce, bo na pogrzeb matki już się nie wybrała. Kobieta bardziej kochała jej brata, swojego młodszego syna, i z tego powodu – cięższego w duszy niż obiektywnie – Mercedes oznajmiła przez telefon, że w tej sytuacji nie ma już powodu udawać, że dobrze im się układało. Nie pojechała. Matka zawsze zachowywała się wobec niej jak staromodna matrona, więc tak właśnie żyły. Na dystans. W końcu i tak nie miały o czym rozmawiać. Ograniczyła się więc do wysłania kwiatów, z dużej odległości.

Teraz, przed lustrem, Mercedes nawiedziło okropne skojarzenie. Przypomniała sobie wysyłkę tamtych róż. Pomyślała o obrazie Goi *Saturn pożerający własne dzieci* i o smaku mięsa.

Posmarowała dłonie kremem i powąchała.

Tymczasem Violeta brała prysznic w łazience Dominique’a i w kłębach pary zaczęła zastanawiać się nad imieniem dla dziecka. Stała zamyślona pod strumieniem wody i rozważała różne możliwości. Dobrze pamiętała rozmowy z koleżankami, kiedy każda mówiła, które imię najbardziej się jej podoba, i zaklepywała je na później, jakby odkładała pieniądze na lokacie w banku.

Wówczas więzi przyjaźni wydawały się najmocniejsze na świecie, a przyszłość – odległa i mglista. Prawdopodobnie – mówiła – nazwę ją Elena, jeśli to dziewczynka, albo Nicolas, jeśli okaże się chłopcem. Koleżanka wybrałaby Oscara albo Federicę. Trzecia stwierdziła, że weźmie imię swoje lub ojca dziecka. Cała ta rozmowa dotyczyła jednak tak naprawdę nie niemowląt i chrztów, lecz mężczyzn, z którymi będą te dzieci miały. Nagle jak przez mgłę przypomniła

sobie pierwszy pocałunek i pierwszy raz, kiedy chłopak dotknął jej piersi. Na pierwszy plan wybiło się jednak podniecające wspomnienie chwili, w której dotknęła członka swojego najlepszego przyjaciela – od tamtej pory przestał nim być. „Trójka ławkowa” (tak się nazywały, bo zawsze siadały na tej samej ławeczce, żeby pogadać) budziła pożądanie większości chłopaków. Spędzały z nimi całe dni, a wieczorem udawały, że jeszcze nie zdecydowały, z kim chcą się umówić.

Violecie zdało się, że słyszy głos matki wołającej ją z balkonu na kolację. „Nie martw się tak o mnie – mówiła. – Jestem dorosła i wiem, co robię. Już idę”.

Teraz jednak lekkie kopnięcie przypomniało jej, że rzeczywiście jest już dorosła i że trzeba wybrać imię, szkołę, ubranka i sposoby na odegnanie strachu. „Brzuch to wielki hormonalny potwór, a głowa – urządzenie do pomiaru nieustającego hałasu. Spanie to całkiem dobry plan, tyle że nie mogę zasnąć, a jeśli już mi się udaje, dręczą mnie koszmary. Myśli przestają mi się mieścić w mózgu. Strach przepelnia mi serce, a w żyłach płynie więcej lęku niż krwi. Śmieję się sama z siebie, ale przyznaję: jestem na siebie wściekła za to, że nad sobą nie panuję. Spokojnie, Violeto, spokojnie. Chciałabym zapalić cygaro, ale każde zaciągnięcie się to piekło, więc myślę o czekoladzie. Chcę czekolady. To chyba łatwo zrozumieć. Czekolady. Czekolady”.

Namydliła brzuch, nucąc pod nosem piosenkę. Dominique usłyszał głos Violety, bo z korytarza nasłuchiwał każdej kropli wody, każdego ruchu w wannie. Oparł dłonie o drzwi, żeby poczuć ciepło, tak jak dotyka się ciepłej jeszcze maski samochodu tuż po zgaszeniu silnika.

– Miłych snów – powiedział cichutko, niedosłyszalnie nawet dla siebie samego. Już prawie zapomniał o tym, jak Julie brała prysznic i zostawiała uchylone drzwi, żeby para wodna nie mogła się skroplić na wszystkich powierzchniach. Dominique wchodził do środka, rozbierał się i dołączał do niej.

Odetchnął.

Odetchnął głęboko.

Odetchnął głęboko, tak jak wtedy, kiedy wrócił do domu w wiosce Vézelay, zostawił rower pod drzwiami i ruszył biegiem na poszukiwanie Julie.

Jeszcze gdzie indziej Étienne przewracał się w łóżku z boku na bok z głową pełną myśli. Również o ojcu. Policzył do trzech i wziął głęboki oddech, wytrzymał do siedmiu i wypuścił powietrze, odliczając od siedmiu w dół. Robił tak zawsze, aż w końcu przychodził sen. Ale tym razem nie zadziało.

Zupełnie banalne przecucie może nam nie pozwolić zmrużyć oka. Jemu też się to właśnie przydarzyło.

Trzy, siedem, zatrzymać, wypuścić. Trzy, siedem, zatrzymać, wypuścić. Jeszcze raz. Wie, że tej nocy również nie zaśnie. Wsłuchuje się w mechaniczny oddech ojca, w kroki pielęgniarki, w krople deszczu uderzające o płócienne markizy niczym kule na wojnie, niczym kamienie. Zaczyna je liczyć: jedna, druga,

trzecia, czwarta, piąta, szósta... I próbuje zasnąć, myśląc o kwiatkach, które zostały w Paryżu.

Ale Paryża to nie obchodzi. Rozłożył się na chodnikach i zasnął. A raczej udaje, że śpi, i pozwala zimie mijać, czekając na wiosnę. Miasto akceptuje warunki nocnych marków krążących o tej porze po jego ulicach w poszukiwaniu taksówki, która zawiezie ich do domu. Kod do domofonu nie działa. Żebrak, powykęcany jak Quasimodo, śpi przytulony do ściany. Policjant wymiotuje. Para zakochanych całuje się w samochodzie z włączonym silnikiem. Z bramy, gdzie mieszkają Silvia i Eva, pachnie arabskim jedzeniem i pizzą. Dziewczyny uczą się przy lampce. Dominique wchodzi do swojego pokoju. Mercedes gasi światło i wdycha zapach pościeli. Tilde cmoka na nie swojego kota, żeby przyszedł dotrzymać jej towarzystwa. Violeta wyciera się ręcznikiem i w pluszowym szlafroku idzie do sypialni. Czuje ciepło. Ciepło ogarnia ją ze wszystkich stron. Rozbiera się i naga kładzie na łóżku. Dominique ją sobie wyobraża.

Powieki Paryża opadają ciężko.

Madryt przewraca się w łóżku.

„Tęsknisz za Violetą?” – pyta matka ojca, a on wierci się w łóżku, próbując znaleźć wygodną pozycję. Kiedy nie odpowiada, myśli sobie, że nigdy za nikim nie tęsknimy tak, jak za tym, kim kiedyś byliśmy. Czasem jesteśmy strasznymi egoistami.

Kot nie odpowiada na wołanie Tilde. Staruszka wstaje, żeby go poszukać. Promień światła z ulicy pada na stojącą na kominku ceramiczną szkatułkę, w której leży przesłanie wsunięte przez Mercedes do książki.

– Jak to ona powiedziała?

Jest, znalazła.

„Nie chceć myśleć też liczy się jako szczęście”.

Dozorca Julien Dupont opierał dłonie na policzkach. A raczej siedział z łokciami na kolanach i trzymał się za głowę. „Kiedy byłem mały – myśli – dziadek powtarzał mamie: ten chłopak ma jedno oko bardziej otwarte od drugiego”. Najdziwniejsze wspomnienia przychodzą do głowy w najmniej spodziewanych momentach.

To dlatego Julien przez całe życie mrużył na zmianę oczy, jak zaparkowany samochód z włączonymi kierunkowskazami.

Teraz znowu to robi.

Violeta i Matilde chciały z nim porozmawiać, ale nie śmiały wyrywać go z tego, co zdawało im się dziwacznym letargiem. Dla nich przede wszystkim niezrozumiałym. Odczekały chwilę, aż zamknie oczy, a potem otworzy je szeroko jak sowa.

– Panie Julienie...

– Dzień dobry paniom! Przepraszam... Pani i panience.

– Dajmy sobie spokój z etykietą. Przyszliśmy w konkretnym celu.

– Jak mogę pomóc? – zapytał. Wyprostował się i wygładził rękawy szlafroka w kolorze indygo.

– Proszę pokazać mi listy, które dostała Mercedes. Wiem, że daje panu koperty, a pan je zbiera.

– Nie zbieram. Kolekcjonuję. Zbieractwo kojarzy się z czubkami. Kolekcjonowanie brzmi bardziej wyrefinowanie.

Matilde wbiła w niego zdumiony wzrok i westchnęła cicho, żeby nie powiedzieć tego, co cisnęło jej się na język: „Dziwak”.

– Owszem, zbieram znaczki.

– Nam to bez różnicy. Chcemy... Potrzebujemy znaleźć pewien adres.

Dozorca pokiwał głową i otworzył jedną ze skrzynek stojących na regale, po czym stwierdził:

– Domyślam się, że to sprawa życia i śmierci.

– Jak najbardziej. Nie możemy jednak nic więcej powiedzieć.

– No tak. Ale w takim razie ja też nie mogę tak po prostu podać wam adresów, jeśli nic mi nie wyjaśnicie.

– No proszę, panie Julienie, przecież znamy się od lat. Wie pan, że żadne z nas złodziejki. Wszyscy przecież przyjaźnimy się z Mercedes, te listy to tylko pójście na skróty.

– Co panie zamierzają? Odpisać?

– Nawet lepiej – odparła.

– Chciałbym tylko podkreślić, że ich nie ukradłem. Sama podarowała mi koperty, jak wielu tutejszych mieszkańców. To moje hobby. Wiele osób coś

kolekcjonuje. A filatelistyka to najzwyczajniejsze zajęcie pod słońcem... Znaczki, które wtedy mi dała, są bardzo stare i spodobały mi się, ponieważ...

– Proszę mi to dać! – zażądała Tilde niemal histerycznie, kiedy dozorca przemawiał z papierami w ręku.

– Na miłość boską!

Julien spojrział na nią z urazą.

Na widok ich obrażonych min Violeta postanowiła się nie mieszać. Prawdopodobnie tylko jeszcze bardziej by ich rozzłościła. Zamiast tego w milczeniu czekała, aż napięcie opadnie, i rozglądała się po suficie, ścianach i podłodze, głaszcząc się przy tym po brzuchu... Aż w końcu sytuacja się uspokoiła.

– Czyli nie zamierza mi pani opowiedzieć, co się dzieje – stwierdził Julien.

– Nie – odparła Matilde – nie o to chodzi. Od pańskich listów czy pańskich znaczków i naszej współpracy zależy rozwiązanie problemu. Mogę panu opowiedzieć albo i nie. Ale to damskie sprawy. Jeśli zdecyduję się wytłumaczyć panu sytuację, na pewno postawi się pan na miejscu mężczyzny.

– Przecież to miały być damskie sprawy...

– Damsko-męskie.

– Domyślam się, że to nie ja jestem tym mężczyzną.

– Na litość boską, skąd! Pana pomoc jest nam niezbędna. W pańskich kopertach kryje się odpowiedź na nasze pytania.

– Czuję się ważny. Nie spodziewałem się, że moje hobby przyniesie mi kiedyś tyle satysfakcji.

– Ale tak właśnie jest.

– Podejrzewam, że to ten tajemniczy mężczyzna stanowi klucz do zagadki.

Nie chcę mu narobić problemów.

– Ma ich już wystarczająco dużo. Nie zamierzamy dokładać mu kolejnego. Chcemy raczej na zawsze go od nich uwolnić.

– Boję się pań.

– Wyglądamy z Violetą na groźne? Mężczyźni często wzbudzają nieproporcjonalne reakcje. Nawet u siebie samych.

– Może jestem naiwny – powiedział Julien. – Tak, na pewno jestem naiwny, ale ja nie postrzegam tak wszystkich mężczyzn. Nie zakładam z góry, że wszyscy jesteśmy źli. Wierzę w ludzki rozsądek i szacunek dla innych. I w uprzejmość.

– No cóż, przynajmniej co do jednego ma pan rację.

– Co do czego?

– Jest pan naiwny.

Julien przybrał pozę niedowierzania, jaką osiąga się przez opuszczenie ramion. Violeta miała poczucie, że Tilde to dynamit. Stała za nią i bez słowa przyglądała się obrazowi. Tilde dodała:

– Ja też widziałam *Tramwaj zwany pożądaniem*. Ale nie wiem, czy wierzę

w uprzejmość nieznajomych.

– Mówi pani o mnie?

– O nim.

– O kim...

– Panie Julienie, błagam! – wrzasnęła Tilde. – Mówię o nadawcy listów.

– W takim razie w porządku.

– Pewnie, że w porządku. Niech się pan nie martwi, ani jako mężczyzna, ani jako dozorca. Zachowamy pański udział w tajemnicy. Dziękuję.

– Pójdę z paniami.

– Znam drogę.

Violeta nie wiedziała, jak poradzą sobie z planem, ale nie miała żadnego lepszego pomysłu.

Tego ranka zjadły razem śniadanie w Café Bonaparte. Wołałyby odwiedzić Ladurée, żeby nadać całej sprawie powieściowy sznyt, ale to miejsce zbyt drogie na wizyty bez okazji i zbyt popularne wśród turystów, nawet wczesnym rankiem. W końcu zdecydowały się na Bonaparte, bo Tilde nigdy nie musiała tam płacić. Tak to jest, kiedy przez lata sprzątało się gdzieś łazienki i myło okna.

– Rozmawiałaś z Mercedes?

– Tak – odparła Matilde. – Odmawia. Nie chce zamknąć biografii. Nie chce go nawet widzieć.

– Dlaczego?

– Nie powiedziała.

– Nic?

– Jak to Mercedes.

– Chyba jesteśmy pod tym względem podobne.

– Jak możesz uważać, że jesteście podobne, skoro nie znasz jej motywacji?

– Znam jej decyzję: nie spotykać się z nim.

– Ale ty nie jesteś Mercedes. I wiem, o czym mówisz, nie jestem głupia.

Ale... To inna historia. Mamy plan – oznajmiła Matilde niczym bohaterka *Sokoła maltańskiego*.

– Plan? Jaki plan? – zapytała zaskoczona Violeta.

– Mercedes może nie uśmiechać się na myśl o odwiedzinach nieboszczyka.

– Jeszcze nie umarł.

– Dla niej tak. I dla nas też. Mercedes jest naszą przyjaciółką. Poza tym strasznie mi się nudzi. Już od dawna nic mi się nie przytrafiło. – Violeta nie skomentowała. – Tak naprawdę to nawet nie od dawna: nigdy nic mi się nie przytrafiło. I to mnie pobudza od działania. Poza tym, twój kolega... Ten chłopak, jak mu było...

– Étienne.

– O, właśnie. Étienne chce, żeby ojciec pożegnał się z miłością swojego

życia.

– Zgadza się.

– W takim razie ja będę tą miłością.

Narrator się uśmiechnął.

– Jak niby chcesz udawać jego ukochaną sprzed lat, skoro nawet nie jesteś podobna do Mercedes? – zapytała Violeta bez ogródek.

Matilde się nie przejęła.

– Jestem starsza niż Matuzalem, a tamten ma jeszcze pięć lat więcej. Myślisz, że spodziewa się dziewczyny, w której się zakochał?

Violeta wzruszyła ramionami.

– Nie widział jej od sześćdziesięciu lat. Ostatni raz spotkał Mercedes sześćdziesiąt lat temu. Sześćdziesiąt. Starość wszystkim nam spieprzyła twarze i ciała. „Spieprzyła”, tak mówicie wy, młodzi, nie? Idę o zakład, że nawet Dominique Brulé mógłby pojechać do Grenoble, powiedzieć: „To ja”, a staruszek umarłby spokojnie.

– Skoro tak pani uważa.

Matilde uśmiechnęła się jak stara wiedźma.

Violeta jednak wróciła do swoich wątpliwości.

– Ale może przecież pamiętać jej oczy, dłonie, włosy...

– Jeśli ten człowiek cokolwiek pamięta, to ból. Czuję, że nie podoba ci się ten pomysł, panno Gadea, i ja sama nie jestem do końca przekonana. Ale to nie będzie trudne. Przez całe życie byłam Matilde, hiszpańską sprzątaczką w domach paniczów, która znalazła inną pracę, a teraz żyje z emerytury. Jestem nikim. Nie mam żadnej historii. Nikt nigdy nie zwrócił na mnie uwagi. W moim życiu nie wydarzyło się nic na tyle wyjątkowego, żeby narysować na ten temat choćby jeden obrazek. To nieprawda, że każde życie jest jak z filmu, nie-praw-da. Większość z nas to statyści na trzecim planie życia innych ludzi. W pozostałych rolach. Bez kwestii mówionych. Mercedes przynajmniej ma swój dramat. Ty też.

– Tilde, nie masz mi czego zazdrościć...

Matilde wymownie pokazała na brzuch Violety i przełknęła ślinę jak denaturat. Wolała nie odpowiadać, bo słowa mogły zapalić lont i wybuchłaby na kawałki. Zacisnęła zęby, a oczy jej zwilgotniały.

Nie uroniła ani jednej łzy. Stłumiła uczucia, a wieczorem rozsypała się na kawałki w swoim pokoju, jak zwykła robić już od dłuższego czasu. Weszła do sypialni i usiadła w fotelu z widokiem na dachy i fragment paryskiego nieba. Odetchnęła głęboko, bardzo głęboko, i sama nie wiedziała, czemu poczuła ulgę. Znała już wszystkie odpowiedzi.

Tak, chciałyby być matką, być kochana. „Nie zamykaj się na miłość, może przyjdzie” – mówili jej. Chciałyby mieć do kogo wzdychać, nawet jeśli czasem byłoby to raczej wściekłe sapanie, chciałyby zbierać wspomnienia, zdjęcia

z podróży, nazwać jakiś zapach czyimś imieniem, nie móc zasnąć przez całą noc w oczekiwaniu na świt, zostać porzucona, pisać liściki, dostawać kartki, tęsknić za nim, posyłać go do diabła, tyć, stroić się dla kogoś innego, nie tylko dla siebie, chciałyby znosić poranne mdłości, kupować dziecięce ubranka, spacerować po ulicach z wózkiem, uśmiechać się radośnie i odpowiadać: „Pięć miesięcy”, wybrać imię, czuć skurcze, cierpieć, rozedrzeć się na pół i rodzić jak suka.

Chciałyby to wszystko przeżyć.

Nigdy nie było jej to dane.

Kiedy przestała już płakać, obie dłonie miała wciśnięte w pachwiny, a nogi mokre od moczu. Kołysała poduszkę tak długo, aż w końcu usnęła.

– Takie jest życie – odparła Matilde.

– Słucham? – spytała Violeta, nie wierząc własnym uszom. – Nie masz pojęcia, co znaczy być w ciąży z kimś, kogo się nie kocha. Nie wiesz, jak to jest, kiedy rosnący brzuch przypomina ci bez przerwy o tym skurwysynu, który zniszczył ci życie. Facet zabawił się ze mną, sprawił, że poczułam się... Co ja mówię, „poczułam”, stałam się niepewna siebie. I z każdym kopnięciem, z każdym zawrotem głowy, za każdym razem, kiedy coś przeszkadza mi przekręcić się w łóżku na drugi bok, czuję, że to on zrobił mi ten bąbel, żeby mnie udupić. Wiesz? Zdziwiasz mnie. Kocham to dziecko i będę najlepszą matką na świecie, ale nie masz pojęcia... Nie masz najbledszego pojęcia, jak bardzo się boję. Także tego, że będzie do niego podobne.

Zapadła cisza. Ciężka, gęsta cisza.

– Violeto... Nie jestem tego świadoma. Ty też tego dobrze nie wiesz. Ale uwierz mi, chciałabym to zrozumieć.

– Jesteś niesprawiedliwa.

– Nie, Violeto... Pozwól, że coś ci powiem...

– Co?

Matilde spojrzała na nią poważnie i na chwilę zamilkła.

– Nic.

*

Dominique podszedł do przywiezionego z Annecy fotela z kwiecistym obiciem, z którym wiązało się tyle wspomnień. Usiadł, jakby nieobecny, i spojrzał na zdjęcie Julie.

– Pamiętasz mnie?

Jak młodo wyglądała i jak samotna jest fotografia zmarłej ukochanej osoby. To nie była już zresztą kobieta, którą Brulé zachował w pamięci, bo przez lata nakładamy na przeszłość kolejne warstwy lakieru, nieświadomie, niechcący. Życie przemalowuje wspomnienia i tam, pod grubym osadem czasu, leży prawdziwa pamięć. Ale do niej nie da się dotrzeć nawet z drapakami.

Dominique wpatrywał się w fotografię, próbując przywołać jakąś nową woń,

porozumiewawcze mrugnięcie albo wspólne wspomnienie. Blond włosy, potargane na karku i zebrane w kucyk, lśniły w ramce. Kochał ją. Tego jednego był niezmiennie pewien. Wiedział też, że lubiła bawić się włosami. Ale to tylko jedno wspomnienie, wryte przez ciągle powtarzanie w tym samym miejscu: fotelu w kwiaty. Nie czuł już tego, co wtedy. Gdy dotykał tych włosów, kiedy szli gdzieś razem i trzymał rękę na jej plecach. To inne uczucie niż puste wspomnienia, w które zmieniają się zdjęcia, płaskie, martwe kawałki papieru, niewywołujące większego poruszenia niż ponowny płacz za czasami, kiedy ból był jeszcze bólem, a nieobecność zapierała dech w piersiach. Teraz to tylko zdjęcie.

Przyglądali się sobie w milczeniu.

– Tak mało z nas zostało. Zostałem już tylko ja.

Julie patrzyła tym wzrokiem, co zwykle, z szelmowskim błyskiem w oku – reakcją na słowa Dominique’a: „Uwaga, robię ci zdjęcie, pięknie wyglądasz”. I nic się nie zmieniło: pozostawała bezdyskusyjnie piękna. Ale nie była już sobą. Nawet patrzenie na nią nie zapisywało się w pamięci. Któregoś dnia osłabnie, zblaknie i z czasem zniknie. Wiatr nie wiał tak, jak na tamtym klifie, gdzie zrobił zdjęcie, nie było widać dłoni poplamionych czekoladą schowaną za plecami, nie poruszał się nawet włos, nie pamiętał – o zgrozo – czy potem się pocałowali, kiedy poprosili jakiegoś turystę o zdjęcie i okazało się, że skończyła się klisza.

– Tamci „my” przeminęliśmy. Kiedy?

Kiedy Dominique’a przestało wzruszać zdjęcie? Którego dnia codzienny pocałunek składany na szkle przestał wynikać z potrzeby, a stał się zwykłym gestem, rytuałem, pantomimą? Kiedy ona przestała być sobą, a stała się zdjęciem w ramce?

Niech to szlag.

– Życie jest krótkie i paskudne – stwierdził. – Przyjęcie się skończyło i oto jestem. Nikt na mnie nie czeka. Bal trwa dalej. Życie toczy się dalej. A ty odeszłaś. To, co kiedyś pozbawiało tchu, stało się normalnym, czystym, świeżym powietrzem. Nie ma bólu. Tylko mgliste wspomnienie, które machinalnie zachowałem. Wiesz, czasem kładę się na drugiej połowie łóżka. Przywykłem już, że przez sen czuję pustkę po tobie. Rzuciłem whisky z ginger ale, polubiłem czerwone wino. Czasem przysiadam w kościołach (nadal jestem ateistą, ale robię to dla relaksu). Przeżyłem wiele lat i często słyszałem twoje imię u innych dziewczyn, ale teraz już mnie to tak nie szokuje. A kiedyś dźwięk słowa „Julie” mnie parzył. Minęło wiele wiosen, przekwitło wiele piwonii i teraz to już tylko kwiaty. Nie twoje kwiaty. Wiesz, wiele osób bardzo je lubi. Wszyscy kupują piwonie. Nie jesteśmy wyjątkowi. To właśnie najgorsze, że nie jesteśmy już wyjątkowi. A ja tkwię zamknięty tutaj, żeby życie nadal miało twój zapach, żeby cię zachować, jakoś zatrzymać. Ale bal trwa. Przyjęcie toczy się dalej dla wszystkich, bez ciebie, beze mnie, bez wspomnień. Teraz mogłaby zabrzmieć tamta piosenka Edith Piaf,

Non, je ne regrette rien, a ja wybuchnąłbym płaczem. Bo to byłoby kłamstwo. Wiesz, że mieszka teraz ze mną młoda dziewczyna? Że spodziewa się dziecka? Ma na imię Violeta i jest w ciąży. Pracuje u mnie, świetnie sobie radzi, kwiaty ją pokochały. Ja też.

Książki na stole, popielniczka w kwiaty lili, świece, porcelanowy anioł, szklany wazon, bryłka bursztynu. Dominique Brulé patrzy na stół i widzi, że wszystko to należy do niego, że stopniowo wymieniał przedmioty, że nie wiecieć kiedy te o kobiecym charakterze ginęły, zużywały się i psuły. Kłamstwa pamięci i plotki wspomnień też odchodzą.

Pozostaje zdjęcie Julie.

Dominique na nią patrzy.

Już od dawna Julie oznacza raczej zapomnienie niż pamiątkę.

– Wybaczysz mi, prawda?

Paulina słuchała go, niewidzialna, oparta o ścianę w przedpokoju. Przyglądała się szarym, niegdyś niebieskim oczom kwiaciarza. Zmęczonym. Ten widok sprawiał jej ból, ale też spodziewała się go. Któregoś dnia dziecko w nas odchodzi na zawsze. Chciała mu coś powiedzieć, jakoś pocieszyć, ale milczała. Życie wszystko układa po swojemu.

Ramka została ostrożnie owinięta w bibułkę, a następnie schowana pod poskładanymi prześcieradłami, razem z resztą zdjęć rozstawionych w salonie.

Poczuła przypływ wielkiej czułości i niepowstrzymaną chęć płaczu. Zrobiło się tu jakoś pusto.

Dominique nie płakał.

Kręcił się bez sensu po mieszkaniu w poszukiwaniu jakiegoś wspomnienia, które zastąpiłoby tamto martwe zdjęcie, aż zatrzymał się przy oknie. Zapatrzył się w przestrzeń, jak pies siedzący w obcej bramie, spokojnie, nie spodziewając się żadnej pieśczości. Oparł głowę o ścianę i patrzył na stado ptaków kreślących kręgi w powietrzu.

Stał tak przez dłuższy czas.

Prześcieradła, pod którymi pochował Julie, to inne z tych wspomnień, jakie zachowujemy w jakimś momencie życia „na później”: pościel prawie nieużywana przez jego matkę, z wyhaftowanymi przez babkę panińskimi inicjałami, od lat leżąca nietknięta na górnej półce szafy, porządnie złożona, odprasowana, nieskazitelna, ale obarczona brzemieniem życia, wonią starej, wyschniętej lawendy i kulek kamforowych.

Dominique przebiegł opuszkami palców po złożonych tkaninach, tak jakby przesuwiał dłonią po grzbietach książek i wiedział, że nigdy żadnej z nich nie przeczyta.

*

El olvido que seremos, czyli „Zapomnienie, którym będziemy”, to tytuł

książki Hectora Abada Faciolincego, której Dominique Brulé nie przeczytał. Cioteczne babki Mercedes wyemigrowały do Wenezueli na statku – podróż trwała miesiąc – i nigdy nie wróciły. Listy przychodziły coraz rzadziej, a w końcu słuch po nich zaginął. Violeta Gadea lubi świeczki o zapachu kwiatu pomarańczy, a także dotykać palcami rozgrzanego wosku. Étienne nosi parasol ojca z rączką z trzciny. Parasol należał jeszcze do dziadka i przecieka, bo jest płócienny. W sieci kin Odéon znów wyświetlają *Witaj, smutku* Ottona Premingera. Zostało tylko jedno wolne miejsce, między dwoma chłopakami, którzy tego wieczoru się w sobie zakochają, bo w ciemności pomylą kurtki. Rozwodnik wszedł do L'Étoile Manquante po kwiaty na pierwszą randkę. Wstydzi się. Życie toczy się dalej.

Mercedes się obraziła (i to bardzo), kiedy powiedziałam jej przez telefon, że święta spędzę poza Paryżem.

– Ale jak to, Tilde?

– Pojadę z Violetą do Madrytu. Rodzice nie wiedzą, że jest w ciąży, dziewczyna nie powinna jechać sama. Wyobraź sobie tylko: taka młoda, w ciąży, a do tego samotna...

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Ty zresztą też nie – rzuciła Mercedes cierpko.

– Tak czy inaczej, chcę jej pomóc.

– Przemyślałaś to?

– Wszystko zawsze rozważam.

– Poradzisz sobie, jesteś jak dynamit. Żebyś tylko nie wybuchła.

– Wolę wybuchnąć, niż zasnąć.

– A co z nami?

– To tylko święta, jak co roku. Obejdziemy je w styczniu i już. Daty naprawdę nie są takie istotne.

– Przypomnę ci te słowa w urodziny.

– Dobrze. Przypomnij.

– No dobrze, kiedy jedziecie?

– Jutro, już zaczęłam się pakować. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek używała tej torby podróżnej.

– Na pewno robisz dobrze. Nie wątpię w to. Ale nie mieszaj się do jej życia, ma rodziców, krewnych. W tak delikatnych kwestiach rady staruszki mogą być niebezpieczne.

– Dobrze się dogadujemy z Violetą.

– A odkąd to tak się przyjaźnicie? Nie jesteście rówieśniczkami, delikatnie mówiąc.

Złośliwa uwaga sugerowała zazdrość o nową przyjaciółkę, choć przecież obie mogłybyśmy być jej babciami. Skoro jednak łągałam od samego początku, i teraz gładko skłamałam:

– A co za różnica, od kiedy? Poprosiła mnie o pomoc. Czuje się winna. Myślę, że wszyscy czujemy się czegoś winni.

Odpłaciłam jej pięknym za nadobne.

– Niech będzie – mruknęła Mercedes. – Pojedź z nią, jak z córką czy wnuczką. Ale... Ta dziewczyna nie jest taka jak my. – Rozłączyła się.

Zrewanżowała się.

Mówiłam sobie, że nie mam powodu do poczucia winy. Czasem czujemy się winni z jakiegoś powodu, kiedy indziej – zupełnie bez przyczyny. Mnie najczęściej

dotyczy ten drugi przypadek.

Na tym etapie życia, gdy lat mam już więcej niż wspomnień, po co mam się tłumaczyć?

Ale kłamstwa to co innego. Lubię kłamać. A to kłamstwo jest wspaniałe.

– Jutro ruszamy.

To Violeta. Miała spakowaną walizkę, uraczyła też już Dominique'a kolejnym stekiem kłamstw. On ją zrozumiał, bo wiedział, że to jak z kwiatami – niektóre gatunki nie wytrzymują długo po ścięciu i w końcu duszą się w wazonie.

– Dobrze ci zrobi rozmowa z rodzicami – stwierdził pojednawczym tonem.

Przy kolacji Violeta próbowała z całych sił zachowywać pozory spokoju, a Dominique udawał radość. Rozmawiali o Bożym Narodzeniu, o dzieciństwie, o różnicach między Paryżem a Madrytem, o chlebie, o grzejnikach wystawianych do ogródków przed knajpkami, o dachach, o szkole, o nauczycielach, o filmach, które wpłynęły na ich życie...

Oboje unikali tematu ciąży.

A także miłości.

Brulé przeczuwał, że już nigdy nie zobaczy Violety, że to ich ostatnia wspólna kolacja.

– Pewnie stęskniłaś się za rodzicami.

– Nie, ale czuję, że powinnam jechać. Próbuję udawać dojrzałą, a ciągle jestem tylko dzieckiem, które bawi się w dorosłość. Umówiłam się z Silvią i Evą, ciągle miałam u nich jakieś rzeczy. Spotkałyśmy się na kawę w pięknym miejscu, Café Louis Philippe. Eva pracuje tam na zmywaku za marne grosze, Silvia pakuje zeszyty i prezenty dla dzieci w pobliskim sklepie. Są zarobione po łokcie. Wyrzucały mi, że od wszystkiego się odcięłam. Od nich też. Ale nie mam najmniejszej ochoty się z nimi spotykać. To źle? Taką podjęłam decyzję. Tak jak z powrotem do Madrytu... Zdaje się, że uciekam od wszystkiego, co ma związek z moim życiem. Czy raczej z moim drugim życiem. Moi rodzice są tacy sami... Masakra. Nie uśmiecha mi się spotkanie z nimi.

Mówiła prawdę.

– Ale to twoi rodzice. Ja na twoim miejscu chciałbym się z nimi spotkać.

– To dlatego, że ma pan dobre wspomnienia. Ja z wielu powodów czuję gorycz. A mój rodzinny dom nie przypomina zakończenia *Tego wspaniałego życia*. Wystarczy mi, jeśli obejdzie się bez krzyków i ograniczymy się do rozmów o pogodzie i o ozdobach choinkowych, które kupiła mama.

– Któregoś dnia zapragniesz naśladować ten film – powiedział Dominique łagodnie, acz stanowczo.

– Wiem, to musi być cudowne, ale nie mam takich doświadczeń. Proszę mi wierzyć, że nigdy jeszcze nie żyłam w takim spokoju, jakim cieszymy się we

dwoje.

– Ale ja nie jestem twoim ojcem.

Violeta z czułością spojrzała na Dominique'a – kochała go. To dzięki temu mężczyźnie miała wrażenie, że mimo wszystkiego, co złe, trwa nieustająca wiosna. Traktowała go właśnie jak ojca. Brulé spojrział na nią i zrozumiał, że myśli, które czasem bez jego woli przychodziły mu do głowy, to zwykłe miraże, kolce i chwasty wymagające przycięcia, zanim nadmiernie się rozrosną. Kimże był, żeby wyobrażać ją sobie w jakichkolwiek innych okolicznościach? Cisza. „Próbujesz okpić starość” – pomyślał.

– Tutaj czuję się szczęśliwa. Jestem szczęśliwa, panie Dominique'u.

Między wierszami wyczytał, że Violeta chciałaby mieć takiego ojca jak on.

– W takim razie, kiedy pozatwiasz już swoje sprawy w Madrycie, wprowadzimy tu pewne zmiany. Kwaciarnia czeka na twoje pomysły. Ja też. Coraz bardziej się starzeję i nie chcę, żeby przepadła.

– Chyba pan przesadza. Żadnych zmian.

– Jak to? Głośno się ich domaga.

– Proszę porozmawiać pod moją nieobecność z kwiatami. Sam pan się przekona, jakie są zadowolone. Tego miejsca nie należy zmieniać, im jest starsze, tym więcej w nim uroku. Styl retro jest w modzie, na czasie. L'Étoile Manquante jest idealna, nich pan ich zapyta.

– Czyli widziałś, jak rozmawiam z kwiatami... Szaleństwo, wiem. Robiłem tak od zawsze i po jakimś czasie zaczęło mi się wydawać, że bez tego ani rusz. Nie mów lepiej rodzicom, że zatrudnił cię czubek. Wariat.

– Wariactwem byłoby, gdyby pan przestał. Nie, nie. Kwiaty muszą nadal słyszeć pana głos. Na pana widok od razu się zmieniają. Zauważyłam to.

– Dobrze, w takim razie nadal będę sam do nich gadał. Chociaż obawiam się, że powoli zarażasz się ode mnie szaleństwem.

– Niech pan nie gada sam, tylko z nimi. A po powrocie będę robiła to samo.

– To nieuczciwa konkurencja.

Zaśmiali się.

Wznieśli toast wodą, ale nie stuknęli się kieliszkami (na wszelki wypadek).

W tamtej chwili Dominique Brulé z przykrością stwierdził, że też jest szczęśliwy. Uwielbiał Violetę, ale sprawiało mu to ból. Trudno zaakceptować pożądanie podeszłego wieku. Przyznał jednak w duchu, że rola „ojca” mogła okazać się równie piękna jak najwspanialsze z marzeń, jakie krążyły mu po głowie. Postanowił ponownie rozważyć każdą ewentualność. W tamtym pokoju, przy kolacji, poczuł, że życie dało mu jeszcze jedną szansę. Dziwną. Niecodzienną. Starszy pan znów poczuł się młody. A siedząca przed nim dziewczyna o fiołkowym imieniu patrzyła na niego jak na ojca. Nic takiego nie przyszłoby mu nawet do głowy jeszcze niedawno, kiedy jedyne fiołki, z jakimi miał do czynienia,

były bukietami zawiniętymi w celofan. Kolejny zakręt historii.

– No nic, pozdrów ode mnie rodzinę. Wstanę jutro wcześniej, żeby posprzątać w kwiaciarni. W najbliższych dniach spodziewam się sporego ruchu, będę miał pełne ręce roboty. Baw się dobrze w Madrycie. Uważaj na siebie. I opiekuj się Tilde.

Dominique nie chciał się żegnać, więc uciekł się do starego numeru: posprzątał ze stołu i powiedział, że jest już śpiący, jak każdego innego wieczoru. Spojrzał na kominek i zdał sobie sprawę, że jej brakuje, oparł się w miejscu, gdzie wcześniej stało zdjęcie, i zamknął oczy. W głębi duszy czuł, jakby usunął jakąś część siebie. Wymamrotał „dobranoc” i uśmiechnął się słabo w drodze do sypialni. Zrozumiał, że wspomnienia są nieprzewidywalne, pojawiają się zupełnie niespodziewanie i równie nagle znikają. Ta rozmowa musiała poczekać na kwiaty.

Piwonie wracają na wiosnę.

– Naprawdę prosił, żebyś się mną opiekowała? – przerwała jej Tilde, kiedy wsiadały do pociągu do Grenoble. – Pomóż mi. Co za tupet! Jakbym była jakąś zdementowaną staruszką.

– Tak powiedział. Żebym się tobą opiekowała. Więc zajmę się tobą jak własną...

– Jeśli powiesz „własną babcia”, przyłożę ci.

– Tilde! Dalej, daj mi walizkę, włożę ją na górę.

– A jak spadnie...

– Kiedy ostatnio podróżowałaś?

– Nie pamiętam.

– Tym lepiej. Dzięki temu możemy przez te cztery godziny podziwiać widoki i rozmawiać tylko na ten temat.

– O ile nie padnę jak mucha. Prawie nie spałam. Całą noc nie mogłam przestać myśleć o tej sprawie.

– O czym na przykład?

– O tych kilku rzeczach, które Mercedes mi o nim opowiedziała, żebym mogła ją udawać. Żeby nie zdradził mnie jakiś szczegół.

– Étienne mówił, że ojciec jest już w bardzo kiepskim stanie.

– Właśnie, Étienne. Pamiętaj, że musisz z nim porozmawiać. Mam nadzieję, że zgodzi się na nasz plan. Albo nic mu nie powiemy i porozmawiam z jego ojcem na osobności.

– Zobaczymy na miejscu.

– Trzeba będzie wcześniej to ustalić.

– Dobrze, ustalimy wcześniej. A teraz daj mi wreszcie zdjąć płaszcz, iść po wodę i spokojnie usiąść. Bołą mnie nogi.

– Wzięłam wodę. Mam butelkę w torebce.

– Ale Tilde...

– Nie ma o czym mówić. Jestem już stara. A w pociągach podobno słono sobie liczą za każdą głupotę.

– Dobrze, już dobrze.

Violeta wstała, powstrzymując się od śmiechu, a Tilde zmarszczyła czoło i chciała coś burknąć, ale się powstrzymała. Pasażerka z naprzeciwka zarumieniła się i pograżyła w lekturze magazynu o podróżach, ale po kilku minutach porzuciła go na rzecz powieści Modiana o jakimś niemożliwym tytule. Wkrótce usnęła z książką na kolanach. Od tamtej pory podróż upłynęła im na nieustających pogaduszkach.

„Ta błaha rozmowa miała wzmocnić naszą przyjaźń: gadanie o banałach, które nagle stają się ważne, komentowanie cech Mercedes, które czyniły ją wyjątkową i dziwną – to zazwyczaj znaczy to samo – próby rozgryzienia Dominique’a Brulégo i opowieści o Paryżu, jakiego ja nie znałam, a dla Tilde stanowił chleb powszedni”.

– Nawet nie zauważyłam maja sześćdziesiątego ósmego, byłam zbyt zajęta szorowaniem klatek schodowych i zmywaniem garów w kuchniach. Ale zabawa była przednia. Ulice tętniły życiem. Albo to my tętniliśmy życiem. Kiedy myślę o młodości, nigdy nie wiem, czy dobrze się bawiłam, bo zabawa była dobra, czy dobrze się bawiłam, bo byłam młoda. Jedno jest pewne: byłam biedna, a kiedy jesteś biedna, ulice należą do ciebie. To logiczne. Ludzie, u których sprzątałam, mieli samochód, który przewoził ich z miejsca na miejsce, ale ja musiałam schodzić Paryż na własnych nogach. To jasne więc, że Paryż stał się mój.

Fascynowała mnie rezydencja Luardów. Pociągały mnie zwłaszcza zegary. Mieli ich tyle, żeby zawsze mieć świadomość upływu czasu. Kiedy jest się bogatym, czas ma większą wartość. Biednym... Wystarczy, że mija.

W tamtym okresie najbardziej podobała mi się muzyka. Oszalałam na punkcie Françoise Hardy, i to poważnie. To dzięki jej piosenkom nauczyłam się francuskiego, bo chciałam wiedzieć, o czym śpiewa. Uczyłam się ich na pamięć. Nie potrafię pisać po francusku, robię straszne błędy, ale mówienie mi wystarczy... Więc mówię. Ale nawet nie pytaj, gdzie stawia się akcenty ani w którą stronę. Czasem, kiedy czytam gazetę, bo czytać potrafię, to mam wrażenie, że ktoś wysypał na stronę całą zawartość pieprzniczki. Niektóre słowa potrzebują tyłu ozdobników... Niektórzy ludzie też!

Nauczyłam się, śpiewając. Pani Luard miała wszystkie płyty Hardy. Najbardziej podobała mi się piosenka, którą śpiewałam zawsze, idąc ulicą.

Wszyscy chłopcy i dziewczyny w moim wieku

Spacerują po ulicy parami

Wszyscy chłopcy i dziewczyny w moim wieku

Dobrze wiedzą, co to znaczy szczęście,

I wpatrzeni w swoje oczy, trzymając się za ręce,

Odchodzą, zakochani, nie bojąc się jutra...

Lubiłam też Sylvie Vartan i France Gall. Ale sama chciałam być jak ta nieśmiała Françoise Hardy, tyle że ona miała zawsze gładkie włosy, a moim wystarczało kilka kropli deszczu, żeby zaczęły sterczeć na wszystkie strony. Była taka piękna. Nadal zresztą jest, ale wtedy... Świetnie ją pamiętam. Nawet jej zapach. *Parisienne* w każdym calu.

– Jak to?

– Państwo przyjaźnili się z Jakiem Dutronkiem, równie przystojnym aktorem, który dobrze dogadywał się z moją panią. Podczas jednego z przyjęć usłyszałam z salonu piosenkę, choć nie grała muzyka. To ona śpiewała. Nie mogłam uwierzyć. Ona! Na żywo, nie z płyty! Podbiegłam korytarzem pod same drzwi, ale bałam się wejść do środka, bo nie wiedziałam, jak się zachowam. Obawiałam się o tacę pełną filiżanek z Limoges, więc ścisnęłam ją mocno obiema rękami, żeby uspokoić drżenie, i łokciem uchyliłam drzwi. Weszłam do środka. W zadymionym pomieszczeniu nikt nie zwrócił uwagi na moje łyzy. A tam, pomiędzy fotelami, była ona, moja tajemnicza „nauczycielka z piosenek”. Śpiewała, siedząc na kolanach tego Dutronca, który przytulał się do jej pleców.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie mogłam się do niej odezwać. Byłam przecież służącą. Niemą hiszpańską służącą.

– Szkoda.

– Niekoniecznie. Na przyjęcia zatrudniano więcej służby, ale że madame Luard mnie lubiła, podeszłam bliżej, zostawiłam tacę na stole i wymieniłam popielniczki na puste. Chciałam tylko ją zobaczyć. Miała takie lśniące, gładkie włosy... Kiedy się odwróciłam, poruszyły się jak zwiewne muślinowe firanki.

– Byli tam też inni.

– Pewnie, to było przyjęcie.

– Mam na myśli innych sławnych ludzi.

– Dla mnie liczyła się tylko piosenkarka, bo swoimi tekstami nauczyła mnie francuskiego. Znałam je wszystkie na pamięć. Do dziś je pamiętam. Czasem nucę sobie sama w domu. Nie, to nieprawda, śpiewam na cały głos i wyobrażam sobie, że jestem nią. Ale faktycznie, był tam też Paco Rabanne. Hiszpan, tak jak ja. Ale nie odezwałam się do niego.

– Zazdroszczę. Wyobrażam to sobie.

– I ja.

– A... Jacques Dutronc?

– Nie przypadł mi do gustu, sprawiał wrażenie bufona. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, a ja tego nie znoszę, bo odbijam się w szklach i zawsze mam wrażenie, że rozmawiam sama ze sobą. To jak rozmowa z pralką. Ale każdego ranka po przebudzeniu przypomina mi się jego piosenka: „Jest piąta nad ranem,

Paryż się budzi”.

– Cierpisz na bezsenność?

– Cierpię na starość. W tym wieku śpi się krócej.

Matilde zapatrzyła się na widok za oknem, zatopiona we własnych myślach, a ja udawałam, że śpię. W moich wspomnieniach roiło się od lęków. Po dziurki w nosie miałam złych rzeczy. Ciężą mi pocałunki, które niosę ze sobą. Te, których nie niosę, też. Boję się igieł. Nienawidzę ich. Ostatnio pobierali mi krew, dużo, pięć fiolek. Aż tyle? Mam zawroty głowy. Co za szkoda, że nie jestem już dzieckiem. Miałam pluszowego misia, zgubiłam go, a chętnie bym go teraz przytuliła. Jakiś mężczyzna przechodził między fotelami, musnął mnie płaszczem i poczułam specyficzny zapach. Odległy. Ubrania ojca z szorstkiego materiału. Jego broda. Dziewczynka, którą byłam, pozostaje nietknięta. Chciałabym tę metalową lampkę, pod którą pisałam listy miłosne. Bolą mnie nogi. Mój brzuch nie należy już do mnie. Jakie będziesz? Ta podróż pociągiem to jakiś absurd.

Między fotelami znów przeszedł mężczyzna w płaszczu.

Pachnie.

Co rano po przebudzeniu otwieram po kolei wszystkie okna w domu, bo drażnią mnie zapachy. Nawet wspomnienie woni oddechu ukochanych osób budzi we mnie głęboką odrazę. Wczoraj poszłam do lekarza i się rozplakałam. Prawdę mówiąc, płakałam też przedwczoraj, bo usłyszałam, jak jakaś para rozmawiała: „O, to dobre kwiaty na ślub”. Sama nie wiedziałam, dlaczego płaczę. Zdaje mi się zresztą, że w środku płaczę przez cały czas. „Jesteś w ciąży – powinniście powiedzieć – rozwijające się w tobie życie czuje wszystko to, co ty”. Zamknijcie się wszyscy, na miłość boską, to mi nie pomaga.

Zawsze tracimy tych, których najbardziej kochamy.

Pamiętam, jak oglądałam kiedyś film o prostytutkach, *Księżniczki*, i kiedy usłyszałam coś w rodzaju: „Najbardziej boję się, że życie po śmierci okaże się takie samo jak to”, wybuchnęłam płaczem, tak jak siedziałam, przed ekranem, bo poczułam, że wreszcie ktoś mnie rozumie.

Ktoś, kto nas rozumie, to zawsze jakieś miejsce.

Zaledwie za kilka miesięcy – lekarze operują tygodniami – będę musiała o ciebie zawalczyć. Zaledwie dni dzielą mnie od chwili, w której będę musiała udowodnić zupełnie nieznanemu osobie, że jestem dobrą matką. Że mogę nią być. Żaden dzień nie ma wystarczająco wielu godzin, żeby wypłakać cały ten strach.

Przekłete hormony w płynie.

W książce, którą czytam, jest napisane, że nie należy żyć przeszłością. Pewnie, tak jakby nie tkwiło to w naszych kościach. Jakbyśmy, patrząc w lustro, nie widzieli wszystkich starych blizn.

Boję się nawet ciebie, maluszku.

A jednocześnie tak bardzo cię kocham. To przedziwne.

Lekarze mówią, że masz już linie papilarne i malutkie serduszko bijące moim rytmem. Ze mną. Dwa serca. Jak mój organizm ma nie zwariować, skoro musi stworzyć drugie ciało? To niby naturalny proces, ale tak naprawdę – magia. Jesteś magią.

Czuję kopnięcie.

Pejzaż przesuwa się za oknem.

Tilde nuci:

To czas miłości.

Czas kolegów i przygody.

Kiedy czas przychodzi i odchodzi,

Nie myślimy o niczym, mimo swoich ran...

*

Uśmiechnij się. Lada chwila wybuchniesz płaczem.

*

Podczas gdy zapisuję myśli Violety – tak naprawdę powinienem powiedzieć raczej, że jej słucham – widzę podobną do niej dziewczynę. Na jej twarzy też maluje się lęk, ale pokrywa go wymuszonym uśmiechem, dotyka brzucha i udaje, że czyta książkę. Siedzę w kawiarni, do której Matilde chodziła w dzieciństwie z rodzicami. To Śnieżka przy ulicy Jerónimo de la Quintana w Madrycie. Tutaj piszę, przy hałaśliwych dźwiękach ekspresu do kawy i zapachu duszonych ziemniaków serwowanych z piwem wszystkim zmarzniętym klientom. Mam przed oczami wszystko, co się dzieje, i skupiam uwagę na rzeczach dziewczyny: walizce i płaszczu przewieszonym przez oparcie innego krzesła.

Jak się nazywa? Możliwe, że skądś uciekła. Albo jest zmęczona. Przyjaciółka przynosi im dwie kawy z mlekiem i chciałbym, żeby ekspres wreszcie ucichł i pozwolił mi je podsłuchać. Patrzę jednak tylko, jak wypłakuje się koleżance. „Opiekuj się nią” – myślę.

To inna historia.

Każdy z nas ma swoją historię.

Ty też, czytelniku.

Pamiętasz jeszcze tamtą kawiarnię, Manilę w budynku Carrión, gdzie czarujący kelner najpierw prawil ci mnóstwo komplementów, a w końcu nie kazał płacić, droga Matilde? Taka byłaś wtedy nieśmiała. Zjadłaś kolację z koleżankami, ale nie skończyłaś biszkoptu nasączonego alkoholem, bo bałaś się wyjść na żarłoka. Grupa chłopaków w waszym wieku też ciągle na was spoglądała. Uchylali kapelusza i obracali się na stołkach, jakby siedzieli na karuzeli. Wtedy rzuciłaś na podłogę serwetnik, stworzyłaś cały dramat serwetek i wykałaczek ze zwykłego wstydu. Myślałaś, że gdyby przyszło co do czego, nie zdołałabyś pocałować żadnego z nich. Nieśmiałość zatrzała ci życie, tak jak innym zatrzuwają je lęki. Byłaś zahukaną, niepewną siebie dziewczyną. Gdybyś teraz znalazła się

w takiej sytuacji... Przerobiłabyś te serwetki na konfetti, prawda?

Dawno już nie odwiedzałaś Hiszpanii, nie istnieje już Manila, w tym miejscu znajduje się sklep z ubraniami. Ale Śnieżka – owszem.

Biały pejzaż widoczny z okna pociągu wiozącego je do Grenoble przenosi cię w czasy dzieciństwa i nie chcesz otwierać oczu. Teraz to Violeta śpi.

Kawiarnia Śnieżka. Zobaczyłaś szyld i poprosiłaś rodziców, żebyście weszli. Wyobrażałaś sobie miejsce jak z bajki, z księżniczką spowitą tiulem. Jednak nic z tego. Woń frytek stanowiła niezłą metaforę tego, co działo się w kraju. Mama zdjęła ci płaszcz i szalik, żeby uchronić je przed plamami i zapachem tłuszczu. Tata znalazł miejsce przy barze w kształcie łodzi, dokładnie tyle, żeby jedna osoba mogła się oprzeć i stopniowo przepychać dalej. Mama obawiała się, że tata zamówi za dużo *tapas* i potem nie zje obiadu, który przygotowała. Czasem tak się zdarzało. Kiedy już tam się dopcha, będzie miał małe pole manewru.

Tata zamówił piwo, a dla mamy bitter – napój o barwie truskawek, ale gorzki jak tonik. Jedno z tych oszustw życia.

– Hej, malutka, a ty co byś chciała?

– Poznać panią Śnieżkę.

– Nie mieszka tutaj.

– A gdzie?

– W górach – odparł kelner małej Matilde.

– Nie wierzę panu.

– Jak tam sobie chcesz, ale to prawda. Matka Boska Śnieżna jest w jakiejś wiosce w León, nie tutaj.

Droga do domu nie przebiegła dokładnie tak, jak wyobrażała sobie mama. Upartej Tilde musiała w końcu obiecać, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, to któregoś dnia pojedą odwiedzić „śnieżną księżniczkę”, jak od tej pory nazywała ją mała. Tata szedł za nimi, z rękami założonymi z tyłu – tak chodzili wówczas niemal wszyscy mężczyźni – a one dyskutowały o tym, jak będzie wyglądać biała sukienka z tiulu i muślinu.

Mama uświadomiła sobie, że jej córka ma bardzo bujną wyobraźnię, zbyt bujną jak na ówczesny Madryt, gdzie istniały niewielkie szanse na podróż dalszą niż tramwajem do pętli. „Morze wygląda jak zalew w parku Retiro, tylko jest dużo większe” – opowiadała mama wieczorami.

– Ale o ile większe?

– Dużo większe. O tyle, o ile możesz sobie wyobrazić.

Błąd. W wyobraźni Tilde mieściły się hektolitry marzeń. A w miarę jak rosła, możliwości malały.

Stało się jasne, że nie ma sensu za wiele fantazjować, życie jest na pierwszym miejscu.

A w tym życiu zachodzili od czasu do czasu do kawiarni Śnieżka, żeby

sprawdzić, czy nie pojawiła się jej księżniczka. W niektóre niedziele. Czasem też, jeśli tata nie musiał pracować, także w tygodniu, choć wtedy witali się tylko ze stałymi bywalcami.

Wtedy to się stało.

– Pani musi być tą słynną małą Matilde – powiedziała pewnego dnia gruba kucharka, dotychczas zawsze schowana za kuchenką. Przysiadła się do stołu, przy którym siedzieli ojciec z córką.

– Tak – odparła nieśmiało Tilde.

– Słyszałam, że często tu przychodzisz. Jak to możliwe, że się jeszcze nie spotkałyśmy? Taka jesteś ładna! Muszę poznać taką dziewczynkę. Ile masz lat?

Obdarzyła dziewczynkę szczerym, szerokim uśmiechem. Tilde uznała, że to właśnie ta kobieta, pulchna i pyzata, ubrana w nieskazitelnie czysty biały fartuch, musi być Śnieżną Panią. Nie zdołała wykrztusić ani słowa. Fantazji budowanej od wielu tygodni nie zaszкодziła rzeczywistość. To, co idealizowała na rysunkach i wchodząc przez drzwi kawiarni, okazało się jeszcze lepsze. Wyglądało na to, że Matilde nie będzie należała do najbardziej wyrafinowanych osób na świecie. Wystarczył jej blask bielutkiej szaty sięgającej kostek, para miękkich dłoni ujmujących jej twarz i miły, spokojny, ciepły uśmiech, by uwierzyła, że to właśnie ta kobieta jest śnieżną damą.

– Nie mogę wyrzucić tej piosenki z głowy.

Violeta obudziła się, kiedy pociąg stanął na stacji.

– Której?

Matilde z uśmiechem wyjrzała na zewnątrz. Cały pejzaż pokryty był śniegiem.

Piszę to wszystko z lekkim drżeniem. Zastanawiam się, Paulino, czy moje opowieści cię w ogóle interesują. Czy robię to dobrze.

*

Spacerowaliśmy z Mercedes wzdłuż wysokiego ogrodzenia Ogrodów Luksemburskich. W milczeniu szliśmy chodnikiem. Sprawiała wrażenie niespokojnej, wciąż rozglądała się na boki.

– Co się dzieje, Mercedes?

– Nic, panie Brulé. Nic. To pewnie to zimno.

Znałem ją aż za dobrze. Była jedną z najlepszych klientek mojej kwaciarni, a wraz z przyjaciółką stały się dla mnie z czasem jak rodzina, którą się odwiedza, troszczy się o nią, podtrzymuje się więzi i nie zadaje pytań.

Nieraz rozmawialiśmy o tym, jak samotni czujemy się na starość. „Lata mijają, ale niech mijają, niech płyną” – mawiała Tilde. A my się śmialiśmy, bo miała rację. „Niech mijają”. „Lepiej sami niż w złym towarzystwie”. „Dojrzałość jest dobra, młodość przemija”.

Jednak cisza ciążyła nam szczególnie wtedy, kiedy czas bez ostrzeżenia

dawał się fizycznie odczuć. Pustynia, jaką pozostawia po sobie starość, zdaje się niebezpiecznie przybliżać, i może dlatego szliśmy powoli, ze strachu przed spotkaniem.

– Uwaga!

Zachybotła się metalowa kratka pod jednym z drzew i Mercedes prawie runęła na ziemię. Chwyciła mnie za ramię i oboje się zachwialiśmy.

– Przeklęty ratusz. Mniej reklam, więcej bezpieczeństwa.

Zawołała to głośno, żeby wszyscy usłyszeli i żeby nie dać po sobie poznać ani grama słabości czy nieporadności. I rzeczywiście, jacyś młodzi ludzie, którzy szybko przebiegli przez ulicę, żeby zobaczyć, co się stało, teraz z uśmiechem bili jej brawo i pytali, czy czegoś nam trzeba.

– Ma pani zupełną rację.

– Pewnie, że mam rację. Trzeba się więcej skarżyć. Ale to wy powinniście się buntować. Ja już jestem za stara. Chciałabym, żeby choćby dziś powtórzył się maj sześćdziesiątego ósmego. Brakuje głosów, a okrzyków jest w nadmiarze. Wtedy chwytałyśmy za kostki brukowe, dziś chwytaacie najwyżej za telefony.

Mercedes robiła furorę.

Nigdy nie widzieliśmy swoich zdjęć z młodości, ale domyślaliśmy się siebie wzajemnie pomiędzy zmarszczkami.

– Słusznie pani mówi – powtórzyli.

Wiedziałem, że nie narzeka tak naprawdę na politykę, że mówi o sobie. Skarga wydobyła się z jej wnętrza niczym pomruk. „Starczy już tych ozdób i pacykowania, pora się zająć realnymi problemami pieszych”. Jak zaimprovizowany mityng pod sztachetami parku.

Zawsze narzeka się najbardziej, kiedy nie potrafi się zneutralizować bólu. W tym przypadku nie wiem, czy biadolila nad upływem czasu, nad własnym lękiem czy nad wszystkim naraz.

Mercedes mocniej złapała mnie za ramię, żeby poprawić but i ruszyć w dalszą drogę. Para pożegnała się z nami uprzejmie i jedno powiedziało do drugiego:

– Chciałabym, żebyśmy na starość byli tacy jak oni.

Usłyszałem te słowa.

Mercedes też je usłyszała.

Ale mnie się to spodobało.

A jej:

– Już w porządku – powiedziała i puściła moją rękę. – To zwykłe potknięcie, nie potrzebuję karetki ani psa przewodnika.

– No dalej, złap się mnie z powrotem. Nie ma co unosić się honorem – powiedziałem.

Posłuchała. Głośno przełknęła ślinę, ale wsunęła rękę pod moje ramię.

Potem długo jeszcze przechadzaliśmy się z Mercedes pod ramię. Pozwalała się prowadzić i jeśli miałem jakieś ukryte zamiary, chciałem, żeby tak zostało. Spacer upływał nam miło, Mercedes wciąż prawiała mi komplementy. Wstąpiliśmy do kawiarni, gdzie zajęliśmy stolik koło grzejnika, potem do następnej, w pobliżu Saint-Sulpice – tym razem zamówiliśmy już po bezkofeinowej – i szliśmy dalej. Nie przywykłem do takiej czułości z jej strony. W przeciwieństwie do Tilde miała w sobie jakąś paraliżującą dumę, która nie pozwalała jej na codzienną serdeczność w stosunku do otoczenia. Może wynikało to z jakichś lęków – jak zwykle, jak u każdego. Tym razem jednak słabość ją odmieniła. Kiedy więc oznajmiła, że podoba jej się współczesna muzyka, poczułem się w obowiązku skłamać. Powiedziałem, że ja też uwielbiam Zaz i Calogero, o których wspomniała. A zamiast przyznać, że nie mam pojęcia, kim jest Yael Naïm – chciała jej posłuchać, żeby poznać jej muzykę – odparłem: „Coś mi świta... Chciałbym też posłuchać syna Dassina”. Mercedes powiedziała, że syn Joego ulepszył klasyczne utwory – miała już dość staroci.

Tak to już jest z muzyką.

Tamtego wieczoru nie chciałem jednak zadawać sobie pytania o przyczyny sympatycznej pogawędki między dwójką starych znajomych.

Cieszyłem się większą niż zwykle bliskością. Jestem też przekonany, że ona potrzebowała poczuć się... Napisałbym „bezpiecznie”, ale sam nie wiem.

Możesz to napisać, narratorze, jestem tego pewien. Nawet dziś. Mercedes czuła się bezpiecznie i sprawiało jej to przyjemność.

– Która to już godzina? Zupełnie straciłam poczucie czasu.

Uśmiechnąłem się.

– Chciałem właśnie zaproponować...

– Tak?

– Skoro nasza „rodzinka” pojechała do Madrytu i pewnie nie masz z kim spędzić Bożego Narodzenia...

– Zawsze jem wieczerzę z Tilde. To jedyny dzień w roku, kiedy razem siadamy do kolacji. Dzięki temu się nie kłócimy. W tym roku będzie dziwnie.

– No właśnie, więc... Proponuję, żebyśmy razem spędzili święta.

– Oj, nie, nie!

– Jak to nie? Skoro będzie dziwnie, jak sama powiedziałaś, to lepiej, żeby było nam dziwnie we dwoje.

– No dobrze, zobaczymy.

Szli razem bulwarem w stronę rue Bonaparte, kierując się pod numer 14 przy rue Visconti. Ona milczała, a on nie odważył się zakłócić jej spokoju, wyrwać z rozmyślań. Potem, niezwykle delikatnie, Dominique poprosił, żeby przemyślała jego propozycję. Potrzebowali w tych dniach *entente cordiale*, a jak lepiej to osiągnąć, niż ustawiając dwa nakrycia, dwa kieliszki i butelkę wina pod tą samą

lampą? Zjeść świąteczne dania, wygrzebać skądś ozdoby, puścić w tle kolędy. Porozmawiać. Albo po prostu być.

W milczeniu dotarli pod bramę Mercedes, charakterystyczne wrota w odcieniu błękitu pruskiego.

– Do jutra, Dominique’u.

Został tam jeszcze przez kilka minut i wspominał pierwszy raz, kiedy wchodził przez bramę do domu jakiejś dziewczyny.

Violeta zerknęła na zegarek – zbliżały się już do Grenoble. Przespała praktycznie całą podróż. Zdrętwiały jej nogi i plecy, więc wstanie i zdjęcie walizki z półki zdało jej się nadludzkim wysiłkiem.

Wtedy jej uwagę zwrócił mężczyzna z wąsami. Nie mogła go widzieć nigdy wcześniej, bo na pewno zapamiętałaby tak karykaturalne rysy twarzy. Zręcznie i ostrożnie, jakby był z innej epoki, przemieszczał się w stronę półek na duże bagaże, w płaszczu i z długim parasolem, którym zaczepił o torbę Tilde.

– Pani tutaj?

Matilde podskoczyła, jakby napadło ją dwóch zbirów, i odwróciła się w stronę lalusia (jak go potem nazwała).

– Co za niespodzianka.

– Nie spodziewałem się, że weźmie sobie pani do serca moją radę i rzeczywiście wybierze się do Grenoble. I to tak szybko! Choć mówiłem przecież, że lepiej odwiedzić nas wiosną.

– Jestem fanką zimy. Uwielbiam mrozy.

Jego delikatny, elegancki głos budził zaufanie. Wyraźnie czerpał satysfakcję z faktu, że wyróżnia się wykwintnymi manierami.

Tilde patrzyła na niego z rezerwą.

Przez cały ten czas Violeta nie odezwała się ani słowem. Uznała, że pewnie znajdują się z Paryża albo że Tilde również ukrywała w szafie jakieś trupy, które teraz znienacka ożyły na koniec ich podróży.

Wąsaty elegancik pomógł im z walizkami. Przed pożegnaniem, okraszonym licznymi komplementami, zapisał im na serwetce adres i numer telefonu do pracy.

– Proszę się ze mną skontaktować. Grenoble to mój dom.

– Chętnie. Jak się pan nazywa?

– Jérôme.

– Przedstawiam panu Violetę. Ja mam na imię Matilde. Miło nam pana poznać i dziękujemy za pomoc.

– To pani córka?

– Nie, wnuczka. Ale dziękuję.

– W takim razie mam nadzieję, że do szybkiego zobaczenia.

Sprawił wrażenie poważnego i bardzo formalnego. Jego pomoc mogła się jeszcze przydać.

– Dobra jesteś, Tilde. Nieźle z nim flirtowałaś. Kto to?

– Gregory Peck. Poznałam go przypadkiem w księgarni, do której ucieka Mercedes.

– Shakespeare.

– Tak. Ale wcale nie flirtowałam. Byłam po prostu uprzejma.

– Już to widzę. Spryciara z ciebie. Ledwie dojechałyśmy do Grenoble, a już masz w kieszeni adres i telefon faceta.

– Na litość boską, Violeto, co ty wygadujesz?

– To, co widzę.

– Przecież to lalusz.

– A mimo to poprawiłaś płaszcz, kiedy schodziłyśmy na peron. I ciągle na niego zerkałaś.

– Pilnowałam, żeby nas nie okradł i nie uciekł z bagażami. Co byśmy zrobiły, staruszka i ciężarna, gdyby obrabowali nas jeszcze na dworcu?

– Jasne.

– Idziemy, Violeto, idziemy. I przestań fantazjować.

Spojrzenie Étienne’a, stojącego przed wyjściem z dworca, spoczęło na niej dokładnie w chwili, w której pojawiła się z walizką u boku Tilde. Nie oderwał od niej wzroku aż do momentu, kiedy przeszedł przez ulicę i się objęli. Przypominało to składanie kondolencji.

Nie mów tak, narratorze. To nie żadne kondolencje. To uścisk. A jeśli nie jest się akurat w tej przestrzeni, jaka tworzy się między dwoma sercami, nie można poznać wymowy uścisku. Przede wszystkim dlatego, że dwa organy mogą bić tym samym rytmem tylko wtedy, kiedy ich właściciele się obejmują.

Tilde od razu zauważyła, że uścisk trwał za długo.

– Niepotrzebnie tu przyjechałam... – powiedziała, idąc za parą. – Ależ tu zimno! Psiakrew. Chyba będę musiała włożyć drugi sweter. Zamarzam, a nogi mam ciągle zdrętwiałe po podróży. – Violeta i Étienne nie odpowiedzieli, pewnie w ogóle jej nie słuchali. Tilde ciągnęła: – Najpierw powinnyśmy pójść do hostelu. Jestem zmęczona. Ubiorę się porządnie i natrę kolana spirytusem. Strasznie dają mi się we znaki. A do tego ten ziąb... Prawdę mówili. Zawsze tu tak jest?

– Przepraszam?

– Zawsze tu tak zimno?

– Tak.

– Przeprosiny przyjęte.

– Pewnie jest pani bardzo zmęczona po podróży.

– Cóż, pociąg z Paryża nie należy do najszybszych, ale spokojnie, całą drogę siedziałyśmy.

– Étienne, jeśli nie masz nic przeciwko – powiedziała Violeta – pójdziemy najpierw do hostelu. Zameldujemy się, przebierzemy i już.

Tilde zatrzymała się gwałtownie. Zmienił jej się ton głosu, nawet zachowanie. Spojrzała na chłopaka i złapała go za ramię. Nie przygotowała żadnej przemowy, nie wiedziała nawet, jak zacząć. Postanowiła zagrać kartą staruszki, żeby kupić trochę czasu do namysłu nad wymówką. Nie znosiła lania wody, owijania w bawełnę i dobierania odpowiednich słów. Przyjechały z Paryża, była

wykończona i najchętniej ograniczyłaby się do kilku krótkich słów. Wystarczyłoby powiedzieć: „Mamy wiadomość dla twojego ojca”. Jednak czasem, kiedy chcemy coś powiedzieć, mówimy coś zupełnie innego. Tilde bardzo przekonująco złapała się za serce, jakby miała uczynić jakieś dramatyczne wyznanie.

– Jak widzisz, Mercedes z nami nie przyjechała.

– Dlaczego? Nie uspokajajcie mnie – powiedział. – Chcę poznać prawdziwą odpowiedź.

– Nie chce. Kropka. Nie zachodź w głowę. Tak jest i już.

Étienne nie zdołał nic już dodać.

Violeta złapała go za rękę.

Choć kiedy wyszły z budynku dworca, spodziewał się zobaczyć Mercedes, to nie odrywał wzroku od Violety. Tilde poprosiła go, żeby pomógł im z walizką, żeby nieco uspokoić tę mieszaninę zawodu i wzruszenia. Dobrze wiedziała, że wystarczy sprawić, żeby młody chłopak poczuł się potrzebny staruszce, a wszelkie troski miną bez śladu. Jak wtedy, kiedy boli nas ząb, więc postanawiamy przyciąć sobie palec. Mniej więcej.

– Jak jego zdrowie? – zapytała.

– Bez zmian.

– Ech. Pomodłę się za niego.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, ma się nie najgorzej. Narządy powoli odmawiają mu posłuszeństwa, ale ciągle działają. Ostrzegali nas, że to może trochę potrwać. Stracił już jednak zdolność poruszania się, leży w łóżku. Miewa też zaniki pamięci, ale wszystkich rozpoznaje.

– A pyta o nią?

– Masz na myśli Mercedes? Owszem – odparł Étienne. – Za każdym razem, kiedy do niego wchodzi.

– Jeśli to nie kłopot, chciałabym o niej porozmawiać.

– Żaden kłopot – odparł.

– Dobrze, w takim razie potem pogadamy.

Poklepała chłopaka po głowie jak daleka krewna i uścisnęła mu dłoń, a Violeta go pocałowała.

Kiedy już zakwaterowały się w hostelu, Étienne przyszedł po nie do recepcji, żeby mogli razem pójść do niego. Dom musiał kiedyś być komfortowym, może nawet nieco luksusowym budynkiem. Wrażenie robiły lustra przy wejściu, kominek zastawiony porcelanowymi figurkami, obraz wyglądający na cenny ze względu na ramę, w którą był oprawiony, i dwa żyrandole – choć wyłączone, odbijały się w ścianach błyszczącymi iskierkami. Potem zwracały uwagę szczegóły: mahoniowe meble z marmurowym blatem zastawionym ramkami na zdjęcia, szkatułki z drewna i masy perłowej, figurki wieśniaków zastygłych w bezruchu – wszystko, co najwyraźniej przekazywano z pokolenia na pokolenie,

a co tak podobało się Matilde. „Gdyby tylko Mercedes to widziała” – pomyślała. W powietrzu unosiła się woń talku i kwiatów.

Usłyszały głos Étienne’a – „Chodźcie za mną” – i poszły krótkim, szerokim korytarzem, obok drewnianej wyściełanej kanapy, na której poduszki ułożono równiutko jak karty w talii.

Na jego twarzy malowało się znużenie i wyczerpanie. Świadomość zbliżającej się śmierci gospodarza to nic przyjemnego dla gości. Tilde jednak, jak zwykle gotowa uratować każdą sytuację, obdarowała go czułą pieśczołą kobiety niosącej ukojenie za pomocą gestów i nielicznych słów. Poprawiające nastrój wyrozumiałe spojrzenie, głowa lekko przekrzywiona na bok, dłoń delikatnie zaciśnięta na dłoni i komplementy chwalaące syna pomagającego ojcu – odpowiednio podane – mają magiczną moc. W obliczu bólu i pożegnania Étienne nie mógł przestać myśleć o człowieku, który na łożu śmierci czekał na inną, na Mercedes. Jak Tilde udało się to osiągnąć? Tego nie wie nawet narrator. Ale ona urodziła się po to, by być mirażem życia innych ludzi. Violeta zauważyła pewną zmianę w zachowaniu starszej przyjaciółki. Przesadną słodycz, poufałość w stosunku do chłopaka, sposób, w jaki łąpała go za rękę i mówiła coś, czego nie dało się dosłyszeć. Pomyślała, że nie przyjechała tam z Matilde, ale z hipnotyzerką, również ubraną na czarno, tyle że z kołnierzykiem. Coś się w niej zmieniło. Nie widziała więc innego wyjścia, jak pozwolić jej robić swoje. A nawet lepiej: mówić swoje.

Étienne powiedział prawie niedosłyszalnie:

– Ojciec dał mi ten list dla Mercedes. Chciałbym, żebyście go jej przekazały. Tak czy inaczej dziękuję wam za przyjazd. I za okazane mi ciepło.

– Daj mi go – powiedziała Tilde, chwyciła kopertę i schowała ją do torebki.
– Przekażę jej. Możesz być spokojny.

– Porozmawiasz z nim?

– Tak, chciałabym zostać sama. Wiem, że może wam się to wydać dziwne, ale chciałabym, żeby słowa Mercedes pozostały między nami. Ja jestem tylko jej posłańcem.

– Ale...

– Nie martw się. To tylko ładne słowa. – Tilde przemierzyła salon, odwróciła się i zapytała: – Gdzie jest łazienka? Już wcześniej miałam pójść.

– Drugie drzwi po prawej. Pójdę z tobą.

Nie miała siły kłamać. Usiadła na brzegu wanny. Wspominała wieczory z dzieciństwa, filmy puszczane w Wielkim Tygodniu i kota, który nie zwracał na nią uwagi. Wszystko nakładało się na siebie i plątało jej w głowie. Siedziała tak z torebką na kolanach, aż w końcu postanowiła otworzyć list adresowany do przyjaciółki.

Kochana Mercedes!

W chwili, kiedy czytasz te słowa, ja leżę już martwy w pewnym pokoju w Grenoble. Tutaj mieszkałem i żyłem bez Ciebie. Teraz chcę tylko się pożegnać i raz jeszcze prosić o wybaczenie. Dużo czasu zajęłoby mi opowieść o wszystkim, co przeżyłem, wszystkim, co – jak sądzę – z własnej winy straciłem, a nie chcę Cię zanudzać. Jeśli chodzi o mojego syna, to wspaniały człowiek. Chciałbym, żebyś go poznała. Poprosiłem go, Étienne'a Martina (nie chciałem dawać mu swojego nazwiska, żeby nie obarczać go moim losem), żeby spróbował Cię poznać. Życie zajmie się resztą. A śmierć zakończy tę sprawę.

Całuję. Oscar.

Jak śpiewali w tej piosence, do której tańczyliśmy w młodości: „Cisza zapadła tam, gdzie kiedyś była miłość. Takiego wzroku w twych oczach wcześniej nie było. Gdybym znalazł właściwe słowa, może byś została, lecz kiedy chciałem przemówić, muzyka zagrała... Musiałem zapłacić wysoką cenę, bo zamiast się odezwać, wybrałem milczenie...”. Nigdy nie przestałem słyszeć w głowie Matta Monro. Nigdy, Mercedes. Nigdy.

Całuję po raz ostatni.

– Dzień dobry, Oscarze.

Chory ledwie dostrzegalnie przekręcił się na łóżku.

– To ja, Mercedes.

*

Étienne zaprosił Violetę na kawę.

– Na pewno mają sobie wiele do powiedzenia...

Violeta wzruszyła ramionami. Pomyślała o Tilde i pożegnaniu z kimś, kto nie jest tym, kim powinien.

– Zaufaj jej, to dobra kobieta. Nie chciała mi zdradzić ani słowa z wiadomości Mercedes, ale rozumie, że przyjechałyśmy tu z Paryża tylko po to, żeby ci pomóc.

Étienne i Violeta włączyli się bez celu wokół placu Wiktora Hugo, aż usiedli pod dużym oknem kawiarni przy rue Millet. Na regałach w Jardin du Thé stały słoje przypominające kolekcję serc wciśniętych w czerwone flakony.

Przyszła pora wyłożyć karty na stół.

– O czym myślisz?

Violeta założyła ręce na brzuch i wspomniała czasy, kiedy czuła się atrakcyjna.

– O niczym.

Potem wzięła głęboki wdech i zaczęła opowiadać łamiącym się głosem, jakby bała się, że wspomnienia się zmaterializują, ze wszystkimi szczegółami, obok filiżanek z kawą. Że chłopak, z którym zaszła w ciążę, miał na imię Pablo, że nie chciała utrzymywać z nim żadnego kontaktu, że nienawiść przerodziła się w zapomnienie, że postanowiła żyć samotnie, że w Paryżu czuła się szczęśliwa, że

uczyła się obchodzić z kwiatami, że wraz z nimi znalazła przybranego ojca, a nawet przyszywaną babcię. Że życie przypominało czasem tor przeszkód dla linoskoków, że jeśli wsłuchała się w głos serca, mogła bez patrzenia przechodzić przez ulice, że nie wiedziała, czy urodzi córkę czy syna, że nie chciała tego wiedzieć, że bała się, bo czuła się dwiema osobami.

– Wciąż spodziewam się, że zostanę jakoś wynagrodzona za ciągnięcie tego wszystkiego, to jedyny wniosek, jaki pomaga mi zrozumieć mój smutek. Zastanawiam się, czy odcisnę ślad na życiu mojego dziecka. To tak wielka odpowiedzialność, Étienne... Mówi się, że dzieciństwo to najtrudniejszy okres w życiu. A jeśli moja miłość okaże się niewystarczająca? Wydaje mi się, że zasługuję na więcej, a tak naprawdę może powinnam zacząć stawiać życiu mniejsze wymagania.

Deszczowe dni mnie przygnębiają. A w Paryżu ciągle pada. Nie dogadujemy się dobrze z deszczem.

Już od wielu miesięcy noszę pancierz, ale to nie jestem prawdziwa ja, tęsknię za sobą.

Kiedy pada, chce mi się płakać. Przypominam jedną z tych smutnych dziewczyn błądzących po ulicach... Ale nauczyłam się uśmiechać. Za dwoje...

Kiedy już się urodzisz, mówię dziecku, będziemy marzyć na jawie, aż zaśniemy.

Przed nikim się nie rozplaczę, chyba że zapytają mnie, jak się miewam.

Étienne słuchał z szeroko otwartymi oczami i głową wspartą na dłoniach. Nie chciał pytać. Kiedy skończyła tyradę, zapadła cisza. Oboje zamilkli na dłużej niż zwykle.

– Kiedyś chyba będę musiał opowiedzieć ci o sobie.

– Nie oczekuję wzajemności ani rewanżu. Chciałam tylko, żebyś mnie wysłuchał, i jestem ci za to wdzięczna.

– To niewiele z mojej strony, Violetto.

– Nie powiedziałam ci nic ważnego. Jestem jedną z wielu. Typowa zagubiona dziewczyna, która za dużo o wszystkim rozmyśla. Nie jestem w najmniejszym stopniu wyjątkowa.

– Myślę, że każdy z nas jest dla kogoś wyjątkowy...

Violeta stłumiła śmiech.

– Powiedziałem coś zabawnego? – zapytał Étienne.

– Dla mnie tak.

Przeżywają właśnie jedną z tych chwil, kiedy oboje czują, że wszystko jest na swoim miejscu, że – zgodnie z japońską legendą – czerwona nitka połączyła przeznaczonych sobie, ale nie chcą w to uwierzyć, bo uważają to za głupotę. Łapią więc za łyżeczki, mieszają herbatę, postanawiają wsypać więcej cukru, żeby zapomnieć o tej prostej myśli, która tkwi w głowie.

Długi granatowy płaszcz Étienne'a wisiał na stojącym obok krześle. Wyrzebał torebkę tytoniu z jednej z wewnętrznych kieszeni, ale przypomniał sobie o obecności Violety.

– Nie przejmuj się mną. Wyjdź. Zaczekam tutaj.

– Nie obrazisz się?

– I tak musimy jakoś zabić czas, Tilde ma pewnie sporo do powiedzenia twojemu ojcu.

Zapomnieli o Paryżu.

W Jardin du Thé leciały stare piosenki i wyjątkowo mocno wybrzmiały w tej chwili słowa jednej z nich:

Nie opuszczaj mnie

każda moja łza

szepcze, że co złe

się zapomnieć da...^[11]

Nad ich głowami wisiała ogromna, rozedrgana lampa. Piosenka należała do tych, które paraliżują atmosferę i stawiają wszystko pod znakiem zapytania. Zdawało się, że nie gra orkiestra, a głos Jacques'a Brela wyśpiewywał każde słowo z przeżutym bólem kogoś, kto wie, o czym mówi. Kelner podszedł zapytać, czy coś podać, i zostawił im dwie szklanki wody. Violeta siedziała, Étienne już stał, żeby wyjść zapalić. Bez ruchu. „Dwie herbaty – powiedział. – Z gorącym mlekiem” – dodał, kiedy kelner już odszedł.

Zapomnijmy ten

utracony czas,

co oddalał nas

co zabijał nas...

„Próbując zrozumieć, jak można zapomnieć godziny – zawtórował nagraniu Étienne – które ciosami pytań zabijały szczęśliwe serce”.

Nie opuszczaj mnie.

Nie opuszczaj mnie.

Nie opuszczaj mnie...

Kelner przyniósł tacę z herbatą dla dwojga: dwie filiżanki z gotowym naparem, dzbanuszek gorącego mleka do podziału i porcelanową miseczkę z cukrem w różnokolorowych saszetkach. Nawet słodycz występuje w różnych odcieniach. Potem położył na stoliku łyżeczki i rachunek.

– Mercedes? To ty? Ledwo cię widzę. Podejdź do światła.

– Tu jestem.

Mężczyzna o zmęczonej twarzy, siwych włosach i niebieskich oczach przyglądał mi się badawczo, na próżno szukając kobiety, którą nie byłam. Zmarszczył czoło, jakby nie udało mu się mnie zidentyfikować.

– Nie poznaję cię, Mercedes.

– To rozumiałe – powiedziałam, mocno splatając dłonie. – Mnie też daje się we znaki upływ czasu.

– Minęło wiele lat.

– Zbyt wiele.

– Ale jednak przyjechałaś.

Zmroziło mnie, ale jednocześnie wiedziałam, że powinnam zareagować uśmiechem.

– Ile to już lat? – zapytał.

– Myślę, że na tyle dużo, żebyśmy się wzajemnie zapomnieli.

– Wiele.

– Wiele – powtórzyłam.

– Cieszę się, że tu jesteś. Nie wiem, jak ci dziękować.

– To zasługa twojego syna.

– Podziękuję mu. Nie ma tego po mnie. Jest podobny do matki, to kobieta...

Odwróciłam głowę, jakbym to ja została zraniona, choć w rzeczywistości chciałam tylko ukryć twarz.

– Pewnie czujesz do mnie urazę.

– Teraz? Mylisz się. Nie pamiętam dawnych uraz. Mam fatalną pamięć. Po prostu trochę się denerwuję.

– Nic złego już cię nie spotka.

– Wiem.

– Dlaczego przyjechałaś? Też chciałaś się ze mną zobaczyć? Chciałbym ci powiedzieć, że... Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

Uśmiechnęłam się.

– Dlatego, że twój syn mnie o to poprosił. Sam widzisz.

– To dobry chłopak.

– Masz szczęście, że trafił ci się taki syn. Gdyby nie wybrał się do Paryża nalegać na mój przyjazd, nigdy w życiu bym cię nie odwiedziła.

– Nigdy w życiu?

Zawahałam się pod spojrzeniem tych przepięknych, starych, niebieskich albo szarych oczu.

– Nie wiem, Oscarze.

Zapadła cisza, a ja krążyłam po pokoju na coraz bardziej drżących nogach. Zatrzymałam się pod oknem i wyjrzałam na ulicę. Étienne i Violeta spacerowali jak para zakochanych. Tak przynajmniej wyglądało to z miejsca, które nie należało do mnie. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, zauważyłam swoje odbicie w szybie i poprawiłam włosy, jakbym czesała jakąś inną kobietę.

– Z Paryża jest tu daleko, musisz być zmęczona...

– Całą drogę siedziałam – odparłam odwrócona plecami.

– Domyślałam się, ale to i tak wiele godzin.

– Ponad cztery, ale większość podróży przespałam. Nie odczułam nawet połowy drogi.

– Długo.

– Po drodze widziałam przez okno śnieg. Bardzo tu zimno. – Próbowałam wciągnąć go do rozmowy. Violeta i Étienne zniknęli za rogiem.

– To była moja wina. – Zamilkłam. – Słyszysz?

Cóż mogłam odpowiedzieć.

– Słucham cię.

– O nic cię nie proszę. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że biorę na siebie odpowiedzialność. Mężczyźni to zło. Ale chyba już za późno na przyznanie się do winy?

– To już nieważne.

– Przez cały ten czas o tobie myślałem. Zawiodłem cię.

– Będziesz musiał żyć z tym już do końca, prawda?

– Niewiele mi zostało tego życia.

Znów przeniosłam wzrok za okno. Czułam się zagubiona, nie wiedziałam, co robić.

– Myślisz pewnie, że to ja skorzystałam na tej sytuacji. Albo że przynajmniej żyłem tak, jak chciałem. Ale mnie też nie było lekko. Poczucie winy mocno ciąży.

– Życie też jest ciężkie.

– Powiedzmy.

Próbowałam myśleć o jego synu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Tak, dziękuję – odparłam. – A ty?

Nie odpowiedział od razu.

– Co mam ci powiedzieć, Mercedes? Czuję się tak jak każdy, kiedy wie, że zbliża się koniec. Ciągle ktoś mnie odwiedza. Ale ze wszystkich gości zależało mi tylko na tobie.

– Oto jestem.

– W mojej sytuacji nie mogę o nic prosić.

– A o co chciałbyś mnie poprosić?

– Mercedes... Tamtego dnia...

– Teraz już nieważne, czyja to była wina, Oscarze. Co za różnica, gdzie się wszystko zaczęło czy gdzie skończyło? Jesteśmy już starzy, Oscarze. Nie przyjechałam tu po to, żeby obudzić w tobie więcej bolesnych wspomnień... Oscarze.

Zdziwiłam się, że tak powtarzałam jego imię. Chyba miało mi to pomóc przywyknąć do myśli, że podszywam się pod inną kobietę i cudzą historię. Życie, którego nie znałam.

Tilde – uzurpatorka.

Tilde – oszustka.

Tilde – krętaczka.

A wszystko po to, żeby pomóc przyjaciółce zamknąć pewien rozdział w życiu.

Tilde – intruzka, kaskaderka, dublerka.

Zdałam sobie jednak sprawę, kiedy patrzyłam na księżyc odbity w szafie, że jedyne, co tak naprawdę robiłam, to zebranie o życie u mężczyzny, który właśnie żegnał się ze swoim. Zastępowałam część bólu i służyłam za zwierciadło pamięci nieznanego mężczyzny, który obawiał się, że umrze ze słowami przebaczenia uwięzionymi w gardle.

Kiedy go zobaczyłam, i siebie od stóp do głów, pomyślałam, że cudze wspomnienie odciśnie piętno i na mnie.

– Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? – zapytałam sucho, żeby stworzyć dystans. Uznałam, że Mercedes tak właśnie by to powiedziała.

– Żeby się z tobą pożegnać.

– No dobrze, oto jestem.

– Nie ułatwiasz mi sprawy.

– Przecież przyjechałam, tak?

– Tak. Zostało mi już mało czasu.

– Wiem, już mówiłeś.

– Mercedes, bardzo mi to utrudniasz.

– Co chcesz, żebym powiedziała? Jestem tu. Ja sama też nie wiem, co powiedzieć. Nie ukrywam, że pierwszy raz znalazłam się w takiej sytuacji.

– Ja też.

– Domyślam się, że nie umierasz co roku na święta.

Zniknęłam z lustra. Wściekła cisza roztrzaskała moje słowa na kawałeczki. Okrutna. Zupełnie niepotrzebnie się nad nim znęcałam. Przeszłam kilka kroków, aż znów pojawiło się odbicie. Wbrew moim oczekiwaniom nie zmieniło się.

– Przepraszam, Oscarze, wybacz. Nie powinnam tak mówić.

Zrozumiałam, że dystans nie służy naszej rozmowie.

– To moja wina. Teraz to rozumiem. Myślałem, że wystarczy ściągnąć cię tutaj, spotkać się z tobą, że nie będę musiał niczego tłumaczyć. Nie przygotowałem

się. Nie wiem, co powiedzieć. Minęło już tyle czasu... Czuję się niezręcznie.

– Ja też.

– Domyślam się... A teraz widzę cię tutaj, tak twardą, tak szorstką, i żałuję bólu, który ci sprawiłem, ale rozumiem cię. Przykro mi. To tylko chcę ci powiedzieć.

– Jestem po prostu zdenerwowana – odparłam. – Stremowana, bo nie wiedziałam, czego się spodziewać. I też nie wiem, co powiedzieć. Ani jakie wspomnienia przywołać, żeby to spotkanie nie wydawało się sztuczne, plastikowe.

– Opowiedz mi, co u ciebie słychać, co porabiasz, Mercedes.

Nabrałam w płuca całe powietrze wypełniające pokój. Aż dziwne, że chory nie umarł w tej właśnie chwili z braku tlenu.

– Mieszkam w Paryżu, od czasu, kiedy tamto się stało.

Powiedziałam „tamto”, bo nie do końca wiedziałam, o czym właściwie mówię.

– Sprawiałem ci aż tyle bólu?

– Oscarze...

– Przykro mi, przepraszam... Jestem ci ogromnie wdzięczny, że przyjechałaś się ze mną pożegnać. Z całego serca. Może spodziewałaś się jakiejś wymówki, usprawiedliwienia, ale ich nie mam.

Zapatrzyłam się w te niebieskie albo szare oczy, które próbowały zbliżyć się do moich wspomnień. A jednocześnie do swoich. Odważyłam się spojrzeć mu w twarz. Pomyślałam, że musiał być kiedyś bardzo przystojny. On też nie odrywał ode mnie spokojnego wzroku. Zaryzykowałam próbę wymyślenia wspólnej przeszłości.

– Byłam młoda i zakochana w tobie, Oscarze. To wystarczy. To najważniejsze, co nas łączy. Myślę, że – wypuściłam całe nabrane wcześniej powietrze – dziś wróciłabym po ciebie, zamiast się obrażać.

– Uciekłaś co sił w nogach.

– Uraza rosła wraz z kolejnymi kilometrami, z powiększającą się odległością. Może dlatego, że uznałam się za przegraną, która myśli, że ucieczka rozwiązuje problem. Tak czasem bywa. Obracasz się na pięcie, odchodzisz i spodziewasz się, że szczęście czeka za rogiem. Mówią, że odległość leczy rany, ale tak naprawdę to tylko odległość. Z upływem czasu zapominałam jednak przyczynę i stopniowo się zmieniałam. Postanowiłam być w Paryżu szczęśliwa, a kiedy się tego naprawdę chce, to się spełnia.

– Tak sądzisz?

– A ty byłeś szczęśliwy? – odpowiedziałam pytaniem.

– Nie.

– Przecież związałaś się z inną kobietą, macie syna. Étienne to wspaniały chłopak. Masz piękną żonę. Widziałam zdjęcia wiszące w korytarzu. Przedstawiają

szczęśliwych ludzi. Rodzinę. Ja... Ja nie założyłam rodziny.

Poczułam w kościach zazdrość o życie, które nie stało się również moim udziałem.

– Mercedes... To wszystko złuda. Całe to życie, które widziałas na fotografiach w przedpokoju, powinienem być przeżyć z tobą.

Nie do końca wiedziałam, co zrobić z tym wyznaniem.

– Nie kłam – odparłam.

– Przysięgam, że nigdy nie przestałem o tobie myśleć.

– To kłamstwo. Gdyby tak było, przyjechałbyś po mnie. Przyjechałbyś do Paryża. Nigdy się nie zjawiłeś.

– Mercedes, odesłałaś mi pudło z rzeczami i dołączyłaś do niego list pełen najgorszych inwektyw, jakie w życiu widziałem. Mogłem tylko odpisać na adres nadawcy, co wielokrotnie robiłem. Nigdy nie otrzymałem odpowiedzi. W końcu zrozumiałem, że nic nie mogę zrobić.

– Powinieneś mnie uratować.

– Przed czym?

– Przed Paryżem.

– Jak to?

– Paryż był przez te wszystkie lata moim jedynym kochankiem.

– Nie rozumiem.

– To proste. Całe życie byłam samotna. Zawsze tylko ja i miasto. O tym mówię.

Zająknął się, a potem przypomniał mi najważniejsze:

– Nadal pozostawaliśmy małżeństwem.

– Żyłam samotnie – rzuciłam.

– Ja też, mimo towarzystwa.

– Błagam, wcale tak nie było. Zresztą nie przyjechałam się tu licytować.

– A ja nie chcę wyrównywać rachunków, Mercedes, a tylko cię wysłuchać.

Szare albo niebieskie oczy znowu zaszyły mgłą, a ja znów zobaczyłam kawałek Tilde w srebrnym blasku na drzwiach szafy. Księżycyca ubywało.

– Tak czy inaczej, od tamtej pory mieszkam w Paryżu.

– Podoba ci się tam?

– A komu by się nie podobało.

– Słusznie.

– Pracowałam jako pomoc domowa.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Wszystko jedno. Mieszkam w Saint-Germain, cudownej dzielnicy, gdzie zawsze zdaje się świecić słońce, nawet jeśli chmury zasnuwają paryskie niebo. Wystarcza mi moje małe mieszkanko, mam przyjaciółkę Hiszpankę... Każdego ranka spaceruję, przemierzam długie trasy, włączę się po

Ogrodach Luksemburskich i patrzę, jak dzieci puszczają na wodę łódki, oglądam witryny, ale nic nie kupuję, a na koniec zawsze trafiam do kwiaciarni, gdzie właściciel daje mi za darmo kwiaty, które już nie nadają się na sprzedaż. Gadamy sobie i się starzejemy.

– Wciąż jesteś piękna.

– Naprawdę?

Skinał głowę. „Jesteś piękna”.

– Dziękuję, Oscarze... Już od lat nie słyszałam takich słów.

– To prawda. Jesteś piękna.

– Jestem ci wdzięczna za te słowa. Ty też jesteś taki... jak wtedy.

– Nie został już nawet ślad tamtego mężczyzny.

– A ja uważam, że owszem. Zapamiętałam cię jako bardziej... poważnego.

Nie tak sobie ciebie wyobrażałam.

– A jak sobie mnie wyobrażałaś?

Pokręciłam głowę.

– Sama nie wiem.

– Opowiedz mi o tym, co straciłem.

– Mnie. To mnie straciłeś. Teraz jestem jak te kwiaty, które dostaję od Dominique’a, nie nadają się już na sprzedaż. Mój czas przeminął. Nikt nie chce mieć do czynienia ze staruszką.

– Kiedy na ciebie patrzę, przypominam sobie o nas. Jacy byliśmy.

– A... jacy byliśmy, Oscarze?

– Zakochani i z całym życiem przed sobą.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś, skoro byłeś taki zakochany...

Cała Tilde odbiła się w księżycowym lustrze.

Księżyc przybywało.

– Wolę pamiętać to, co dobre. Tęsknota za tobą bolała. Myślałem, że mi przejdzie, kiedy stracę cię z oczu, znajdę inną, zacznę nowe życie, inne niż planowaliśmy... Ale widziałem cię wszędzie. Ukazywałaś mi się w każdym przedmiocie.

– Jak Maryja.

– Ech, nie śmieję się ze mnie.

– Masz rację. Ale przestań już się zadręczać.

Przysunęłam krzesło do łóżka, żeby z nim porozmawiać. Moją uwagę przyciągnęła jego skóra, przyjrzałam się jego dłoniom i miałam ochotę dotknąć tych palców z idealnymi, dużymi paznokciami.

– Spacerowałam po mieście stworzonym dla zakochanych i turystów, a przez całe te lata byłam sama. Ja byłam sama, a ty tymczasem miałeś inną kobietę, inne życie, inne dziecko... To dziecko powinno być moje. Étienne powinien być mój,

wiesz? To ja powinnam być jego matką i twoją żoną, aż do teraz. Przez całe życie za tobą tęskniłam. Wyglądałam cię każdego dnia, kiedy wychodziłam na spacer po miejscach znanych mi ze zdjęć, które – choć prawdziwe – dla mnie nadal pozostawały pozbawionymi życia fotografiami. Oscarze, do dziś cię kocham. Szukałam cię na każdym przejściu dla pieszych, rozglądałam się po twarzach ludzi w poszukiwaniu twojej, żeby się ukryć albo żebyś mnie odnalazł. Kiedy siadałam przy stoliku przed jakąś kawiarnią, zawsze kładłam torebkę na wolnym krześle, z nadzieją, że przyjdiesz. „Zajęte” – mówiłam. Patrzyli na mnie jak na wariatkę, bo już dobrze mnie znali. Ile razy wstawałam ze słowami: „Znowu nie przyszedł”. Wstydziłam się tej samotności, rok po roku. „Co tu robisz? On nie wróci, twoja miłość nigdy nie wróci, bo nie jest twoją miłością, nie jest niczym”. I tak się zestarzałam, stałam się szorstka, jak sam powiedziałeś, sucha jak kwiaty trzymane między kartkami książki... Przypominają kwiaty, ale są martwe. Śmierć jest taka powolna, Oscarze, tak wolno mija czas, kiedy nic się nie dzieje. Dzień, tydzień, miesiąc, pora roku, rok... Kolejny. I kolejny. A najgorsze, że mimo wszystko napędzałeś to moje życie bez życia, byłeś nadzieją towarzyszącą mi każdego poranka, kiedy szykowałam się do wyjścia, impulsem do działania. A może to właśnie najlepsze? Ty, Oscarze. Ty. Wiesz, jak bardzo czekałam, żebyś usiadł na tym wolnym krześle? Wiesz, ile miejsca zajmuje twoja nieobecność? Byłam tylko kobietą siedzącą naprzeciwko wolnego krzesła. Tylko tyle. Kobietą wiecznie czekającą. Nie bardziej obecną od ciebie.

– Mercedes...

Po tej żalostnej przemowie wybuchnęłam prawdziwym płaczem, wydałam z siebie jęk za całe życie, jakbym wymiotowała żalem. Szczęśliwa kobieta, Tilde ukrywająca się za warstwami lat, wyskoczyła na scenę i załamała się przed mężczyzną, który wyciągnął ku niej dłoń, żeby jej dotknąć.

– Co robisz?

– Daj mi rękę. Proszę.

– Oscarze...

– Do dziś cię kocham, Mercedes. Marzyłem o tym, żeby cofnąć czas, żeby tamta bzdura z kelnerką nigdy się nie wydarzyła. Żebyś nie poszła do łazienki akurat w chwili, kiedy przechodziła.

– Nic nie pamiętam. Wiem tylko, że cię nie mam.

– Na Boga, Mercedes, wybacz mi.

– Wybaczam ci, bo już i tak nic nie można poradzić. W innym razie bym cię spoliczkowała.

– Powinnaś była to zrobić.

– Uderzyć cię? Za kogo ty mnie masz?

– Wiem.

– Co wiesz? Wiesz, kim jestem?

– Tak.

– Przepraszam... Wybacz, że przyjechałam – powiedziałam, wstając z łóżka, na którym zdążyłam przysiąc.

– Wiem, kim jesteś. I wiem, kim ja jestem. Ale dziś już nie czas na kłamstwa. Nie opuszczaj mnie. Pamiętasz tę piosenkę? *Ne me quitte pas*. Ale się postarzeliliśmy, Mercedes, strasznie mi przykro. Dziękuję, że przyszłaś. Dziękuję, że zdjęłaś ze mnie ten ciężar. Dziękuję...

Przysiadłam z powrotem na łóżku i kiedy zobaczyłam jego wzrok, przylgnęłam do jego piersi niczym do deski ratunkowej na wzburzonym morzu.

– Jesteś kobietą, której brakowało mi przez te wszystkie lata.

– Kochasz mnie jeszcze? – zapytałam.

– Tak, kocham cię – odparł.

Chciałabym pamiętać wszystko, o czym rozmawialiśmy tamtego wieczoru, ale przetykam ślinę, żeby pozbyć się wspomnień, które do mnie nie należą. Gorzej – wspomnień, które w ogóle nie powinny istnieć.

Czuję, jakby nadal ścisnął mnie za rękę, przed oczami mam obraz zakochanego we mnie mężczyzny.

Widzę też głęboki żal w jego oczach, że nie kochał mnie – jej – wystarczająco dobrze.

Przede wszystkim widzę zaś kobietę – siebie – przeżywającą w czasie czterdziestu minut historię miłości, jakiej nigdy nie miała, nie doświadczyła, nie wycierpiała, ale która teraz, gdy idę korytarzem do wyjścia, przyglądając się zdjęciom z innego życia, wydaje mi się stuprocentowo prawdziwa.

Ukradłam wspomnienia innej osoby.

Wybrałam wyznanie miłości.

Widziałam swoją twarz na wszystkich fotografiach przedstawiających kogoś innego.

Na ulicy przed domem bawiły się dzieci, jak w scenie z *Nocy Cabirii*. Dokładnie jak w tej scenie. Identycznie jak w filmie. W chwili kiedy bohaterka – grana przez Giuliettę Masinę – rzymska prostytutka marząca o tym, że los się do niej uśmiechnie i ześle jej księcia z bajki, człowieka szlachetnego i oczywiście pozbawionego wszelkich uprzedzeń, który wyciągnie ją z tej koszmarnej egzystencji, zostaje porzucona przez kolejnego mężczyznę. Z tą tylko różnicą, że ani nie zostałam porzucona, ani to nie mój mężczyzna umierał teraz w swojej sypialni. Na widok radośnie bawiących się dzieci poczułam osobliwą mieszankę nadziei i wrażeń, że wypełnia mnie zmyślane życie, które uczyniło mnie... inną. Taką, jaka nigdy nie byłam.

W tej scenie Cabiria już nie płacze.

Tilde też nie. Uśmiechnęłam się, jak dzieciaki na ulicy.

*

Narrator uważa, że najlepiej zakończyć tę scenę cytatem z *Pieśni o nas* Eduarda Galeana: „Nie wiem, czy będziesz mogła przeczytać ten list, ale chcę ci powiedzieć, że byłem i jestem z tobą szczęśliwszy, niż to możliwe nawet w książkach”.

*

Federicu Fellini, uwielbiamy cię – wszystkie postaci z tej książki.

W Jardin du Thé, gdzie siedzieli Violeta i Étienne, znowu zabrzmiały dźwięki *Ne me quitte pas* – tym razem śpiewała kobieta. Historia lubi się czasem uparcie powtarzać. Oboje ucichli, nasłuchując, czy słowa się nie zmieniły, bo tego spodziewamy się po piosenkach, których wysłuchaliśmy już wielokrotnie.

– Jutro wracacie, tak?

– Nie mamy innego wyjścia. Niewiele już tu możemy zdziałać. A w moim stanie... Zaczynam wszędzie zawadzać.

– Ciągłe o tym zapominam.

– Ja nie. Kiedy się czegoś boję, dotykam brzucha i ludzie widzą tylko mój uśmiech.

– Brzmi nieźle.

– To jak muzyka, którą można poskromić dzikie bestie. Ale nie myśl sobie, że to sielanka. Idziesz ulicą i patrzysz na świat oczami pełnymi hormonów w płynie. Ludzie widzą uśmiechniętą dziewczynę w ciąży, a ja chciałabym ich złapać za ramiona, potrząsnąć i wrzasnąć: „Boję się!”.

– Strach jest zupełnie naturalny, we wszystkich aspektach życia. Gdyby nie lęki, nie docenialibyśmy radości.

Te ostatnie słowa wypowiedział nieco ciszej i przysunął się do Violety. Położył ręce na stole z zamiarem, którego nie zrealizował.

– To takie proste – odparła.

– Każdy się czegoś boi. Zbiór lęków jest nieskończony. Dlatego nie ufam ludziom, którzy niczego się nie boją. To oni budzą strach.

– Nie należy mylić lęku ze słabością.

– A ty z czym się zmagasz?

– W tej chwili ze wszystkim. Ale... Łapię się za serce, chcę płakać, boję się, oddycham... I już: „Nie myśl o tym, Violeto”, mówię sobie. Chowasz lęk i idziesz dalej. I tak od pierwszego dnia.

W tej chwili skończyła się piosenka i pytanie Étienne’a dało się słyszeć w całej kawiarni. Z powrotem schował ręce pod stół.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

...i wtedy z głośników zaczęły płynąć inne słowa.

Violeta próbowała wymyślić jakąś odpowiedź, przynajmniej zbliżoną do tego, co naprawdę chciała powiedzieć, ale zaczekała, aż dwóch panów przy barze wróci do swoich spraw, a kelner zajmie się porządkowaniem filiżanek stojących na ekspresie.

– Wydaje mi się, że już mi we wszystkim pomagasz – powiedziała w końcu.

– Cieszę się. Chociaż nie wiem, jak to robię.

– Jesteś.

Kelner pogłośnił piosenkę, żeby stworzyć tło dla sceny rozgrywającej się na jego oczach. Pracownicy kawiarni i barów często tak robią, żeby poczuć się jak reżyserzy. Dobierają ścieżkę dźwiękową do filmu.

Gdyby siedzieli teraz w kwaciarni Dominique'a Brulégo, wszystkie kwiaty nachyliłyby płatki w ich stronę na znak uwagi i skupienia, ale są chwile, kiedy wydaje się, że nic się nie dzieje. Takie, w których żadne sygnały nie świadczą o tym, że bierzemy udział w czymś wyjątkowym. Ciągłe szukasz i nic nie daje ci znać, że to teraz. Uważaj. Zapamiętaj tę godzinę, ten moment, ten dzień. Rozglądamy się wokół bez żadnych oczekiwań. Coś jednak się dzieje. Zawsze. Trzeba tylko zachować czujność

– Co to za piosenka teraz leci? – zapytała Violeta. – Kojarzę głos, ale nie pamiętam tytułu.

– To bardzo stary utwór.

– Jeszcze starszy?

– Starszy niż co?

– Niż tamta piosenka Jacques'a Brela.

– Mniej więcej rówieśniczka. To *La fête continue* Edith Piaf z 1950 roku. Jedna z mniej znanych, ale chyba moja ulubiona.

– Ten tytuł ma jakiś urok: „Zabawa trwa”.

Zasłuchali się w ten fragment piosenki, w którym zdają się huczeć karabiny na strzelnicy w wesołym miasteczku, a dzieci wybiegają ze szkoły, ciskają tornistry w kąt i wskazują na karuzelę. Konfetti i balony – myślał kelner – wypełniały bistro, w którym dwójka klientów siedziała przy najlepszym stoliku pod oknem, i nawet na sekundę nie poczuli się niezręcznie.

– Brzmi bardzo radośnie.

– Wiedziałem, że ci się spodoba.

– Zorganizowałaś podkład muzyczny?

– Kto wie.

– Nie wierzę.

– Jak dobrze wiesz, Violeto, iluzja to surowiec, z którego cukiernicy wyrabiają swoje produkty.

– Zapomniałam, czym się zajmujesz.

W milczeniu wzniesli toast herbatą.

Impreza trwa w najlepsze, muzyka i karuzele,

Nugaty, strzelby, wróżki, nagie kobiety...

– Naprawdę mi się podoba. Przywodzi na myśl potańcówki z lat pięćdziesiątych. Jest radosna, a przynajmniej taka się wydaje.

– Nie daj się zwieść, muzyka oszukuje, kryje się tu smutek. Zdaje się płakać, ale chce rozbawić melodią.

Ojciec jest chory.

Matka odeszła.

Dzieciaki dostają

niezłe ciągi.

– Teraz słyszę. Rozumiem, co masz na myśli.

– To dobra ścieżka dźwiękowa do tej chwili. Ojciec odchodzi, kończy się zabawa i oto jesteśmy... W każdej minucie, której z nim nie spędzam, czuję się winny, tak jakby nie mógł w swoim czasie opowiedzieć mi o wszystkim, co czuł, co go dotykało. A teraz chce wyznać wszystko naraz.

– Wystarczy być. Nie zawsze trzeba rozmawiać.

– Ładnie to ujęłaś.

– Jestem ostatnią osobą, która powinna udzielać innym rad, ale... Tak właśnie sędzę.

– O czym Tilde może z nim rozmawiać?

– Nie przejmuj się. Na pewno...

Violeta urwała. Zamknęła oczy. Czuła coraz silniejsze pulsowanie w głowie. Coraz mocniej biło jej serce. A także to drugie serduszko. Porozumiały się. Hałasy po drugiej stronie baru przybrały na sile. Cisza. Potem usłyszała głos Étienne'a.

– Co chciałaś powiedzieć?

– Nic.

– Powiedz.

– Że odejdzie na tamten świat szczęśliwy. Tilde tryska życiem. Na pewno zaraziła go atmosferą zabawy, o której mówiłeś.

– Za ile piosenek znowu będzie leciała tamta co wcześniej?

– Która?

– *Nie opuszczaj mnie.*

– ...

*

W drodze powrotnej obie mogły skryć swoje tajemnice pod śniegiem ścielącym się wzdłuż linii kolejowej Grenoble–Paryż. Rozsiadły się w wagonie trzecim, jakiś pan pomógł im włożyć na górę niewielkie walizki. Siedziały bez słowa. Pociąg, którym podróżowały Matilde i Violeta, strzegł sekretów, których narrator nie zdradził w swojej opowieści.

I pytania złe

i natrętne tak –

Jak? – Dlaczego? – Jak?

Zapomnijmy je.

Tamten wieczór, po spacerze z Étienne'em, po wyjściu z Jardin du Thé, przejście kilku metrów do...

Nie, nie, nie, muszę opowiedzieć to inaczej.

Wracam do chwili, kiedy trzymam w ręku fotografię, którą przez cały ten

czas nosił w portfelu – Étienne jako mały chłopiec bawiący się z ojcem. „Kocham Cię – tata. Jesteśmy” – głosi odręczny napis na odwrocie. Zdjęcie z datą, na którym dorosły mężczyzna i nastolatek pozują pod drzewem. Pejzaż: bliższe i dalsze góry, bez śladu dróg ani zabudowań, przecucie lasu pod czystym, bezchmurnym niebem. Pospolity charakter pisma, tusz wyblakły przez lata, ale wystarczająco wyraźny, by „Kocham Cię – tata. Jesteśmy” stało się mantrą na długie lata.

Kawiarnia szybko się wyludnia. Robi się późno, więc postanawiamy zamówić coś do jedzenia. Właściciel oferuje nam talerz serów, bierzemy też sałatkę na spółkę. „Nic więcej nie mamy”. Przyglądam się, co robi – jak miemam – żona właściciela. Zmienia wodę w wazonikach na stołach i kiedy wyjmuje z nich bukietki, w powietrzu unosi się woń podobna do tej wydzielanej przez kamelie. Kelner, który obsługiwał nas cały wieczór, podaje nam dania, żegna się z właścicielem, macha nam na do widzenia i wychodzi.

– Mogą państwo zostać. Jeszcze nie zamykamy.

Nadal mam w dłoniach zdjęcie.

– To ty?

– Z ojcem.

Przyglądam mu się przez chwilę.

– Jesteś podobny.

– Do niego?

– Do niego i do siebie. Widać, że to dziecko to ty. Masz ten sam uśmiech.

– Ostatnio nieczęsto można go zobaczyć. Jakoś mi nie wychodzi.

– Rozumiem. – Étienne zatapia się w myślach, więc dodaję jeszcze:

– Wróci.

Wielki, okrągły księżyc świeci w oknie kawiarni. Jakby nas pilnował. Z początku biorę go za odbicie jakiegoś przedmiotu, ale Étienne też mu się przygląda.

– Podoba mi się.

Patrzę na niego przez chwilę. Myślę: „ty też”. Strach chwyta mnie za gardło, bo to, co czuję, jest niemożliwe. Na szczęście nic nie odpowiadam, mimo skłonności do wypełniania słowami każdej chwili ciszy. Ale czuję to i przenoszę wzrok na zdjęcie. Zauważam, że on nadal wpatruje się w odbicie księżyca w szybie. Albo w sam księżyc. Mówię sobie: nie podnoś głowy, zobaczy cię. Zauważ to. Teraz postawisz się w najgorszej sytuacji z możliwych: ujawnisz swoje uczucia, a przy tym słabość. Nie, nie, nie. W moim ciele zaszła już zbyt wielka rewolucja, żebym miała pozwolić księżycowi, kwiatom i zdjęciu z cudzego dzieciństwa zrobić zamieszanie w jedynej części mnie, którą powinnam zachować nienaruszoną. Oddaję mu fotografię drżącymi rękami.

– Schowaj sobie.

Księżyc pali, jakby w głowie świeciło mi słońce.

Przed nami stoją nietknięte sery i sałatka, niczym bawarski las. Gęsty. Niemożliwy do przebycia. Są w nim polany, których nie pokrywa jedzenie.

– Znalazłem je w starym albumie. Przykleiło się do folii, a kiedy je wyjąłem, odkryłem napis: „Kocham Cię – tata. Jesteśmy”.

– Piękne. Mam na myśli to „jesteśmy”.

– To mówi więcej niż wszystko, co powiedział mi przez całe życie.

– Ja nie rozmawiam z rodzicami.

– Tak, ale to twój wybór. My po prostu nigdy nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. A może po prostu bycie stanowiło dla nas jakiś rodzaj rozmowy.

– Czasem to nawet więcej.

– A mimo to ciągle żałuję, że nie powiedziałem mu więcej. Że go kocham, że jestem dumny, że może byłem zbyt nieobecny, że...

– Nie zadręczaj się. To najgorsze, co można zrobić.

– Ale on odchodzi i już nigdy nie będę miał szansy dowiedzieć się o nim nic więcej.

– Na koniec zrobiłeś dla niego cudowną rzecz. Pojechałeś odszukać Mercedes.

– Tak, ale to trochę tak, jakbym chciał tym jednym uczynkiem wyleczyć wszystkie rany. Swoje rany. Jakbym nie robił tego dla niego, tylko dla siebie. Rozumiesz?

– Oczywiście.

– Teraz zostanę sam z tysiącem pytań. Z braku rozmowy. Z braku empatii.

– Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu do tego wracać. Kochałeś go?

– Nie wiem.

– Wszystko na to wskazuje.

– Ale nie wiem, czy kochałem go tak, jak powinienem. Tego nigdy się nie wie.

– Nie jestem psycholożką, chociaż w takich chwilach byłoby to całkiem przydatne.

– Wszystkie te dni, kiedy wychodziłem bez żadnych wyjaśnień... Wszystkie te razy, kiedy nie rozmawialiśmy... Bezsensowne kłótnie... Wszystkie te wspomnienia dławią mnie teraz i nie pozwalają oddychać. Zabija mnie żal. Poczucie winy. Wyrzuty sumienia. Wiesz, o co poprosił, kiedy wzięli go do szpitala, jeszcze zanim lekarze stwierdzili, że lepiej mu będzie doczekać końca w domu? O czekoladę. Chciał czekolady. Zszedłem do bufetu i kupiłem lody. Tylko to mieli czekoladowego. To ja ich potrzebowałem. Poprosił o nią jak dziecko, majaczył. „Czekolada! Chcę czekoladę”. Przytłoczył mnie smutek. Kupiłem lody i po kryjomu wszedłem do jego pokoju. Zamknąłem drzwi, usiadłem przy łóżku i karmiłem ojca lodami. Tak naprawdę ofiarowałem mu wtedy jedynie

wszystkie moje nieobecności, łyżeczka po łyżeczce, w formie czekolady. Wkrótce pojawiła się pielęgniarzka: „Co robisz?” – nakrzyczała na mnie. „Ojciec miał ochotę na czekoladę” – odpowiedziałem. „Nie wolno mu, ma kroplówkę, nie może jeść. Umiera”. Spojrzałem na nią wyzywająco. „Dlatego właśnie daję mu coś słodkiego. Bo umiera”.

– Dobrze zrobiłeś. Ja postąpiłabym tak samo.

– Przepraszam, że ci to opowiadam. Chciałem sobie ulżyć. Już po wszystkim. Nic więcej nie można zrobić.

– Chcesz wyjść?

– Nie zjedliśmy kolacji.

– Nie jestem głodna.

Księżyc świecił prowokacyjnie, jakby szukał zaczepki.

Wieczór upłynął bez napięcia typowego dla wzajemnych wyznań dwojga praktycznie obcych sobie ludzi. Wręcz przeciwnie, skakaliśmy z tematu na temat, od banalnych uwag do najgłębszych sekretów.

Étienne przyglądał mi się spokojnie. Przy naszym pierwszym spotkaniu w Paryżu musiałam zachowywać się okropnie, jak wredna jędrza, która co rusz wbija rozmówcy szpile niczym kolce. Ale jeże stroszą je ze strachu. W słowniku terminów zoologicznych można przeczytać, że nazywa się to zachowaniem obronnym.

Na pewno spodziewał się moich szpil. Był gotów gasić punkty zapalne i przyjąć postawę nastolatka, bo wtedy życie czyni nas najbardziej otwartymi na nowości i cudzy punkt widzenia. Dzięki temu gadaliśmy beztrudnie o wszystkim, czasem o upodobaniach, czasem o jego lękach, a czasem o moich, w barze z czerwonymi sercami w butelkach, bez świadków. My.

– Nigdy wcześniej nie jechałam tak daleko pociągiem – wyznałam w pewnej chwili. – Myślałam, że nie lubię podróżować.

Na końcu języka miał prośbę, żebym została dłużej. Takie rzeczy się zauważa. Nic jednak nie powiedział i czekał na moje dalsze peany na cześć kolei.

Nie wiem, co najbardziej mnie zachwyciło: spokój, cisza, okna, rytm, kołysanie, zygzak myśli czy po prostu nowo odkryta przyjemność podróży pociągiem. Może widoki, stwierdziłam.

– Może cel podróży – powiedział Étienne.

I kiedy już myślałam, że jestem zupełnie spokojna, znowu dopadły mnie nerwy. Jaki on nieprzewidywalny.

– Nie wiem – odparłam, żeby jakoś wybrnąć.

Tymczasem Étienne podjadł trochę sera. Patrzy na mnie. Gdyby moja herbata była jeszcze gorąca, pomyślałabym, że unosi się między nami obłok pary, ale to wiązało się raczej z emocjami. Chmura innego rodzaju. Tak. Powie mi coś jeszcze. Tak. Powtórzy to, co powiedział. Drzę, choć wcale nie jest mi zimno.

Pochylił się nieco w moją stronę i zdałam sobie sprawę, że robił to już wielokrotnie, ale dopiero teraz zrozumiałam, jak ważna była jego bliskość.

– Violetto – wymawia moje imię, lekko zaciągając. – Mówią na ciebie Viole, prawda? Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, uznałem, że jesteś jednym z przystanków na mojej drodze do Mercedes, ale teraz wszystko się zmieniło.

– Na gorsze?

Jak nietrafnych odpowiedzi czasem udzielamy, zwłaszcza kiedy najbardziej nam zależy na ich poprawności.

– Na lepsze. Na dużo lepsze. Wszystko prowadziło mnie do ciebie. Nie powinienem tego mówić, ale przy tobie nawet moje rany mniej mi doskwierają. Jakbyś uśmierzała ból.

– Z taką dawką hormonów działam jak najlepsze znieczulenie.

Najwyraźniej moje odpowiedzi mogą być jeszcze gorsze. Pomocy, narratorze.

Mam tak mało doświadczenia, maleńka. Wiem więcej o porażkach niż o sukcesach.

Czy to znaczy, że to sukces?

Przekonasz się.

Od pobliskiego stolika wstaje jakiś mężczyzna z wąsami i podchodzi do nas.

– Kogo ja widzę? Stary dobry Étienne!

Étienne podnosi się z krzesła i obejmuje mężczyznę, którego skądś kojarzę, ale nie mam pojęcia skąd. Dziwne, przecież nie znam nikogo w Grenoble. Musiałam jednak gdzieś już na niego wpaść, chociaż nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć. Witają się po męsku, donośnym poklepywaniem po plecach, które wydaje mi się śmieszne, ale domyślam się, że chodzi o głuchy hałas, jaki wywołuje. Jak pompowanie krwi przez serce.

– Cześć, Jérôme. Myślałem, że nikogo tu nie ma. Nie zauważyłem cię. Przepraszam.

– Siedziałem w głębi i rozmyślałem, jak to zwykli robić samotni mężczyźni. Nie pytam o ojca, wiem, jak się sprawy mają.

– Dziękuję za pomoc w Paryżu. Nie miałem nawet okazji z tobą porozmawiać. Dzięki za mieszkanie.

– Nie ma za co. To nic takiego. Trzeba sobie pomagać.

– Jestem ci naprawdę wdzięczny, Jérôme.

Wąsaty mężczyzna przygląda mi się badawczo. Oczy błyszczą mu od kieliszka czy dwóch, ale też od dobroci. Prawdziwej dobroci, której zapach czuć jak woń alkoholu.

– Nie przeszkadzam. Idę do domu – mówi innym, nieco cichszym tonem. – Rozmawiajcie sobie. Ukłony dla pięknej damy.

Nieznacznie uchyla kapelusza i odwraca wzrok.

Uśmiecham się z wdzięcznością.

Étienne wyjaśnia mi całą sprawę.

– Zatrzymałem się u niego, kiedy pojechałem do Paryża, żeby znaleźć Mercedes. Użyczył mi swojego mieszkania przy Odéonie. Nie znam zbyt dobrze Paryża, ale tamta okolica wywarła na mnie bardzo dobre wrażenie. Krążyłem po mieszkaniu i po mieście. Paryż wszystko upiększa, wiesz? Pamiętam cię tam. A teraz tutaj. Podróż tam i z powrotem.

Nie odpowiadam. Nie wiem, co powiedzieć. Czuję się jak rozbitek na morzu słów, nie potrafię mu dorównać.

– Chodźmy.

Na końcu języka mam pytanie: dokąd?

Étienne czyta mi w myślach. Nagle ogarnia nas niespodziewana nieśmiałość. Idziemy w milczeniu.

– Do twojego hotelu – odpowiada.

W pociągu udaję, że śpię, bo sen nie chce przyjść. Tilde jedzie w milczeniu. Raz za razem wracają do mnie wspomnienia tej nocy, kiedy nie padły prawie żadne słowa. Próbuję się uspokoić, szukam klucza i ostrożnie otwieram drzwi do swojego pokoju, żeby nie hałasować na korytarzu. Zamykam drzwi, jakbym zamykała też swoje życie. A może czuję, że wreszcie się otwiera? W tamtej chwili nie zadaję sobie jednak pytań. Dotyka mojej twarzy i całujemy się, płacząc, na stojąco, oparci o drzwi. Jego łzy zdają się różnić od moich, ale kiedy się łączą, stają się po prostu łzami. To wszystko zdecydowanie dzieje się naprawdę. Mój szloch też jest prawdziwy. Pocałunki mają słony smak, ale kiedy zaczynam obsypywać nimi całą jego twarz, przebija się słodki smak skóry.

Dłonie Étienne'a spoczywają na moich ramionach, teraz już nagich. Próbuję się kontrolować. Próbuję się opanować. Delikatnie muska moje barki, przedramiona, nadgarstki i palce.

Nie zapaliłam światła. Uliczne latarnie oświetlają każdy kąt malutkiego pokoju hotelowego w Grenoble. Odtwarzam jego ciało, szukam skóry, która pojawia się pod koszulą. Próbuję zachować powściągliwość, ale nic z tego. Okazuje się, że nie zapomniałam, czym jest pożądanie. O nic nie pytamy, nic nie ustalamy. Idziemy dalej.

Trudno jest rozmawiać, myślę.

Muszę wiedzieć.

To on mnie obejmuje.

Staje za moimi plecami.

Odsłania moje piersi.

Serca biją jednym rytmem.

Oddycham szybciej.

Jego broda przesuwana się po mojej szyi.

Sięgam dłonią między jego nogi, a on – między moje.

Nadal stoimy.

Nic nie mówi, tylko oddycha.

Nic nie mówię, tylko oddycham.

Pulsuje w moim ciele.

Tak.

Odpowiadam na pytania, które sama sobie zadaję.

Poddaję się. Idziemy w stronę łóżka, twierdzy bez murów ani wartowników, dostępnej, gdzie możemy bez żadnych przeszkód zatracić się we wspólnej ucieczce.

Zapominamy się.

I odnajdujemy.

Nareszcie.

Potem zasypiam na jego piersi. Śnię o duchach. Uspokaja mnie widok Étienne'a oddychającego łagodnie z głową zwróconą w stronę ulicy. Dłoni dotyka moich włosów, czuję, że bawi się moim pępkiem, który już od kilku tygodni zmienia kształt, wypycha się na zewnątrz. Patrzy na mnie, a ja oddycham spokojnie.

Mogę odetchnąć z ulgą.

Nie wiem, czy o mnie myślał, ale ja o nim tak. Znajduję jego dłoń wśród pościeli, chwytam mocno, jakbym szukała odpowiedzi. Étienne ściska moją dłoń, splata palce z moimi, kładzie sobie na piersi – czuję jego oddech i bicie mojego serca w jego sercu.

„Nie opuszczaj mnie” – myślę.

Kładę na stoliku w pociągu zdjęcie, które podarował mi Étienne – ojciec i syn, wówczas nastoletni, uśmiechający się do życia.

Za oknem kwiaty przebijają się przez śnieg i czuję się tak jak one.

Wciąż czuję smak jego ust. Dlatego mocno zaciskam wargi. Jestem rozbita i zmęczona, bo prawie nie spaliśmy. Muszę porozmawiać z Tilde. Tylko ona rozumie prawdy, bo potrafi bawić się kłamstwami. Nic mi nie przyjdzie z milczenia. Inna, zniekształcona wersja wczorajszych zdarzeń tylko zmąci rzeczywistość.

Wpatruję się w fotografię, ale kątem oka zauważam, że Tilde odwraca się w moją stronę. Długo przygląda się zdjęciu ojca i syna, które zostawiłam na stoliku dzielącym tym razem nasze siedzenia, a potem oświadcza lakonicznie:

– Bardzo się cieszę. Będziesz szczęśliwa.

*

Paryż piękniejsza. Wszystkich. I ukrywa to, czego nie trzeba opowiadać. Mercedes na zawsze zdjęła ze ściany salonu zdjęcie męża, to które wisiało obok zegarka kieszonkowego. Na swój sposób go pochowała. Powiesiła na tym miejscu

pocztówkę z wieżą Eiffla. Zdjęcie O. ma teraz Tilde, zabrała je spośród starych szpargałów. Złożyła na pół i nosi w kieszeni. Związek, którego nigdy nie miała. Najkrótszy, a zarazem najdłuższy: korytarz, łóżko i pożegnalna rozmowa. Dominique Brulé przygotował kolację i usiadł sam w salonie, ze swetrem Violety, który przypomina mu o Julie.

Każdy przypomina nam o kimś innym.

Ptaka przysiadł niespokojnie na parapecie, zdeorientowany – wygląda, jakby uciekł z klatki. Dziobie dookoła w poszukiwaniu pokarmu.

A w budynku po drugiej stronie ulicy gaśnie światło.

*

Kiedy pociąg zniknął z pola widzenia, zapadła nagła cisza, jak po burzy. Zostałem sam na peronie. Łzy szczypały mnie w oczy, ale nie mogłem mrugnąć. Pociąg odjechał, a razem z nim Violeta. Wiedziałem, że właśnie w tej chwili mój ojciec umiera w swoim pokoju, bo poczułem jego dłoń na ramieniu, dokładnie jak na zdjęciu, które podarowałem Violecce. Niewidzialna dłoń spoczywała na moim karku, jak wtedy, gdy szliśmy ulicą i opowiadał mi, jak długo trzeba wypiekać chleb, co zrobić, żeby ciasto dobrze wyrosło, i gdzie można dostać najlepszą mąkę. Nabierał garść i wiedział, czy będzie idealna do jego pieca, „naszego pieca”. Niewidzialna dłoń trzymała mnie prosto. Młody strażnik pilnujący dworca wyszedł spojrzeć na tory i musiało mu się mnie zrobić żal, bo odwrócił się na pięcie i szybko wrócił do budynku. „Tato”. Opadłem na ławkę, osłabiony poczuciem absolutnej pustki, a dłoń ojca, wspierająca się całym ciężarem na moim ramieniu, otarła łzy, które zaczynały spływać mi po twarzy.

„Nie jesteś sam”.

„Jestem sam, tato”.

„Mylisz się. Opiekujesz się matką, troszczyłeś się o mnie. Ale nie strać nigdy tego, co ja straciłem”.

„Tato, powiedz mi, że jesteś szczęśliwy. Czuję się przytłoczony”.

„Możesz odnieść wrażenie, że czułem się przez ciebie niekochany, ale to nieprawda. Byłeś dobrym synem, Étienne, byłeś dla mnie dobry. Może nie potrafiliśmy się porozumieć. Czasem tak się zdarza. Słowa nie są moją mocną stroną. Ale chcę ci powiedzieć coś jeszcze, zanim zniknę jak tamten pociąg: bądź dobrym ojcem”.

„Skąd będę wiedział?”

„Będziesz wiedział”.

Chciałem dotknąć dłoni, która coraz słabiej ścisnęła mnie za ramię, i znalazłem siebie samego. W ustach czułem smak drożdży i zakwasu. Wszystkie łzy, powstrzymywane przez ponad czterdzieści lat, zaczęły płynąć niczym ulewny deszcz, zdolny w kilka dni zatopić całe Grenoble. Może moim przeznaczeniem było naprawić błędy, nadrobić to wszystko, czego – jak teraz mi się wydawało –

mu nie dałem. Zostać dobrym ojcem.

Na sąsiedni peron wjechał pociąg.

Podróżni zaczęli rozkładać parasolki i peron wypełnił się ludźmi. Wołali: szybciej, leje, wsiadajcie! Byłem przemoczony. Nie wiem, ile czasu upłynęło między odjazdem jednego pociągu a przybyciem drugiego. Otaczał mnie tłum.

Podniosłem wzrok. W pewnej odległości jakaś para całowała się pod parasolem. Pozostali pchali się z walizkami w stronę wyjścia otwartego wcześniej przez strażnika. Tego, który uciekł przed moim bólem. Zamyśliłem się nad życiem. Przyjazdy i odjazdy. Życie też przychodzi i odchodzi. Tłumy podróżnych pod parasolami, deszcz spływający strumieniami z peronów na tory, powitania, uściski, pośpieszne pocałunki i bieg do samochodów. Ten widok sprawiał mi przyjemność. Znowu poczułem, że silna dłoń ojca ściska mnie za ramię i głaszcze po karku.

Do dziś często dotykam ramienia i szukam dłoni ojca. Mój syn robi to samo. Nie rozumiem, jak mógł odziedziczyć po mnie ten gest.

Kiedy przyjechaliśmy do Madrytu, w kinie przy Gran Vía wyświetlali *Piękne dni*. Uznałem to za dobry omen dla naszej nowej przygody. Violeta chciała się spotkać z rodzicami, a mnie – Francuza zagubionego wśród obcego języka i nieznanego otoczenia – w chwili przekroczenia granicy wypełniła nadzieja. Nazywają to odpornością. Ja czerpałem tę siłę z miłości. Ojciec mawiał, że kiedy dokądś się udajemy, zawsze musimy coś za sobą zostawić. Nie pamiętam dokładnie jego słów, jestem pewien, że ujął to jakoś inaczej. Ale w tej nowej podróży nie przejmowałem się tym, co za sobą zostawiam. Po jego śmierci bez trudu przystosowałem się do nowej sytuacji. Spodziewałem się, że przez długie lata będę musiał znosić ból, żałować, że pojawiłem się w jego życiu dopiero u jego kresu, ale myliłem się. Najważniejsze, żeby się pojawić, mniejsza o to kiedy. I rozmawiać.

I to właśnie teraz robiłem, nie przestawałem mówić do dziecka. Gadałem, gadałem, gadałem... Aż w końcu Viole powiedziała: „Będziesz miał jeszcze dużo czasu, mały nie odstępuje cię nawet na krok”. „Nie, nie” – myślałem, wycierając obśliniony podbródek malucha – „nie wiem, ile jeszcze zostało mi czasu, ani czy ten czas upłynie tak, jak tego oczekuję”. To dlatego niemal od pierwszego dnia upierałem się, żeby nosić go blisko przy piersi, tak by czuł moje tętno, bicie mojego serca, mój oddech i myśli. Karmiłem go, przewijałem, usypiałem, a tymczasem Violeta, jego matka, patrzyła na mnie z pełnym przekonaniem o słuszności swojego wyboru. Takie rzeczy widać. Może to tylko przypadek, los, życie, nawet kwiaty Dominique’a Brulého. Tak czy inaczej, zaczęliśmy żyć na poważnie.

Przyjąłem papierosa, którym poczęstował mnie jej ojciec, kiedy już się rozgościliśmy. Dla mojego „teścia” rozmowa na świeżym powietrzu nierozzerwalnie wiązała się z wyjściem na papierosa. Usiedliśmy na tarasie, żeby – jak powiedział – „nie przeszkadzać dziewczynom w ich sprawach”. Ja osobiście wolałbym spędzać czas z nimi, bo to tam był mały. Od lat też już nie paliłem, ale trzeba się zintegrować z rodziną, a papieros najlepiej się do tego nadawał. Wyznaczał rytm rozmowy, kazał pilnować rozżarzonej końcówki, strzepywać popiół, uważać na wiatr, zaciągać się głęboko i zawieszać na chwilę głos. Taka rozmowa to nie rozmowa – tytoń precyzyjnie bojkotuje każde słowo – ale bez papierosa w dłoni chyba bym sobie z nią nie poradził. Z uporem maniaka wypytywał, co przez te wszystkie miesiące Violeta robiła w Paryżu, dlaczego o niczym nie wiedzieli, dlaczego nie poinformowała ich o porodzie... A co ja mogłem mu powiedzieć? Potakiwałem, jakbym przyznawał mu rację, a on zrozumiał, że sam nie mam pojęcia nawet o małej części tego, o co pyta. A przynajmniej udawałem, że nie mam o niczym pojęcia. I tak, między dymem

a popielniczką, obaj świetnie rozumieliśmy to, czego się nie mówiło albo nie chciało powiedzieć na tamtym balkonie porośniętym pnączami.

Violeta wraz z matką siedziały w salonie, tyłem do nas, z dzieckiem w ramionach. Co jakiś czas odwracały się w naszą stronę i nasze spojrzenia się spotykały. Uśmiechałem się wtedy. Jej matka też.

– Żałuję, że nie byłem przy córce przez cały ten czas. Na pewno potrzebowała tysiąca różnych rzeczy. Wpłacaliśmy jej tylko pieniądze na konto. Sam wiesz. Chodzi mi o to, że jestem jej ojcem, a nie zachowywałem się, jak na ojca przystało. Ale Viole taka jest, silna, uparta i niewzruszona w swoich przekonaniach. Zawsze miała też w sobie coś z buntowniczką. Jeszcze się przekonasz. Domyślam się, że... ty...

Przyjrzał mi się badawczo wzrokiem pełnego obawy ojca. Zrozumiałem go bez słów.

– Tak, kocham ją.

Wyteńczyłem słuch, bo z domu dobiegały mnie ich głosy.

– Cieszę się. Nie wiem, co powiedzieć.

– Rozumiem.

– Jednocześnie martwię się i jestem szczęśliwy. Nie potrafię ubrać tego w słowa.

Wyciągnął do mnie rękę, jakby chciał przypieczętować rodzinny pakt, poczuć na własnej skórze słowa, które przed chwilą wypowiedział. Choć nigdy nie rozmawiał dużo z córką, naprawdę ją kochał. Może to kwestia wieku, może ojcowie rzadziej są blisko z dziećmi, może matki nie wpuszczają ich na to terytorium, może my, mężczyźni, przychodzimy na ten świat z jakimś defektem. A może po prostu w prawdziwym życiu nie ma scenariusza ani narratora. Mija. I nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak i kiedy mija.

Przyjąłem drugiego papierosa, bo uznałem to za dobry sposób, żeby okazać mu, że nie tylko kocham jego córkę i wnuka, lecz także cieszy mnie poznanie świeżo upieczonych dziadków.

– Spodoba ci się Madryt. Możecie wracać, kiedy tylko chcecie. Zaraz damy wam klucze.

I tak zrobił.

Podniosłem wzrok. Violeta stała nade mną z naszym synem na ręku.

– Weź go.

Nasze dwie różne dłonie splotły się, kiedy przekazywała mi małego. Nie potrafiłem powstrzymać wzruszenia, kiedy go przytulałem. Violeta o tym wiedziała. Chciała, żeby rodzice zobaczyli łzy w moich oczach. A może sama chciała doświadczyć siły moich uczuć. Pot niemowlęcia i świeża woń oliwki zmieszały się z moimi łzami. Przełknąłem ślinę. „Jak proste jest czasem życie” – pomyślałem, moszcząc małego w ramionach. Przejmowałem terytorium, ale jej to

odpowiadało. Nie było nic więcej. Byliśmy tylko rodziną stojącą na balkonie budynku w wielkim mieście. A jednocześnie stanowiliśmy centrum wszechświata. Wtedy rozpoznałem szczęście. Popatrzyłem na maciupęńkie palce z idealnymi paznokciami, stópki podrygujące na moich kolanach, młójące niespokojnie jak wiatrak, uśmiech i dwa dołeczki, które czyniły z niego najśliczniejsze dziecko na świecie.

– Ale podobny! Skóra zdjęta z ciebie.

– Prawda, mamó? – zawtórowała Violeta, patrząc na mnie.

Serce waliło mi jak oszalałe, więc tylko uśmiechałem się uprzejmie.

Violeta powtórzyła słowa matki:

– Podobny do ciebie, Étiennie, skóra zdjęta.

Spojrzałem na Violę i wyszeptalem:

– Kocham cię.

Poczułem dłoń ojca na ramieniu.

A łapka syna sięgała do mojej brody.

– Violę, kochanie, zaraz przyniosę twoje zdjęcia. Sam zobaczysz, Étiennie, jaka była w dzieciństwie. Po urodzeniu miała tyle włosów! Jak miś. Od początku można było ją czesać.

– Mamó, błagam, przestań. Nie trzeba.

– Trzeba, trzeba. Niech cię zobaczy.

– Powinnam była je zniszczyć.

– Dobrze, że schowałam je w bezpiecznym miejscu. Już ja cię znam. – Niemal wbrew sobie Violeta wybuchnęła śmiechem.

Wkrótce matka wróciła na taras z albumem, na którego pożółkłych stronach Violeta w tysiącu różnych ujęć bawiła się piłką, jeździła na trzykołowym rowerku, siedziała w szkolnej ławce z dwoma warkoczykami, umalowana na Meksykankę szykowała się na bal na koniec roku, przytulała łysą lalkę, wystawiała język w stronę aparatu, z lodami w ręku i dokumentnie poplamioną sukienką, czarowała w przebraniu wróżki, machała ze szczytu diabelskiego młyna, ledwo widoczna... „To ona, na festynie – powtarzała matka. – Była wspaniała, cudowna...”

– Mały daje wam spać?

– Tak – odparłem.

– No widzisz. Nie wdał się w Violę. Ona była jak mały wulkan.

– Mamó, błagam.

– Poczekamy, aż dojdzie do studiów... – dodał ojciec ze śmiechem.

– O co ci chodzi?

– O to, że nie musisz akurat dziś opowiedzieć mu całego życia naszej córki.

Biedaczyna.

Violeta zagryzła wargi i otarła dziecku czoło mankietem. Potem objęła mnie ramieniem i pocałowała malucha.

Pocałowała małego i mnie.

Zanim jej matka szczęśliwie dotarła do późnej nastoletniości Viole, ojciec wyczerpał cały arsenał porozumiewawczych min i gestów. Pytał mnie, skąd mam do nich tyle cierpliwości, próbował pomóc mi się ratować. Nie domyślał się nawet ogromu mojej radości.

Nie pamiętam, ile czasu spędziliśmy na tarasie. Nie docierało do mnie nic poza dołeczkami w policzkach chłopca i w moich. I tym, że kiedy się uśmiechałem, mały mnie naśladował.

– Będzie nosił oba nazwiska, prawda? – zapytała nagle matka.

– Nie myśleliśmy jeszcze o chrzcinach, mammo.

– Domyślam się, ale ja mówię o rejestracji w urzędzie. Francja czy Hiszpania? Bo tam wpisują tylko jedno nazwisko. Nasze przypadnie.

– Mammo, nasze zawsze przypadnie. Czy tu, czy tam. Co za różnica?

– Czyli mały jest Francuzem?

– Oczywiście. Tam się urodził.

– Dobrze, będzie znał dwa języki. Dzieci bardzo szybko się uczą.

– Jesteś niewiarygodna, mammo.

– Mówiłeś, że twój ojciec był Hiszpanem, prawda? Emigrował?

– Tak. Mały będzie więc miał hiszpańskie nazwisko.

– Ach, to dobrze.

– Ojciec był emigrantem. Nie z pierwszej fali, ale postanowił wyjechać. Jesteśmy z Grenoble. Tam się urodziłem, tam mieszka moja matka. Zapraszamy. To piękne miejsce, jeśli nigdy tam państwo nie byli...

– Nie byliśmy. Chętnie się wybierzemy. Trzeba będzie się poznać z rodzicami – odparła, patrząc na męża.

– Mammo, jego ojciec niedawno zmarł.

– Ach, przykro mi, kochanie.

– Nic nie szkodzi – odparł, żeby ulżyć jej zakłopotaniu. – Narodziny dziecka wszystko zmieniły.

Violeta się uśmiechnęła.

– A ślub planujecie?

– Nie śpiesz się tak, mammo.

– To ty się wyraźnie pośpieszyłaś, córeczko.

– Zobaczmy. Na razie spędźmy spokojnie te święta.

Ojciec gwałtownie zatrzasnął pożółkły album leżący na stole i podszedł do popielniczki.

– Nie pal przy dziecku.

– Nie zamierzam. Chociaż mam dużą ochotę.

– Co powiedziałam nie tak?

– Kobieto, pozwól im żyć we własnym tempie. Nie zadawaj tylu pytań...

- To nerwy.
- W takim razie spróbuj się trochę uspokoić.
- Wszystko robię nie tak. Twojemu ojcu nigdy nie pasuje to, co mówię.
- Mamo, nie zaczynaj.

Matka przeczesła włosy dłonią i westchnęła.

– No dobrze, może lepiej wejdźmy do środka – odparł ojciec. – Zjemy coś. Trochę tu wieje, to źle dla dziecka.

– Dziękuję, tato.

– Ten wasz szkrab to sama radość. Taki spokojny i ciągle uśmiechnięty. Rzeczywiście podobny do Étienne’a – dodał.

– Bogu dzięki – odparła Violeta.

Matka Violety nie należała do osób, które zachowują się wbrew oczekiwaniom, a teraz postawiła na głowie wszystkie schematy. Zapewne chciałaby być jak własna córka, ale córka chciała być taka jak ona. Życie jest pełne paradoksów.

Matka otworzyła nam drzwi i poszliśmy za nią do salonu. Radio zostało włączone, grali właśnie jakąś piosenkę Piaf.

– Co za przypadek! – Byłem zaskoczony. – To samo leciało wtedy w herbaciarni w Grenoble. Pamiętasz, Viole?

– To żaden przypadek. Nie mogę przestać jej słuchać.

– Ja też – odpowiedziałem, choć o nic nie zapytała.

*Już nie będzie łez,
już nie będzie słów.*

„Dobrze jest jak jest, tylko taki kąt mały kąt mi wskaż, gdzie twój słychać śmiech” – zaintonował Étienne.

*Chcę, gdy słońca krąg
wzędzie – być co dnia
cieniem twoich rąk,
cieniem twego psa.*

Niemowlę siedziało ciągle z łapkami na piersi, nie ruszyło się nawet o włos. Na jego twarzy malował się spokój, jakby świetnie rozumiało, co się wokół niego dzieje. Poruszało paluszkami i z uśmiechem wygrywało coś w powietrzu na niewidzialnych klawiszach. Po chwili ciszy, jednej z wielu, kiedy patrzyło na mnie spokojnie, powiedziało łagodnie:

– Ta-ta.

Zapisane tu, w powieści, wydaje się to cikliwą bzdurą wrażliwca z oczami mokrymi od wzruszenia. I tak jest. Ale tylko dlatego, że nie słyszysz tego słowa tak, jak ja usłyszałem je w tamtej chwili. Obraz tamtego idealnego małego człowieczka w białej pieluszce budził najcieplejsze uczucia. A teraz właśnie powiedział coś do mnie.

Wstrzymałem oddech. Violeta spojrzała na mnie i powstrzymała się od komentarza. Nie wiem, czy oczekiwała, że jego pierwszym słowem będzie „mama”, czy było jej wszystko jedno. Tak czy inaczej uśmiechnęła się na ten dziecięcy wtęret do rozmowy grupki dorosłych.

Przyglądałem mu się, kiedy formułował sylaby. Ta-ta.

– Słyszałaś, Violeto? Ten mały jest...

– Twoim synem, Étiennie.

Babcia zasłoniła twarz rękami, zza których dobiegały głośne salwy śmiechu, a reszta poszła w jej ślady (choć ja śmiałem się przez łzy), przyglądając się dziecku leżącemu z szeroko otwartą buzią. Dziadek oparł dłonie na moich ramionach, tak jak zwykł robić mój ojciec, a potem uściśnął je na znak przyjęcia do rodziny.

– To jedna z tych rzeczy, które zapamiętasz na całe życie – powiedział zadowolony. Matka zdawała się mieć coś na końcu języka, ale się powstrzymała.

Nie mogłem oderwać oczu od twarzy chłopczyka, a on – od mojej.

Zrozumiałem, że czasem rzeczy po prostu się dzieją.

Tak toczyło się życie. Dobrze układało nam się z Violetą. Synek rósł zdrowo i wkrótce zaczął stawiać pierwsze kroki, a ja trzymałem go za rękę. Kładliśmy się razem na poobiednią drzemkę, a Violeta robiła nam zdjęcia, kiedy spaliśmy. Wkładał paluszki w moje dołeczki w policzkach, a ja – w jego. Bawiliśmy się. Śmiaaliśmy. Wyglupialiśmy. Ganialiśmy po kuchni. Skakaliśmy po łóżku. Najbardziej lubiliśmy grać w przedpokoju w piłkę nożną pluszakami i ścigać się na rowerach, ale dotykając ziemi stopami – ja na dużym rowerze, on na trójkołowym rowerku, obaj zdzieraliśmy podeszwy. Dorastał. A ja z powrotem stawałem się osobą, którą kiedyś byłem. Tak dawno, że już o niej zapominałem. Dzieckiem. Skoczyłem na główkę do basenu, a on próbował mnie naśladować. Opił się wody, a ja najadłem się strachu. Ale tak właśnie nauczył się pływać: chciał być taki jak ja. A ja – taki jak on.

Pierwsze wakacje spędziliśmy w Ploumanac’h w Bretanii. Krewni matki mieli domek w okolicy, w rybackiej wiosce Perros-Guirec. Jedna z sąsiadek przyszykowała dom na nasz przyjazd i oto czekał na nas, czysty i pachnący kwiatami oraz świeżo wyprasowaną pościelą. „Będzie tu państwu dobrze” – powiedziała.

Rzeczywiście, było dokładnie tak, jak się spodziewałem: nierealna sceneria wybrzeża i różowawych klifów. Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy na plażę, żeby sprawdzić, czy woda też zabarwiła się na ten kolor. Zaskoczony mały zmarszczył czoło, bo nie do końca pojmował, co właściwie widzi.

– Tato, gdzie jesteśmy?

– W bajce – odparła Viole na widok skał o barwie róży.

– Słyszałaś mamę, jesteśmy w bajce. Spędzimy całe wakacje w kolorowej baśni.

– A ja... Ja kim jestem?
– Jesteś kapitanem wszystkich tych przycumowanych łódeczek.
– Naprawdę?
– Pewnie, że tak.
– A ty kim jesteś, tato?
– Ja jestem twoim majtkiem i razem będziemy pływać między klifami.
– A mama?
– Mama jest... – przyglądałem się przez chwilę, jak wiatr targał jej włosy, kiedy tak wspinała się po skałach – królową morza.

W świecie ziemskich spraw

miłowanie twe

będzie pierwszym z praw.

Maluch wahał się przez jakiś czas, ale nie zdołał oprzeć się ciekawości i dotknął ręką podłoża.

– Ale... Dlaczego są twarde, skoro są różowe?

Pochyliłem się do przodu, razem z nim, żeby przyjrzeć się pejzażowi wyobraźni. Dostałem gęziej skórki. To było jak mieszanka magii i rzeczywistości, fantazji i morza. Obaj na kolanach dotykaliśmy zaróżowionych skał.

Violeta odgarnęła włosy z twarzy i odpowiedziała:

– Widziałeś kiedyś na niebie chmury w takim kolorze?

– Tak, mamo.

– No więc dawno, dawno temu pewna czarownica zamieniła chmury w kamienie...

– I nigdy już nie będą znowu chmurami, mamo?

– Będą. Kiedy wszyscy będą się bardzo mocno kochali, znowu będą chmurami...

– Będą mięciutkie?

– Tak. Znów będą kłębkami waty.

Faktycznie mieliśmy do czynienia z królową.

A ja, jak w piosence Jacques'a Brela, byłem jej królem.

Violeta zjednywała mnie każdym pocałunkiem, mały też. Zostawiali mi liściki napisane do spółki, imiona wysmarowane umoczonymi w farbie palcami na kartkach przypiętych do drzwi.

Wspominałeś o życiu, narratorze? Raczej o Życiu.

Tak żyło nam się z Violetą i małym.

Świadomi, że nie jestem miłością jej życia. Ale ona tak. Ona była miłością mojego życia. I zdecydowałem, że tak zostanie.

Przez długie lata powtarzaliśmy sobie bajkę o chmurach zaczarowanych przez wiedźmę. Stała się swego rodzaju legendą, którą musiałem nieskończenie wiele razy opowiadać małemu przed zaśnięciem. Mościł się wygodnie w łóżku,

jakby zapraszał go już sen, wyciągał ręce na kołdrę, poprawiał poduszkę i znowu prosił o bajkę.

– Tata, jeszcze raz.

Jeszcze raz.

– Ale już późno...

– Która godzina to późno?

– Po dziesiątej.

– Ale nie śpimy, tato.

– Pewnie, że nie, ale powinieneś już spać. Jutro szkoła.

– Jeszcze raz.

Zawsze „jeszcze raz”. Ani tak, ani nie. Życie to zawsze „jeszcze raz”. I tak mały związał się w kłębek w pościeli w statki, a ja siadałem w nogach łóżka i zaczynała się opowieść. Za pierwszym razem mowa była tylko o chmurach zamienionych przez czarownicę w skały. Wyobrażaliśmy sobie jej spłowiałe łachmany i czarny kapelusz. Potem stopniowo stworzyłem zamek zamieszkały przez olbrzymie ropuchy i malutkie koniki na krótkich nogach. Uzupełniliśmy inwentarz o karoce z dyni, strażników przebranych za kaktusy i muzykę z niewidzialnych instrumentów. Później zaczął się zastanawiać, jak można złamać zaklęcie, żeby skały znów stały się chmurami. Kiedy zasypialiśmy w naszym domu w Paryżu, obiecywałem mu, że niebawem wrócimy do Ploumanac’h, bo tamtejsi rybacy nie mogą porządnie przycumować łódek i potrzebują pomocy: skały zmieniły się w watę.

– To jak teraz przywiązują łódki?

– Nijak. Spędzają całe życie na morzu.

– Podoba mi się to. Nie chcę wracać. Jeśli wrócimy, przestaną pływać.

– A nie chcesz zobaczyć chmur, w które zmieniły się tamte klify?

– Nie. Wolę, żeby statki nie przestawały pływać.

Coraz częściej czułem, że mnie podpuszcza: chciał po prostu, żeby opowieść o Ploumanac’h nieustannie rozrastała się o nowe szczegóły. Czasem śniło mi się imię „Paulina”, więc postanowiłem tak nazwać dobrą wróżkę, która zdjęła zły czar.

– To Paulina – wyszeptalem – sprawiła, że możemy tam wrócić. Wiesz, skąd to wiem?

Uniósł wysoko brwi i popatrzył na mnie badawczo.

– Przyśniło ci się. Wymyślasz to sobie. Dobranoc, tato.

– Jeszcze ci o niej opowiem.

– O Paulinie? Znam ją. Widziałem ją w bajkach mamy.

I tak mijało nam życie. Bo życie nie potrzebuje benzyny, żeby płynąć, za paliwo wystarczają mu dni, a one zawsze przychodzą. I odchodzą. Odchodzą zbyt szybko, zwłaszcza kiedy chcielibyśmy, żeby mijały powoli. Kiedy indziej zaś ciągną się długo, choć wolelibyśmy, żeby umykały niepostrzeżenie. Nie ma

wyboru, to nie my rządzą. Uważasz się za kapitana statków wyhaftowanych na pościeli syna, bo wybrałeś ją razem z nim, żeby śnił o wielkich przygodach. A jednak życie – prawdziwe życie, nie to z książek i bajek – biegnie lekko, nawet go nie zauważamy. Jednego dnia oplakujesz kolano rozbite przy upadku z roweru podczas wyścigów z kolegami i ani się obejrzyś, jak ta sama krew, ocierana kiedyś przez mamę, płynie z rany na palcu przyciętym szufladą w biurze. Ale nie ma już mamy, która by podmuchała, pocałowała bolące miejsce i powiedziała: „Do wesela się zagoi”. I choć świetnie pamiętasz, że nie rozumiałeś właściwości leczniczych takiej terapii, to oddałbyś wszystkie lata, żeby jeszcze raz usłyszeć te pocieszające słowa. Jeszcze wczoraj strzelałeś z procy do jaszczurek przemykających bez ogonów pośród chwastów i krzaków. Dziś ściszasz telewizor, żeby nie słyszeć doniesień o kolejnych wojnach. Bo wtedy bitwy toczyły się o skrawek podwórka albo o dziewczynę. Czas ucieka i nie zdajesz sobie z tego sprawy. Czasem zatrzymujesz się na światłach i przegapiasz zielone, bo wpatrujesz się w chmury zwiastujące burzę. Czasem podnosisz żaluzję, żeby wpuścić słońce. Czasem w dawno nieczytanej książce odkrywasz zapomnianą fotografię. Przedstawia twoją babcię, kiedy wytarła już w fartuch pokryte mąką ręce, poprawiła kolczyki, ściągnęła włosy w schludny kok i uśmiechnęła się do zdjęcia. Pstryk! Zatrzymano chwilę. Zatrzymano życie. Teraz możesz ją schować pomiędzy kartki tej książki, którą zresztą zaraz zamkniesz, bo boli cię świadomość, że nie chciałeś spróbować żadnego z jej dań. „Frytki, babciu, chcę frytki!”. Więc smażyła frytki specjalnie dla ciebie. Życie okrutnie nam ucieka, niesprawiedliwie prędko, kiedy zamykasz tę książkę, kiedy zmienia się światło, kiedy ściszasz telewizję, kiedy wraz ze śliną przełykasz wspomnienia.

Dziś z synem potrzęsaliśmy szklaną kulą ze śniegiem. I w tej plastikowej burzy było życie. Trzymaliśmy ją w rękach i razem patrzyliśmy, jak wszystko uspokaja się w końcu na jej dnie.

Życie to zawsze „jeszcze raz”.

Jeszcze raz.

Na urodziny małego cała nasza trójka wróciła do Madrytu. Dzieciak uwielbia podróżować samolotem, zawsze zapina pas i uważnie przygląda się stewardesie odgrywającej pantomimę do nagrania o bezpieczeństwie lotu. Podczas gdy dziewczyna udaje, że zakłada maskę tlenową i nadmuchuje kamizelkę ratunkową, wskazuje wyjścia awaryjne i podnosi wysoko kartkę z instrukcjami, ja patrzę na niego, bo to on daje mi poczucie bezpieczeństwa. Jego uśmiech, kiedy samolot odrywa się od ziemi, i nadzieja, że wszystkie chmury będą tak różowe, jak te w Ploumanac’h. Patrzy na mnie i drwi:

– Widzisz? Zawsze wiedziałem, że to nieprawda. Tamto to po prostu skały. Kamienne skały.

– Kiedyś ci się to podobało.

- Teraz już jestem dorosły.
- Nawet mi się nie waży dorastać!
- Dlaczego, tato?
- Nie ma się co śpieszyć.

Nigdy bym nie pomyślał, że tyle radości sprawią mi tamte urodziny, jedzenie, pięć świeczek... Pragnąłem spokojnego życia, w którym najważniejsze są proste, codzienne rzeczy. Jakże bym chciał zatrzymać czas, zaciągając hamulec w tych wyjątkowych, ulotnych momentach: od chwili gdy mały zdmuchnął wreszcie, na kilka razy, już prawie wypalone świece, aż do wspólnego nurkowania w basenie kolorowych piłeczek, gdzie pomagaliśmy mu znaleźć prezenty. Wszystko zdawało się mieszać z niezrozumiałą chęcią odczuwania szczęścia i nieustającym strachem, że to się może skończyć. Chciałem zachować w pamięci każdy gest, każdy ruch, nawet najbardziej zwyczajny. Być może z powodu tęsknoty za ojcem prześladowało mnie poczucie, że zmarnowałem czas, i nie chciałem powtarzać tego błędu.

W tej swego rodzaju grze z losem cieszyłem się z tego, kim byłem i kim nie byłem wcześniej. Ale dziecko sprawiało, że jedne rzeczy traciły wagę, a inne jej nabierały. Potrafiłem po uśmiechu poznać, kiedy kłamał, a kiedy chciał się pobawić.

Patrzeć.

To wystarczało. Patrzeć i nie uronić ani chwili.

Violeta sprzątała jeszcze papier z prezentów, ale postanowiliśmy zejść i zaczekać na nią na ulicy, bo jubilatowi się śpieszyło. „Chodź, tato, chodźmy!”.

- Zaczekamy na dole.
- Gdzie?
- Pójdziemy do tej lodziarni na Quevedo, do Włochów.
- Niedługo przyjdę, zaczekajcie na mnie.

Dzieciak uwielbiał lody truskawkowe, tak jak ja. Może dlatego, że to trochę tak, jakbyśmy jedli kamienne chmury, o których fantazjowaliśmy w Ploumanac’h.

- Jak się nie pośpieszysz, to wszystko zjemy, mamo.
- A ja cię zjem na obiad z ziemniakami, jeśli nawet pomyślisz, żeby zrobić coś takiego!

Zbiegliśmy schodami z mieszkania moich teściów, goniąc się po półpiętrach w sztafetowym wyścigu, w którym zamierzaliśmy – przyznaję – dzwonić po kolei do wszystkich mieszkań, żeby zakłócić sąsiadom sjęstę. Nic takiego nie zrobiliśmy, ale obaj mieliśmy na to ochotę.

Opróżniliśmy skrzynkę z reklam i na ulicy zaczęliśmy składać łódki z papieru. Złożyć na pół, zrobić piramidkę, zawinąć brzegi, włożyć palce, rozszerzyć trójkąt, jeszcze raz zgiąć i otworzyć. *Voilà*. Następny statek. Zostawialiśmy je na koszach na śmieci i drewnianych ławkach, jakbyśmy chcieli

zmienić Madryt w nadmorską miejscowość.

Wracały poplątane wspomnienia moich hucznie obchodzonych wraz z mamą urodzin. Na początek cesałem się, obficie spryskując włosy wodą kolońską i ekierką wyznaczając równy przedziałek, ubierałem porządnie w czapkę i szalik, i szedłem do babci na gorącą czekoladę. Kiedy wychodziłem ze szkoły, czekałem już tylko na to, żeby jeść, jeść, jeść. Nigdzie indziej nie widziałem czekolady tak gęstej jak ta podawana przez babcię – można było kręcić filiżanką na wszystkie strony, ale chociaż zanosilo się na słodką powódź, nie wyciekała ani kropla. „Nie ryzykuj, nie ryzykuj” – mawiała. Ale ja i tak ryzykowałem, mrużyłem oczy, jakbym był Chińczykiem, stawiałem sobie filiżankę na głowie i przechylałem ją coraz bardziej, jeszcze troszkę, jeszcze odrobinę. „Przestań, Étiennie, wystarczy”. Najpierw jedliśmy coś tylko we trójkę: ja, mama i babcia, a potem zapraszałem kolegów i salon wypełniał się balonami i prezentami.

Mój mały kładł właśnie jedną z łódek na ławce w drodze na Quevedo, kiedy przypomniał mi się mój kolega Jacques, w ulotnym, oderwanym obrazie: przywiązaliśmy mu balony do włosów, a on niewzruszony pochłaniał dalej czekoladę, tłumacząc, że podobno zawiera dużo żelaza. Siedział za stołem, z serwetką pod szyją i balonami we włosach, i pił dalej filiżankę za filiżanką, aż w końcu beknął głośno jak silnik traktora. „Pęknie!” – mówiliśmy mu. On jednak się tym nie przejmował. Krzyczeliśmy, wpychaliśmy sobie balony pod bluzki. Potem wpadaliśmy na siebie z rozpędu, żeby pękły od uderzenia, i nie przestawaliśmy się śmiać. Później miałem dowiedzieć się od mamy, że w jego domu się nie przelewało i uważał czekoladę za najwspanialszy rarytas. Dlatego nic sobie nie robił z naszych docinków. Z jednej strony chłopak żłopający jedną filiżankę za drugą, z drugiej – łoża lekko już znużonych szyderców. Zdawało mi się, że słyszę pouczający głos matki: „Nie krytykuj Jacques’a ani nikogo innego, nie dawaj się ponieść krzykom innych. Przede wszystkim dlatego, że nigdy nie znamy prawdziwych przyczyn”.

– Co zamawiasz? – zapytałem syna, który stał przyklejony do przeszklonej lodówki.

– Dwie gałki truskawkowych.

– Nie za dużo?

– Mam urodziny. Mógłbym zamówić pięć, a chcę tylko dwie.

– Spryciarz z ciebie.

W dzieciństwie lody przypominały mi zawsze o śniegu w górach w Grenoble. O korkach na drogach, o tym, jak trudno było wydostać się z domu. Żadne zaskoczenie, zawsze sypało. Ale normalność zmieniała się w święto, kiedy zaczynało prószyć. Poczucie, że już wkrótce ulice będą wyglądać jak z bajki, kazało mi marzyć, by śnieg padał przez wiele dni. Choć teraz wiem, że to, co dla mnie było zabawą, innym poważnie utrudniało życie. W miarę dorastania

zdawałem sobie sprawę – z dziwną melancholią – ze swoistej nostalgii za czymś, co z wiekiem zupełnie zmienia sens.

Z czasem zacząłem podejrzewać, że to, co sprawiało mi przyjemność, dla innych mogło być problemem. Jak te obfite opady śniegu... Próbowałem ukrywać entuzjazm, chęć rzucenia się na ziemię i zrobienia orła. Z tak wielu rzeczy rezygnujemy wraz z upływem czasu. Ze strachu przed wyśmianiem. „Tylko wariat wyszedłby na dwór” – mówili. Ale ja chciałem być wariatem.

– W takim razie co ja mam zamówić? Czterdzieści gałek truskawkowych? Sam zobacz, tak nie może być. Jeśli ty zamówisz tyle gałek, ile masz lat, ja musiałbym zamówić jakieś olbrzymie ilości.

– To nie to samo, tato.

– Podaj mi powód.

– Bo... Dwie gałki mieszczą się w wafelku, a czterdzieści nie.

– *Touché*, dzieciaku, *touché*.

Lodziarz zaczął się śmiać.

Wychodziłem do sklepu tylko po to, żeby móc dotknąć śniegu i znów poczuć się dzieckiem. Przesuwałem dłonią po zaparkowanych po drodze samochodach, zapisywałem swoje imię, palcem rysowałem gwiazdki, nabierałem garść śniegu i ukradkiem rzucałem kulą. Nie robiliście tak? Nie zachowywaliście się jak dzieci, kiedy byliście już dorośli?

– No dobrze, teraz już wszystko jasne. Poprosimy dwa razy po dwie gałki truskawkowych.

Lodziarz skinął głową.

Jednak nie to jest najgorsze. Najgorzej jest wtedy, kiedy myślisz, że robisz z siebie idiotę. Przed kim? Przed sobą. Przekłęte dojrzewanie. Dziś chętnie znów kupiłbym sobie wiatraczek i dmuchał w niego, idąc ulicą. Puszczalbym bańki mydlane i gonił je, żeby rozprysły się od dotknięcia. Zbiegałbym w dół zbocza ze swetrem zawiązanym na szyi i udawał Supermena. Zrywałbym rosnące przy chodniku kwiaty i wręczał mamie bukiety. Śledziłbym palcem trajektorię samolotu, jakbym sam pilotował go z ziemi. Wspinałbym się na drzewa w poszukiwaniu ptasich gniazd i zaplątanych w gałęzie latawców. Chodziłbym w przebraniu do pracy, uwieszał się babci na szyi, śpiewałbym głośno na ulicy, a przede wszystkim poczęstowałbym Jacques'a jeszcze jedną filiżanką czekolady.

– To dla pana, a to dla ciebie.

– Co się mówi? – zmierzyłem syna wzrokiem.

– Dziękuję, proszę pana.

Obróciliśmy się w stronę ulicy i w tej samej chwili zobaczyłem w drzwiach Violetę. Tkwiła w bezruchu. Na ulicy również panował spokój. Oczy utkwiała w spojrzeniu chłopaka, który właśnie sprzedawał nam lody. Patrzył wyzywająco. Choć postanowiłem nic nie mówić, wszystko zrozumiałem. Wyszedłem na ulicę,

trzymając małego za rękę, i zacząłem szukać jakiejś zapomnianej papierowej łódki. Zjedzenie lodu zajęło mi niecałą minutę. A jeszcze mniej czasu potrzebowałem, żeby usiąść przy jednym ze stołów wystawionych na ulicę.

*Cieniem twoich rąk,
cieniem twego psa.*

Nie wiem, ile razy przemierzyliśmy z małym labirynt istniejący wyłącznie w mojej głowie. On nie rozumiał, co się działo, ale ja wiedziałem, że tamten chłopak to Pablo. Powiedziała mi to właśnie tamta cisza. W ich zachowaniu dało się wyczuć rezerwę, powagę. Patrzyli na siebie. „To musiało się stać” – powiedziałem sobie zaniepokojony. Tylko to przyszło mi do głowy. Wydawali się odlegli. Ale tu się myliłem. Bo Violeta i Pablo, tamten Pablo, musieli ponieść karę za dawną miłość. To była miazdząca cisza, cisza myśli. Milczących, bez słów, ale z głośno brzmiącymi wyrzutami. To byli oni. Tamto pierwsze „my”, w skład którego nie wchodziłem.

Cisza stała się tak lepka, że zaczęła mnie dusić.

Powrócił niepokój.

Bardzo łatwo obudzić dawny niepokój.

Nie zniknął, choć mocno ścisnąłem dziecko za rękę. Ani kiedy wraz z lodami przełknąłem dumę. Oni wciąż na siebie patrzyli, a ja zniknąłem.

Z głową pełną wątpliwości postanowiłem nie oglądać się za siebie. Wciąż jednak ich widziałem, słyszałem ten suchy bezgłos. Boże! Ból zabija subtelnie, pozoruje samobójstwo. Stałem i patrzyłem, jak lody topią się w łapkach chłopca, płamą mu buzię i koszulkę. Tak jak moje serce topniało, płamiąc teraźniejszość i przyszłość.

Nie chciałem słyszeć. Zbyt wielki hałas panował w moim wnętrzu.

Nie wiedziałem, o czym rozmawiają. Czy w ogóle coś mówią.

Wyciągnąłem kilka serwetek – chyba nieco zbyt gwałtownie – i wytarliśmy sobie z małym rękę. Ulica znów zaczęła żyć, ludzie zajmowali stoliki, autobusy zatrzymywały się na przystanku naprzeciwko, pod naszym stolikiem przeleciała piłka, dzieci bawiły się w parku, przy donicach z kwiatami jakaś para paliła papierosy, staruszka zapytała mnie o godzinę i nie byłem w stanie jej odczytać, ale pokazałem jej nadgarstek, żeby sama zobaczyła. Czas, choć niekiedy wydaje nam się, że staje w miejscu, płynie dalej. Nigdy się nie zatrzymuje. Nigdy.

Potem, z zaróżowionymi piętami i pokonanym labiryntem lęku i niepewności, odwróciłem się w stronę lodziarni i wypatrzyłem z chodnika dwie sylwetki stojące przy ladzie. Chłopak się pożegnał i Violeta spokojnym krokiem wyszła na zewnątrz.

We wszystkich porach mojego ciała tkwiły ostre szpilki. Najbardziej martwi mnie, że nie czułem już bólu. Ale wiem to teraz. Po tym, jak Violeta powoli – powoluteńku – podniosła głowę, żeby na mnie spojrzeć.

Zauważyłem wtedy, jak głęboko wdycha powietrze, żeby napęlić nim płuca, pierś, ramiona, wnętrzności i stopy, by w końcu ruszyć spod drzwi w naszą stronę.

Violeta podniosła głowę jak marionetka na sznurku i popatrzyła na mnie. Odniosłem wrażenie, że chce mi coś powiedzieć. Odważem się spojrzeć i zmusiłem się do uśmiechu. Ona jednak nie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Wszystko w porządku. Już wiesz, kto to jest – powiedziała tylko.

Spodziewałem się czegoś więcej, ale odparłem tylko:

– Chcesz się przejść?

– Nie. Chcę, żeby mnie zobaczył. Jeśli nie masz nic przeciwko. Tutaj, z tobą.

Violeta podniosła rękę, odgarnęła włosy z twarzy, osuszyła łzę płynącą jej do kącika ust i otarła resztkę lodów z moich. Potem oblizała palec.

– Zjadłabym lody – powiedziała.

*Gdzie twój słychać śmiech,
widać twoją twarz.*

Nagle ogarnęła mnie dziwna radość. Poczułem się zwycięzcą absurdalnego wyścigu, w którym nie miałem konkurentów. Wizja powrotu do lodziarni po kolejne dwie gałki truskawkowych wydała mi się tak kusząca, jak wyjście z domu zimą, zgarnianie śniegu z samochodowych szyb i ukradkowe rzucanie śnieżkami. Dziecinada.

Siedzieliśmy przy stoliku przy rondzie Quevedo, gdzie tyle razy byłem od czasu narodzin dziecka, kiedy zaczęliśmy regularnie odwiedzać Madryt. Wszedłem do środka po lody dla Violety. Wyszedł zza lodówek, gdzie stał oparty o ścianę, prawie odrętwiały. Zdawało mi się, że patrzy na mnie z konsternacją, z nagłym opanowaniem kogoś, kto musi już tylko wziąć łyżkę, wypłukać ją w wodzie, wybrać lody i nałożyć.

– Poproszę...

– Wiem, wiem, znam już pański gust.

Zamilkłem.

Wybrał pistacjowe i wbił w nie niebieską łyżeczkę jak ktoś, kto daje upust emocjom.

– Tyle się wydarzyło przez cały ten czas... Ile bym dał, żeby być teraz na twoim miejscu! – Tym razem to ja poczułem konsternację. Patrzył na mnie poważnie. I dodał: – Opiekuj się nią.

Nagle słowa chłopaka uleciały jak balony, które uciekają do nieba i nie wiadomo, gdzie ani kiedy pękają. Ale wymówił je. A ja pozwoliłem im polecieć.

– Nie martw się. Troszczę się o nią.

Ruszyliśmy we trójkę na spacer w dół ulicy, w stronę ronda Bilbao, a stamtąd aż do świątyni Debod. Co jakiś czas podnosiliśmy go do góry za ręce, jak rodziny na zdjęciach. Potem brałem go na barana, żeby odpoczął, a Violeta

przywierała do mnie wtedy całym ciałem i wsuwała mi rękę do kieszeni. Życie bywa skomplikowane, wulgarne, dziwne, ale ja postanowiłem dołożyć wszelkich starań, żeby było proste. „Boi się – pomyślałem. – W takich chwilach najlepiej oddychać. Wystarczy oddychać...”.

Spojrzałem w niebo, wypatrując wyimaginowanego balonu.

Czas mija. Zawsze. A rzeczy się zmieniają, również na lepsze.

W końcu, kiedy dotarliśmy do ogrodów przy świątyni Debod, postanowiłem się odezwać.

– To był Pablo, prawda?

– Tak. To on.

– Pytał o małego...

– Tak.

– I co powiedziałaś?

– Że dziś skończył cztery lata.

– Cztery? Cholera. Powiedziałem w lodziarni, że ma pięć.

– Wiem. Powiedział mi.

– I?

– Jesteś Francuzem, nie znasz się.

– Uwierzył ci?

– Wszystko mi jedno. Nie zadawał więcej pytań, nie wydawał się szczególnie zainteresowany. Taki już jest. Taki był.

– Rozumiem twój ból – powiedziałem i pogłaskałem ją po plecach.

– Nie czuję już bólu. Wszystko to było takie zimne...

– W końcu to lodziarnia.

Naprawdę to powiedziałem. Tak. „W końcu to lodziarnia”. Serio.

Violeta uśmiechnęła się i przyjacielsko szturchnęła mnie w ramię. Straszna głupota, ale to właśnie powiedziałem. Szkoda, że nie miałem narratora. A co wy byście powiedzieli? Pewnie coś podobnego.

– Kochałaś go? – naciskałem.

– A ty nikogo wcześniej nie kochałaś?

– Nikogo bardziej niż ciebie.

– Wazeliniarz.

– Co to znaczy?

– Nic. Coś jak lizus.

– Jeszcze zobaczysz.

– Już widzę – powiedziała i przytuliła się do mnie, a tymczasem mały bawił się wśród charakterystycznych cieni rzucanych przez świątynię o zmierzchu.

– Wybaczysz mi tamto o lodziarni?

Violeta wymierzyła Étienne'owi taką sójkę w bok, że aż podskoczył i wybuchnął śmiechem. Podniósł się z ławki i podał jej ramię. Potem podbiegł do

akordeonisty grającego uparcie wciąż te same utwory. Półgłosem zamówił u niego piosenkę, a mężczyzna tylko przytaknął. Étienne dygnął i zaprosił ją do tańca. „Nie tutaj, błagam”. „A gdzie, jeśli nie tu?”. Zaczęli się obracać, spleceni w uścisku, jak dzieci, których nie obchodzi, co sobie myślą inni. Uśmiechali się. Z początku nieśmiało, ale wstyd minął, w miarę jak coraz śmielej poruszały się ich stopy i przenikały spojrzenia.

Nie opuszczaj mnie.

Nie opuszczaj mnie.

Nie opuszczaj mnie.

Nie opuszczaj mnie.

Szybko, niemal niepostrzeżenie, dołączyły do nich inne pary, które też podziwiała ten jeden z najpiękniejszych spektakli, jakie można zobaczyć w Madrycie o zachodzie słońca, a teraz wstawały z trawnika, żeby zatańczyć. Maluch też poszedł w ich ślady.

Dobrze jest jak jest

tylko taki kąt

mały kąt mi wskaż,

gdzie twój słyhać śmiech,

widać twój twarz...

Kiedy piosenka dobiegła końca, wszyscy nagrodziliśmy muzyka gorącymi brawami. Étienne wziął Violetę pod ramię i ruszyli w drogę pośród różowego szczęścia.

– Kochasz mnie, Viole? – zapytał.

– Kocham cię – odparła, nie wiadomo, czy szczerze, bo nie wymówiła jego imienia.

Słońce zniknęło, pożarte przez drzewa.

*

– A dziecko? – zapytał narrator.

Uśmiechnął się.

I na tym stanęło, przynajmniej na razie. Czasami bowiem wątpliwości można rozwiązać zwykłym uśmiechem. Wystarczy. Przypomnij to sobie następnym razem, kiedy ktoś zacznie perorować o miłości.

W mieszkaniu nad kwaciarnią panowała cisza, jeśli nie liczyć wiatru – gwizd w kominie przypominał ludzki głos – i ciągłego kapania z kranu w kuchni. Po omacku przeszłam przez korytarz – nie chciałam zapalać światła – dotarłam do zlewu, nalałam sobie szklankę wody i mocno zakręciłam kurek. Usłyszałam, jak mój syn mruczy przez sen. Zajrzałam do jego pokoju i zobaczyłam, że śpi, ściskając w objęciach pluszowego misia przywiezionego z Madrytu. Choć był dobrze przykryty, instynkt macierzyński kazał mi – jak chyba wszystkim matkom – poprawić kołdrę i odgarnąć mu grzywkę z czoła. Dzieci są cudowne, kiedy śpią, ale wykańczające, kiedy chcą się bawić. Jutro pójdziemy do Ogrodów Luksemburskich puszczać z mostku papierowe łódeczki. „Obiecuję”. „Obiecujesz?” „Obiecuję”. Usiadłam w tym samym fotelu, który zajęłam przy pierwszej wizycie w tym domu, i patrzyłam na niego. Mój pokój był teraz jego pokojem, moje życie – jego życiem. Cofnęłam się do dni pełnych strachu, kiedy z tego samego łóżka, w którym teraz leżał mój mały, wpatrywałam się w plakat z *Do utraty tchu* i nasłuchiwałam kojącego odgłosu kroków Dominique’a w przedpokoju. „Dni mijają, wszystko mija, nie ma czego się bać”. „Nigdy nie bałam się teraźniejszości”. „Lęki zakładają różne maski, ale zawsze czujemy ten sam strach: strach przed porażką”. „Zamknąć kwaciarnię?” „Sklepy z kwiatami nigdy nie mają metalowych zamków, nikomu nie przyszłoby do głowy ukraść kwiatów”. „Znasz książki Borisa Viana?” „Co sądzisz o tych różach?” „Naprawdę musimy ciągle wysyłać kwiaty do Mireille Corbière? Nie żyje od dwunastu lat”. „Tak, dopóki tylko będę w stanie”. „Dlaczego niektóre kwiaty nie pachną?” „Owdowiały”. „Nie wierzę”. „Uwierz. Kwiaty również kochają, a z miłości tracą zapach”. „W takim razie... Róże chronią się kolcami?”

– To nie kolce mnie chronią, powiedziała róża, ale mój zapach. To słowa Paula Claudela.

– Nie rozumiem.

– Zastanów się dobrze, Violeto, zastanów się...

Dominique nigdy mi nie powiedział, że przypomnę sobie wszystkie nasze rozmowy po tylu latach. Po tylu lękach. Zasnęłam w fotelu.

Następnego poranka obudził mnie zapach ciepłych croissantów.

– Jak się spało, Viole? – zapytał cicho Étienne i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać. – Nie chciałem cię budzić, tak smacznie spałaś. Mam nadzieję, że tylko chwilę? Nie mów mi nawet, że spędziłaś całą noc w fotelu...

– Boli mnie szyja.

– Violeto... Nie powinnaś tego robić. Pokaż – powiedział i dotknął moich pleców, przesunął dłonie w stronę głowy, mocno masował, chodząc za mną po salonie.

– Ładnie pachnie.

– Poszedłem pobiegać i nie mogłem się oprzeć – wytłumaczył. – Sprzedawczyni w piekarni nie jest zbyt sympatyczna, ale im mniej się odzywa, tym bardziej ją lubię. Kiedy ogranicza się do uśmiechu.

– Budzić małego?

– Daj mu pospać, jest niedziela. Zaraz się zbierzemy.

Nic dziwnego, że zakochałam się w Étienne. Patrzył mi w oczy, łapał za rękę, uśmiechał się do mnie. W jego słowach łączył się świat podzielony na croissants dla dwojga. Gorące rogaliki. Dom, do którego tak tęskniłam, okazał się mieszkaniem pełnym duchów i miłości, ze śpiącym dzieckiem i podłogą wspieraną setkami kwiatów pod moimi stopami. Jakże więc miałam nie fruwać?

Życie wreszcie stało się życiem.

Potem poszliśmy we trójkę w stronę Ogrodów Luksemburskich. Dzień był wspinały, a obietnic należały dotrzymywać.

Étienne pomagał małemu popychać łódki kijkiem, a ja schowałam się wśród drzew. Ludzie spacerowali, jedli lody, niektórzy robili sobie zdjęcia. W głębi, w cieniu wierzb, jakaś grupka uprawiała jogę, kilka osób czytało książki na leżakach, ale większość przechadzała się alejką zbiegającą do l'Observatoire. Podniosłam się, żeby popatrzeć, jak ojciec z synem igrają z załogą swojego okrętu i symulują gwałtowne morskie sztormy. Dojrzałam swoje odbicie w lustrze wody. To byłam ja. Ta ze stawu. Spokojna woda, żadnych problemów, słońce grzeje mi włosy, a dwaj mężczyźni biegną na drugą stronę mostku i wypatrują statku swojego życia.

– Takie jest życie.

Odwróciłam się i zobaczyłam siwowłosą staruszkę, której twarz wydała mi się znajoma.

– Tyle osób tu przychodzi, prawda? – zagadnęłam uprzejmie, właściwie nie oczekując odpowiedzi.

– I będą przychodzić. Dzieci dorosną, staną się rodzicami i przyprowadzą tu własne pociechy. I tak już zawsze.

Kobieta bardzo elegancko posługiwała się słowami. Uśmiech na jej twarzy nie nasuwał myśli o szaleństwie, wręcz przeciwnie – o zbytnim rozsądku i normalności.

– Dziwnie mi się robi, kiedy o tym myślę.

– Dlaczego?

– Bo wtedy wszystko wydaje się takie ulotne i przemijające.

– Nieee, to cała wieczność! Wszyscy na zawsze pozostajemy dziećmi, choćbyśmy mieli zmarszczki. Tyle.

Pomyślałam, że ma rację. Ona jakby czytała mi w myślach:

– Ale nie myśl o tym. Pewna kobieta powiedziała kiedyś: „Nie chceć myśleć

też liczy się jako szczęście”. Miała rację.

- Brzmi dobrze.
- Nic się nie dzieje, to nic poważnego.

W tej chwili terażniejszość przestała istnieć. Zdawało mi się, że stoimy same pośród ogrodów.

- Nie... To nie strach... Tylko kręci mi się w głowie.
- No i? Spójrz na te ptaki. Gdyby kręciło im się w głowie, nie mogłyby latać.
- To ptaki.
- Zawsze tak dużo myślisz?
- Chyba tak.
- No to przestań. Zaczynj działać.
- ...
- Wydaje się to głupie. Ale...
- Nie, nie, skąd. Na pewno ma pani rację.
- No to działaj. Żyj.

Staruszka zaczęła się podnosić znad brzegu stawu.

- Chciałabym, żeby pani została – powiedziałam.
- Po co?
- Uspokaja mnie pani. A cały świat zdaje się gdzieś pędzić.
- Niektórzy nie mogą doczekać się soboty, żeby odpocząć, inni tak samo mają z latem. Ciągłe się im śpieszy! A cała ta prędkość jest na nic, nie wiedzą, że na końcu... Nic. Nie ma nic. Trzeba korzystać z życia. Jesteś bardzo młoda... Nie szukaj problemów tam, gdzie ich nie ma, a jeśli jakimś cudem je znajdziesz, to odetchnij głęboko i idź na spacer.

– To brzmi bardzo prosto, ale niektórych problemów nie da się rozwiązać spacerem. Chociaż ostatnimi czasy rzeczywiście dużo chodzę.

– Wiem. Ale przynajmniej od nich uciekasz, a one męczą się pościgiem, każesz im chodzić i padają wyczerpane. Nie przywiązuj się do nich. Niektórzy przez całe życie narzekają. Ale to wcale nie znaczy, że mają więcej problemów niż ci, którzy właśnie się przechadzają – uniosła elegancką, pomarszczoną dłoń i wskazała na jakichś państwa zbliżających się od strony pałacu – czy ci, którzy czytają sobie pod drzewem. Tyle że niektórzy więcej marudzą, a inni mniej.

- Prawda.
- To tak jak z kwiatami: spraw, aby inni widzieli tylko twoje piękno.

Zastanowiły mnie jej słowa o kwiatkach.

- Skąd pani wie, że pracuję w kwiaciarni?
- Często tam zaglądam. Ciągłe wygląda wspaniale.
- Podoba się pani? Bardzo miło, że pani tak mówi.
- A czemu miałabym nie mówić? Udało ci się zachować duszę L'Étoile Manquante. W całym Paryżu nie ma drugiej takiej kwiaciarni.

– Dziękuję... Nie wiem, co powiedzieć.
– Nie musisz nic mówić. Kwiaty i tak wiedzą, tak samo jak ci, którzy was mijają.

– Chciałam zostawić ją bez zmian.
– Każdy życzyłby sobie takiej spadkobierczynie.
– Znała pani Dominique'a, prawda? – Przytaknęła. – Może mi pani powiedzieć, kim jest?

Znów dało się słyszeć plusk wody w fontannie, krzyki dzieci, trzepot ptasich skrzydeł... Jak to możliwe, że na jakiś czas wszystkie te dźwięki zniknęły?

– Kochanie – wyszeptała – muszę już iść. Muszę napisać kilka bajek. Chcę zmienić zakończenia kilku historii, zabić parę czarownic i stłuc ogry na kwaśne jabłko. Cieszę się, że dopisujesz szczęśliwy finał do swojej.

– Do mojej...
– Do swojej opowieści. Życie jest opowieścią. Niczym więcej.
– Dziękuję. Mówię to szczerze. Z całego serca dziękuję. Jeśli kiedyś będzie pani potrzebowała kwiatów, zapraszam, dostanie je pani gratis.

Wyciągnęłam rękę, żeby się pożegnać, ale nawet nie musnęłam jej dłoni czubkami palców. Nie poczułam nic, tylko powietrze.

– Powiedz mamie, że twoja łódka lata! – zawołał Étienne.
– Mamo, moja łódka lata! Moja łódka lata, moja łódka... Lata!
Kobieta odwróciła się i zrobiła śmieszny minę.

„Jak dziecko” – powiedziałaby narrator.

To, jak podkreślała, że „życie jest opowieścią”, wprawiło mnie w tak dobry nastrój, że przez dłuższą chwilę wpatrywałam się po prostu w niebo i spomiędzy chmur wiecznie wiszących nad Paryżem wybierałam najlepsze rzeczy, jakie mnie spotkały. Zastanawiałam się, czy ta kobieta, która oddaliła się w stronę schodów prowadzących na bulwar Saint-Michel, zabiła także moje ogry i czarownice. Czy to wariatka? Nie musiałam nic mówić. Złapaliśmy się za ręce i oddaliśmy łódkę i kijek straganiarzowi.

„Życie jest opowieścią”. Spacerowałam w zamyśleniu. Nie panujemy nad czasem. Mija, bo tak, i tyle. Opłakiwanie go to tylko jego strata. Tak samo narzekanie. Osiągnęłam... Może lepiej powiedzieć: udało mi się żyć. Każdemu z nas ciąży na sercu osobiste dramaty. Nie liczy się ich waga. Czasem te ogromne znikają bez śladu, a inne, malutkie, męczą nas dłużej, niż można by się spodziewać. Jak potoczyłoby się moje życie, gdybym nie trafiła przed drzwi tamtej kwaciarni?

ZATRUDNIĘ POMOC DO KWIACIARNI

SZCZEGÓŁY NA MIEJSCU

NAZYWAM SIĘ DOMINIQUE BRULÉ

PS MILE WIDZIANE IMIĘ POCHODZĄCE OD NAZWY KWIATU

*

– Skąd masz ten balon, Dominique’u? Tata ci kupił?
– Dała mi go taka pani. Ma na imię Paulina i pisze bajki ze szczęśliwym zakończeniem.

Podniosłam wzrok.

*

Tamto zdanie prześladowało mnie przez wiele dni. „Życie jest opowieścią”. Choćbym się nie wiem jak wysilała, wszystko, co zdarzyło się od tamtego dnia w Ogrodach Luksemburskich, ma już niewiele wspólnego z tym, co w rzeczywistości miało się stać w moim życiu. Uciekłam. Uciekłam, żeby życie na zawsze pozostało właśnie opowieścią. Étienne chwycił mnie w ramiona, dosłownie i w przenośni, i tak żyłam razem z nim. U jego boku wszystko było proste. Nie ma sensu oszukiwać narratora: ja też brałam w tym udział.

*

Ciągle o tobie pamiętam, Dominique’u. Z nostalgią wspominam twoje słowa, że nikt nie włamuje się do kwiaciarni, więc nie trzeba krat ani rygli. „Kto by kradł kwiaty?” Nadal pozostawiam otwarte drzwi... Na wypadek, gdybyś się zjawił po piwonie. Minęło już dużo czasu. Mój syn zaanektował twój fotel i odrabia w nim lekcje. Lubi bawić się kwiatami, odwraca je do góry nogami i mówi, że to ludziki. Rozpoznaje je po kolorze i zasusza między kartkami podręczników. Każe mi opowiadać sobie różne historie przed snem. „Mamo, a płakałaś, kiedy się urodziłem?”

Uwielbiam, kiedy mnie o to pyta.

Pierwszego dnia wiosny, kiedy piwonie miały już lada chwila rozkwitnąć we wszystkich kwaciarniach, Violeta zgłosiła się na porodówkę w jednym z paryskich szpitali.

Kilka godzin wcześniej przespacerowali się z Dominikiem Brulém nad Sekwanę, od rue Bonaparte, gdzie fasady pokrywały się już złotymi refleksami słońca.

Żadne nie wiedziało jeszcze, że to ich ostatni wspólny spacer po Paryżu.

Na Pont des Arts rozmawiali o Cortazarowskiej Madze i wyobrażali ją sobie pośród tego tłumu, pośpiesznie przypinającego swoją przyszłość kłódkami do barierki, jakby to była jakaś kara.

– Ile z tych kłódek nie należy już do par?

– Ja nie wierzę w wieczność, w „na zawsze” – odparł Dominique.

– A w co wierzysz?

– W terażniejszość.

W tym miejscu mogłaby się skończyć ta powieść. Ale wciąż jeszcze zostały słowa.

Spacerowali nieśpiesznie, a potem usiedli na jednej z podwójnych ławek na środku mostu, żeby patrzeć na rzekę przepływającą pod ich stopami w szczelinach między deskami. Cały ten ogrom życia, które rodzi się, płynie i dociera do morza, i tak od wieków.

Wbrew temu, czego można by się spodziewać, nagle wybuchnęła między nimi nostalgia. Jakby oboje wiedzieli, że przyszedł czas pożegnania. „Wiem, że jesteś smutny, Dominique’u... Ale nie chcę pytać dlaczego”. Fragmenty wypowiedzianych zdań. „Jak przez mgłę pamiętam Julie” – powiedział, oddzielając uczucia od słów.

Słońce Paryża o tej porze dnia. Tłum. To dziwne życie, które odchodzi, i to, które pulsuje. Uśmiech rozjaśniający maskę smutku. Przelatująca im nad głowami chustka, nikomu już niepotrzebna. Jak w tamtej powieści... I płynąca Sekwana, śpiesząca w stronę morza.

„Łatwiej mówić o rzeczach smutnych niż o wesołych?” ^[12] – zastanawiają się, wspominając Cortazarowską Magę.

Później, kiedy Violeta Gadea przypomni sobie tę chwilę w swoim życiu, wróci na most, żeby odnaleźć tam Dominique’a Brulého i poczuć, jak życie pośpiesznie ucieka jej pod stopami. Opuszczone nocne ulice, wystawy z kwiatami, kawiarnie pełne ludzi, porządnie poustawiane krzesła, stada ptaków przecinające niebo nad Paryżem. Wszystko wydaje się takie samo, wszystko jest inne.

„Zawsze pamiętaj, że trzeba domagać się radości” – powiedział Dominique w drodze powrotnej do domu, jako odpowiedź na tamtą nieoczekiwaną

melancholię.

Słońce chowało się coraz niżej za wieżą.

„Domagaj się, Violeto”.

Nieodłączna Tilde, jak przyszywana babcia, przyniosła pożyczoną od Mercedes torbę z wyprawką porodową: piżamą, ubraniami na zmianę, wygodnymi kapciami, oliwką dla niemowląt i śpioszkami.

– Kto to? – zapytał pielęgniarz kurtuazyjnie.

Violeta była ładna, ale na jej poważnej twarzy malował się niepokój.

– To moja babcia. Nie mam w Paryżu nikogo poza nią.

W głębi duszy Tilde znów poczuła się jak emigrantka, która marzy o tym, by mieć w domu dodatkowy pokój i choć jedno okno więcej. Jedno życie więcej. Nie posiadała się z radości. Zwróciła się do Violety:

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Nigdy jeszcze się tak nie czułam.

Nie odrywały od siebie wzroku. Violeta była blada i z trudem przełykała ślinę, ale mimo to obdarzyła Tilde uśmiechem pełnym bezgranicznej miłości.

– Ja też. I dla mnie to nowa sytuacja.

– Zobaczysz, szybko pójdzie. A potem ujrzysz najpiękniejszego bobasa na świecie.

– Szybko pójdzie – przytaknął pielęgniarz. – Wszystko jest w normie i idzie zgodnie z planem. Proszę się nie martwić. Zaraz pojedziemy.

– Sama widzisz – stwierdziła Tilde. – Pan mówi, że wszystko jest w porządku. Spokojnie, maleńka. Mercedes i Dominique zaraz przyjdą. Dziś przywieźli piwonie, a sama wiesz, jak ten nasz pan Brulé lubi wiosnę... Ja tam za nimi nie przepadam, przypominają mi gałki do drzwi. Ale pewnie coś otwierają...

Violeta wypuściła powietrze i zmusiła się do uśmiechu. Chciałaby, żeby wszyscy razem byli z powrotem w tej sali w klinice Maternité Sainte Félicité, ale już po trudach porodu. W poszukiwaniu spokoju wyjrzała za okno i powtarzała sobie słowa: „Domagaj się radości, domagaj się”.

– Pani niech tu zostanie – powiedzieli Tilde.

– Wiem, wiem. Będę tu czekać. Teraz mogę już tylko czekać... Pocałuj mnie, maleńka.

Ucałowały się jak babcia i wnuczka. Wierzchem dłoni otarła jej łzę.

Tilde oparła się plecami o drzwi sali. Uznała to za najpiękniejsze, co kiedykolwiek jej się w życiu przytrafiło: być przyszywaną babcią. Choć znowu to nie ona grała główną rolę w tej opowieści. Poczuła – i nie ma na to rady, jak na wiele rzeczy w życiu – że ostatnie rozdziały jej długiej historii odziedziczyła po innych albo wynikały z działań innych (żeby jakoś ubrać to w słowa), a ona tylko przekształcała je we własne wspomnienia. „Wszystko jedno” – uznała w duchu.

Nic nie należało do niej, ani miłość tamtego mężczyzny z listów, ani nowe życie, które właśnie w tej chwili wychodziło z innego ciała. Ale tu właśnie były, blisko niej, jak ostatnio.

Ostatnimi czasy często ogarniało ją to uczucie. Coś zbliżonego do radości. „Ostrzegają, że jest zaraźliwa” – pomyślała.

Zapisać kółka jadącego korytarzem łóżka i w głowie Tilde pojawił się obraz z dzieciństwa, kiedy bawiła się lalkami, choć nigdy bobasami w pieluszkach. Wizja przeminęła błyskawicznie, w mgnieniu oka, razem z wrażeniem trzymania wciąż w ręku ubranek i otulania niemowląt, które nigdy nie pachniały dziećmi, lecz krochmalem. Tak pojawiają się wspomnienia. Mogą minąć długie lata poruszania się po pożyczonych miejscach, ale wspomnienia z dzieciństwa zawsze zostają, tkwią w nas jak okruszek w gardle.

– Tilde, słonko, chodź już na obiad. Zostaw lalki. Jeszcze nabawisz się ze swoimi dziećmi... Chodź na obiad... Odłóż ją do łóżeczka... Chodź!

Mina Matilde wyrażała teraz dokładnie taki sam ogrom rozpaczony jak wtedy (choć nieco innego rodzaju). Może zawsze taka była. A może z biegiem lat coraz bardziej smutniała. Ale Tilde uśmiechnęła się, bo uważała, że to najlepszy makijaż na życie.

Wspomnienia wypływają w najmniej odpowiednich momentach, ale tak samo odchodzą. Poczula wtedy pod nogami kota, który nie był jej kotem. I głos mężczyzny na korytarzu, podobny do głosu Oscara z Grenoble, mówiący jej pożyczony: „Nie opuszczaj mnie”. „Jakże żałosna byłam przez całe swoje życie” – pomyślała.

Przynajmniej to było szczęście. Też.

Nacisnęła klamkę i wyszła na korytarz, gdzie roilo się od zapłakanych dzieci i czekających nerwowo ojców.

Nie wiem, jak długo tak została. Przechadzała się po porodówce. Kroczyła radosna i dumna jak przyszła babcia, a nawet jeszcze bardziej próżna, bo została do tej roli wybrana.

– Jaki piękny dzidzius – wyszeptano niemal nieśmiało do świeżo upieczonej matki, która w szlafroku wyszła na korytarz, żeby rozprostować nogi.

– Dziękuję. Państwo też się spodziewają?

– Moja wnuczka. Właśnie rodzi.

– Co za szczęście, prawda?

– Tak!

Wyrzuciła to z całą siłą starych, ale szczęśliwych płuc, aż dziecko zaczęło płakać i machać w powietrzu rękami, jakby chciało zerwać się do lotu. Albo uciec – nigdy nie wiadomo.

– Widziała pani? Ale jest silny!

Tilde tylko przytaknęła i ruszyła w dalszą wędrówkę po korytarzu. Poczula

wtedy z całą mocą, że ten dzieciak każdą doprowadzi na skraj rozpacz. Kiedy się odwróciła, chłopiec znów spał spokojnie w ramionach matki. Szła dalej, pośród tych samych zapachów, tych samych odgłosów i tych samych komplementów. W tym momencie wszystkie życia są do siebie podobne. Cały ten chaos nosidełek, identycznych krewnych, uchylonych drzwi, szczęśliwych twarzy i pieluch. Wszystko zdaje się zaczynać tak samo. Dopiero potem, wraz z upływem czasu, życie przyspiesza, zwalnia lub zasypia.

Étienne zjawił się z koszem kwiatów. W tej chwili przyjechał z Grenoble.

– Dziękuję za wiadomość, Tilde.

– Wiedziałam, że dziś się urodzi. Intuicja.

– Jak ona się trzyma?

– Właśnie zawieźli ją na salę porodową. To już nie potrwa długo.

Matilde pogładziła go po głowie, pocałowała w czoło i kazała się zachowywać przyzwoicie.

Étienne spojrzał na nią podejrzliwie.

– Dlaczego miałbym się nie zachowywać przyzwoicie?

Tilde westchnęła.

– Cóż, ty się znasz na młodych kobietach, ale ja wiem co nieco o starych.

– Dobrze, ale przecież Violeta jest młoda.

– No właśnie, a chcę, żeby doczekała starości. Szczęśliwej starości.

Étienne sam nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Rozejrzał się wokół i przytulił Tilde.

– Mocny argument! – zawołał ze śmiechem.

Machnęła ręką z rezygnacją, żeby ukryć to, co właśnie poczuła. Nie należała do osób nerwowych, ale teraz poczuła niepokój. Nie wiedziała, czy to możliwe, ale syn używał chyba tych samych perfum co ojciec.

– Pachniesz...

Étienne serdecznie ucałował ją w policzek.

Razem poszli w stronę pokoju, gdzie mieli czekać na Violetę z dzieckiem. „Mój ojciec używał tych perfum” – wyjaśnił. „Też zacząłem się nimi psikać. Teraz pachnę jak on i dzięki temu mam wrażenie, że ciągle mi towarzyszy”. Wspomnienie tamtego łóżka i tego samego zapachu sprawiło, że poczuła się malutka – samotność miłości, która nie jest miłością. Znów wypełnił ją spokój.

Albo wielka pustka.

*

Dokładnie w tej samej chwili lekarz mówił do Violety: „Już wychodzi. Spokojnie. Proszę oddychać tak, jak do tej pory”. A trzy piętra wyżej Étienne poczuł na ramieniu dłoń ojca.

– Jak mały będzie miał na imię? – zapytała położna, żeby trochę rozluźnić przyszłą matkę.

– Dominique – odparła Violeta, zalewając się potem i łzami.

Narrator chciałby się emocjonować, ale zamiast tego patrzy tylko uważnie na czytelnika, który uśmiecha się pod nosem, bo uważa to za dobry wybór.

*

– Mercedes.

– Co się dzieje, Dominique’u?

– Nic.

– W naszym wieku to nigdy nie jest nic.

Jeszcze zanim skończyła mówić te słowa, objęli się. Jeszcze nikt tak nie przytulił Mercedes. Zatopiła twarz w ramieniu Dominique’a, niemal bez tchu. Dusła się ze szczęścia. Kwiaciarz niezbyt wyraźnie dosłyszał wypowiedź Mercedes, ale brzmiało to pięknie. A ona wyglądała prześlicznie. Założyła buty na wysokich obcasach, a zapachu jej perfum nie mogły stłumić nawet kwiaty. Do szpitala wzięła najlepszą torebkę.

Ale teraz byli tutaj. We dwoje.

Uczucie pojawiło się, kiedy już prawie straciła nadzieję na miłość. Paulina na chwilę odwróciła od nich uwagę. „Albo jest w szpitalu, albo tam”. Kobieta o siwych włosach pomyślała, że do pilnowania tej dwójki wystarczą kwiaty.

– Mercedes, nie mamy wcale aż tak dużo czasu. A teraz to nie my gramy główne role. To Violeta jest bohaterką tej opowieści. Ale jutro chciałbym znowu pójść z tobą na spacer, jak tamtego dnia.

– Jak tamtego dnia... Jak szybko mijają dni!

– Pędzą.

– A my nie możemy.

– Pędzić nie, ale spacerować – owszem.

Objęli się ramionami tak samo, jak Dominique związywał pęki kwiatów, żeby powiesić je na wystawie. Mocno.

Upływ lat stłumił nieco blask hiszpańskiej emigrantki, ale teraz jej piękne szare oczy rozbłysły, choć już od dłuższego czasu zwykły świecić się tylko do książek.

Niech czytelnik nie oczekuje, że opowiem więcej o pocałunkach czy o płynach innych niż łzy Mercedes moczące klapę marynarki Dominique’a. Nie zamierzam też mówić o miłosnej mechanice ani pocerowanych sercach i połączeniu dusz spragnionych miłości. O zagubionych przez wiele lat istotach, które w końcu się odnajdują. Nie. Ostatnie, co chciałby w tej chwili zrobić narrator, to naruszyć intymną bliskość dwóch osób obejmujących się za drzwiami z tabliczką „zamknięte”, bo nie chcą, by ktoś im przeszkadzał. Kto by pomyślał. Tak pięknie byłoby to opisać... Pozostawiam jednak to wszystko wyobraźni czytelnika. Postanawiam uszanować tych, którzy od dawna już czekali, być może zbyt długo, a sami nawet kwiatom okazują najgłębszy szacunek. Ostrożnie

obchodzić się z uczuciami starszej pani, która chciałaby zniknąć w lewej kieszeni na piersi starszego pana, który z kolei, jękając się, mówi jakieś niezrozumiałe słowa. Mercedes i Dominique'a.

Wyjdźmy w takim razie z kwaciarni i zostawmy ich samych. Niech się całują.

Ile osób kocha w tej chwili w Paryżu? Ile zdecydowało się wyjść na spacer? Ile drży, kiedy dowiaduje się, że wszystkie odpowiedzi brzmią „tak”? Liczba toastów? Suma splecionych dłoni? Kto odpowiada za zliczenie tego wszystkiego? A poza tym... Jaką notatkę Mercedes ukryłaby teraz w którejś z powieści w Shakespeare and Company, żeby znalazł ją ktoś inny?

„Pierwsza osoba czasownika «czuć»”.

Właśnie to.

„Pierwsza osoba czasownika «czuć»”.

Ostatnie, co pamiętam, to że Mercedes poczuła onieśmienie – jak słoneczniki nocą – i po doświadczeniu rozkosznego dreszczu wzdłuż kręgosłupa zaczęła znów zwracać się do Brulégo per pan. Nie wiem, o czym rozmawiali, wiem tylko, że mieli przed sobą wystarczająco dużo dni na spacer. Że życie, jak w tej piosence, czasem całuje nas w usta i rozpościera się przed nami jak kolorowe kartki atlasu... Czujemy, że jesteśmy w dobrych rękach, dotrzymuje nam kroku i jesteśmy szczęśliwi jak dzieci, kiedy wychodzą ze szkoły. Przerwali uścisk, żeby na siebie spojrzeć, i patrzyli.

*

W piersi Dominique'a rozdzwonił się alarm. Mercedes wciąż patrzyła na niego z czułością. Wskazał na drzwi i zrozumiała, że potrzebował powietrza.

– Dlaczego? – wyszeptała.

Wtedy Dominique pokazał na swoje serce.

– Tak, wiem. Ja też – odparła.

Dominique porwał kilka kwiatów z jednego z wiader piwonii i wybiegł na ulicę. Kiedy tylko postawił stopę na chodniku, gwałtownie zaczerpnął powietrza.

I spojrzał w niebo.

I spojrzał w niebo...

To niebo, które tyle razy oglądał przez okno, nawet z zamkniętymi oczami. Nieznany ból, cios pięścią w środek piersi, kazał mu łapać powietrze. I się poddać.

Violeta płakała. Krzyczała z bólu.

– Wygnij trochę plecy, spokojnie. Weź to.

– Zaraz zemdleję.

– Już dobrze. Wszystko w porządku.

– Chcę wody.

– Nie możesz pić. Pielęgniarka da ci mokry gazik.

– Boję się...

– To normalne. Skup się i wytrzymaj jeszcze chwilę, przyjm mocno i będzie po wszystkim.

– Nie mogę.

– Oddychaj. Nabierz powietrza i wypuść. Oddychaj. Jeszcze raz. Oddychaj.

– Boję się...

Mercedes zauważyła wielkie poruszenie swojego kwiaciarza i wiedziała, że powinna zostawić go samego. Ona też się tak czuła. Tilde powiedziała jej, że jedzie do szpitala, prosiła, żeby jej towarzyszyła, bo się denerwuje, żeby przy tej radosnej okazji trzymały się razem... Chwyła więc torebkę, odgarnęła włosy z twarzy i poszła złapać taksówkę. Gdyby kilka dni wcześniej ktoś jej powiedział, że poczuje się tak zdeterminowana, a serce będzie jej waliło jak oszalałe, odpowiedziałyby: „Jestem już za stara na takie sensacje”. Wystarczy sobie przypomnieć, jaka była Mercedes na początku (nawet na samym początku życia).

Dominique Brulé pomachał jej na pożegnanie, a ona usiadła z twarzą zwróconą w stronę tylnej szyby, żeby nie stracić z oczu sylwetki stojącej na środku ulicy.

Ale nie trwało to długo. Taksówka nie zdążyła nawet skręcić za róg, kiedy Dominique zaczął iść. Z początku zatrzymał się jeszcze na kilka chwil i patrzył na paryskie niebo, jakby widział je pierwszy raz w życiu. Ręce skrzyżował na piersi, między palcami miażdżył kwiaty. Ale nikt nie zauważył, że pod nogi zaczęły mu spadać płatki piwonii. Przez okno wyjrzała kobieta z naprzeciwka, ta, która każdego wieczoru gasiła światła na długo po nim, a pierwsze wiosenne słońce oświetliło jej twarz i jej dom. Przeczytała kartkę „zamknięte” na otwartych drzwiach kwiaciarni.

Mercedes miała rację. „Nie chcieć myśleć też liczy się jako szczęście”. Ale okazało się, że Dominique zaczął sobie przypominać.

Niecierpliwa Tilde ledwo stała na drżących nogach, ale wsparła się na Étienne. Chłopak czule pogładził kobietę po głowie. Jakby bał się skraść jej myśli.

A daleko stamtąd Dominique Brulé szedł bulwarem Saint-Germain-des-Prés, w słońcu pierwszego dnia paryskiej wiosny. Wtedy znowu usłyszał szum w sercu. Wróciły zawroty głowy, znów mocno przycisnął rękę do piersi. Kręcił się zagubiony pomiędzy ludźmi, wolnym krokiem, skupiony na niebie, które rozrywało mu pierś.

Z góry – jestem tylko ptakiem, który uciekł z klatki – trudno mi opisać mężczyznę porzuconego wśród tłumu, w środku miasta, które o tej porze nabierało chęci do życia, ożywiało chodniki i wypełniało ogródki kawiarni ludźmi. Żeby lepiej zrozumieć, postanowiłem nieco niżyc lot, podfrunąć dokładnie nad jego głowę. Z tej wysokości dojrzałem łzy na jego twarzy i zobaczyłem, że przyspieszył kroku, przechodząc przez ulicę w stronę rue de Rennes.

Ja też poczułem dreszcz.

To nie był spacerowicz, a lunatyk, uciekający nie wiadomo dokąd. Zabłąkany jak dziecko, którego nie szukają rodzice.

Niepokój sparaliżował mi skrzydła.

Załamujący się głos Violety ściskającej ramię położnej i błagającej o koniec.

– Spokojnie, już idzie.

– Nie chcę! – wrzasnęła.

Na pewno miała na myśli ból.

Stopniowo, niemal nie zdając sobie z tego sprawy, zacząłem rozumieć, dokąd zmierza Brulé. Ja nie byłem taki jak on, człowiek przywykły do życia i pisania liścików uszczęśliwiających klientów kwiaciarni, przycinania łądyg i wysyłania bukietów. Ja tylko latałem. A co można powiedzieć o lataniu? Szkoda strzępić język na tłumaczenie, że ulica, którą szedł Dominique, zdawała mi się szczeliną pod jego nogami. Jeśli dobrze się przyjrzeć, to z powietrza wszystkie miasta wyglądają jak spękane. Siatka ulic jest połamanym suchym ciastem. A w tamtej chwili przypominała je bardziej niż zwykle.

Co mam powiedzieć? Wystarczy odlecieć na większą odległość, żeby przestać widzieć popękane kawałki. Albo bardzo się zbliżyć. Sądzę też, że jeśli tak samo postąpić z emocjami, wszystko się zmienia. Nostalgia, melancholia... Tak więc zostaję, nigdy za daleko, nigdy zbyt blisko.

Jeśli zaś chodzi o Dominique'a, to nie przestawał się uskarżać, z ręką przyciśniętą do serca, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Czy ktoś w ogóle zauważa innych ludzi? Powiecie, że wystarczy, że żyjemy, i jak egoiści kroczymy wśród tłumów. Chodzi mi o to, że nie jesteśmy w stanie wszystkiego zauważyć. A jego nie zauważał nikt.

Ja jednak jestem ptakiem, który wyrwał się z klatki.

Wydawało mi się, że spacer zaczął go męczyć, więc znów podleciałem bliżej. Wtedy udało mi się osiągnąć to, do czego dążyłem: wywołałem uśmiech na jego twarzy. Nieznaczny, trwający tyle, co prawdziwy uśmiech. Kilka sekund. Jakby się nad tym zastanowić, to ciekawe, bo choć nikt by nie uwierzył, że to możliwe, wcale nie trzeba wesołego miasteczka czy karuzeli z konikami – wystarczyło, że po prostu wylądowałem mu na ramieniu.

– Dzień dobry! Nie boisz się mnie? – zapytał.

– *Jest mi smutno...*

Ale nikt nie słucha ptaków.

– *Pięknie zaczyna się wiosna w Paryżu* – powiedziałem. – *Spójrz na to błękitne niebo.*

I popatrzyłem w niebo, ale nie zauważyłem, jak poderwałem się do lotu. Zniknąłem wśród jego rozmyślań.

Julie, codziennie za tobą tęsknię. Obiecałem ci wtedy, że będę szczęśliwy, i tak właśnie żyłem. Z początku myślałem, że to żart, że wrócisz. Co za absurd.

Dlatego spałem po swojej stronie łóżka, zmieniłem tylko pozycję. Kładłem się plecami do środka łóżka, przyklejony do brzegu, żebyś mogła bez zapowiedzi wrócić na swoją stronę, a po przebudzeniu bym cię zobaczył. Ale tak się nie stało. Mówiłem, to śmieszne. Ale wołałem zostawić miejsce za plecami... Od pierwszego dnia... Od wtedy... Tyle czasu... Nie przysłaś, ale pustka po tobie dopełniła moje życie, naprawdę.

Uprawiałem kwiaty, jakby każdy z nich był tobą – wiecznie młodą, podczas gdy ja z każdym dniem się starzałem. Cholerny czas. W moim sercu nigdy się nie zestarzałaś, to moje jedyne szczęście. Udało mi się zachować niezmienione wspomnienie po tobie. Nienaruszone. Czyste. Zmieniałem wodę w kwiatach, żeby przedłużyć ich świeżość, a mój upór w codziennym powtarzaniu tego gestu tak naprawdę wynikał z chęci zachowania pamięci. O tobie, o nas. Powiesz może, że to trochę niehumanitarne, ale tak było. Robiłem sobie krzywdę? Bzdura. Zawsze świeża woda i czysto przycięte łodygi, bo nie dopuszczałem myśli, że mogą zwiędnąć. Dlatego sprzedawałem tyle kwiatów – nie chciałem patrzeć, jak obumierają. Tak wielka była moja samotność pod twoją nieobecność, a nie mogłem też wszystkim opowiadać, jak bardzo za tobą tęsknię, bo każdy z nas dźwiga przecież swój ciężar. Postanowiłem więc wybrać szczęście. Domagałem się go. Tak jak mówiłaś, dokładnie tak jak mówiłaś. Radziłem też innym, żeby domagali się szczęścia. Życie w otoczeniu kwiatów to paradoks. Czy ktoś się rodził, czy umierał, to ja przygotowywałem wiązankę albo wieniec. A ty byłaś w obu tych uczuciach. Jak miałem o tobie zapomnieć? Niemożliwe. Byłaś w każdym kwiecie. Sam jestem pod wrażeniem liczby zamówień na bukiety dla zakochanych, które zrealizowałem, myśląc tylko o tobie. Zaczęłem nawet zmieniać liściki, żebyś pojawiła się i w cudzych historiach. Jakby ta nasza mogła dostać drugie życie gdzieś indziej.

„Niepodobna wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki” – Heraklit z Efezu.

– Mercedes! Nareszcie! Czas najwyższy.

– Urodziła?

– Na razie czekamy... Zabrali ją dopiero paręnaście minut temu. A co z Dominikiem?

– Denerwował się. Niedługo przyjedzie. Poszedł na spacer... – Po chwili milczenia zawołała: – Ach! Dzień dobry, Étiennie.

– Dzień dobry, Mercedes.

– Nie wiedziałam, że przyjeżdżasz.

– To ja dałam mu znać – przyznała Tilde.

– Dobrze zrobiłaś.

– No proszę, dziękuję, że tak uważasz.

– Przecież powiedziałam, że dobrze. Nic więcej. Dziś wszystkie wiadomości są dobre. Przysłała wiosna.

– Chyba zawołam lekarza.

- Po co?
- Żeby ci zmierzył temperaturę. Nie poznaję cię – powiedziała, odgarniając jej włosy z czoła.
- Nie bądź taka złośliwa.
- To przez te nerwy – stwierdziła Tilde.
- Chcecie zejść do bufetu? – zapytał Étienne, podchodząc do nich, żeby zażegnać konflikt.
- Nie, nie.
- Tak, tak.
- Lepiej poczekajmy tutaj. Jakby coś się stało albo nas szukali...
- Mogę przynieść wam kawę. Albo skoczę do automatu.
- Ani mi się waż. Jesteśmy starszymi paniami. To by nas mogło zabić, a nie mam ochoty dziś umierać.
- Rozumiem – odparł i cała trójka pogрузыła się w milczeniu. W ciszy osób, które dużo już przeszły i wyciągnęły ze swoich przeżyć lekcję, nauczyły się, kiedy przestać.

Mercedes i Tilde zajęły oba krzesła, a Étienne oparł się o parapet. Za oknem przeleciał ptak i wyglądał, jakby zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się rozgrywającej się wewnątrz scenie. Z początku zdało mu się to bzdurą, ale kiedy popatrzył znowu, ptak nadal unosił się za szybą. Wisiał w powietrzu.

- Dziękuję za list, Mercedes – powiedział Étienne.
- Jaki list?
- Później ci wytłumaczę – odparła Tilde, gwałtownie łapiąc powietrze, jakby wypłynęła właśnie na powierzchnię.

Mercedes odrzuciła głowę do tyłu, a Tilde wykorzystała ten moment, żeby uciszyć chłopaka rozpaczliwymi gestami. Czuła w trzewiach tajemnicę, niczym wierzącego się tasiemca. Przyjaciółka wyprostowała głowę – trwało to może sekundę.

- Chcecie zobaczyć ptaka? – zapytał Étienne. – Dziwne. Cały czas lata za oknem.

W tej chwili pofrunąłem jednak prędko w stronę światła u zbiegu rue de Rennes i Montparnasse, gdzie Dominique Brulé oparł się, żeby odpocząć. Z nieba skrzyżowanie przypomina wieloramienną gwiazdę. Kwiaciarz znów poczuł w piersi ten sam alarm co wcześniej.

„Jaka szkoda – pomyślałem – że nie dano nam wspólnego życia. Z moimi wadami i twoimi cnotami”. Chciałbym cię zobaczyć (i to bardzo). Powiesz pewnie, że zniszczenie wszystkich zdjęć było z mojej strony głupie. Takie moje szczęście, żyję bez nostalgii. Żyję tylko z nadzieją, że zobaczę cię taką, jaka byłaś. A może będziesz taka, jaki jestem? Jak dziwne będzie spotkanie w tak podeszłym wieku, z moimi latami na karku i twoją nieobecnością. Teraz myślę, że nie chcę, żebyś

próbowała udawać taką, jaką byłaś wtedy, bo poczułbym się dziwnie. Tak jakby jeden z muszkieterów postanowił odwiedzić współczesny Paryż. Albo jakbyś przejechała właśnie na tych światłach na naszym motorze, w grubym swetrze, kraciastej spódnicy i balerinkach, które świetnie nadawały się do uciekania, kiedy ganiałem cię po Ogrodach Luksemburskich. Widzisz? Podarłem zdjęcia, ale pozostałaś w mojej głowie, w albumie pamięci. Wciąż jesteś taka sama? Czy zmieniałaś się w tym miejscu, w którym na mnie czekasz? Mówię „mnie”, bo nie dopuszczam innej możliwości.

Dobrze...

Rób, co chcesz, Julie.

W grze, do której finału zmierzam, nie ma pól, nie obowiązują żadne zasady. Może powinienem już przestać grać. Czuję, że wszystkie te lata w ruchu wiele mnie nauczyły i dały mi przewagę. Jeśli będę to ciągnął, mogę przegrać.

Widzisz, że nie jestem smutny. Poprosiłem narratora, żeby nie doprowadzał cię do łez, na wypadek gdybyś to czytała. Poprosiłem, żeby mi towarzyszył, choć wcale go nie znałem. Teraz śledzi mnie ptak, jakbym miał się zgubić w ulicach tej dzielnicy Paryża, której nigdy nie odwiedzam. Gdybym mógł poprosić go, żeby pofrunął bardzo wysoko i powiedział ci, że już niedługo do ciebie dołączę, zrobiłbym to. Ale wariat, który i tak rozmawia już z kwiatami, nie zacznie teraz na dodatek gadać z... wróblem? Sam nie wiem.

Podleciałem wyżej, żeby mnie nie poznał.

„Przeszłość, pisał Proust, nie tylko nie jest ulotna, ale też doskonale nieruchoma. Z Paryżem jest podobnie, nigdy nie wyjechał w podróż”^[13] (napisał Vila-Matas). To samo można powiedzieć o mojej kwiaciarni. Cicha, spokojna, zawieszona, dająca ludziom szczęście. Kto powiedział, że trzeba go szukać daleko? Kogo nie chwyta za serce pojawienie się pierwszych piwonii, tego nigdy nie wzruszy pocałunek w kinie na koniec filmu, gorąca kawa, niespodziewany deszcz wydobywający świeżą woń trawy, spojrzenie odbite w sklepowej witrynie, puste krzesło w wybranym barze, piosenka, nowy poranek... Tacy ludzie myślą, że to będzie trwało wiecznie. Prawda, ptaszku? Gdzie jesteś? Już za mną nie lecisz?

Paryż jest taki piękny wiosną.

Strach przed zakochaniem się w Mercedes? Nie. Strach, że ona zakocha się we mnie. Serce już się zorientowało. Coś w nim kliknęło. Poczułem coś w piersi, jakiś ucisk, parzenie. Zdołałem pozbierać kwiaty, mimo drżenia ramion i tego niepokoju, który jednak pomagał mi iść. W tych pierwszych dniach, kiedy ją poznałem, gdy przychodziła kupować kwiaty do wazonu na oknie, często myślałem, czy to ona cię zastąpi. Ale to było machinalne, jak te myśli, które pojawiają się, a my je szybko odrzucamy, bo zakłócają nam spokój. Najbardziej uspokajała mnie myśl, że ona – Mercedes – musiała czuć to samo, bo zwykle odwracała głowę, kiedy na nią patrzyłem. Nie ze wstydu, ale jakby nie chciała,

żebym wyczytał coś z jej twarzy – bo przecież nie mogłem usłyszeć jej słów, skoro wiecznie zapominałem o bateriach do tego przeklętego aparatu. Myślę, że wykorzystywała czasem fakt, że nie słyszę, żeby „werbalizować”. Przez cały czas łączyła nas ta pępowina. Jak mieliśmy nie próbować się ochronić przed zburzeniem jej życia i mojego? Jak?

Wiesz, że mówiłem jej też o tobie. Opowiadałem naszą historię w odcinkach, w zamian za wzajemne towarzystwo. Między jednym klientem a drugim, otwarciem i zamknięciem drzwi, przy zmienianiu wody i przycinaniu łądyg – słuchała mnie. Ja jej też, ale mniej. Ma świetny refleks: nigdy nie zdradziła się nawet trochę ze swoim dawnym bólem, potrafi improwizować, a jeśli sytuacja tego wymaga, także uciec. Jakże nudni są ludzie, którzy wszystko opowiadają! Jej życie, tak jak i moje, leży zmasakrowane na jakimś dywanie w którymś z naszych mieszkań.

Ale mimo to dotrzyśmy sobie towarzystwa. Szanowaliśmy granice, a teraz je przekroczyliśmy.

Żebym nie mówił ci o dziewczynie... Och, Julie.

To wstyd, że patrzyłem z pożądaniem na Violetę? Wiem, że tak uważasz. Nie. Bo patrzyłem na ciebie. A do tego nie wstydzę się przyznać, choćby teraz. Moje spojrzenie kontrastowało – i taka jest prawda – z jej nieszkodliwym wzrokiem i przymilnym uśmiechem, jak u córki. Jak szczerza i prostolinijna była Violeta, a jak bezczelne moje pożeranie jej wzrokiem, Julie. Wiem. Taki powiew świeżego powietrza po tylu latach przerwy, dławiącej żałoby, próby przeżycia samego siebie. Przetrwania siebie. Podarowała mi swoje perfumy, kiedy przyłapała mnie, jak wahałem jej wełniany sweter, chyba żeby potępić moją zuchwałość. Śmiałem się, żeby nie płakać.

Podboje nigdy nie należały do moich mocnych stron, pamiętasz? Jestem jak Krzysztof Kolumb – myślał, że w poszukiwaniu jedwabiu dotarł do Indii, a to Ameryka na niego wpadła. Głupi on. Głupi ja.

Pozwoliłaś mi wierzyć, że byłaś zdobyczą – tak, to był szelmowski uśmiech – podczas gdy to ty zdobyłaś mnie. Nie miałem w sobie nigdy ani krzty drapieżcy, nawet zanim moje włosy zbieleły jak śnieg.

Oto jestem. Z ramionami posiekanymi bólem i zmiażdżonym sercem. Ale ty to wiesz, prawda?

Ostatnio dużo myślę o śmierci. Bez strachu. Myślę o niej, kiedy siadam na ławce na Pont Neuf, tam gdzie zakochani – powiem ci dlaczego, kiedy już się zobaczymy. Opowiem ci o Aleksie i Michelle. Jest tam też śmierć, w tej swojej nieskończoności tak zbliżonej do dzieciństwa. „Sam do ciebie zadzwonię, jeśli nie masz nic przeciwko” – mówiłem jej zawsze. Ale ostatnio to ona zaczęła mnie wzywać. Szukałem jej, kiedy odeszłaś: „Zostaw mnie z nią”. Z tobą. Ale nie łapie za słuchawkę, trudno to zrozumieć, kiedy ból jest nie do zniesienia, kiedy

najbardziej jej potrzebujemy. Tamtego popołudnia, kiedy zobaczyłem cię martwą, zacząłem wydzwaniać do niej bez przerwy i chyba powinienem ją przeprosić, bo zmęczyła się mną, a ja w końcu włączyłem muzykę. Parszywie jest zostać tu po twoim odejściu, ale tak już jest. W końcu zawsze włączamy muzykę. Swoje piosenki. I nie płaczemy. Uśmiechamy się melancholijnie.

Czasem wściekałem się na myśl, że twoja nieobecność już nie boli – to w tamtym okresie kwaciarnia zaczęła prosperować. Praca mnie znieczulała, tak samo, a może nawet bardziej niż zapach hiacyntów. „W porządku, Dominique’u, nie przejmuj się, na szczęście życie tak właśnie działa” – mówiłem sobie. Brak bólu też cholernie boli. Ale wtedy wchodził następny klient, więc nauczyłem się uśmiechać. Poza tym kazałaś mi przecież być szczęśliwym, prawda? W odrętwieniu znalazłem szczęście.

Kiedy indziej oszukiwałem sam siebie: opierałem się o ladę, gdy już zrobiłem porządek we wszystkich kwiatkach, i czekałem, aż wejdiesz. A jeśli się zjawi? A jeśli to wszystko nieprawda? A jeśli wcale nie umarła? Nawet takie żalodne samooszukiwanie pomagało mi żyć.

Ale musiałem w końcu pójść na górę do domu i zostawić pustkę po tobie.

Zawsze wstaje świt.

„Jeśli ją pamiętasz, istnieje” – mówiła mi Tilde. O niej nie będę ci nic mówił. To cudowna kobieta. Myślę, że... Zresztą nieważne. Tilde akcentuje życie. Jest jego współniczką. Odpowiedziałem jej: „Oczywiście, że ją pamiętam. I czuję”.

Ale to ostatnie było kłamstwem, tyle próżnego wysiłku kosztowało mnie, żeby cię poczuć, zapamiętać twoje pocałunki, wzrok, dotyk, sposób chodzenia, zapach... Julie, to okropne, ale zapomina się. Nigdy nie odważyłem się do tego przyznać, ale taka jest prawda. Jak można zarchiwizować cierpienie?

Znowu leciała twoja piosenka i się pojawiałaś.

Znowu wracałem do naszych miejsc i się pojawiałaś.

Znowu wspinałem się na Montmartre i się pojawiałaś.

Znowu patrzyłem na piwonie i się pojawiałaś.

Ale... Gdzie? To ja błagałem o to, żeby cię kochać, nie ty. Jaką pustką jest pustka, mój Boże.

Wchodziłem po ciemku do pokoju i stawałem przed łóżkiem. „Jest tu, na pewno – mówiłem. – Nie budź jej, śpi”. Po omacku docierałem do swojej strony łóżka, kładłem się i układałem na nowo miniony dzień i naszą wspólną przeszłość.

Po co? – zapytasz. Skoro jutro przyjdzie. Dziś.

Dziś.

Dzisiaj jest jutro.

Wyobrażam sobie zaświaty jako Café de Flore. Spotykasz tam ludzi, którzy prowadzą cię do innych, nieznanymi zamawiają wino, inni czekają. Siedzą w milczeniu przy stole, w grupkach albo samotnie. I czuć jakby powiew szczęścia.

Jest tam pewnie Ana María, Edith, Alice, Ěrno, panna Corbière, Elionora, babcia... i ty. Kiedy przechodzę, wydaje mi się, że zajmują wolne krzesła. Dlatego nie siadam. Całe życie spędzam w ruchu.

Carmen Martín Gaité powiedziała, że „umarłym trzeba pozwolić odejść”. Ja dodałbym: „I pozwolić im dotrzeć”.

Dominique Brulé wchodził właśnie przez furtkę na cmentarz Montparnasse, kiedy Violeta Gadea wydała ostatni okrzyk bólu.

„Onegdaj w nocy Wieczność oczy me ujrzały” – pisał w podniosłym tonie Henry Vaughan. Kwiaciarz zobaczył ją w tej chwili. „Jak wielki Pierścień światła, bezkresny i biały, / Cichy a blaskiem rozgorzały”^[14]. Na grobie Julie nie leżały żadne kwiaty – to jedyny adres, pod który nie zdołał ich wysłać przez wszystkie te lata, które zaczęły mu w tej chwili ciążyć jak kamień zakrywający pamięć. Trudno mi to opisać. Stary człowiek, jakim Dominique dotychczas przecież nie był, siedzi przed wyblakłym zdjęciem zmarłej dziewczyny, nie zgadzając się na ból, z zastygłym uśmiechem na twarzy i zmaltretowanym bukietem kwiatów w dłoni, której pozwolił opaść z rezygnacją. Jak burze, które przez kolejne dni miały zaciemniać Paryż wiecznie popielatym niebem.

Serce znów przemówiło.

Znowu zabrzmiał alarm.

Nie ma pól, które można by wypełnić.

Przełknął ślinę.

Omijał spojrzeniem jej imię.

Powiódł wzrokiem po innych nagrobkach.

Ilu zmarłych, pomyślał.

Przysunął piwonie do jej imienia, do zdjęcia, które to nie on wybrał.

Znów przycisnął dłoń do piersi.

Alarm. Ten sam co w kwiaciarni.

Znowu.

„Zna tę opowieść świat”.

I oto stał tam nagrobek z jej imieniem i nazwiskiem. Słońce przebijające się przez korony drzew oświetlało suche litery, których nie był w stanie przeczytać: JULIE VAUVERT.

*

Dominique Brulé zmarł dokładnie w tej samej chwili, w której w szpitalu urodził się Dominique Martín. Mercedes godzinami czekała na kwiaciarza. Tilde wiedziała, że nie przyjdzie. Violeta płakała, tuląc noworodka, a słone łyzy mieszały się ze słodyczą. Tego wieczoru nikt nic nie ukradł z kwiaciarni. Tylko kwiaty straciły kolor i pochyliły głowy na znak żałoby.

Ciało Dominique’a Brulégo na grobie Julie Vauvert znalazła o 19.07 kobieta o imieniu Paulina. Zawiadomiła pracowników cmentarza, a potem zniknęła.

*

Ptak, który uciekł z klatki i obserwował Dominique'a podczas pożegnania, zganił ją, że nie było szczęśliwego zakończenia, a ona tylko z uśmiechem wzruszyła ramionami. „Było” – odparła.

W kwiaciarni zawsze ładnie pachnie.

Ptak podrywa się z markizy nad L'Étoile Manquante i leci w stronę Café de Flore, gdzie jacyś mężczyźni niechęcy przewrócili krzesło. Kobieta zauważa, że pogoda jest cudowna, i zamyka okno, dwaj mężczyźni zapalają papierosy i uśmiechają się na widok dziewczyny, która zostawia walizkę na chodniku i całuje chłopaka. Ptak, który uciekł z klatki, obserwuje wchodzących i wychodzących, przechodzących przez ulicę, siadających przy stoliku i zamawiających kawę z mlekiem u tego kelnera co zwykle. Dym unosi się w powietrzu, tworzy różne kształty, dziecko kaszle. Ptak zrywa się do lotu, szuka drogi pomiędzy dachami Saint-Germain-des-Prés i postanawia przelecieć się nad wiosennym Paryżem.

Podziękowania

Nie mamy przed sobą całej wieczności. Zawsze za wszystko dziękuj, mówi mama. Oto więc moje podziękowania za pomoc przy tej książce: dla redaktorek, Any Rosy Semprún i Miryam Galaz – *la fête continue*. Dla przyjaciół: Virginii Pizarro, Marty Fernández, Davida Linaresa, Javiera Mediny i Manu Mercadala – *c'est merveilleux*. Dla wszystkich kobiet z mojej rodziny. Dla wszystkich dobrych ludzi. Także dla Ciebie, Lydio Durán, na zawsze tutaj. Dla czytelników. I dla Ciebie, zawsze, *avec un brin de nostalgie*.

Przypisy

[1] Francis Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*, przeł. Ariadna Demkowska, Warszawa 1962.

[2] Krwisty (fr.).

[3] Dobrze wysmażony (fr.).

[4] Romansów (fr.).

[5] Krawcowa (fr.).

[6] Fragmenty *Ruchomych świąt* w przekładzie Bronisława Zielińskiego.

[7] Słucham? (fr.).

[8] Stary dom... (fr.).

[9] Wergiliusz, *Ekloga III*, w: *Bukoliki i georgiki*, przeł. Zofia Abramowiczówna, Kraków 1953.

[10] Virginia Woolf, *Nie napisana powieść*, [w:] *Nawiedzony dom: opowiadania zebrane*, przeł. Magda Heydel, Kraków 2012.

[11] Tu i dalej fragmenty *Ne me quitte pas* w przekładzie Wojciecha Młynarskiego.

[12] *Gra w klasy* w przekładzie Zofii Chączyńskiej.

[13] *Paryż nigdy nie ma końca* w przekładzie Ewy Zaleskiej.

[14] *Świat* w przekładzie Stanisława Barańczaka

